

Jenny Colgan

Autorka
Kroniki z Adamiarem
oraz Słabo Aniołki

Poszukiwany Andrew McCarthy

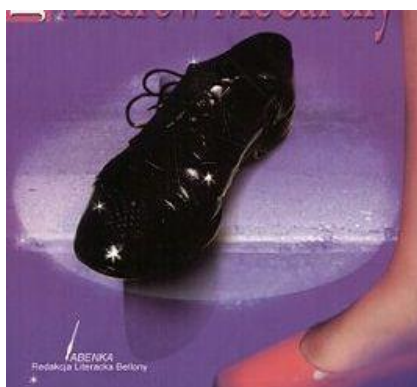


WYDAWCA
Wydawnictwo Literackie

Wydawnictwo Literackie



Jenny Colgan



*Poszukiwany
Andrew McCarthy*

Tytuł oryginalny: Looking for Andrew McCarthy

Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku w Hollywood grupa młodych, zdolnych, obiecujących etc. aktorów i piosenkarzy (Frank Sinatra, Dean Martin, Sammy Davis Jr. i jeszcze paru innych) stworzyła rodzaj koleżeńskiej paczki, znanej jako „Rat Pack” („Banda Szczurów”). Dwadzieścia lat później, w latach osiemdziesiątych, niejako w hołdzie wielkim poprzednikom, inna grupa młodych–zdolnych–obiecujących etc. stworzyła podobną grupę, znaną z kolei jako „Brat Pack” („Banda Gówniarzy”). Należeli do niej Andrew McCarthy, Charlie Sheen, Emilio Estevez i jeszcze paru innych. Andrew, Charlie i Emilio razem wystąpili tylko w jednym filmie *Ognie świętego Elma*; reszta filmów, w których grali członkowie „Brat Pack”, jest w Polsce raczej nieznaną, a jeśli znana, to głównie przez wypożyczalnie wideo. Dla tych Amerykanów i Anglików natomiast, którzy w latach osiemdziesiątych byli nastolatkami, członkowie „Brat Pack” byli idolami, a ich filmy – bez mała kultowe. Wszystko to – używając cytatu z innego, znacznie starszego, choć także kultowego filmu – „przeminęło z wiatrem”.

1.

Mniej niż zero

– H EJ! HEJ! HEJ! HEJ!

Radio darło się na cały regulator. Ellie cała skupiła się próbie wybielenia stareńkiej pary niegdyś wytwornych botków.

– Woohhwoohh!

Zadzwonił telefon; niechętnie ściszyła radio.

– Jeżyku!

– A, cześć tatku.

– WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO W DNIU URODZIN!

– Tak, tak, tak. – Próbowała udawać zakłopotaną, choć tak naprawdę było jej miło.

– Spodobał ci się prezent, znakiem tego?

– Tato, to beret.

– Ale się przyda, no nie? Na łyżwy, na ten przykład? Ellie nie była z ojcem na łyżwach od jakichś szesnastu lat.

– Noo, taa...

– To co, gotowa jesteś na dziś wieczór, znakiem tego?

Ellie rzuciła okiem na pokój. Jednym z podstawowych problemów przy organizowaniu balangi w stylu lat osiemdziesiątych, jest brak środków na to, by wybebeszyć mieszkanie i urządzić je na nowo, tak by wyglądało jak scenografia do *Dynastii*. Z braku laku porozwieszała więc na

ścianach mnóstwo plakatów Brat Pack i kapeli Duran Duran, porozrzucała tu i tam malowniczo roczniki „Jackie” i szarpnęła się na zakup większej ilości

serwetek w różowo–czarne paski. Potem planowała jeszcze rozpylić wokół trochę Anais–Anais.

– Hmm, właściwie tak... – odpowiedziała.

– Julia przyjdzie?

Ellie wzniosła oczy do nieba. – Tatku, to moja najlepsza przyjaciółka. Oczywiście że przyjdzie.

– Założę się, że będzie ślicznie wyglądać...

– Tato, znasz Julię od jej piątych urodzin. Nie bądź obleśny.

Ellie zapatrzyła się w wiszące obok telefonu lustro, zastanawiając się, czy dałoby się wyprostować włosy, gdyby dostatecznie długo trzymała na nich dłoń. Zdawała sobie sprawę, że zdecydowanie nie mieści się w przedziale „bardzo ładnych”, lecz co najwyżej „fertycznych”, ze swymi idiotycznie kręconymi i wiecznie rozczochranymi włosami, perkatym nosem i hojnie rozsianymi piegami. No i jeszcze te prawie czarne, zazwyczaj złośliwe oczy...

– No dobra – powiedział tatko, zmieniając temat. – To co, złotko, trzydziestka stuknęła, tak? Czyli twoja dzika i beztroska młodość już za tobą?

Ellie zapatrzyła się na jeden z plakatów, zastanawiając się, czy jej młodość była w istocie dostatecznie dzika i beztroska.

– Ehm no, tak jakby – odchrząknęła w odpowiedzi. – Nieważne... A co ty zrobiłeś w swoje trzydzieste urodziny.

– No co, Jeżyku, nie pamiętasz, jak ugryzłaś kelnerkę?

– Ja *tam* byłam?

– Przez całe lata nie mogliśmy tam przyjść ponownie na tort szwarcwaldzki. A po południu poszliśmy do parku, a ty wysiusiałaś się do fontanny.

– O rany, to brzmi okropnie – jęknęła Ellie, machinalnie przerzucając stos starych singli Howarda Jonesa; planowała użycie ich jako głównej atrakcji wieczoru.

– Ależ nie, właściwie to było słodkie – westchnął nostalgicznie tatko.

Ellie ponownie zaczęła przyglądać się swemu odbiciu w lustrze. Nawiasem mówiąc, kupionym na wyprzedaży obuwia.

– Zmarszczki i piegi? Kurczę, to nie w porządku – mruknęła do siebie, po czym wróciła do rozmowy z tatką.

– Co mówiłeś?

– A nie, nic. Baw się dobrze, skarbie.

– Na pewno. Teraz jadę zgarnąć Billa z tej jego próby.

– A, tak – w tych dwóch krótkich słowach tato zawarł wszystko, co sądził o Billym, jej aktualnym chłopaku. Ellie myślała, że to głównie dlatego że Billy był saksofonistą w zespole muzycznym. Naprawdę zaś powód był taki, że tatko – który był policjantem przez 35 lat – doskonale potrafił rozpoznać łobuza.

– No to pa. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia, skarbie – przerwał na chwilę. – Aha, no i wszystkiego najlepszego. Wszystko, czego chcę dla ciebie, to tego żebyś była szczęśliwa.

– Kurczę, co on chciał przez to powiedzieć? – spytała Ellie samą siebie, nagle czegoś niezadowolona i rozdrażniona. Mocowała się z odpowiedzią na to pytanie, rozpakowując pudełka z batonami i chipsami. – Kurczę, przecież ja jestem całkowicie i kompletnie szczęśliwa.

Zwłaszcza w tej chwili, gdy będzie mogła przekupić tego drania, swego gospodarza, kilkoma kartonami kiepskiego i taniego kontynentalnego piwka, by trzymał się z dala od tej imprezy.

Wyszła z domu i powlokła się ku Wandsworth Town Hall, gdzie Billy udawał Steve'a Normana. Przenikliwy październikowy ziąb zmusił ją do wsadzenia obu rąk głęboko w kieszenie i postawienia kołnierza.

– Jestem szczęśliwa – powtórzyła sobie jeszcze raz. – No dobrze, może poza pracą, która jest gówniana. No i poza mieszkaniem. Też gównianym. Ale dziś mam przyjęcie urodzinowe. Z tortem. No dobra, sama go sobie kupiłam...

Wchodziła już do budynku. Panowała w nim dość niezwykła cisza. Pewnym krokiem ruszyła ku sali prób.

– No i przyjdą wszyscy moi przyjaciele... Pchnęła drzwi.

– I na pewno dostanę od nich górę zabawnych prezentów...

– O, ŻESZ TY – wrzasnęła na widok Billa, który prawie leżał na jakiejś dziewczusze, obcałowując ją w najlepsze.

– KURWA! Moje gówniane szczęście!

Julia poczuła, że jej dłoń jest już mocno obolała od stukania w drzwi łazienki, w której Ellie sumiennie zamknęła się na klucz i dodatkowo zabarykadowała.

– Jeżyna! Proszę cię, wyjdź! Nie urządź scen we własne urodziny!

Zza drzwi dobiegały jakieś zduszone dźwięki. Julia przytknęła ucho, by lepiej słyszeć.

– No dobra, zapomnijmy o twoich czwartych, szóstych, ósmych, a i o jedenastych urodzinach – rzuciła przez drzwi i westchnęła. Obejrzała się, by spojrzeć na salon. Wyglądał, prawdę mówiąc, dość szmatławo, umeblowany starodawnymi gniotami z IKEI i oklejony starymi plakatami. Dwie szmaciane lalki ciśnięte byle jak na stole utworzyły nieoczekiwanie śmiałą grupę erotyczną. Z odtwarzacza waliła muzyka kapeli Psychedelic Furs.

Obciągnęła i wygładziła dość koszmarną – jak dopiero teraz zauważyła – nylonową bluzkę i zastukała ponownie.

– Jak chcesz, to siedź tam! Goście się schodzą!

Z łazienki nie dobiegł żaden dźwięk, za to rozjazgotał się dzwonek u drzwi wejściowych. Julia rzuciła się, by otworzyć.

– Cześć, złotko – zawołał Artur, całując ją w oba policzki. – Ślicznie pachniesz. Chyba przyszedłem za wcześnie.

– I dzięki Bogu że to zrobiłeś – jęknęła z ulgą Julia, wymownie wskazując na drzwi łazienki.

Artur był przystojny, czarujący, uprzejmy i wszyscy go uwielbiali. Był także gejem.

Położył na stole prezent dla solenizantki i butelkę szampana, po czym podążył za gestem Julii w kierunku łazienki.

– O rany. Ona jest tam?

Julia skinęła głową. – Dwie godziny temu zamknęła się tam z butelką wina.

– I po co te nerwy? W końcu to dopiero trzydziestka. Choć licząc w gejowskich latach, to już siedemdziesiątka.

– O, a przy okazji, gdzie jest Colin?

– Zostawiłem go na zewnątrz. No, skarbie, co jest grane? – wrzasnął Artur przez drzwi łazienki. – Co ci znów nie pasuje? Ja wczoraj znów przyłapałem Colina, jak wyjadał cukier z cukiernicy.

– Właściwie dlaczego po prostu nie sprawiłeś sobie psa? – wtrąciła Julia.

– Byłoby ci o wiele łatwiej.

– Ale on jest taki śliczny – odparował Artur i ponowił atak na drzwi łazienki.

– A właściwie dlaczego się nie przebrałeś jak trzeba na tę balangę? – zagadnęła Julia, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu niebieskiej kredki do oczu.

– Przecież się przebrałem – obruszył się Artur. Rozpiął elegancką koszulę, by pokazać noszony pod nią stary

T-shirt z napisem „Frankie Says Relax”. – To wszystko, na co mogłem się zdobyć; od większej ilości gadżetów z lat osiemdziesiątych dostałbym wysypki.

– Aha – mruknęła wyrozumiale Julia. Przez otwarte drzwi frontowe zauważyła jakąś parę zmierzającą wyraźnie w ich kierunku – KURCZE, KOGO TAM NIESIE?

– Nie mam pojęcia. Kogo jeszcze nasza gościnnie gospodyni zaprosiła?

– Tak do końca to nie wiem. Przeleciała przez wszystkie swoje stare notesy z adresami i zdaje się zaprosiła każdego, kogo kiedykolwiek spotkała. Chciała mieć naprawdę super-balangę na te swoje urodziny.

W drzwiach stali już nowo przybyli: mizerny młody człowiek i jego jeszcze mizerniej sza towarzyszka, objuczona torbą z Body Shop. Ani chybi – z prezentem.

– Witamy! – zawołała radośnie Julia. Parka wymieniła nerwowe uśmiechy.

– ...z kim mamy przyjemność?...

– Ehem. Cześć. To znaczy... ee... ja jestem pedikiurzystą Ellie – wyjąkał zakłopotany facecik. W tym momencie przed dom zajechała taksówka, z której wytaszczyła się następna para, na oko w średnim wieku.

– Rany, oczom własnym nie wierzę. Zaprosiła George'a i Annabel – syknął Julii do ucha Artur.

– Moja wina. Powinnam schować przed nią jej własne notesy z adresami – jęknęła Julia.

Annabel rzeczywiście wystroiła się w stylu lat osiemdziesiątych, na tyle, na ile pozwalał jej wrodzony konserwatyzm. Teraz przyszła na nią kolej ataku na drzwi łazienki.

– Złotko, prosimy cię, wyjdź. Muszę koniecznie opowiedzieć ci przezabawną historyjkę o tym, co przydarzyło się George'owi na kolacji w jego klubie golfowym...

Annabel i George chodzili ze sobą na studiach i pobrali się zaraz po ich ukończeniu, co nikogo nie zaskoczyło.

Oboje byli nad wiek dojrzały i przeraźliwie dorośli. Jako pierwsi z paczki kupili własne mieszkanie, umościli się w nim i mogli już spokojnie zacząć narzekać na przepełnione w niedzielne popołudnia parkingi.

– Przyniosłam trochę zakąsek własnej roboty!

Pedikiurzysta wziął z talerza kawałek sera i powąchał go podejrzliwie.

– A gdzie jest Billy? – zapytał Artur, nalewając sobie wina. Wyglądało bowiem na to, że impreza odbędzie się bez gospodyni i goście muszą sami zadbać o siebie.

– A, Billy – westchnęła Julia. – To przez niego ta łazienka i w ogóle. Poprzytkali się.

– No i dobrze – powiedział Artur. – Mam nadzieję, że zerwali ze sobą. Ellie i Billy – przecież to zupełnie nie brzmi!

– Ellie nakryła go, jak migdalił się z jedną dziewczuchą z kapeli. Ona chyba gra na puzonie... Od tego podobno wargi robią się wrażliwe... tak jak i od saksofonu, rozumiesz...

– O rany – westchnął Artur. – To znaczy się kanał.

Ellie, czując się bezgranicznie nieszczęśliwa, siedziała skulona na koszu z brudną bielizną, bezmyślnie kiwając stopami w powietrzu. Słyszała dobiegające zza drzwi hałasy i wiedziała, że powinna wyjść i zmierzyć się z

sytuacją. Zamiast tego tępo gapiła się w lustro na swe piegi, nos i rozczochrane czarne loki, i równie tępo myślała: „trzydziestka”. No dobra. Spoko. Odprężyć się. Jest pysznie. Nie jestem nieszczęśliwa. W porządku. Wprawdzie moim gospodarzem jest największy drań, bydlak i młot po tej stronie globu, a moja praca to bezmyślne przekładanie papierków, a Billy... Nie, o nim nawet myśleć nie chciała. No dobrze, nie był ideałem. Pracował nocą, a spał w dzień, ale poza tym nie miał w sobie nic z mroczno-romantycznego wampira. No i włosy miał trochę zbyt wyżelowane, ale tylko tyle... No i ten palant migdalił się z tą cizią, która wyglądała, jakby miała policzki wypchane piłeczkami do ping-ponga. Cholera. To niesprawiedliwe. Poczula, że łza usiłuje przedrzeć się przez gruby pokład eyelinera w kremie i gniewnie rozmazała ją pod okiem.

Cholera jasna, jak się stąd wydostać i wyplatać z tej całej imprezy? Połowy zaproszonych gości nawet nie znała. Z pewnym zażenowaniem przypomniała sobie, że zaprosiła nawet listonosza. I na domiar wszystkiego to kolejne urodziny bez nawet słówka od matki. Uważnie przyjrzała się oczom, wypatrując zmarszczek, i nagle odkryła ich mnóstwo. A jakie to teraz ma znaczenie, pomyślała ponuro. Odtąd będzie już tylko jazda z górki...

Hmm. Może jeśli przesiedzi tu całą noc, goście wreszcie sobie pójda....

– Hej, tego... no... – dobiegło zza drzwi. Miły, niski głos. Loxy. Chłopak Julii. Opiekuńczy i wierny do obrzydliwości.

– Słuchaj, Julia prosiła mnie żebym... Właściwie to nie bardzo wiem co... No, ale jestem. I cały tłum gości. A przy okazji to wszystkiego najlepszego z okazji urodzin...

Zakaszłał. Ellie przymknęła oczy. Loxy był taki miły i taki zakochany w Julii... Nic tylko się wyrzygać, pomyślała ponuro.

– Noo, to, ee... Julia ślicznie dziś wygląda, nie sądzisz? A ty w co się wystroiłaś?

Ellie lypnęła w lustro na swoją urodzinową kreację. Czyste lata osiemdziesiąte: kombinacja stylu Madonny, Cyndi Lauper i Strawberry Switchblade. Miała nadzieję że wszyscy goście przyszli stosownie przebrani. (Była to płonna nadzieja, chociaż ochroniarz z jej biura nosił skarpetki w dwóch różnych kolorach, zaś jej fryzjerka specjalnie na imprezę zrobiła sobie trwałą ondulację).

Ktoś śpiewał o czymś. Julia natomiast lustrowała gości: wszyscy starali się, jak mogli, by wystroić się w stylu lat osiemdziesiątych, choć nie zawsze z sukcesem.

Teraz wzięła sobie na oko Patryka i Siobhan. Zabawna para. Są razem od pięciu lat, ale oboje są tak chronicznymi pracoholikami, że chyba już zapomnieli, jak się wspólnie spędza czas. Patryk wrzucał właśnie do ust chipsa po chipsie, tak samo beznamiętnie i mechanicznie jak sprzedawał polisy ubezpieczeniowe, a także – jak podejrzewała Julia – uprawiał miłość. Przeżuwał te chipsy, gapiąc się przed siebie z żalobno–znudzonym wyrazem twarzy. Natomiast Siobhan, z pewnym wysiłkiem, odstawiała duszę towarzystwa: krążyła wśród gości, flirtowała i śmiała się odrobinę za głośno. Oto co robi z ludzi wspólne mieszkanie, pomyślała Julia, która z nikim nigdy jeszcze nie mieszkała, choć Loxy nie ustawał w wysiłkach, by to zmienić.

Julia krążyła po pokoju, dolewając gościom wina; Annabel wzięła na siebie dystrybucję kanapek. Loxy dreptał za Julią, dopytując się niespokojnie, czy jednak nie należałoby wyłamać drzwi do łazienki. Caroline Lafayette opowiadała o swojej podróży do Tybetu, a nikt z zainteresowanych nie miał serca wspomnieć jej, że od tego czasu minęło już dwanaście lat. Colin nerwowo przestępował z nogi na nogę; wyraźnie chciał do toalety. Rany, wes-

tchnęła Julia. Czy wszystkie imprezy są zawsze takie gówniane, czy tylko ta konkretna? No dobra, coś trzeba zrobić. Zdecydowanym krokiem ruszyła do łazienki.

– Jeżyna! – wrzasnęła. – Podaję tort! Wszyscy już przyszli. Zaraz będziemy ci śpiewać „sto lat”. Wyjdź z tej choleryjnej łazienki i bądź słodka. Albo my wszyscy pójdziemy do... ehem... pójdziemy do tego mięśniaka, twojego gospodarza i powiemy, że lecisz na niego.

– Wypchaj się – dobiegło zza drzwi.

– Jak chcesz. Uprzedzałam. Uwaga, wszyscy! – wrzasnęła Julia, dając znak Loxy'emu, który wyłonił się z kuchni z urodzinowym tortem.

Julia rześkim głosem zaintonowała „sto lat”.

Goście mniej lub bardziej nerwowo zaczęli włączać się do chóru, ale zanim jako tako się zgrali, rozległ się trzask otwieranych drzwi wejściowych. W paździenikowej mżawce i drżącym, rozmazanym świetle ulicznej latarni stał Billy z saksofonem w rękę. Nagłe podniósł go i zaczął grać. I wtedy powoli, bardzo powoli drzwi od łazienki zaczęły się uchylać.

* * *

I wypadła z nich Ellie.

– Hej, kotku! – Billy wykrzywił się w czymś w rodzaju uśmiechu. Średniego wzrostu i mizernej tuszy wyglądał – zwłaszcza w tym kiepskim świetle – jak młodszy, brzydki brat Roberta Lowe i to po piętnastu latach odsiadki za posiadanie i rozprowadzanie.

– Przepraszam – powiedziała Ellie niebezpiecznie łagodnie i spokojnie – Czy ktoś tu coś powiedział? Czy też przesłyszałam się, a tylko kot się wyrzygał?

Julia zręcznie dopchała się do przyjaciółki i objęła ją ramieniem.

– No, jesteś wreszcie. Chodź, musimy pokroić tort.

– Kotku?

– Może kanapeczkę? – spytała Annabel – mojej roboty...

Billy olał jej propozycję, wyjął papierosa, zapalił, zaciągnął się, po czym strząsnął popiół na dywan. Annabel ze świstem wciągnęła powietrze.

– Dziecinko, właśnie ułożyłem taki kawałek dla ciebie, żeby ci pokazać, jak wiele dla mnie znaczysz.

– Hm, właściwie to już mi to okazałeś – warknęła Ellie.

– Ale prosimy, prosimy, maestro...

Billy upozował się artystycznie w drzwiach, wzniosł saksofon do góry, mrugnął do Ellie i odrzuciwszy głowę w tył, zaczął grać.

– Czy to nie brzmi jak któryś z kawałków Baker Street? – syknęła Ellie.

Billy przerwał i powoli opuścił saksofon.

– Ehem, no tak. No tak, faktycznie...

Ellie westchnęła i powoli zaczęła żuć podsuniętą przez Annabel kanapkę.

– No. Dalej?

– Ale wytrąciłaś mnie z rytmu...

– I bardzo dobrze.

Billy skierował wzrok ku Annabel, która nagle zaczęła pilnie strzepywać nieistniejące okruchy.

– No, przepraszam, ale chciałem no, zrobić, tego, no coś, co się nazywa gestem...

– A w istocie zrobiłeś coś, co się nazywa świństwem. Billy odetchnął i bardzo powoli opuścił saksofon.

– Złotko – zwrócił się do Ellie sztucznie swobodnym tonem – no, przecież to nie jest tak, że mieliśmy się chajtać czy coś takiego...

Ellie prychnęła.

– ...no i to ty mówiłaś, że nie chcesz żadnych zobowiązań... To doprawdy ironia losu... najpierw nie chcesz zobowiązań, a jak widzisz, że się z kimś całuję, to robisz wielkie halo!

– Kur... cholera jasna i pieprzona! Ty żałosny kutasie!

– Ellie z niejakim zdumieniem usłyszała własny wrzask. Błady pedikiurzysta zaczął się chyłkiem przesuwac w kierunku drzwi.

– ...naprawdę zraniłeś moje uczucia! Nie widzisz tego, do...? Billy wzruszył ramionami.

– To tak jak w tym filmie...

– To nie jest jak w żadnym filmie, ty baranie! – wrzasnęła. – Naprawdę mnie zraniłeś!

Zalala się łzami i ponownie schroniła się w łazience.

– Te kobitki... – ćwierknął Billy z pracowicie wyuczonym kiepskim amerykańskim akcentem. Spojrzał na drzwi łazienki. Cisza. Odwrócił się i bokiem wyśliznął się z mieszkania.

– No to może jeszcze raz szybciotkie „sto lat”? – zaproponowała Annabel.

Sześć godzin później Ellie leżała bezwładnie w poprzek łóżka, wciąż w stanie łagodnego otępienia. Z rozmazanym na całej twarzy makijażem tuliła do siebie pustą butelkę. Artur z Julią przysiedli koło niej na łóżku. Colin krążył po pokoju. Loxy zaś cierpliwie czekał na zewnątrz.

– Boże na wysokościach – jęknęła Ellie dramatycznie. – To najgorsza z wszystkich imprez, jakie miałam. I mieć będę...

– Bzdura! – zaprzeczył energicznie Artur. – A co z tym przyjęciem u Annabel, gdy puściłaś pawia na jej moherowy dywan?

– Był okrągły i biały! Wydawało się, że to kibel! O Boziu. Nie mogę uwierzyć, że mam już trzydziestkę. I kurczę, nie mam nic.

– Masz mnóstwo rzeczy – powiedział Artur, delikatnie masując jej plecy.

– Masz przyjaciół, mieszkanie, pracę i wszystko, co chcesz; łącznie z tą śliczną malutką srebrną komórką. A czego właściwie oczekiwałaś? To znaczy, jak twoim zdaniem powinno być w twe trzydzieste urodziny?

– Poczekaj – powiedziała z namysłem. – No więc, mam na sobie przepiękną różową suknię...

– O, nie – jęknęła Julia – tylko nie to!

– ...I jestem w wielkim różowym pokoju z takimi udrapowanymi firankami... i tańczę z takim przystojniakiem, a on pochyła się nade mną i szepce mi coś takiego jak...

Artur przyciągnął ją do siebie. – Nie do wiary, dziewczyno. Myślałaś, że jak urządzisz imprezę w stylu lat osiemdziesiątych, to wszystko potoczy się idealnie w stylu Brat Pack?

– O czym wy właściwie mówicie? – wtrącił się Colin, który wciąż jeszcze mieszkał z rodzicami.

– Rany boskie, Colin, jaki był twój pierwszy film, jaki obejrzałeś? No jasne, pewnie *Park Jurajski* – prychnęła Julia. – Ellie mówi o grupie bardzo utalentowanych młodych aktorów z lat osiemdziesiątych...

– ...którzy teraz pewnie występują w reklamówkach o wyprzedaży mebli albo w filmach wyświetlanych po północy na Kanale 5... – dodał trzeźwo Artur.

– I wszyscyśmy ich kochali...

– A dlaczego? – spytał rzeczowo i niewinnie Colin. Pozostała trójka spojrzała jedno na drugie.

– No, mieli takie OGROMNE apartamenty – powiedziała Ellie. – Nie mieszkania. Apartamenty.

- I chodzili razem na superprywatki.
- I najpierw byli niepopularni, a potem stali się naprawdę popularni.
- I pozostali przyjaciółmi na zawsze, mimo wszystkich klasowych i intelektualnych różnic.
- I wszyscy stali się sławni i odnieśli sukces i żyli długo i szczęśliwie do końca świata, a nawet dłużej!

Julia, Ellie i Artur zgodnie westchnęli.

– Ale to brzmi jak kompletny szajs – powiedział Colin.

– W porównaniu do czego? – prychnęła Ellie – *Walecznych Nastoletnich Zmutowanych Żółwi Ninja*?

Dla rodziców Ellie – od kiedy zaczęła mówić – była Jeżykiem. To jej matka zaczęła ją tak nazywać, bo była „takim kolczastym małym stworzonkiem”, i przezwisko to przylgnęło do niej, tym bardziej że im częściej go używano, tym bardziej kolczasta się stawała. A kiedy jej matka uciekła z domu z pewnym dyplomowanym księgowym imieniem Archie, Elle stała się już tak kolczasta, że bardziej nie mogła. Natomiast dla przyjaciół szybko stała się – równie kłującą i kolczastą – Jeżyną.

Z Julią przyjaźniły się na zasadzie jedności przeciwieństw. Julia jako dziecko była rozkosznym blond aniołkiem. Teraz również wciąż była blondynką, choć wymagało to już pewnych nakładów i wysiłków i wciąż była aniołem (a gdy szło o Jeżynę – wręcz aniołem dobroci i poświęcenia). Natomiast Ellie ze swoimi niesamowitymi czarnymi oczami, wiecznie rozczochranymi kruczymi lokami i okrągłymi, rumianymi policzkami – zawsze wyglądała jak dziecko z jakiejś trupy linoskoczków. Nauczyciele nazywali je obie dowcipnie Śnieżynką i Różyczką, a prywatnie: słodką dziewczynką i cholernym bachorem.

Matka Ellie znikła z domu i z miasta na rok przed maturą obu dziewcząt. Zdarzenie to na tyle zaszokowało wszystkich przyjaciół i sąsiadów z ich zacnego przedmieścia, że nikt nigdy Ellie tego później nie wypominał, niezależnie od tego, jak była nieznośna. Obie z Julią razem poszły na uniwersytet w Sheffield i na ogół były najlepszymi przyjaciółkami, bowiem Julia czuwała nad Ellie,

– Oj, Jeżynko – Artur pogładził ją czule po głowie. – Chyba nie jesteśmy w stanie ofiarować ci tego, czego sobie życzyłaś na urodziny. Ale twój pedikirzusta zostawił ci trochę miętowego olejku do stóp.

Zaś Ellie przyjęła za naturalne, że to Julia – atrakcyjna i złotowłosa – skupiała na sobie uwagę wszystkich przystojnych chłopaków.

Na uniwersytecie poznały Artura. Zaczęło się od tego, że Ellie zaczepiła go w studenckiej stołówce i oznajmiła, że bardzo się jej podoba. Zdażyła bowiem odkryć, że taka bezpośrednia metoda jest zdumiewająco wprost skuteczna wobec młodzików, którzy po raz pierwszy znaleźli się z dala od domu. W swym późniejszym życiu odkryła, że działa to także na nieco starszych mężczyzn; tyle tylko że jakoś tych podrywów pogarszała się z roku na rok.

Wtedy Artur zareagował niespodziewanie.

– Widzę pewne trudności – oznajmił leniwie.

– A dlaczego? Co ci się nie podoba? Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głowy.

– O, jedna... dwie... hm, trzy rzeczy na pewno – powiedział. – Mogę ostatecznie darować sobie jabłko Adama.

– Och – odpowiedziała wtedy Ellie. – Och – powtórzyła. – Nigdy jeszcze nie poznałam żadnego geja.

– Doprawdy? – spytał uprzejmie Artur.

– Jestem Ellie – oznajmiła, wyciągając rękę. – Z bursy Esher. Masz może jakichś braci... podobnych do siebie... z wyglądu?

– Niestety nie, panno Ellie z bursy Esher – odpowiedział, ściskając jej dłoń.

– Przepraszam, że pytam...

– Nie jestem pewien, czy odpowiada mi ten styl rozmowy.

– Nie uważasz, że jesteś odpicowanym sztywniakiem?

– Oczywiście, że jestem – odpowiedział Artur; akurat wystrojony był w satynowe smokingowe spodnie, a papierosa miał w długiej cygarniczce.

– A dlaczego w takim razie... skoro... ee... wszędzie bywasz razem z George'em i Annabel?

Artur wzruszył ramionami

– Mówiąc szczerze, lubię mieć przy sobie stały przykład tego, czym nigdy nie będę.

– Doprawdy? To tak jak ja! Dokładnie jak ja! Zechcesz zostać moim współnikiem w zbrodni?

Artur zastanawiał się przez dobrą sekundę.

– Czemu nie. Świetnie.

– Moje życie – pojękiwała Ellie, siedząc na łóżku – przypomina te kretyńskie reklamówki różnych zup. No wiecie... jak to ktoś ma naprawdę fatalny, ohydny, zimny, deszczowy dzień, ale wszystko kończy się dobrze, gdy rozsiada się w fotelu z kubkiem gorącej zupy. Tyle że u mnie NIE MA ZUPY.

– Głupstwa mówisz – stwierdził Artur. – Nie ma nic takiego w twym życiu na co... no, zostawmy metaforę z zupą... Po prostu chodźmy w niedzielę na wielkie zakupy.

– To na nic i nie o to chodzi – westchnęła Ellie – to znaczy, chodziło o to, dlaczego czuję się tak... tak... tak blee...

– Wybacz Jeżynko, ale my obaj musimy już iść – powiedział Artur, spoglądając na Colina słodko pochrapującego na fotelu. – A co do reszty... może spuścimy wodę na dzisiejszy wieczór i wypuścimy się gdzieś jutro. Obalimy nasz tradycyjny alfabet koktajli...

– Ee... No... może... No, dobrze – zgodziła się Ellie.

– Dobra, możecie już iść. A ja zrzucę z siebie te pieprzone ciuchy i walnę się spać...

Julia cmoknęła ją w czubek głowy. – Nie gryź się, Jeżyna. Naprawdę nie ma o co i nie warto.

– O rany, wiem – westchnęła Ellie. – To dlatego się gryzę... to znaczy gryzę się o to, dlaczego się gryzę...

– Ślicznie wyglądałaś dziś wieczór – powiedział Julii Loxy, gdy oboje wychodzili z mieszkania Ellie, wymijając pozostałości po tej dziwnej imprezie.

– Co? Ehem – odpowiedziała Julia.

Ellie nie udało się zasnąć albo też tylko tak się jej zdawało, kiedy ocknęła się, wypadając z łóżka. Chyba miała jakiś erotyczny sen? Na razie otaczała ją szarość: szaro było za oknem, na podłodze i przede wszystkim pod łóżkiem.

– Auu! – zaskowyczała, myśląc jednocześnie: to mój pierwszy skowyt kobiety trzydziestoletniej. Zaraz jednak zamilkła, na wypadek gdyby ten cholerny mięśniak, jej gospodarz, z którym dzieliła mieszkanie, przypadkiem się obudził i zechciał sprawdzić, czy z nią wszystko w porządku. Mięśniak był wyjątkowym bucem, a mieszkanie było ohydne, ale miało tę zaletę, że stąd można było pieszo dojść do wszystkich jej przyjaciół.

Zza drzwi dobiegł zaspany głos.

– Rany, Jeżyna, zamknij się!

– Sam się zamknij – odwrzasnęła Ellie, pociągając nosem, z którego pociekło trochę krwi; musiała się uderzyć, spadając z łóżka. Szkoda że tak mało krwawie, pomyślała, mogłabym teraz wyjść i urządzić Mięśniakowi widowisko w stylu *Carrie*. Niezgrabnie wdrapała się z powrotem na łóżko, padła na wznak i pograżyła się znów w łagodniej katatonii. Niestety, ten błogostan został przerwany brutalnie przez Mięśniaka, który zaczął uruchamiać swój skuter akurat pod jej oknem, rozbudzając ją do reszty. Dochodziła dziewiąta rano.

– Auu! – zaskowyczała znowu i wyskoczyła z łóżka, by wyrzeć przez okno.

– Co to, panna Jeżyna znowu spóźni się do pracy? – zarechotał Mięśniak, potężnie zbudowany rugbysta, tak napakowany, że nie mógł założyć nogi na nogę. Teraz jest napakowany, ale szybko robi się ohydnie tłusty, pomyślała Ellie, gapiąc się na niego. Jego brązowe włosy zawsze sterczały we wszystkich kierunkach, mimo że starał się je ze wszystkich sił przygładzić (żelem, jak w duchu spodziewała się Ellie, a nie śliną), a jego szeroka, mięsista twarz miała niezmiennie czerwony kolor.

Wychyliła się przez okno.

– Mięśniak, podwieź mnie do pracy...

Mięśniak parsknął. Nie na przewisko, tylko na prośbę.

– Nie ma mowy. Jak cię znam, będziesz się grzebać ze dwie godziny i wdepnę w najgorsze korki.

– Proszę. Będę ci prasować przez tydzień... Mięśniak zarechotał.

– Wiesz, Jeżyna, nie mam za dużo ciuchów, by ryzykować ich utratę...

– Nienawidzę cię.

– Nie wątpię. Zwłaszcza po tej twojej zapiekance pasterskiej...

Ellie cofnęła się do pokoju. Zaczęła nerwowo przekopywać szuflady.

– Cholera, mam już trzydzieści lat – wymamrotała do siebie – a nie dorobiłam się choćby jednej pary rajstop bez oczek. Jak to się mogło stać?

Rzuciła się ponownie do okna i wrzasnęła:

– Kurczę, Mięśniak! Znowu rąbnałeś mi rajstopy, żeby zrobić komuś jeden ze swych pysznych kawałów?!

– Ee, uch... no, chyba tak; jedno to wciągnęliśmy Vince'owi na głowę, żeby... no... z pewnych ważnych powodów. Mówię ci, było hecnie. Jaja jak berety... A jedną parę to wzięliśmy, bo Willis założył się, że założy je którejs z małą w parku safari. Aha i Carmel pożyczyła sobie dziś rano jeszcze jedno. A ja potrzebowałam jednej pary, bo w samochodzie poszedł mi pasek klinowy...

Carmel była dziewczyną Mięśniaka i wyjątkową idiotką. A ponieważ miała ledwo metr czterdzieści i to na obcasach, a Mięśniak ponad metr osiemdziesiąt, ludzie często zastanawiali się, jak u diabła ta para uprawia ze sobą seks; czasami nawet wprost ich o to pytali.

– Mięśniak, jesteś draniem – powiedziała zrezygnowanym głosem Ellie.

– Nie da się ukryć – odwarknął. – Ale, ale, należy mi się już forsa za czynsz i twoja działka za telewizję satelitarną.

– Kurczę, przecież ty nigdy nie oglądasz tej cholernej satelitarnej! Wystarczają ci gołe cycki i mecze na kablówce!

– Nie drzyj się słoneczko, tylko po prostu wypisz czek!

– Dobra, ale odejmę koszt tych wszystkich par rajstop! A teraz muszę założyć białe!

– A co złego jest w białych rajstopach?

– Rany boskie... Mięśniak, bo dostanę zawału. To co, podwieziesz mnie?

No, proszę...

– Mówiłem...

– No to mam nadzieję, że wpadniesz pod ciężarówkę przewożącą naprawdę śmierdzące chemikalia, tak że nie tylko odniesiesz poważne obrażenia, ale jeszcze będziesz śmierdział przez resztę dni twoich. Jeszcze bardziej niż śmierdzisz teraz! I niech cię szlag! – wywrzeszczawszy to, Ellie cofnęła się i zatrzęsnęła okno. Mięśniak zdawał się być kompletnie nieporuszony.

Rany boskie, pomyślała. Mam już trzydziestkę na karku, a jakość komponowanych przeze mnie wyzwisk i przekleństw pogarsza się z roku na rok.

Co do prasowania, Mięśniak niestety miał rację. Jedwabna bluzka wyszła z tego procesu w kilku zdecydowanie różnych odcieniach. Kiedyś pewnie ludzie będą patrzeć na prasowanie jak my dziś na pławienie czarownic albo puszczanie krwi, pomyślała Ellie, klnąc w duchu całą instytucję prasowania, wszystkie żelazka i deski.

Obejrzała bluzkę dokładniej i zaklęła ponownie na widok wielkiej, nagle uwidocznionej plamy.

Podobnie, mam nadzieję, będzie z dojeżdżaniem do pracy, westchnęła, narzucając żakiet (w którym brakowało tylko jednego guzika). Sunąc do drzwi, zdążyła zauważyć, że Mięśniak zostawił na stole miskę z resztką jakiejś ohydnej brązowej, szybko zasychającej mazi; śniadaniowe płatki też powinny odejść w zasłużoną niepamięć. Kiedyś archeolodzy *to* odkopią i po wielu starannych analizach stwierdzą że *to* nie było jadalne...

Pogrążona w tak miłych marzeniach o dalekiej przyszłości z rozmachem otworzyła drzwi i wybiegła, nie zatrzymując się nawet, by zabrać z ganku najnowszy numer „Smash Hits”.

– O, panna Eversholt! Jak miło z pani strony, że zechciała pani do nas dołączyć.

Ellie próbowała zamarkować uśmiech bez pokazywania zębów. Jej szef, pan Rooney, facet o wiecznie zaróżowionych oczach, rzadkich rudych włosach i podejrzanie skrofulicznej skórze, miał dodatkowo styl bycia wyjątkowo wrednego belfra.

– Uwaga wszyscy, możemy zaczynać! Panna Eversholt raczyła zaszczyścić nas swą obecnością.

– Och, bardzo przepraszam, panie Rooney. Wszystkich bardzo przepraszam. – Resztę zespołu, jak zawsze, obdarzyła ją zbiorowym tępo – bezmyślnym spojrzeniem. Zawsze tak na nią patrzyli, jakby uważali, że bycie Asystentką Dyrektora Administracyjnego ds. Rozwoju jest samo w sobie czymś dziwnym. Ellie nienawidziła swojej pracy.

Nawet gorzej niż nienawidziła. Wyobrażała sobie, że napotka w niej wielu seksownych architektów i równie seksownych budowlańców, a zamiast tego miała bez przerwy do czynienia tylko z kątomierzami łukowymi, podajnikami i wysięgnikami. A faceci, którzy przy tych ustrojstwach pracowali wszyscy jak jeden mąż, nosili baterie ołówków w kieszeniach bluz i ogromne buciory przypominające wyjątkowo wyrośnięte kornwalijskie pierogi.

– No cóż, pewnie miło będzie wam usłyszeć, że dostaliśmy nowe zlecenie i że zabierze ono wielu z nas wiele czasu. Chodzi o przeróbkę starej biblioteki na... Czy ktoś ma jakieś pytania?

– Po co pytać, wiadomo co to będzie: jakieś bajeranckie apartamenty z parkietami ze sztucznego drewna i aluminiowymi zlewami – mruknęła Ellie do siedzącej obok kobiety w poliestrowej bluzie, która zresztą zupełnie nie zareagowała na jej słowa.

...ta doprawdy rewolucyjna ewolucja w procesie wewnętrznej migracji miejskiej...

– Myślałby kto – mruknęła znowu Ellie.

– Panno Eversholt, jeśli ma pani coś do powiedzenia, może zechce się pani podzielić swoją opinią z resztą zespołu?

– Nie, panie Rooney.

– Czy pani coś żuje?

– Nie, panie Rooney – odpowiedziała. I skłamała. Szybko wepchnęła kulkę gumy pod policzek.

– No więc potrzebuję ochotnika do przekopania się w archiwum przez wiktoriańskie plany. Proszę, kto się zgłasza?

Przy stole zapadła cisza

– Ellie, może ty to weźmiesz?

Cholera, znowu najbrudniejsza i najbardziej kretyńska z robót; przez parę dni siedzenie przez szesnaście godzin w pozbawionej okien, zamkniętej na głucho suterenie. To świetne miejsce dla ambitnego aktora, który chciałby przećwiczyć rolę zakładnika porwanego w Bejrucie albo innym podobnie ponurym miejscu, ale niezbyt użyteczne do czegokolwiek innego.

– Panie Rooney, jak właściwie mam szukać planów w bibliotece, skoro pan wszystkie biblioteki przerobił już na apartamentowce?

– Niech pani nie będzie za dowcipna, młoda damo. Są jeszcze jakieś sprawy?

Ellie westchnęła zrezygnowana, siorbnęła nieco poliuretanowej kawy i zakąsiła nieco obeschłą drożdżówką. Firma Rooney i Spółka specjalizowała się w wybebeszaniu przyzwoitych, porządnych, użytecznych budynków i przerabianiu ich na apartamentowce dla japiszonów: efektem były kolejne, identyczne architektonicznie potwory, istne maszyny do mieszkania, sprzedawane za setki tysięcy funtów. Ellie stale miała uczucie, że bierze udział w czymś absolutnie złym i niegodziwym. Artur tłumaczył jej cierpliwie, że takie są niestety koszty postępu i że przynajmniej na razie nie masakrują budownictwa na wsi.

– Co mamy? – zapytała swej posępnej i niekomunikatywnej asystentki, wchodząc do swego boksu po skończonej naradzie.

– Trzy kościoły, sześć magazynów i jedną stocznię. Miała pani udane urodziny? – asystentka, mówiąc to, nawet nie podniosła głowy znad przeglądanego magazynu „Take a Break”. Co właściwie byłoby gorsze, pomyślała Ellie: czy gdybym zaprosiła tę krowę na swoje urodziny, czy gdyby ona nie przyszła?

– Takie sobie, właściwie nie bardzo – odpowiedziała.

Bogu dziękować, że przynajmniej po pracy czekało na nią coś miłego. Elms, ich ulubiony lokal w Clapham, był tego wieczoru osobliwie zatłoczony. W rogu przygrywała kapela z saksofonistą, którym na szczęście nie był Billy; długie stoły schludnie przykrywały obrusy w białoczerwoną kratkę. Ellie doznała najpierw ulgi, że przyjaciele znaleźli już wygodny stolik i że kapela nie grała zbyt głośno, a potem natychmiast ogarnęło ją zniechęcenie. Pozdrowiła wszystkich i klapnęła na krzesło.

– Cześć. Przy jakiej literze jesteście?

– Przy „B” – odpowiedział Artur.

– Pysznie. W takim razie biorę Krwawą Mary * – kelnerka skinęła głową i odeszła.

– No i jak się trzymasz? – zagaiła ostrożnie Julia.

– No, nie wiem... Miałam dziś chyba najbardziej zasyfiony dzień... Rany, czy nie mieliście już kiedyś uczucia, że wpadliście w BEZDENNĄ, BEZNADZIEJNĄ RUTYNĘ?

– Kochana, to problem wszystkich dookoła – zawołała Siobhan, podając jej gazetę, w której nagłówku wielkie litery darły się wniebogłosy: „Czy Czujesz że Ty i Twoi Rówieśnicy Popadacie w Bezdenną, Beznadziejną Rutynę? Czemu nie Wypróbujesz Zapachowych Świec, Swobodnie Rozrzuconych Poduszek i Kokainy. Tak Jakby Zrobili To Inni?”.

– O, i to jest DOKŁADNIE to, o co mi chodzi – krzyknęła Ellie. – Czuję się tak, jakby w mojej głowie nie mogła się zrodzić choćby najmniejsza, najciupcieniejsza oryginalna myśl. Jak coś idzie nie tak, to zwykle uważam, że muszę pójść i kupić jakiś kolejny syf i ustawić go gdzieś w salonie, gdzie jest jeszcze miejsce...

– Typowe dziecię ery thatcheryzmu – zauważył Artur.

– Wiem. Ale wcale się o to nie prosiłam!

– Niemniej jesteś tym, kim jesteś.

– No i co dalej? Czy naprawdę w życiu nic już się nie liczy, poza dochrapaniem się złotej karty?

– No, ja już swoją mam – burknęła Siobhan.

– Naprawdę? Daj popatrzeć! O rany. Boże, jaka jestem płytka i powierzchowna i...

** W oryginale oczywiście Bloody Mary (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).*

– Oczywiście że jesteś – stwierdził kostycznie Artur.

– Przecież wszystko, o czym śniesz na jawie, to różowa suknia i pocałunek z Andrew McCarthym. Choć trzeba uczciwie przyznać, że zaraz po tym idzie marzenie o pokoju na całym świecie. Równie nierealne zresztą.

Ellie siorbnęła nieco z przyniesionej jej Krwawej Mary.

– Myślę, że jestem nieszczęśliwa. Potrzebuję jakiejś odmiany. Przygody. Może powinnam zmienić pracę? Albo zawód? Albo ufarbować włosy?

– Jesteś młoda, zdrowa, niebrzydka, nie masz żadnych uciążliwych obowiązków, masz mnóstwo wolnego czasu... jesteś uosobieniem niewidzialnych problemów rozwiniętych społeczeństw – zachichotał Artur. – Najwyższy czas udać się do terapeuty. Oni kochają takie przypadki.

– A ja myślę, że to ta magiczna trzydziestka i wszystkie lęki z nią związane – odezwała się Julia. – Przeszłam przez to. Przejdiesz i ty, Jeżynko.

– Łatwo ci mówić – prychnęła Ellie. – Masz własne mieszkanie i chłopaka oddanego ci bez reszty...

Loxy uśmiechnął się i otoczył Julię ramieniem. Ona jednak niecierpliwie strząsnęła go z siebie i wzniosła oczy do nieba; uśmiech powoli spęzł z jego twarzy. Biedaczysko w pełni zdawał sobie sprawę, że im więcej okazywał Julii czułości, tym mniej uwagi mu poświęcała, ale nie miał odwagi wypróbować w praktyce techniki „jak – ty – mnie

– tak – ja – tobie”. W ogóle mimo wybitnych atutów (metr osiemdziesiąt z groszami, świetnie zbudowany, z dobrą pozycją zawodową jako adwokat) był zdecydowanie nieśmiały wobec kobiet, a prawdę mówiąc, zanim poznał Julię, to doświadczenie miał raczej zerowe.

Siobhan, sprawdzająca po raz setny godzinę, była coraz bardziej niespokojna.

– Gdzie u diabła podziewa się Patryk? – zapytała wszystkich i samą siebie. – Zupełnie nie można na nim polegać wolałabym, by nie pracował do tak późna.

– Prawdę mówiąc, Shiv, na Patryku można polegać do obrzydliwości – zauważyła Julia. – I on zawsze pracuje do późna.

– No tak – jęknęła Siobhan. – Słodki Jezu. Jest spolegliwy. I przewidywalny. Masz rację, czasem do obrzydliwości.

– Tak naprawdę – wtrąciła Ellie – to chciałabym, żeby zdarzyło się coś naprawdę dramatycznego. Trzęsienie ziemi albo coś. To znaczy hm, hm, może niekoniecznie trzęsienie ziemi. O Boziu, sama nie wiem... choćby coś.

– To co powiesz na publiczną pyskówkę ze swoim amantem na własnych urodzinach i wynikłe z tego zabarykadowanie się w łazience – zasugerował delikatnie Artur.

Komórka Ellie nagle zabrzęczała.

– O Boziu – szepnęła, łapiąc aparat. – Może to właśnie to. Może ktoś zobaczył mnie na ulicy i teraz chce, bym pojechała do Hollywood, by zostać gwiazdą filmową!

– Stawiam swoją złotą kartę, że to właśnie to – zachichotała Siobhan – chociaż równie dobrze może to być książę William, który zobaczył cię na ulicy i z miejsca się zakochał...

– Równie dobrze może być to cokolwiek – powiedziała Ellie, gapiąc się na ikonę komórki. — Ach. To mój tato. Och nie. Cofam wszystko, co mówiłam! Nie chcę, by cokolwiek mu się stało!

Ojciec Ellie mieszkał samotnie. I pił trochę za dużo whisky, a żywił się pieczoną fasolą na zimno, prosto z puszki.

– Hej? Tato? – Ellie zaczęła ostrożnie, by potem już cierpliwie wysłuchać jego opowieści o straszliwej, dręczącej go zgadze.

– A ile kiełbasek zjadłeś? Aha. Wiesz tato, myślę, że dziewięć kiełbasek to trochę za dużo jak na kolację...

Teraz słuchała, co mówi.

– Dobrze, nie, ojej, są na górnej półce w szafie w łazience. Dobrze, sprawdź jeszcze raz... Posłuchaj... Rany boskie, tato...

Gwałtownie odłożyła komórkę.

– Wybaczcie kochani, ale chyba muszę spadać i ratować tatusia od nagłej śmierci przez zacckanie...

– Ale jesteśmy dopiero przy „C”! – zawołał Artur. – Pora na twój ulubiony Cosmopolitan!

– Mówi się trudno. Ale muszę iść.

Zarzuciła torbę na ramię, wychyliła pośpiesznie resztki Krwawej Mańki i pośpiesznie wybiegła, prosto w ulewę.

To nie w porządku, myślała, maszerując szybko ciemną podmiejską ulicą i rozglądając się za taksówką, podczas gdy wiatr zacinał jej deszczem prosto w twarz. Każdy, kto by ją teraz mijał, mógłby pomyśleć, że wygląda jak czterolatka, której odmówiono deseru. Dolna warga drżała jej niebezpiecznie. Przejeżdżający mimo autobusu obficie ochlapał ją wachlarzem brudnej wody. Ellie nagle przystanęła na samym środku ulicy.

– No dobrze, nie jestem szczęśliwa – wrzasnęła wprost ku niebu. – Pojęcia bladego nie mam, czemu, ale NIE JESTEM! I tak samo nie mam bladego pojęcia, do kogo to mówię, bo przecież moje pokolenie nawet w Boga już nie wierzy!

– No i jak ci zleciał dzień, Jeżatko? W domu taty było ciemno, ponuro i zimno. Tato zamiast zatroszczyć się o założenie centralnego ogrzewania, wołał dogrzewać się przez noszenie kilku warstw wypłowiałych i zmechaconych grubych pidżam.

– Tak sobie, tatku. Powiedzmy, że średnio *na jeża*. Co jest z tobą?

– Myślę, że to kiełbasa.

– Już ci mówiłam: za dużo wsuwasz kiełbasek. – Lekko szturchnęła go w brzuch. – Czemu nie spróbujesz czegoś zdrowszego? – Weszła do łazienki i rozpoczęła poszukiwania butelki z mlekiem magnezjowym; tak jak przewidywała, stało na górnej półce.

– A produkują jakieś zdrowe kiełbaski?

– No, niezupełnie. – Ellie zaaplikowała ojcu łyżkę lekarstwa, po czym zaparzyła dla obojga herbatę.

– Jak mogłeś tego nie znaleźć? Stało tam, gdzie mówiłam.

Tato wyraźnie się zmieszał; właściwie powinna się domyśleć, że zrobił to, by przysłała do niego. Westchnęła zrezygnowana, opowiedziała mu o katastrofie, w jaką zmieniło się jej urodzinowe przyjęcie i o tym, jak podle się czuje.

– Noo, myślę, że coś powinnaś z tym zrobić – zawyrokował tato. – W końcu chyba od dnia, w którym zaczęłaś pracę, mówisz, że chciałabyś ją zmienić. To czemu tego nie zrobisz?

– No, nie w tym miesiącu... Zresztą nieważne.

– Uważam, że jeśli nie potrafisz streścić tego, co robisz, w jednym zdaniu, to znaczy nie jest to odpowiednia i właściwa robota dla ciebie. No, na ten przykład: „aresztuję złodziei” albo „naprawiam serca”...

– To niby co?

– No, kardiolog, nie?

– Aha. Niezłe. Tyle tylko że teraz już nie ma takich prostych prac...

– Co prawda, to prawda – westchnął tato. – Już nie ma. A Julia to czym się teraz zajmuje?

– Jest konsultantem systemów analitycznych.

– O, o to właśnie mi chodziło. Przecież to brzmi całkiem bez sensu.

– Po prostu na świecie jest zbyt wielu ludzi. Niektórzy muszą robić coś, żebyśmy my mogli robić...

– Aha. To by tłumaczyło komputery i to wszystko... Ellie zastanowiła się przez moment.

– O Boziu, wiesz, że chyba masz rację!

– No dobrze, skoro rozglądasz się za jakąś nową robotą, może pomalowałabyś frontowy pokój?

– Tato, błagam! Zjedz lepiej tego pomidora. To lepsze niż nic.

– Ee, wolę nie. A powiedz mi, dlaczego ty właściwie...

– ...nie znajdę sobie jakiegoś miłego faceta? Ponieważ takowi nie istnieją, tato.

– Co, w całym Londynie nie znajdzie się choć jeden przyzwoity facet do wzięcia?

– Zero szans. – Większość ich sprawdziłam osobiście, dodała Ellie w myślach.

– Znam sporo sympatycznych policjantów, mogę ci ich przedstawić.

– Dzięki, ale mam zasadę, że im mniej doktora Freuda w życiu, tym lepiej.

– Przecież sympatyczny gliniarz to nic złego...

– A ładny kawałek pomidora to tym bardziej nic złego. No, jedz!

Tato z ociąganiem wziął wreszcie plasterek pomidora. Między ojcem a córką toczyła się właściwie bezustanna, cicha wojna. W głębi duszy tato lubił, gdy Ellie łajała go i strofowała. W jego oczach znaczyło to, że troszczy się o niego. Ze swej strony Ellie w gruncie rzeczy podobało się, że tato bezustannie zrzedzi i wypomina jej wszystkie małe i duże porażki. Jako jedynaczka i ojciec jedynaczki oboje starali się, jak mogli, by z czułością

i miłością uprzykrzać sobie życie. Tak, ale gdy się głębiej nad tym zastanowić, dumiała Ellie, usiłując zeszkrobać z patelni zaschnięte jajka, to wszystko jest raczej żałosne.

– Tato – spytała nagle, walcząc z patelnią. – Czy ja jestem typowym dzieckiem ery thatcheryzmu?

Tato wzruszył ramionami.

– Noo, tak przypuszczam. Pamiętasz Callaghana? *

– Nie.

– To ciekawe, czemu twoje pokolenie ma do mnie pretensje o głosowanie na panią Thatcher.

– A właśnie, dlaczego na nią głosowałeś?

– No, bo to, co mówiła, wydawało się, że ma ręce i nogi, ot co. Znaczy się wtedy się wydawało: ciężko pracować, nie oddawać wszystkich pieniędzy rządowi, zarobić na ładny dom i ładny samochód.

– No i...?

– No i wszystko było ślicznie i wspaniale, potem zrobiło się nudno, a potem moja żona związała do Plonckton z jakimś księgowym imieniem Archie...

– tato niezgrabnie poprawił się na krześle.

– Och – westchnęła Ellie. Rzadko rozmawiali o matce, Ellie bowiem nie lubiła denerwować taty. – Uhum, ee... tatusiu. Może lepiej będzie namoczyć ten rondel...?

** Patrick Callaghan – brytyjski premier z ramienia Labour Party, sprawujący urząd bezpośrednio przed Margaret Thatcher*

– ...a na drogach pojawiło się tyle samochodów, że nigdzie nie można było dojechać, a te samochody to był taki szajs, że trzeba było kupować nowy co miesiąc, no i ta... tego... dziura ozonowa zaczęła zatruwać Amerykę Południową, ale myśmy już do tego tak przywykli, że nie możemy tego wszystkiego zatrzymać i...

– Och – westchnęła ponownie Ellie. – Ehem. Znaczy się kanał.

– Ale – powiedział – czy jesteś tym tam typowym dzieckiem pani Thatcher czy nie, uważam, że i tak jesteś ładna.

– Jak to się stało, że szoruję i szoruję tę uświnioną patelnię i jakoś nie zebrało mi się na rzyganie, a po twoich słowach jak najbardziej?

Oboje czule uśmiechnęli się do siebie.

Ellie zostawiła ojca z gazetą i powłokła się do swego dawnego pokoju, który wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy jedenaście lat temu opuszczała go, jadąc na uniwersytet. Podniosła machinalnie walającą się na krześle lalkę, wciągnęła z lubością znajomy zapach i rozejrzała się wokół. Właściwie, pomyślała, wygląda prawie tak samo jak moje żalosne obecne mieszkanie udekorowane na to poronione przyjęcie urodzinowe: tu też wszędzie wiszą stare plakaty z Brat Pack, a najwięcej tych z jej głównym ulubieńcem, Andrew McCarthym.

– Och, Andrew – szepnęła cichutko, tak jak to robiła setki razy, gdy była nastolatką – Co się z nami porobiło?

Andrew, jak zwykle, nie raczył odpowiedzieć. Ellie jak dotąd nigdy się tym nie zrażała, zadając mu mnóstwo bardzo różnych pytań, w tym także i tak fundamentalne, jak:

„Czy powinnam pozwolić, by Stuart Mannering wkładał mi rękę pod sweter?”.

(Odpowiedź powinna być oczywiście przecząca i Ellie doskonale to wiedziała, ale jakoś tak się działo, że pozwalała Stuartowi na to i owo).

„Czy mam kończyć pracę domową, czy wyjść do chłopaków, którzy akurat szaleją na deskorolkach na ulicy?”.

(Sytuacja identyczna jak ze Stuartem Manneringiem).

„Czy w ogóle spotkam jakiegoś miłego chłopaka?”.

(Nie w tym przedziale wiekowym...).

„Czy kiedykolwiek przeboleję fakt, że Miles Sampson nie kocha się we mnie i w ogóle mnie olewa?”.

(Na pewno! Na bank. Trochę cierpliwości).

„Co mam zrobić, by ten fantastyczny facet, co zastępuje matematyka, mnie zauważył?”.

(Najlepiej nic! Nie daj Boże cię zauważy i pójdzie siedzieć za deprawację nieletnich).

„Strasznie lubię naszą gimnastyczkę? Czy jestem lesbijką?”.

(Nie, to typowy objaw wieku dojrzewania).

„Jeśli będę bardzo, bardzo pragnąć, to gdy dorosnę, czy będę miała taki ogromny, cały na różowo apartament jak Demi Moore w *Ogniach Świętego Elma*?”.

(Owszem, jeśli zostaniesz luksusową dziwką i kokainistką).

„Czy w trakcie długiej podróży poprzez Amerykę mam szansę spotkać Johna Cusacka?”.

(Być może, zwłaszcza gdybyś miała 1,80 m wzrostu i długie lśniące blond włosy).

„Czy nie byłoby wspaniale, gdyby naprawdę miała takiego superprzystojnego kochanka, który by umarł, a potem wrócił i toczył ze mną garnki na kole?” *

. To oczywiście aluzja do znanego filmu Uwierz w ducha z Patrickiem Swayze.*

(Kto wie?).

„Czy mógłbyś przybyć i uratować mnie, tak jak ratowałeś Molly Ringwald?”.

(Jak dotąd, nie przybył. Pewnie nie mógł).

– Och, Andrew.

Przyjrzała mu się raz jeszcze. Postać na plakacie miała mocno wytarte usta od jej częstych, acz niewinnych pocałunków.

– Gdzie teraz jesteś? Co robisz? Nie wiesz, że młodzież w średnim wieku na całym świecie wciąż cię potrzebuje?

Myślała przez chwilę.

– Właściwie – podjęła – to pioruńsko ciebie potrzebujemy. Gdzie się do cholery podziewasz?

Gdy tak patrzyła na wyblakły i wyświechtany plakat, w głowie zaczęła jej kiełkować myśl. Oto człowiek, pomyślała, który na pewno wie chociaż cokolwiek na temat dorastania, który wie, jak stać się dorosłym, a nie wiecznie grać nedorostka. Przyjrzała się plakatowi bliżej, z uczuciem wzrastającej ekscytacji. Zastanowiła się, jakżeż on teraz może wyglądać? Natychmiast wyobraziła go sobie: troszeczkę starszego, ale nie za bardzo. Nagle dotarło do niej, że musi on mieć teraz pi razy oko około trzydziestki, czyli – o mało nie dostała czkawki z wrażenia – jest mniej więcej w jej wieku, no, może ciut starszy. Ale tylko ciut. Dobry Boże. Nagle nabrała niezachwianego przekonania, że jeśli jest na świecie ktoś, kto zrozumie jej obecny stan ducha, to jest właśnie on. On będzie wiedział, dlaczego czuje się

taka zdołowana, taka... blee, zbrzydzone. I dlaczego czuje, że coś ją omija, a ona nawet nie ma pojęcia co.

Ułożywszy te wszystkie myśli w głowie, podekscytowana złapała za komórkę.

– Julia? Gdzie jest Andrew McCarthy?

– Że co?? – głos Julii brzmiał odrobinę niepewnie; w tle było słychać brzęk, jakby ktoś upuścił tacę pełną szklanek, po czym głośnie oklaski, którymi goście najwyraźniej postanowili uhonorować ów wyczyn.

– Słuchaj Jeżyna. Nie mogę teraz rozmawiać. Doszliśmy właśnie do litery „H” i ja... no, tego...

– Julia!

Ellie nieomal usłyszała, jak Julia siada prosto, choć z pewnym wysiłkiem.

– Co, zgarnęłaś jakiegoś faceta po drodze do domu twego taty?

– Ojej nie. Chodzi mi o Andrew. To znaczy, co się z nim stało? Tak po prostu zniknął. Po prostu przestał być sławny i zniknął. Może nie żyje?

– Rany, nie bądź głupia... jak to nie żyje... przecież macie randkę...

– Bardzo śmieszne, ha, ha. Mówię poważnie. Gwiazdor filmowy po prostu zniknął z powierzchni planety.

– Nie, nie mówisz poważnie Jeżyna. To najwyżej lasy deszczowe znikają z powierzchni planety...

– Hmm – mruknęła Ellie.

– Co?

– Nic.

– To nie brzmiało jak nic.

– Po prostu wpadłam na pewien pomysł, to wszystko.

– A, pomysł. Normalny czy kopnięty?

- Trudno powiedzieć. Zależy, czy on jest... no, nic.
- Coraz mniej mi się podoba to, co mówisz...
- O rany, muszę lecieć!
- Gdzie? Jesteś u taty?
- Tak i właśnie bekon mi się przypala. Muszę lecieć!

Ellie rzuciła telefon i padła na łóżko. Zamyśliła się głęboko. Dobry Boże, oglądała te filmy tyle razy. To musiało być wtedy, uświadomiła sobie nagle, gdy mama tak często pozwalała mi chodzić do kina, kiedy tylko chciałam. A tak naprawdę chciała się mnie pozbyć z domu, by bez świadków kłócić się z ojcem. A potem uciekła do Plonckton.

Ellie zagapiła się na ścianę, gdzie wisiały jej stare buty z łyżwami; nagle przypomniała sobie coś jeszcze. Jeśli akurat nie poszła do kina, tato zabierał ją na łyżwy. Strasznie to lubił. A ona, odkąd skończyła czternaście lat, właściwie znieubiła łyżwy i o niebo wołała biegać do Julii i oglądać wideo. A teraz co? Zmywanie tatowych naczyń. Też tego nie znosi. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Co to w ogóle jest to całe „dorastanie”. I dlaczego nagle poczuła niczym niewytłumaczoną chęć pójścia na łyżwy?

2

Na początku był chaos

– Ikea w sobotę rano. Kanał! – Jęknęła Ellie. Reszta osób w samochodzie nie zareagowała.

– Czy ktokolwiek z was słucha, co mówię? Powiedziałam, IKEA W SOBOTĘ RANO. CZYŚMY DO RESZTY OCIPIELI?? Dlaczego nie możemy pójść... no, nie wiem... na łyżwy albo coś takiego?

Julia odwróciła się ku niej od kierownicy.

– Loxy potrzebuje paru półek, dotarło do ciebie?

– Ach tak, a Patryk potrzebuje nowej szafki łazienkowej; ostatnio kupuje tony nowych rzeczy do łazienki – mruknęła Siobhan. – A że akurat jest dziś zbyt zajęty, ofiarowałam się, że to załatwię za niego.

– No dobrze, ale co ja tu robię?

– Pomożesz nam pchać wózki – prychnęła Julia – a jak będziesz grzeczna, pozwolimy ci potem wybrać do jedzenia wszystko, co zechcesz, a wiesz, że wtedy sporo ryzykujemy.

– Nie mogę uwierzyć, że skłoniliście człowieka o tak wyszukany smak jak ja, by wybrał się od Ikei – stwierdził posepnie Artur, ukryty za płachtą „Timesa”. – Ikea! To przecież pełna kapitulacja i przyznanie się do całkowitego jego braku. Smaku znaczy się.

Gdy całej gromadce udało się wreszcie dotrzeć tam, gdzie już widać było znajome niebiesko-żółte kominy, oczom ich ukazał się parking zapchany do ostatniego miejsca potężnymi, przeznaczonymi widać dla bardzo wielodzietnych rodzin Range Roverami, o maskach przeznaczonych chyba specjalnie do rozgniatania nieuważnych rowerzystów.

Ellie, wciąż nadąsana, posłusznie jednak dołączyła do przyjaciół, którzy grzecznie stanęli w kolejce do wózków i koszyków. Z boku, za ogromną szybą widać było co najmniej setkę dzieciaków usiłujących sobie nawzajem wtykać w przęłyki różnokolorowe gumowe piłeczki.

– Ciekawe, co też one robią? – zainteresowała się Ellie. – Chyba nie...? ee... Po wejściu do środka nagle znaleźli się wśród niezliczonej ilości identycznych par, w identycznie swobodnych ciuchach od Gapa. Dziewczęta były prawie wszystkie identycznie ostrzyżone i ufarbowane na identyczny odcień bladego złota, mężczyźni – grzecznie ostrzyżeni na jeża lub z przedziałkiem. Artur i Ellie w odruchu szczerze udawanej zgrozy złapali się za gardła i zaczęli wydawać zdławione okrzyki w stylu: „Argh! Argh!”.

– Cholera, wy dwoje, zachowujcie się – syknęła Julia, odrzucając w tył swe piękne włosy (koloru bladego złota).

– Patrz! – wrzasnął Artur, wskazując na nią – Ellie, patrz! Ona jest jedną z nich! Stepfordzka żona! * Stepfordzka żona prosto z Ikei!

– Otwieram zakłady – zachichotała Ellie – która z tych par pierwsza zacznie się bić?

– Obstawiam tych dwoje w dzinsie – wskazał Artur.

– Ee, za bardzo... nietypowi.

Tuż obok nich wysoki, łysiejący facet bronił się coraz słabiej, gdy żona próbowała zmusić go, by usiadł na zbyt niskiej sofie.

– O rany, popatrzcie na tych tam, na lewo – zawołała Ellie.

** „Stepfordzka żona” to obraźliwe określenie kobiety głupiej i całkowicie podporządkowanej mężowi; w filmie Stepford wives sprytni mężowie zmienili swe żony w bezmyślne roboty.*

Artur ze swej strony kierował ich uwagę na lekko puszystą niewiastę z wyjątkowo kunsztowną fryzurą, która usiłowała wydostać się ze sklepu, idąc pod prąd; w dłoni dzierżyła jakąś wyjątkowo banalną lampę i najwyraźniej wściekła z nierozważnego zakupu – spychała ze swej drogi wszystkie wózki.

– Właściwie nie należy mówić „idziemy do Ikei” – zauważył Artur – albo nawet: „chodźmy do Ikei”. Należy mówić – idziemy na bój!

– A ja uważam, że tu jest uroczo – sprzeciwiła się Siobhan. – Lubię tu przychodzić z Patrykiem.

Reszta grupy stanęła jak wryta i spojrzała na nią podejrzliwie. Siobhan wzruszyła ramionami.

– Wy wszyscy jesteście po prostu strasznie niedojrzali.

Dwie godziny później, gdy dotarli do działu oświetlenia, z tłumy klientów wyparowała już cała początkowa radość. Jakiś facet, ukryty za meblościanką, jak zdołała zauważyć Ellie, po prostu płakał.

Siobhan ciągnęła Artura wokół stoiska z szafkami łazienkowymi; to było chyba już piętnaste okrążenie.

– To koszmar – jęknął Artur. – Tu wszystko dookoła jest koszmarem. Siobhan, przecież ty i Patryk siedzicie na pieniądzach. Dlaczego nie kupujecie czegoś z tych rzeczy, które importujecie?

– Bo są koszarne.

– Nie przesadzacie? W końcu to tylko łazienki – wtrąciła Julia.

– No, ale w końcu gdzie spędzamy większość najbardziej... ee... osobistych chwil w naszym życiu? W łazienkach, w tym całym koszmarze.

– Kurczę blade! – wrzasnęła na dobre rozeźlona Siobhan. – Artur, przestań zgrywać pozera. Koszmar, koszmar... to w końcu tylko pieprzone półki łazienkowe...

– O żesz ku! – wrzasnęła Julia. – Zapomniałam o półkach dla Loxy'ego.
– Zaczęła szarpać się z wózkiem, próbując go zawrócić, po chwili znów przedzierali się przez pchający się w przeciwnym kierunku, rozwścieczony tłum.

– O rany, przepraszam! – jęknęła Julia. Temperatura w sklepie wzrosła nagle powyżej dopuszczalnej normy.

– Słuchajcie, może dajmy sobie spokój? Lepsze straty w sprzęcie niż w ludziach. Zostawmy te cholerne wózki i spieprzajmy stąd – zaproponował Artur.

– Rany boskie, ja tu normalnie zwariuję – zakwiliła Ellie. – Ten sklep to chyba jakaś gigantyczna klatka–labirynt, my jesteśmy szczury doświadczalne, a jakieś gigantyczne stwory oglądają nas z góry i pilnie notują nasze zachowania.

Obrzuciła wzrokiem tłum tłoczący się i cisnący niczym spanikowani klienci stacji benzynowej.

– Stąd nie ma wyjścia. Nie ma odwrotu. Nie można się cofnąć – stwierdziła nagle ze zgrozą, oddychając ciężko i rozglądając się wokół. – Nie widzicie? Kurczę, nie widzicie TEGO?

Wszyscy spojrzeli na nią z pewnym niepokojem.

– W Ikei można iść tylko w jednym kierunku, rozumiecie! I w życiu jest tak samo. W moim, twoim, naszym... Nie ma odwrotu. Nie można zawrócić.

– Ehem... i to cię tak przeraża? – spytał ostrożnie Artur. Ellie zastanowiła się przez chwilę.

– Tak. TAK! TO MNIE PRZERAŻA! – Powiedziawszy to, rzuciła się w pracę naprzód tłum, roztrącając go i nie dbając o rozlegające się wokół krzyki

oburzenia posłusznie podążających we właściwym kierunku przedstawicieli brytyjskiej klasy średniej.

Wciąż wściekła i rozdrażniona zatrzymała się aż na parkingu. Przysiadła na ławce, próbując pozbierać myśli. I nagle wrócił jej na pamięć plakat z jej dziewczęcej sypialni. I wszystkie związane z nim marzenia i sny nastolatki. Co z nich zostało? Andrew gdzieś przepadł. Podobnie Emilio, Judd, Anthony. Zniknęli bez śladu. „Ja też znikam”, pomyślała gorzko. „Jestem coraz starsza, poddaję się fali życia, płynę bezwolnie bez sensu i celu. Jeśli nie ucieknę od tego wszystkiego teraz, to za dwadzieścia lat stać mnie będzie już tylko na ucieczkę do Plonckton, a to będzie już zupełny kanał”. Gdy półtorej godziny później jej przyjaciele, czerwoni, spoceni i klnący w żywy kamień, wyłonili się wreszcie z otchłani Ikei, Ellie miała już wszystko przemyślane i obmyślane.

– Wszyscy, jak tu jesteście, słuchajcie mnie uważnie – oznajmiła Ellie głośno i dobitnie.

– Hmm, będzie to dla nas całkiem nowe i zapewne wstrząsające doświadczenie – prychnęła Siobhan.

Był poniedziałkowy wieczór. Ellie zwołał wszystkich na naradę wojenną do siebie, ku wielkiemu niezadowoleniu Mięśniaka. Właśnie rozstawiała w strategicznych miejscach miseczki z chipsami, gdy zabulgotał:

– Spadam do pubu. Ci twoi przyjaciele to banda kretynów.

– Skoro moi przyjaciele to banda kretynów, to co powiedzieć o twoich, którzy co tydzień urządzają zawody w czepianiu się autobusów i wciąż uważają to za bardzo zabawne?

– Bo moi kumple wiedzą, co znaczy dobry ubaw – parsknął Mięśniak, próbując swoimi ogromnymi, owłosionymi łapami przygłodzić i przyklepać swe wiecznie rozczochrane włosy. – a twoi to tylko siedzą i gadają.

– To właśnie robią ludzie – odparowała z godnością Ellie. – Małpy natomiast skaczą i wypinają tyłki.

Wzięła z miseczki połowę włoskiego orzecha i połowę fistaszka.

– Widzisz? Tu masz czarno na białym: ludzki mózg i małpi mózg. A ściślej – przytknęła we włoski orzech – to jest mózg Ellie, a to – podniosła w dwóch palcach ukruszoną połówkę fistaszka – mózg Mięśniaka.

Wygłosiwszy to, schrupała fistaszek, dodając:

– I już po nim...

– A poza tym, są jacyś tacy pedziowaci...

– No, nie przesadzaj. Niektórzy z nich zadają się tylko z płcią przeciwną.

– Ale są jacyś tacy pedziowaci...

– Uhum. A prawda, przecież zjadłam twój mózg...

– Wypchaj się. Idę zabalować z kumplami. A potem przychodzimy tutaj.

– Nie zrobisz tego!

– Skarbie, to moja chata!

– Oczywiście, jaśnie panie dziedzicu! Przyrowadź więc tu tych swoich niepedziowatych kumpli z fistaszkowymi mózgami i bawcie się dobrze. A propos pedziów: ten, jak mu tam... Ben Sherman to chyba preferuje topy i takie tam fatalaszki...?

Mięśniak wzruszył ramionami, ale uszy wyraźnie mu poróżowiały.

– Wiesz, chyba podniosę ci czynsz...

– A ja doniosę do urzędu skarbowego, że podnajmujesz mi mieszkanie i nie zgłaszasz zysków.

Mięśniak, gniewnie parskając, potoczył się do drzwi, gdzie zderzył się z Arturem, który na pożegnanie nazwał go kaczorkiem.

– To zadziwiające, jaki robisz się wredny i złośliwy, ilekroć napatoczysz się na Mięśniaka – zauważyła Ellie.

– To wyłącznie dla jego dobra, złotko. Z czasem, zobaczysz, zrobię z niego człowieka. Chociaż przy tym poziomie testosteronu...

– Wiesz, jego chyba podniecają te laski w telewizji, co śpiewają różne kawałki poprzebierane w szkolne mundurki...

Ellie spojrzała w lustro, przyglądała nieco swe nastroszone czarne kędziory i przy okazji wydłubała drobinę orzeszka spomiędzy zębów. W obecności schludnego i wymuskanego Artura czuła się zawsze jak ostatni flejtuch.

– Zbok – Artur lapidarnie podsumował Mięśniaka. – No, ale właściwie po co nas wszystkich zwołałaś? Znowu coś nabroiłaś? Bo zwykle przy takich okazjach nas zapraszasz...

– Nieprawda – zaprotestowała Ellie. – Czasem zapraszam was, gdy pilnie potrzebuję pożyczyć forszę...

Do pokoju wkroczyła Siobhan w bardzo wojowniczym nastroju.

– Jeżyna, zdajesz sobie sprawę, że musiałam przez ciebie wcześniej wyjść z pracy?

– Siobhan, na litość boską, jest wpół do dziewiątej. Czyżby tam u ciebie ktoś jeszcze pracował?

– Parę osób na pewno.

– To uściślij: kto poza tobą i ochroniarzami? Siobhan wydeła usta nadąsana i klapnęła na ulubione

krzesło Mięśniaka, strącając z siedzenia niedojedzone opakowanie KitKatów.

– Rany boskie, ten twój współpacz żre jak koń.

– Żre jak koń, pierdzi jak koń, a jak jest z nim jego słodka Carmel, to... nie, chyba nie chciałabyś wiedzieć, co się dzieje.

– Z całą pewnością nie – odpowiedziała Siobhan. Wyglądała na zmęczoną i wyplutą. – Patryk nie przyjdzie. Pracuje teraz nad jakąś supertransakcją. Albo może ma dziś szkolenie? Dobry Boże, to doprawdy niesamowite: nawet nie mogę zapamiętać wszystkich jego zajęć. Rany, czuję się jak przepuszczona przez maszynkę do mięsa...

Ellie wetknęła jej do ręki kieliszek wina.

– Masz. Myślę, że to ci ździebełko pomoże...

– Och, winko! Cudownie!

– Myślałam, że już nie weźmiesz alkoholu do ust, po tym jak wtedy dojechaliśmy do litery „K” i opijaś się likierem Kahlua * – zachichotał Artur.

– Nie pamiętam, bym mówiła coś takiego. Prawdę mówiąc, nie pamiętam, jak wtedy w ogóle dotarłam do domu.

– Kochani – przerwała niecierpliwie Ellie – alkohol nie ma tu nic do rzeczy. Chodzi o mój wspaniały, absolutnie fantastyczny plan. Ale zanim go zdradzę, musimy poczekać na resztę...

– Ehem, Colin pewnie przyjdzie – bąknął Artur.

– Colin jest tu akurat najmniej potrzebny – odparła Ellie.

– O rany, jak przyjdzie, to może się przydać...

– Ciekawe do czego? Do nalewania drinków jest za młody i możemy za to wszyscy beknąć...

– Bardzo śmieszne. Sądziłem, że wiesz i wyczuwasz, że w Colinie pod tym dziecięcym puszkciem drzemie bardzo stara dusza...

– Rany boskie, przestań pieprzyć!

– Naprawdę. Stara dusza...

**kahlua – likier kawowy.*

– Przepraszamy za spóźnienie – Loxy uśmiechnął się nieśmiało, wsuwając głowę do pokoju. – Wracając z pracy do domu, zabałaganiałem trochę, bo chciałem kupić Julii kwiaty, no i spóźniliśmy się na pociąg.

– Cholerny idiota – rzuciła zza jego pleców Julia. Cisnęła na najbliższe krzesło swą wytworną, zamszową torbę, po czym sumiennie ucałowała powietrze wokół każdego z obecnych. – Cześć, cześć, cześć. Może powiecie w końcu, co jest grane? Jeśli chodzi o partię Monopoly, to nie liczcie nie mnie.

– Dobrze, słuchajcie wszyscy... – zaczęła Ellie.

– Prr, zaczekaj – zawołała Siobhan. – Brak jeszcze Annabel i George'a.

– Nie zapraszałam ich. Są za starzy do mojego planu.

– No, to nie jest w porządku. Są dokładnie w naszym wieku.

– Założę się – powiedziała surowo Ellie – o ile chcesz milionów funtów, że oni oboje zupełnie do mojego planu nie pasują i za chwilę wygram zakład, bo przyznasz mi rację...

– Dobra, mów wreszcie, do cholery, co to za wielki plan?

– No więc... – zaczęła Ellie, po czym wstała i włączyła odtwarzacz Mięśniaka. Popłynęły dźwięki muzyki. Wszyscy rozpoznali klasyczne kawałki lat osiemdziesiątych: najpierw niby-afrykańskie rytmy, zaraz potem Pat Benatar zaczął swoje *Love is a Battlefield*.

– Wybierzcie się ze mną – podjęła Ellie – w mistyczną podróż w przeszłość, w zamglone ścieżki czasu...

– Taa, to faktycznie zamglone jak diabli – burknął Artur.

– ...aż do czasów... gdy wszystko było młode, czyste i świeże...

– Cześć wszystkim! Sie ma!

Do pokoju wparował Colin. Mimo że na dworze panowały już egipskie ciemności i zaciął wrześnie deszcz, na nosie miał przeciwsłoneczne okulary.

– O wilku mowa... to znaczy o tym, co młode i świeże... – mruknął pod nosem Artur.

Colin z zapalem i bardzo głośno zaczął chrupać orzeszki z najbliższej miski; Julia podała mu szklanekę z lemoniadą. Ellie próbowała kontynuować swój wywód.

– ...Gdy wszystko wydawało się jasne i proste, gdy nie handryczyliśmy się o byle co...

– Według ciebie teraz się handryczymy? – wtrącił Artur i dodał – Colin, na litość boską, zostaw choć trochę tych orzeszków dla innych.

– Ale ja lubię te orzeszki.

– Lepiej je odstaw – wtrącił Loxy, zastanawiając się, czy jego interwencja zrobi jakiegokolwiek wrażenie na Julii.

– Rany boskie, Loxy, to nie twój zakichany interes – warknęła Julia, szturchając go łokciem. – I zamknij się proszę.

– Widzicie – wrzasnęła Ellie. – Znowu, kurczę, jesteśmy w... w... Ikei. Znowu to samo. O tym właśnie chciałam wam powiedzieć. Wykańczają nas te małe, płaskie, śmieszne i głupie stresy codzienne. Dlatego proponuję...

Z odtwarzacza płynęła teraz melodia *Broken Wings* w wykonaniu Mister Mister.

– Wszyscy udamy się w podróż...

– Jaką, kurczę, podróż...?

– Tylko błagam, żeby to nie było coś takiego jak wtedy, gdy wybraliśmy się do Kornwalii, zgubiliśmy się i musieliśmy spać w samochodzie i to przy parszywej pogodzie z gradobiciem włącznie.

– Nie, to będzie coś lepszego...

– Dziś jeszcze czuję to w kościach...

– Ja mam swoje weekendy już zaplanowane... – wtrąciła Siobhan.

– O rany, a pamiętacie, jak wynajęliśmy łódź? – zawołała Julia. – Cholera, ja do dziś mam to w aktach...

– No, bo wtedy ty jedyna z nas byłaś dostatecznie dorosła, by podpisać umowę...

– Raczej dlatego że to Jeżyna okazała się dostatecznie dorosła, by sprawdzić, czy silnik łodzi może służyć za suszarkę...

– To nie było... zaczęła Ellie i urwała. – Dobra, przejdźmy do sedna sprawy. Wszyscy jesteśmy teraz starsi i dojrzałsi i skoro nasza kochana, pieprzona Caroline Taka–Jej–Mać – Lafayette może się wspinać na Himalaje, to my, kurczę blade i kopane, możemy ruszyć samochodem do Kalifornii...

W pokoju zapadła cisza.

– Co? – zapytał słabym głosem Artur.

– Kurde! – wrzasnęła Ellie – kurde, wygadałam się i zepsułam cały efekt. A tak sobie wszystko zaplanowałam, nawet rozrysowałam...

– Jeżyna, o czym ty bredzisz? – spytała poważnym tonem Julia.

– O moim wielkim planie – pisnęła Ellie, nagle przygnębiona i zmieszana. – Tylko że to tak głupio zabrzmiało...

– Tym nas akurat nie zaskoczyłaś – stwierdziła łagodnie Julia.

Ellie nadała się, lecz po chwili zebrała się w sobie i nawet uśmiechnęła.

– No, dobra. Oto mój plan. Wszyscy na jakiś czas zwalniamy się z pracy...

– Wykluczone – odpowiedziała z miejsca Siobhan.

– ...powiedzmy na miesiąc...

– Rany boskie!

– ...jedziemy do Ameryki, a tam wynajmujemy samochód...

– Można wiedzieć po co? – spytała chłodno Julia.

– Słuszne pytanie. Teraz konkrety...

– Chwileczkę – wtrącił Artur, po czym napełnił swój kieliszek i odetchnął głęboko. – Dobra, wal. Jestem gotów.

– Jedziemy do Kalifornii i odnajdujemy chłopaków z Brat Pack. Żeby... żeby odpowiedzieli nam na kilka pytań.

Usiadła wygodnie, po turecku, czekając na reakcję przyjaciół. Ci zaś patrzyli jedno na drugie, jakby czekali, które odważy się odezwać.

– Jeżynko, słoneczko – Julia usiadła na podłodze tuż przy niej – wiesz, że wszyscy bardzo cię kochamy. Ale o czym ty, do ciężkiej i niespodziewanej cholery, gadasz?

– No to spójrz na nas! – odparowała Ellie. – Chyba wszyscy jesteśmy zgodni, że coś w naszym życiu idzie nie tak, no nie?

– Eee, jesteśmy zgodni?

– No, przypomnij sobie, Ikea i to wszystko... – Ellie zawahała się. – Chodzi mi oto, że powinniśmy odszukać tych bogów naszej młodości i niech wytłumaczą nam parę spraw. Chociażby – dlaczego, kurczę, jest tak, a nie inaczej? Jak to się mogło stać? W latach osiemdziesiątych obiecaliście nam, chłopaki świat i ani wy go nie zdobyliście, ani my tym bardziej i wszyscy razem robimy się tylko coraz starsi i obrastamy w tłuszcz i to jest **CHOLERNIE NIE W PORZĄDKU**. W waszych filmach dorastanie było takie fajne, zabawne, rozrywkowe... A przecież takie nie jest. To najgłupszy okres w życiu: nuda, cynizm i głupota...

I wciąż pada deszcz. I trzeba płacić rachunki. Najwyższy czas, żeby choć na trochę się z tego wyrwać. Inaczej ugrzęźniemy w tym ikeowskim

bagienku NA RESZTĘ NASZEGO PIEPRZONEGO ŻYCIA... od wypłaty do wypłaty, od spłaty do spłaty...

W pokoju ponownie zapanowała cisza. Siobhan delikatnie poklepała ją po kolanie.

– Jeżyna, nie myśl, że tak od razu i z góry jestem przeciw temu twojemu pomysłowi, ale – koniecznie wszystkich? Wcale nie jestem pewna, czy wszyscy mieszkają w tym samym domu, jak w tym filmie...

– Ojej, to nieważne! Nie kumasz bazy? Popatrz i pomyśl! Mówili, że będą największymi na całym świecie gwiazdami kina. I mówili nam, że wszystko będzie super–hiper, wspaniale, bosko, cudownie. I co? Nie ułożyło się cudownie ani dla Roberta Downeya Juniora, ani dla Charliego Sheena, że już nie wspomnę o biednym Emilio Estevezie ożenionym z Paulą Abdul, no i o nas samych! I ja chcę wiedzieć, dlaczego się nie ułożyło!

Przyjaciele popatrzyli na siebie nawzajem odrobinę niepewnie.

– Naprawdę myślisz, że to realne odnaleźć ich wszystkich w ciągu miesiąca? – spytała ostrożnie Julia. – To trochę szalone...

– No, dobra. – Ellie usadowiła się wygodniej i wyciągnęła kartkę papieru. – Myślę, że powinniśmy zacząć od najtrudniejszego. To znaczy, mam na myśli, że nie warto podejmować wielkiej wyprawy by odnaleźć Judda Nelsona – wiadomo że jest w Los Angeles, mieszka z Brooke Shields, utył i wygląda na zupełnie zdołowanego. Tak więc, myślę, że raczej powinniśmy...

– Hej, przestań przec – zastopowała Siobhan. – Możemy przez chwilę pomyśleć rozsądnie? Julia, może przypomnisz wszystkim tu obecnym, co się zdarzyło, gdy postanowiliśmy wspólnie wybrać się na *American Psycho*.

– Hmm, no tak... – zaczęła Julia z namysłem. – Zdecydowaliśmy się, że pójdziemy jakieś dwa tygodnie przedtem. Potem oczywiście nikt nie zatroszczył się o kupienie czy choćby zarezerwowanie biletów, więc robiliśmy

to w ostatniej chwili, kiedy można było dostać bilety tylko na seans o piątej po południu, więc Siobhan nie mogła przyjść, bo pracowała, a w kinie nie chcieli uwierzyć, że Colin ma osiemnaście lat, tak więc i on odpadł, a potem Jeżyna zadzwoniła do mnie, że przyprowdzi jeszcze parę osób, więc zarezerwowałam parę biletów więcej, ale tamci goście schlali się, zapomnieli i nie przyszli – tak na marginesie, wciąż wiesz mi 42 funty – a na koniec musiałam z Loxym wyjść w połowie seansu, tak się biedak wystraszył... – tu wzięła głęboki oddech.

– A teraz planujemy miesięczną podróż do Ameryki? – spytała kwaśno Siobhan – Jeżynko – ciągnęła nieco łagodniejszym tonem – to naprawdę wspaniały pomysł i rozumiem, co masz na myśli, mówiąc o tym całym ideolo związanym z Brat Pack, ale żeby na cały miesiąc? Oglądałaś *Dead Calm*?

Ellie znów się nadaśała.

– Właśnie tyle czasu potrzeba – upierała się – żeby odnaleźć Andrew McCarthy'ego.

– Aha! – wrzasnęła Julia. – Tu cię mamy! To o to chodziło od samego początku!

– Że niby co? – spytała Ellie z niewinną i zbolaną miną.

– To jest ten twój wielki plan! Po prostu chcesz odnaleźć i zobaczyć na żywo obiekt wszystkich twoich nastoletnich fantazji, nie tylko erotycznych.

– Wcale nie – pisnęła Ellie raczej nieprzekonująco.

– No, a co byś zrobiła, gdybyś naprawdę spotkała Andrew McCarthy'ego? No, gdyby na przykład teraz wszedł do pokoju?

– Zapytałabym go o mnóstwo ważnych spraw, o życie i jego sens i oto jak kultura lat osiemdziesiątych wpłynęła na nas wszystkich. I dlatego musimy tam pojechać. To będzie taka... ee... wychowawcza wyprawa w naszą przeszłość, która pomoże nam zrozumieć samych siebie...

Cisza w pokoju zaczęła się robić nieznośna.

– Czy jesteś absolutnie pewna – odezwała się wreszcie Siobhan – że nie próbowałabyś się z nim przespać?

Ellie się zakrztusiła.

– Czy on przypadkiem nie jest gejem? – spytał Artur.

– Przepadkiem nie jest – odpowiedziały chórem Siobhan, Julia i Ellie.

– No dobra – powiedziała Julia. – Spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że nie masz zamiaru mu się oświadczyć.

Ellie westchnęła i wbiła wzrok w podłogę.

– Słuchajcie. To że facet, no... nie jest nieatrakcyjny, nie musi oznaczać, że mój pomysł jest bez sensu, a wyprawa nie okaże się ważna dla każdego z was. Naprawdę, sprężcie się i pomyślcie. To może być wspaniale. Takie efektowne i efektywne zamknięcie pewnego etapu naszego życia. Spróbujcie to sobie wyobrazić. A będzie wspaniale, jeśli zrobimy to razem. Wszyscy razem, wspólnie, zanim osiadziemy na ee... laurach i zaczniemy żyć jak George i Annabel...

– A ja mogę razem z wami? – wyskoczył nagle Colin.

– Nie!

– Tak więc – powiedziała powoli Siobhan – pozwólcie, że upewnię się, że wszystko pokumałam prawidłowo. Chcesz, abyśmy wszyscy rzucili pracę na co najmniej miesiąc i wyruszyli za morze, by potem jeszcze przejechać Bóg wie ile mil w pogoni za... krótko mówiąc, by odnaleźć twój ideał, który u szczytu sławy był jakieś piętnaście lat temu i być może już wyciągnął kopyta, tym bardziej że nikt nie wie, gdzie jest i co porabia.

– Ale on jest... był... idolem lat osiemdziesiątych – zakwiliła Ellie.

– Nie wiem jak wy, ale ja spadam – powiedziała Siobhan chłodno. – Mam jutro strasznie zapchany dzień – mówiąc to, skierowała się ku drzwiom.

– No, to długo nie zabawiałaś...

– Wiem. Lepiej pomyśl o jakimś rozsądniejszym uczczeniu twojej trzydziestki i pożegnaniu się ze słodkimi latami osiemdziesiątymi...

Ellie popatrzyła na nią wzrokiem zranionej sarny. No, może zranionego jeża...

– Ale dla ciebie to też byłoby dobre! Pomogłoby ci, no... choćby w twoich sprawach z Patrykiem!

Teraz cisza, która zapadła, wydawała się krzyczeć. Wszyscy obecni znali Siobhan na tyle dobrze, że wiedzieli, że nie pozwala ona nikomu (nawet przyjaciółom) i w żaden (choćby najdelikatniejszy) sposób – wtrącać się w jej życie prywatne. A Jeżyna właśnie naruszyła tę jej świętą i nienaruszalną prywatność, uświadamiając wszystkim, że Patryk ostatnio jakoś znikł z ich grona i Siobhan na ogół bywa wszędzie sama.

– A niby co jest nie tak ze mną i Patrykiem? – spytała powoli Siobhan, błada jak ściana.

Ellie odchrząknęła i przełknęła ślinę.

– No... ee... ostatnio jakoś go z tobą nie widzimy...

– Dlatego że oboje ciężko pracujemy. A poza tym wszystko jest w porządku.

– Przepraszam – bąknęła pokornie Ellie.

– A przy okazji, zgadzam się z Arturem. Masz szczególny talent do wymyślania sobie problemów i zwalania ich na innych – mówiąc to, Siobhan otworzyła drzwi wejściowe, rzucając na odchodnym.

– Może w przyszłym roku spotkamy się na twoich urodzinach, Jeżyna, zwyczajnie po Bożemu w restauracji. Dobranoc wszystkim.

Ellie odczekała, aż Siobhan zatrzaśnie za sobą drzwi.

– Może, ale ciebie na pewno nie zaproszę.

– Słuchaj Jezyna, nie uważasz że z tą Brat Pack i tym wszystkim, co wokół niej, popadasz w lekką obsesję? – spytała Julia bardzo łagodnie.

– Absolutnie nie! – naburmuszyła się Ellie. – To nie tak, że wciąż noszę znaczki z Brat Pack, tatuaż z Brat Pack czy...

– Jeślibyśmy się jednak wybrali do tej całej Kalifornii – zaczął ostrożnie Artur – to moglibyśmy też zawadzić o San Francisco, nie?

– A co jest w tym San Francisco? – zapytał Colin z ustami pełnymi orzeszków.

– No, ee... – mnóstwo tramwajów – odpowiedział Artur.

– O rany, to brzmi wspaniale.

– No tak, ale ty i tak nie pojedziesz. Rany, ja właściwie też nie mogę! Oszczędzam na eamesowski fotel.

– Wolisz jakiś zakichany fotel od wielkiej przygody?

– Mmm – zamamrotał Artur – właściwie to nie wiem... Artur trudnił się wyrobem i dostawą materiałów dla

pewnego awangardowego projektanta mody, który tworzył albo pojedyncze modele, albo bardzo krótkie serie. Uwielbiał swoją pracę, ale nie zarabiał na niej prawie wcale.

– No to pysznie – skostatowała Ellie, podnosząc się z podłogi. – Macie rację. Niech wszystko zostanie tak, jak jest. Żadnych zmian. Żadnych prób zmian. Spotykamy się wszyscy na moich dziewięćdziesiątych urodzinach. Pewnie znów będę siedzieć w łazience, bo już o własnych siłach nie dam rady wyleźć z wanny.

– Wcale nie musi tak być – Julia poklepała ją po plecach. – Przemyślimy to sobie, prześpimy się z tym...

– Nie, nie, daj spokój, macie rację. Muszę sobie dać z tym wszystkim siana i przystosować się... Cholera, może gdybym miała nową parę strasznie drogich i strasznie wysokich szpilek, to moje życie znów nabrałoby blasku.

– Nie pękaj – pocieszała ją Julia, nalewając kolejny kieliszek wina. – Możemy sobie teraz pooglądać jakieś wideo. Jeśli chcesz, to może być nawet *Manekin* *.

– Stanowczo odmawiam – zadeklarował Artur – i nie wezmę w tym udziału. To jest akurat ostatnia rzecz, jakiej Jezynie potrzeba.

– No proszę, jaki miałaś upojny wieczór – natrząsał się Mięśniak. Ellie skulona na sofie oglądała samotnie *Manekina*.

– Zaniknij dziób, Mięśniak.

– Kurczę, gdzie są moje KitKaty?!

– Zeżarła je wielka, biała mysz!

– O zesz... – Mięśniak spojrział na nią z ukosa.

– Co? – obruszyła się Ellie. – Czemu tak patrzysz? Cholera, nawet ten młot musiał wyczuć, jaka jestem

nieszczęśliwa, pomyślała. I jeszcze chce mnie pocieszać... Postanowiła, że da mu szansę i wypłacze mu się w rękaw.

– No wiesz... ostatnio czuję że wszystko mi się jakoś marnie układa, sama nie wiem dlaczego...

– Kurczę, wprost nie mogę uwierzyć, że już rok mieszkamy pod jednym dachem i ani razu jeszcześmy się nie pieprzyli – oznajmił nagle Mięśniak z wyrazem głębokiego skupienia na twarzy.

* *Manekin* – amerykański film z 1986 r. z Andrew McCarthym i Kim Cattrall: historia miłości człowieka do ożywionej lalki–manekina z wystawy

Ellie znieruchomiała z otwartymi szeroko ustami. Po chwili odzyskała mowę.

– Wyłącznie dlatego, że widziałam, czym zatykasz odpływ pod prysznicem – warknęła wściekła, że przez chwilę dała się ponieść słabości i liczyła na odrobinę sympatii i współczucia ze strony tego tłuka pięściowego.

– Ee... mogę? – zapytał Mięśniak, siadając przy niej i próbując objąć ją swym podobnym do dorodnej szynki ramieniem.

– Oczywiście że nie! – Ellie gniewnie strząsnęła go z siebie. – A poza tym, co z Carmel?

– A, Carmel. Jest w porządku, ale trochę za chuda. Nie to co ty.

– Ach, rozumiem. Teraz wybacz, ale pilnie muszę do kibla, kretynie skończony...

– Ee... wrócisz... – zarechotał. – Nie potrafisz się oprzeć, by nie spróbować ze mną... nawet jeśli nazywasz mnie Mięśniak!

Schroniwszy się w bezpiecznym łazienkowym azylu, Ellie zaczęła pobieżny przegląd wszystkich rzeczy, które wolałaby od seksu z Mięśniakiem:

1. Obciąć sobie wszystkie palce.
2. Założyć majtki na głowę.
3. Oglądać własnego ojca, jak uprawia seks z ojcem Mięśniaka.

Złapała jego szczoteczkę do zębów i mściwie przeciągnęła ją po obrzeżu sedesu.

4. Przenieść się do Afganistanu.
5. Wybrać się na kemping z klubem naturystów najbliższego Domu Seniora.

Cisnęła szczoteczkę do sedesu, po chwili wyciągając ją z obrzydzeniem.

6. Przemycać heroinę z Tajlandii.

– Mówię ci, że wrócisz – zarechotał z pokoju Mięśniak. – Kurewsko ci tego potrzeba!

– ...całuj mnie. 7. Zjeść makaron z żywymi pijawkami.

– Mówię ci, że naprawdę mnie kochasz!

8. Jeszcze raz zdawać maturę z matmy.

9. Podczas audiencji u królowej wyrzygać się na jej podolek.

– Mówię ci, będzie super. Jestem całkiem niezły! 10. Zostać zjedzona przez rekina.

– Dobranoc, Jeżyco!

– Dobranoc, Mięśniak. – Wstawiła jego szczoteczkę na miejsce. –I niech cię dopadnie ameba, dyzenteria, krwawa sraczka, kiła i trąd – wymamrotała pod nosem. – I nawet nie marz o tym, że będę cię wtedy doglądać, bo będę już bardzo, bardzo daleko stąd.

3.

Podchody

W biurze Julii znowu zawiesiły się komputery. Poza tym był piątek; kanał.

– Słuchaj, czy ty w ogóle myślałeś o tym wariackim planie Jeżyny? – spytała Artura, gdy zadzwoniła do niego, korzystając z przymusowej przerwy.

– Dobry Boże, jasne że myślałem – odparł Artur. – Zawsze chciałem pojechać do San Francisco. A mój kowbojski kapelusz nie doświadczył jeszcze takich przygód, na jakie zasługuje.

– Taa. A ty oczywiście jesteś najnudniejszym i najbardziej monogamicznym facetem na świecie.

– Wcale nie!

– No, a ile czasu już niańczysz to maleństwo? – złośliwość Julii była o tyle na miejscu, że Colin wciąż mieszkał z rodzicami.

– Noo... pół roku. Ale nie kocham go ani nic z tych rzeczy. Jestem wolnym duchem i kocham być wolnym. A szczególnie w San Francisco. O ile mógłbym sobie na to pozwolić. No, ale jak wiesz, oszczędzam na ten fotel...

Artur mieszkał w malutkim mieszkanku wypełnionym pięknymi sprzętami i przedmiotami, które gromadził powoli, cierpliwie ciułając na ich zakup.

– Trele–morele. Wykręcasz się. Ja, po prawdzie, też nie mam ochoty na taką wyprawę...

– Teraz to ty się wykręcasz. Daj spokój, przecież nigdy nie byłaś w Los Angeles. A chyba powinnaś je w końcu zobaczyć, nie?

– Zobaczyć miasto, gdzie głównym przedmiotem kultu są nadmuchiwane plastykiem cycki? Wiesz, niespecjalnie się do tego palę. A poza tym to najbardziej rasistowski kraj na całym globie. Loxy'ego ich służby mogłyby nie wpuścić.

Rodzina Loxy'ego pochodziła z Ghany.

– No to jedź bez niego. Zrobicie sobie z Jeżyną prawdziwe babskie wakacje.

– Hmm – mruknęła Julia. – Nie zalewaj. Wy z Jeżyną będziecie szaleć, a ja będę pilnować waszych okryć. Wielkie dzięki.

– A jak Jeżyna? – zmienił temat Artur – ciągle naburmuszona?

– Jest w swoim zwykłym cudownym humorze. Zasugerowałam, by w tę podróż wyruszyła sama, na co odszczeknęła mi, dlaczego jeszcze nie jestem najlepszą przyjaciółką naszej kochanej Caroline Usmarkanej Lafayette.

– Ehem. A wiesz, Siobhan zadzwoniła do mnie i powiedziała, że i owszem, pojedzie, pod warunkiem że będą to normalne wakacje, a ona nie będzie musiała troszczyć się o wszystkich dookoła. Oczywiście poza Patrykiem.

– Oboje westchnęli.

– Gdybyż to tylko nie był tak porąbany pomysł, można by go rozważyć – powiedziała Julia.

– No właśnie. Wyprawę w poszukiwaniu George Clooneya mógłbym w pełni zrozumieć.

– O... o cholera, rozłączaj się. Mam e-maila. Założę się, że to od Jeżyny. Kliknęła.

– Faktycznie to od niej. A, i to jest normalnie okólnik – skierowany także do ciebie. Włącz lepiej swój e-mail i sprawdź.

Na ekranie pojawiły się słowa. Od: e.eversholt@rooney&co.co.uk Do Julii, Artura, Siobhan

W sprawie: Komitet ds. „Udajmy się w Cudowną Podróż i Wprowadźmy Na Powrót Radość w Nasze Życie” zawiadamia o spotkaniu w Elms, o 11 rano w niedzielę.

Kochani.

Pomyślcie tylko: my, pokolenie, które stworzyło Live Aid, teraz płacimy różnym Tesco za dostarczanie nam marmolady naszej codziennej. Niech więc wasz urlop nabierze dziś kształtów. Jeden malutki, malusieńki miesiąc wobec tych kilkudziesięciu lat w kołowrocie życia! CZYŻ ZABAWA NIE JEST NAJLEPSZĄ RZECZĄ JAKĄ NAM LOS /BÓG/ ŻYCIE (NIEPOTRZEBNE SKREŚLIĆ) DAROWUJE?

Do zobaczenia w Elms.

* * *

Przez ostatnie trzy lata Elms był ich tradycyjnym miejscem spotkań w niedzielne poranki, gdzie przy chrupiących naleśnikach wymieniali plotki i niezawodne recepty na kaca.

– Kurczę, ona nas NORMALNIE ZMUSZA! – wrzasnęła Julia.

– No... ja...

– Rany, rozłącz się, mam kogoś na drugiej linii, Hej? Tak, właśnie dostaliśmy oboje. Artur, to Siobhan. Rozłącz się, oddzwonię później.

– Oddzwonisz? Znaczy się wolisz plotkować z Siobhan niż ze mną?

– Cześć Artur.

– Wprost nie mogę uwie...

– Kurczę, ona nas normalnie zmusza! – darła się teraz Siobhan. – Jeśli teraz wymiękniemy, to za chwilę, mówię ci, ockniemy się wszyscy w jakimś

cholernym odrzutowcu, a potem on pieprznie o ziemię i będą nas mogli identyfikować najwyżej po odciskach palców u stóp!

– Wiem, wiem. Słuchaj, możemy się spotkać gdzieś obok Elms, może w tej meksykańskiej knajpie? Posiedzimy tam, a Jeżyna może dołączyć do nas, jak rozum jej wróci...

– Na to bym nie liczyła. A poza tym – *tacos* o jedenastej rano? To gorsze niż zwolnienie się z pracy, by spędzić miesiąc na poszukiwaniu jakiegoś byłego–a–teraz–pewnie–bezrobotnego gwiazdora.

– A ja lubię meksykańskie zarcie...

– Tak czy inaczej – wróciła do tematu Julia – trzeba Jeżynę jakoś od tego pomysłu uwolnić. Trzeba ja zająć czymś innym...

– Masz pomysł czym?

– Jeszcze nie, ale pracuję nad tym. Zawiadomiłaś Patryka o całej hecy?

– Zostawiłam mu kartkę na lodówce.

– Ehem.

– A co Artur? On się chyba łamie...

– Marzy o kempingu.

– Gdzie, w Wielkim Kanionie?

– No, nie o takim rodzaju kempingu...

– Aha. No i dobrze, szczęść mu Boże i krzyżyk na drogę. Jeśli puści się w tę podróż z Jeżyną, to na pewno pozna w jej trakcie wielu dużych i umięśnionych gliniarzy. A może zachorować w tę niedzielę?

– To jest pomysł – westchnęła Julia. Siobhan się rozłączyła.

– A ja cały czas byłem na linii, tak więc teraz wreszcie mogę się rozłączyć – usłyszała cierpki głos Artura. – No to cześć.

Julia wyłączyła telefon. Czuła się rozczarowana i niezadowolona z postawy przyjaciół, choć na pewno nie tak niezadowolona i rozczarowana jak Ellie w tym samym momencie.

– Pójdę – mruzczała do siebie Ellie – i bardzo spokojnie i rzeczowo zawiadomię tego gryzonia Rooneya, że mam takie a nie inne plany, a on przyjmie to spokojnie i z godnością.

Podrapała się w nogę. Czuła się jak niegdyś przed gabinetem dyrektora. Ale przecież to nie szkoła. Więc dlaczego czuła się jak w szkole?

I oto teraz siedziała przed obliczem pana Rooneya. I nie poczyniła zbyt wielu postępów w wytargowaniu urlopu, za to była na najlepszej drodze do zarobienia kozy, nagany i czego tam jeszcze. Jak w szkole, cholera.

– Ale ja...

– Teraz ja mówię, panno Eversholt. Oczywiście nie ma mowy o tym, żeby mogła się pani zwolnić na ten miesiąc.

– Ale...

– Owszem, jedyny sposób, żeby móc teraz wziąć ten urlop, to zobowiązanie się odpracowywania go w Boże Narodzenie przez resztę pani życia.

– Czemu nie? Nienawidzę tych świąt. I ja, i tato olewamy je równo, zwykle spędzamy je, gapiąc się w telewizor, a ja na kolację robię brukselkę, której zresztą żadne z nas nie je.

– No cóż, jest mi niezmiernie przykro, że tak dysfunkcjonalnie spędza pani święta, ale nie zmienia to faktu, że nie mogę pozwolić, by pani, ot tak sobie, zniknęła na cały miesiąc – pan Rooney wstał, dając tym znać, że ich spotkanie dobiegło końca.

Ellie stała bez ruchu i bez słowa.

– Coś jeszcze? – spytał łagodnie pan Rooney.

– No, właściwie nie widzę powodu, dla którego nie mogłabym wziąć bezpłatnego...

– Panno Eversholt. Na litość boską. Czy jest jakaś szczególna forma odmowy którą jest pani w stanie pojąć? „Nie”, „stanowczo nie”, „w żadnym razie”, „przepraszam, ale niech pani już idzie i da mi święty spokój” – proszę wybierać...

– Noo, mówiąc tak całkiem hipotetycznie – zaczęła z namysłem Ellie – co by było, gdyby ktoś wziął i wyjechał na bezpłatny urlop na miesiąc?

– Całkiem hipotetycznie mówiąc – odpowiedział pan Rooney – mógłby ten ktoś już nie wracać do pracy, bo by jej nie miał.

– Hipotetycznie, to bardzo interesująca sytuacja.

– Raczej proszę to potraktować jako bardzo rzeczywistą sytuację; szczerze to pani doradzam.

W niedzielę rano Julia i Loxy kroczyli rażno przez Battersea Rise w kierunku Elms.

– To wszystko nie zapowiada się wesoło – westchnęła Julia. – To znaczy, przykro mi, że miała takie skiepcione urodziny i wszystko dookoła, nie sadzę, by ta wyprawa cokolwiek naprawiła, ale nie chcę się kłócić...

– My oboje w ogóle się nie kłócimy, czyż nie – bąknął Loxy.

Julia spojrzała na niego z ukosa.

– Co...?

– A nie, nic.

– No i bardzo dobrze – zamknęła temat, tym bardziej że zauważyła nadchodzącego z naprzeciwka Artura i pomachała w jego kierunku. Oboje zdążyli zauważyć, jak Colin, wyprzedzwszy ich, wpada do Elms. Wystrojony był w bejsbolową kurtkę i czapkę z emblematem amerykańskiej flagi.

– Oto i nieznośny młodszy braciszek, którego nigdy nie miałam – zawołała na jego widok Ellie. Na stoliku przed nią piętrzył się stos broszur biur podróży i równie wielki stos naleśników na talerzu. Jedną ręką kartkowała broszury, drugą co chwilę sięgała po kolejny naleśnik.

– Gdzie Artur? – zapytała. Colin wzruszył ramionami.

– Ojej, mówił, że idzie spotkać się z kimś w sprawie psa... myślę, że może kupi mi szczeniaka na święta...

– Colin, przecież ty wciąż mieszkasz z rodzicami, a u nich jest bardzo ciasno. Gdzie byś trzymał tego psa?

Colin ponownie wzruszył ramionami.

– No, nie wiem, może w szufladzie. W końcu szczeniaki nie są takie duże...

– Rany, zostawmy tego psa. A zakładając, że jednak nie zamierza ci go kupić, masz pojęcie, gdzie on się podziewa?

Kolejne wzruszenie ramion.

– Widziałem, że Julia tu idzie.

– A, to świetnie.

– A dlaczego właściwie nie mogę jechać do tej Ameryki? – spytał nagle.

– Bo już byłoby nas za dużo. No i nic z tego i tak nie rozumiesz.

– Właśnie że rozumiem...

Ellie w zamyśleniu żuła naleśnik.

– Myślę, że jednak by ci się nie spodobało...

– Na pewno by się spodobało!

– Założę się, że nie. My przecież nawet nie zawadzimy o Disneyland.

Colin wyprostował się nagle.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Jesteście porąbani.

Ellie potakująco kiwnęła głową. Do Elms weszli Artur i Julia.

– Hej, chodźcie tu. Mam pełno prospektów!

– Ee, noo... cześć Jeżyna...

Artur zdecydował się przemówić jako pierwszy.

– Słuchaj, wiem, że jesteś zdecydowana na tę wyprawę i że sądzisz, że to będzie super i właściwie jestem pewny, że może być super, ale rozumiesz, Jeżyna...

Ellie spochmurniała. Skubnęła kawałek tosta.

– Ale...

– Słuchaj, to po prostu się kupy nie trzyma – wtrąciła trzeźwo Julia. – Wszyscy jesteśmy załatani i zapracowani, i...

– I ja, na przykład, naprawdę nie mogę sobie na to pozwolić. Chociaż bardzo bym chciał się wypuścić – dodał Artur.

– A niech was... – Ellie gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Ja też bym chętnie się wybrał – zawołał Loxy. Julia rzuciła mu mordercze spojrzenie, więc dodał szybko – ale oboje zdecydowaliśmy, że lepiej będzie, jeśli nie...

– A ja chcę jechać – oznajmił Colin. – Jeśli pojedziemy do Disneylandu.

– No i wszystko się rypło – jęknęła Ellie. Siedziała bez ruchu, tępo patrząc przed siebie, podczas gdy reszta towarzystwa zamawiała dla siebie kawę i śniadania. Zapanowała niezręczna cisza.

Nagle drzwi lokalu gwałtownie się otworzyły i stanęła w nich cała w dygotach, blada, z zaróżowionym końcem nosa – Siobhan.

– O... o... on... on... – wyjąkała z trudem. – On... on. Julia poderwała się ze stołka.

– Co jest? Wchodź, zamknij drzwi i siadaj. Co się stało?

Artur pośpiesznie podał jej szklanekę wody, zaś Siobhan nadal usiłowała coś wyartykułować, ale wychodziło z tego tylko... – on... on...

– Chodzi o Patryka? – domyśliła się wreszcie Julia. Siobhan gwałtownie skinęła głową.

– Och nie! Co, zerwaliście?

Siobhan ponownie przytaknęła gwałtownym ruchem głowy, dając jednocześnie znaki obu rękami, że chodzi o coś gorszego.

– Rany! ZOSTAWIŁ CIEŻ?! Przytaknięcie i kolejne gwałtowne gesty.

– A to skurwiel! – zawołała Ellie. Przytaknięcie. Nawet energiczne.

– Kutas – dołożył Artur.

Siobhan nadal przytakiwała, dzielnie pokazując, że to nie wszystko...

– To znaczy, zostawił cię dla kogoś... ON SIĘ Z KIMŚ SPOTYKAŁ?

Przytaknięcie.

– Dupek! – dołączył się Loxy. Siobhan zaczęła gwałtownie gestykulować, pokazując na serdeczny palec lewej dłoni.

– Co, już się pobrali?

Siobhan załkała.

– Pierdolony sukinsyn! – wrzasnął Artur. Siobhan jednak nie skończyła.

Tym razem wskazała na swój brzuch.

Julia wciągnęła powietrze i ostrożnie zapytała – Ona... jest w ciąży?

Siobhan rozryczała się na dobre.

– PIZDZIEL – podsumowała Ellie.

Utulali Siobhan najlepiej, jak potrafili; zanim jako tako odzyskała mowę, minęło sporo czasu, podczas którego przy kolejnych ratunkowych porcjach Krwawej Mary układano straszliwe plany zemsty i wymyślano coraz kunsztowniejsze klątwy i wyzwiska. W końcu Siobhan, co nieco uspokojona, podniosła dłoń, że chce coś powiedzieć. Po czym sięgnęła do torebki.

– Miałam mu to oddać – powiedziała, głośno pociągając nosem. – Ale teraz niech się ugryzie.

Przełknęła ślinę i wyciągnęła złotą kartę kredytową Patryka.

W drugiej ręce trzymała cztery powrotne bilety do Los Angeles.

– O, kurwa – powiedział Colin.

TTLR

Przygotowania

...i myślę, że gdy będziemy jechać przez pustynię, powinniśmy stawać i zabierać autostopowiczów.

– Że co proszę? – zapytał Artur, wpatrując się w zdjęcie przedstawiające Wielki Kanion, tyle że do góry nogami.

– No, autostopowiczów. No wiesz – jak *Thelma i Louise*...

– Albo *Autostopowicz*. Jeśli o mnie chodzi, to jestem przeciw. Braniu autostopowiczów.

– Niech ci będzie. Ee... To jak, jedziemy przez San Jose?

– Błagam, nie zaczynaj od nowa – skrzywił się Artur.

– A zresztą niech tam, ustaliłaś w końcu trasę? Ellie zachichotała.

– Kurde, nie mogę się doczekać, kiedy was tu, kurde, wreszcie nie będzie – zagulgotał Mięśniak. Rozwalony w fotelu, skakał pilotem po sportowych kanałach, oglądając wszystko, jak leci, od ping-ponga po damską gimnastykę. Z naciskiem na tę ostatnią.

– Któreś z was wie, gdzie jest Siobhan dziś wieczorem?

– spytała Julia, rozciągnięta na dywanie, wtulona w potężne ramiona Loxy'ego.

Ellie spojrzała na Julię i odpowiedziała:

– Nie wiem, może właśnie rozbiera na czynniki pierwsze jego wspaniałego jeepa Suzuki...

– Wciąż nie mogę w to wszystko uwierzyć – westchnęła Julia. Mięśniak parsknął lekceważąco.

– Widzę z przyjemnością, że wspaniale wczuwasz się w powstałą sytuację – stwierdziła kwaśno Ellie. Mięśniak odwrócił się do niej i, gestykulując swymi wielkimi jak szynki łapami, powiedział:

– W co tu się wczuwać? Wszystko jasne jak plecy anioła. On jest facetem, no nie? No i ta dziewczyna mu się napatoczyła, tak? Świeża dwudziestka, tak? I podobno baletnica, nie?

Niestety wszystkie wymienione przez niego fakty były do bólu prawdziwe. Mięśniak wzruszył ramionami.

– No i...? – spytała Julia.

Mięśniak łypnął okiem na Loxy'ego i zabalgotał.

– No, ee...

Loxy nie zareagował.

– Postaramy się przywieźć ci z Ameryki jakiś bardzo odpowiedni prezent – powiedziała Ellie. – Na przykład taką dużą, błyszczącą, różową amerykańską szynkę, całkiem jak twoja facjata.

– Albo amerykańską kożę, choć wątpię, czy będzie śmierdziała jak twój pokój – dołożył Artur. – Kaczorku.

– Właśnie myślę, że mógłbym podnając twój pokój, skoro wyjeżdżasz – powiedział Mięśniak do Ellie.

– Ciekawe, czy znajdziesz takiego jak ja frajera, co się skusi na tę norę...

– Wiecie, możemy przy okazji odwiedzić także Chicago – zawołała Julia, od jakiegoś czasu pogrążona w studiowaniu mapy.

– A co jest w Chicago?

– Jak to co? *Ostry dyżur!* Skoro Jeżyna chce uganiać się za Andrew McCarthym, ja spróbowałabym zapolować na kogoś z tej ekipy.

– Nikomu takiemu jak ty – ciągnął, nie słuchając innych, Mięśniak. – Może trafi mi się ekstralaska z superzderzakami...

– I żeby jeszcze uprawiała gimnastykę artystyczną?

– Czemu nie. W końcu to moja chata. Mogię robić, co chcę.

– Szczęść ci Boże. Masz moje błogosławieństwo. Szkoda, że tego nie obejrzę... – Ellie rozpościerała mapę na podłodze.

– No więc... jeśli chodzi o *jego* ostatnie znane miejsca pobytu – zaczęła – grał w teatrze w Nowym Jorku, kręcił film w Los Angeles, a potem też film, ale w Toronto.

– Zaraz, zaraz! Co jest? Nikt tu nie wspominał o Toronto – zawołał Artur, wyraźnie zaniepokojony. – Listopad w Toronto to nie żadne wakacje, tylko szkoła przetrwania. Żadne Toronto! Kalifornia albo nic!

– Ojej, nie szalej. Nie sędzę, żeby on teraz był w Toronto. Jedziemy prosto do Kalifornii.

– A... możemy zawadzić o Las Vegas? – spytał nagle Loxy. Wszyscy wybałuszyli na niego oczy.

– Loxy, może nalałbyś mi jeszcze herbaty? – odezwała się Julia. Loxy poderwał się i rzucił do kuchni.

– Myślę że moglibyśmy zahaczyć o Vegas. Stanowczo powinniśmy – stwierdziła Ellie. – Tam, oprócz szansy spotkania Andrew McCarthy'ego, mam szansę, że Robert Redford zaproponuje mi milion funtów za jedną noc. Jak szaleć, to szaleć.

– Wiesz, właściwie to bardzo się cieszę na tę wyprawę. A ty? – spytał ostrożnie Loxy, gdy oboje z Julią wracali do domu, walcząc z przenikliwym wiatrem i ulewą.

– Hm, uhum. No, skoro ma to sprawić, że Ellie choć na trochę się przymknie... Nie, żartuję. Naprawdę nie mogę się doczekać, wyobraź sobie tylko – upał w listopadzie! Cud i miód!

Loxy nagle odwrócił się ku niej z dziwnym wyrazem twarzy.

– Julia... może to nie jest odpowiedni moment ani miejsce, ale...

I tak jak stał, uklęknął przed nią na środku drogi. Prawym kolaniem trafił prościutko w kałużę, ale zignorował to. W końcu i tak lało jak z cebra.

– Pomyślałem, że... no, to wszystko, co Ellie mówiła, sprawiło, że zacząłem poważnie zastanawiać się nad... ee, życiem i tak w ogóle, to znaczy, dokąd wszyscy zmierzamy i tak dalej... i pomyślałem sobie, że... no, jeśli pojedziemy już do tego Vegas... to, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zechcesz zostać moją...

– Że co? – spytała z roztargnieniem Julia, która niezbyt uważnie słuchała, co mówi. I nagle to do niej dotarło.

– BOŻE MIŁOSIERNY! – wrzasnęła i aż się zatoczyła. – CO?! CO?!?!
Proszę, POWIEDZ, że nie masz przy sobie pierścionka!

Loxy poszperał w kieszeni i wyciągnął z niej małe pudełeczko.

– Kupiłem go po naszej trzeciej randce – oznajmił spokojnie. – I odtąd stale noszę go przy sobie...

Wszystko, co Julia mogła zrobić w tym momencie, to gapić się tępo na niego, jak coraz bardziej przemoczony klęczy w kałuży i patrzy na nią na poły błagalnie, na poły wyczekująco.

– Oj, Loxy... to... to za wcześnie. Znaczą, chciałam powiedzieć, że to dopiero...

– Dwa lata – stwierdził rzeczowo.

– Ojoj, naprawdę? To już tyle czasu? O Boziu.

Zrobiła kilka kroków, po czym zatrzymała się niepewna i zmieszana.

– Nie kochasz mnie? – głos Loxy'ego chyba lekko się załamywał.

– Ależ oczywiście, że cię kocham. Przecież wiesz o tym najdroższy. Ale to jest takie... o Boziu... to znaczy... no, małżeństwo – no, to właśnie robią ci, którzy już... ee, dorośli...

– No, ale w Las Vegas... to wszyscy... to znaczy każdy może wziąć ślub... – powiedział Loxy słabym głosem. Wciąż patrzył na nią tymi swoimi łagodno–proszącymi oczami szczeniaka, który prosi, by go pogłaskać.

– Loxy – powiedziała stanowczo Julia, czując, że ogarnia ją niekontrolowana i niewytłumaczalna złość na niego. – Wybacz, ale doprawdy nie wiem, co mam ci odpowiedzieć.

– Czyli to znaczy „nie” czy „tak”? – zapytał cicho i bardzo powoli.

– Nie, kurczę, to wcale nie znaczy „nie”! – wrzasnęła Julia. To znaczy, że... to znaczy. O Boziu. To znaczy tylko tyle, że właśnie powiedziałaś mi coś tak absolutnie nieoczekiwanego, że... kurczę blade, nie mam pojęcia, co o tym myśleć.

– Nie możesz znaleźć odpowiednich słów, żeby mnie elegancko i delikatnie spławić?

– Rany, Loxy, nie. Na litość boską, jestem po prostu zaskoczona i tyle. Totalnie zaskoczona.

Loxy wydał wargi.

– No, ja wiem, co czuję...

– Owszem i miałeś na to dwa lata minus te trzy pierwsze randki, żeby się z tym oswoić. A ja mam... ile?... dziewiętnaście sekund! A to nie jest w porządku! I na litość boską, wstańże wreszcie!

Loxy bardzo powoli wsunął pudełeczko z powrotem do kieszeni i wstał z kolan.

– Czuję się cholernie głupio – przyznał.

– Bo wyglądasz głupio – powiedziała z czułością. Deszcz nadal lał; tak że oboje przemokli już do cna.

Loxy, jakby nagle odprężony, zaczął się śmiać. Trochę za głośno.

– Pysznie. Czuję się głupio; wyglądam głupio, krótko mówiąc, jestem głupcem, a ty zrywasz ze mną.

– Kurczę blade, wcale z tobą nie zrywam! Nie zachowuj się jak obrażony bachor!

Loxy – i tak już mokrusieńki – popatrzył ponuro pod nogi i nagle zaczął z chlupotem skakać po kałużach i nucić pod nosem *Deszczową piosenkę*.

– Przestań się wygłupiać – warknęła Julia. – W ogóle nie słuchałeś, co mówię. Po prostu potrzebuję czasu, by to przemyśleć, dociera to do ciebie? To spadło na mnie jak grom z jasnego nieba...

Loxy dalej śpiewał *Deszczową piosenkę*, rozchlapując wodę z kałuży.

– No dobra, Lox. Ja idę do domu. A ty tu sobie tańcz. Jutro możemy pogadać spokojnie i na sucho.

– ...i słońce w moim sercu... – Chlup. Chlup. Plump.

– Zadzwoń do ciebie jutro. Przemyślę to, co mi powiedziałaś, obiecuję. Prawie pędem ruszyła w głąb pustej, szarej za zasłoną deszczu ulicy.

– ...i na miłość żem gotów... – Chlup – plump – chlup – plump.

– Cholerny picuś–glancuś! – stwierdziła Ellie.

– Może wreszcie spróbowałabyś być trochę konstruktywna? – skarciła ja Siobhan. – Takie same perły mądrości rozsnuwałaś wtedy, gdy... no, Patryk... no, poszedł sobie.

– Dziewczęta, może zamiast bredzić od rzeczy, poradzicie mi coś? – jęknęła Julia. – Sama nie wiem, co czuję i jak się czuję...

– Ale Jula, ja nie mam pojęcia, co ci poradzić i co powiedzieć – zakwilila żałośnie Ellie. – Nikt nigdy nie pytał mnie o takie rzeczy... Słuchajcie, może strzelimy sobie po jeszcze jednej Krwawej Mańce, a potem spróbujemy porozmawiać z sensem.

– Odnoszę wrażenie, że owe dwie wymienione przez ciebie czynności wykluczają się nawzajem – wycedziła bardzo wytwornie Julia, nalewając kolejne porcje Krwawej Mary do szklanek.

Wszystko przez Loxy'ego, myślała kwaśno. Gdy przemoknięta, zmarznięta i roztrzęsiona dotarła wreszcie do domu, usiadła, nie zapalając światła, w małym saloniku swego małego mieszkanca – i próbowała jakoś pozbierać myśli; przy tym z niejakim zdumieniem zauważyła, że w tym miłym i tak wygodnie umeblowanym gniazdku jest stanowczo za dużo Ikei. Że też wcześniej tego nie zauważyła. Postanowiła twardo, że poświęci całą noc, a sprawę przemyśli rozważnie i dogłębnie. Postanowienie trwało jakiś kwadrans, po czym rzuciła się do telefonu, by wezwać przyjaciółki na ratunek i po serii wrzasków i wyjaśnień wszystkie siedziały teraz na dywanie, dzierżąc szklanki z Krwawą Mary. Siobhan była nawet w pewien sposób zadowolona: nie tylko ona, ale i przyjaciółka miała problem (aczkolwiek dokładnie odwrotny niż jej własny). Artura Julia wyłączyła, zdawała sobie sprawę, że jak się dowie, będzie wściekły, ale uznała, że to jest wyłącznie kobieca sprawa i nawet Artur nie ma tu nic do roboty.

– Myślałam... no, że jeśli... albo kiedykolwiek to się zdarzy, to powinna to być najwspanialsza chwila w moim życiu... – żaliła się przyjaciółkom, głośno siorbiąc drinka przez słomkę.

– Naczytałaś się w młodości Catherine Cookson i oto rezultaty – prychnęła Siobhan. – Moim zdaniem, jak ci się ktoś oświadcza, to trzeba z marszu odpowiadać „tak”. Sprawa prędzej czy później i tak się rypnie, ale przynajmniej przez jakiś czas jesteś w centrum uwagi i dostajesz mnóstwo prezentów ślubnych.

– Ja i Loxy... my nigdy... się nie rypniemy! Będziemy szczęśliwi! Tylko że myślałam, że to będzie jakoś tak... no, niesamowicie.

– Kiedy poznałaś Loxy'ego, zaklinałaś się, że jest on najbardziej niesamowitą rzeczą, jaka ci się kiedykolwiek przytrafiła...

– Rany, tak jest zawsze z każdym nowym związkiem; to coś takiego jak nowe majtki...

– ...a potem znoszone – wtrąciła nagle Ellie.

– Że co?

– No, że twój i Loxy'ego związek jest na etapie znoszonych majtek. A tak na marginesie, jakie nosisz?

Julia wzruszyła ramionami.

– Ja noszę La Perla – oznajmiła Siobhan

– No właśnie – zawołała triumfalnie Ellie. – Nagle i nieoczekiwanie stałaś się od nowa osobą wolną /samotną/ do wzięcia, niepotrzebne skreślić, i musisz być przygotowana na każdą okazję. A nuż, wracając z pracy do domu, wpadniesz nagle na Johna Cusacka albo kogoś w tym guście. Jeśli chodzi o mnie, noszę majtki od Marksa i Sparksa, zielone, ponieważ ilekroć kupuję białe, czarne, różowe lub czerwone, Mięśniak mi je kradnie. A ty, Jula?

Julia westchnęła.

– No, niech wam będzie. – Niechętnie odchyliła spodnie w talii, pozwalając przyjaciółkom zerknąć na to, co pod spodem.

– O żesz ku... – jęknęły równocześnie obydwie.

– Są świeżo wyprane, dzięki wam za słowa uznania. Prawda bowiem była taka, że wytworna i wybredna

Julia miała na sobie parę sfilcowanych od częstego prania i mocno rozciągniętych solidnych szarych majtasów, na dodatek dziurawych.

– No, jest tak, jak podejrzewałam – powiedziała Ellie. – Etap znoszonych majtek. A tylko patrzeć, jak wejdiesz w etap „na wynos”...

– Że co??

– Pamiętasz, jak było, gdy zaczęliście chodzić ze sobą? Kolacje przy świecach, pitraszenie małych, smacznych obiadków itepe. A teraz? Zamówić żarcie na wynos i przeżuwać je, gapiąc się w telewizor, nie zamieniając cały wieczór marnego słowa...

– Brak mi tego. Nawet nie wiecie, jak bardzo – Siobhan aż pociągnęła nosem

– ...i to między innymi dlatego nie wchodzę w żadne stałe związki. Nie znoszę żarcia na wynos na dłuższą metę.

– Za to uwielbiasz zamykać się w łazience...

– Zamknij się Siobhan, bo stracę wątek. A więc, na tym etapie, co mówiłam i sam związek staje się taki jak każde żarcie na wynos: ledwo ciepły, bez smaku... A ludzie wciąż to jedzą... Rany, ale mam dziś dobre pomysły...

– A masz jakieś wieści od Billy'ego? – spytała nagle Siobhan.

– A tak, miałam. Powiedział, że jeśli do niego wrócę, odda mi mój album Terence'a Trenta D'Arby'ego. Przynajmniej wiem, na czym stoję...

– Wiesz co, Julia – przerwała Siobhan – olewaj te wszystkie mądrości Jeżyny o majtkach na wynos... Oboje z Loxyem tworzycie wspaniałą parę. On jest uroczym facetem. Zrób więc dobrze sobie, jemu i nam, jako że lubimy imprezy. Chajtnij się z nim i tyle.

– O Boziu – powiedziała Julia.

– Spóźniła się pani – rzucił pan Rooney, który właśnie patrolował korytarz dokładnie przed pokojem Ellie.

– Pomagałam przyjaciółce w kłopotach, proszę pana.

– Aż boję się pomyśleć – chciała wziąć cztery tygodnie urlopu, by zrobić coś głupiego?

– Ach, nie ona, proszę pana. Gdy ona prosi o urlop, po prostu wyjeżdża.

– Nadużywa pani mojej cierpliwości, panno Eversholt.

- A pan rujnuje mi życie, panie Rooney.
- Myślę, że na dłuższą metę będzie mi pani wdzięczna, panno Eversholt.
- Myślę, że na bardzo długą metę, panie Rooney.

Ellie pozostawiona samej sobie pomruczała, pochrząkała, pokręciła się po pokoju, zrobiła sobie kawę, poklikała bez wyraźnego celu w komputer, w końcu przyjrzała się spode łba wielkiej i wyraźnie niestabilnej górze papierów zalegającej na biurku. Kurczę. Nie wyglądało to dobrze. Cholerna, idiotyczna, pieprzona robota.

– Jest coś dla mnie? – zapytała przechodzącego korytarzem gońca.

– Aa, tego, pięćdziesiąt wiadomości w poczcie głosowej; tyle się nazbierało przez weekend, jeśli to panią interesuje – oznajmił goniec znudzonym głosem.

Ellie poderwała się z krzesła i podbiegła do drzwi.

– No to czegoś nie powiedział mi tego wcześniej, gdy przyszedłam do biura?

– Bo nienawidzę tej roboty, trzniam ją i wszystkich w tym cholernym biurze.

Ellie westchnęła, kliknęła w komputer i zaczęła studiować wiadomości. Pięć z nich pochodziło od potencjalnego klienta, właściciela wytwórni staroświeckich dachówek, który chyba za punkt honoru postawił sobie wypróbowanie, jak daleko może się posunąć w doprowadzaniu Ellie do białej gorączki i miał już na tym polu niejaki sukcesy. Sześć następnych wiadomości pochodziło od firmy, którą Ellie nieostrożnie okłamała, twierdząc, że wysłała im dokumenty, podczas gdy w istocie nie miała zamiaru nawet ich odszukiwać, a co dopiero wysłać. Siedem wiadomości przysłali rozmaici ludzie, których usiłowała między sobą umówić, ale wyglądało na to, że przed rokiem 2020 szanse na to są raczej słabe. Osiem wiadomości

dotyczyło ubezpieczenia budynku, a to niestety wymagało od niej odbycia spotkania z oficerem straży pożarnej (którego tylko wąsy odróżniały od ropuchy), dziewięć od urzędu finansowego (małe piwo, miała w telefonie zaprogramowane kasowanie tego typu przekazów), a dziesięć pochodziło od Billy'ego, które wszystkie zaczynały się od przeprosin, a kończyły niewyszukanymi wyzwiskami.

– Rany boskie – jęknęła Ellie. – Co za nieprawdopodobny syf...

Zadzwoił telefon. Złapała słuchawkę.

– Ptysiu – usłyszała znajomy głos. – Nie bądź taką wredną suką...

– Mnie też miło, że cię słyszę – odpowiedziała tak swobodnie i światowo, jak tylko potrafiła. – Teraz odpierdol się, z łaski swojej.

– Twe życzenie jest dla mnie rozkazem, ptysiu.

W słuchawce nagle rozległa się seria dźwięków, jakby ktoś próbował, mówiąc przez telefon, równocześnie dać w saksofon, potem trzask, jakby saksofon razem z telefonem wylądowały na podłodze (kasując przy okazji jakiś znajdujący się na trasie ich upadku wazon), wreszcie wielopiętrowe przekleństwo; Ellie znudzona rzuciła słuchawkę.

Żeby się jakoś odprężyć, zaczęła wydzierać się na gońca.

– Boże, co za syf. I burdel. Mam potąd. Skasuj to wszystko w cholere, wyrzuć do kubła, a jeśli ktoś będzie pytał, powiedz, że system się zawiesił, ale pracuję nad tym. Aha i że zapadłam na rzadką chorobę tropikalną.

– Doprawdy – powiedział łagodnie pan Rooney, wchodząc do pokoju. – Czyli, że należy panią pilnie stąd odesłać.

Ellie podskoczyła nerwowo na dźwięk jego głosu i tępo zagapiła się na niego, zapominając zamknąć usta.

– Czy wie pani – ciągnął pan Rooney, opierając o biurko swe porośnięte rudym włosom ramiona i wyglądając na bardzo przejętego i zatroskanego – dlaczego tu przyszedłem?

Ellie z trudem przełknęła ślinę.

– Ehem... żeby posłuchać, jaka ze mnie dowcipnisia? – zaczęła niepewnie. – No i chciał pan przyłapać mnie w samym środku szampańskiej psoty z udziałem telefonu i gońca...

– Nie – odpowiedział pan Rooney. – W istocie przyszedłem tu, aby powiedzieć pani, że... no, jeśli ten wyjazd jest dla pani taki ważny, jestem skłonny zgodzić się nań...

Ellie zaczerwieniła się jak burak.

– ...i zamierzałem udzielić pani urlopu, wszelako... – tu chrząknął – wygląda na to, że pani i moje pojęcia na temat kończenia zaczętych robót są zasadniczo rozbieżne...

– Panie Rooney – zakwiliła słabo Ellie.

– Niniejszym kasuję wszystkie pani urlopy, jakie sobie pani zaplanowała, aż do odwołania i może pani zawiadomić kadry, że udzielam pani upomnienia na piśmie.

Bezradnie patrzyła, jak odwraca się i wychodzi. Czowała, że wszystko wokół niej się wali i to z hukiem.

– Czemu, do kurwy nędzy, nie uprzedziłeś mnie, że on tu idzie? – spytała gońca, rozeźlona, a zarazem zagubiona.

– A bo mi się nudziło i chciałem popatrzeć, co się będzie działo.

Ellie zaczęła bezmyślnie przerzucać zalegające jej biurko papiery.

– Rany boskie, i co ja mam teraz robić? – Z trudem powstrzymywała cisnące się do oczu łzy – teraz to już się absolutnie wszystko rypnie...

– Jeśli pani teraz sobie pójdzie, to ja będę mieć tylko pół dnia i fajrant – zamruczał goniec.

– Rany, nie mam pojęcia...

Myślała przez chwilę; po czym usiadła, złapała telefon i wystukała numer.

– Artur? Zdarzyło ci się kiedyś porzucić pracę. Ot tak wyjść i...

– Hmm... czyli jeśli chodzi o porady w zakresie kariery zawodowej, to oczywiście do mnie wydzwaniasz, ale jeśli idzie o rzeczy naprawdę liczące się w życiu, to się mnie olewa, tak?

– O czym ty bredzisz, Art? Mam tu teraz taki mały kryzys, i...

– Nieważne. Siobhan dzwoniła do mnie. Szykuje się wesele, a mnie nikt nie raczy poinformować...

– Z wyjątkiem Siobhan, rzecz jasna. Słuchaj, czy sądzisz, że...

– To znaczy Julia wychodzi za mąż czy nie?

– Ona sama nie wie. Potrzebowała naszej opinii w tej sprawie. A nasze opinie były, że tak powiem, mocno podzielone. Zadowolony? No, dobra, chciałabym...

– Taa, uważam, że powinna. Nie sądzę, żeby trafił jej się miłszy gość od Loxy'ego, a on chyba aż przebiera nogami...

– Artur, PROSZĘ, musisz mi pomóc...

– Uwielbiam, gdy tak ładnie prosisz.

– Artur, szef przyłapał mnie na... no, na nieodpowiednim zachowaniu w pracy i... no i nie da mi urlopu...

– Och, nie – głos Artura był pełen szczerego współczucia z leciutką domieszką zaciekawienia i fascynacji. – Cóż takiego zmalowałaś? Przyłapał cię z gońcem na dyrektorskim biurku?

– Nnie, właściwie to wyrażałam swoją opinię o tej pracy... nienawidzę tej roboty – tłumaczyła Ellie, kopiąc czubkiem buta kosz na śmieci. W słuchawce chwilę panowała cisza.

– Hmm, wiesz, co sędzę – powiedział wreszcie Artur – że trochę przesadzasz w tych swoich staraniach niepopadania w rutynę...

– Może, ale naprawdę nie planowałam bezpośredniego przejścia od rutyny do pełnego odjazdu...

– No, dobrze – odezwał się Artur. – Przecież możesz po prostu odejść z tej roboty, znaleźć jakąś inną, mniej stresującą. A jakby i to się rypło, zawsze możesz próbować uruchomić jakiś własny biznes i wejść do internetu jako Ellie kropka com...

– Ehem... – bąknęła na to niepewnie, choć w duchu zaczęła odczuwać niejaki podekscytowanie wobec rozsnuwanych przez Artura wizji.

– A właśnie, czemu nie powiesz swoim szefom, żeby wzięli tę całą pieprzoną robotę i wsadzili ją sobie w swoje pieprzone dupska?

– O, a ja wtedy będę mógł się urwać na resztę dnia – wtrącił goniec, który cały czas wisiał na linii, słuchając ich konwersacji.

– Czy możecie wszyscy razem choć przez ułamek sekundy przestać się nasładzać myślą, jaki to byłby ubaw dla wszystkich? – warknęła Ellie. – Kurczę, nigdy jeszcze czegoś takiego nie robiłam.

– A co z tamtą historią z Copydexem?

– To było zupełnie co innego...

– Ehem.

– Dobry Boże... I co mam teraz robić?

– No, możesz się jeszcze przeprowadzić do swego tatki...

– Wiesz co? Wypchaj się z takimi radami. Boże, kompletny kanał...

– A właściwie czemu nie zadzwonisz do dziewczyn?

– Bo z góry wiem, co od nich usłyszę: Jeżyna nie rób niczego pochopnie. Ciagle masz jakieś stuknięte pomysły, z których nic mądrego nie wynika, Jeżyna. Przypomnij sobie tylko, Jeżyna, jak zrezygnowałaś z robienia dyplomu na architekturze i jeszcze uważałaś, że to właściwy krok... i tak dalej, srutu–tutu... ee, ktokolwiek tam wisi na drucie, niech spada. Mam ważną rozmowę...

– Przepraszam? No, niech mi pani tego nie robi...

– Halo?

– Cześć, tego... czy to moja słodka Ellie Eversholt?

– Nie, tu skrajnie wkurwiona Ellie Eversholt!

– Ale śmieszne. Obśmiałem się jak norka. Tu Edgar Wilkins z AZP&P. Boże, to ten facet od staroświeckich dachówek. Ellie złapała słuchawkę.

– Cieszę się, że wreszcie panią złapałem. Czy pamięta pani, że rozważaliśmy możliwość... ee... małego sam na sam, by omówić pewien interes...? Ho ho!

Kilka miliardów facetów na naszej pięknej planecie, pomyślała rozpaczliwie Ellie, przecież wszyscy nie mogą być tacy jak ten palant... Nie mogą? Ten kanał zdaje się nie mieć ani dna, ani końca.

– Nie uważa pani, że moglibyśmy sobie pozwolić na odrobinę szaleństwa? To by nam obojgu dobrze zrobiło, zapewniam panią. Gdzieś w cichym moteliku, tylko my dwoje... takie malutkie, hehehe... nadgodziny? Hihhi!

Kocham go, myślała ponuro Julia, gapiąc się w monitor komputera. Na pewno. Ale... czy to jest to? Właśnie to?

Jej matka uważała, że tak; ale jej matka byłaby szczęśliwa, widząc ją wreszcie zameżną z każdym, kto dawał solidne gwarancje na dużą liczbę tłustych wnucząt i odpowiednie zabezpieczenie materialne.

– Jak to rozpoznać? Jak to było z tobą i tatą? Jak to się stało, że wiedziałas, że to jest to, że to ten, właśnie ten, którego chcesz poślubić? – spytała ją kiedyś Julia.

– Bo mieliśmy ochotę na siebie, głupiątko. Wszyscy dookoła zdawali się traktować oświadczyzny

Loxy'ego jako coś absolutnie naturalnego, wokół czego nie ma co robić zamieszania, więc dlaczego, do ciężkiej cholery, go nie przyjmuje? Julia czuła się wręcz osaczona tak znową milczenia ze strony tych przyjaciół, którzy pozostawali już w związkach małżeńskich, jak i wkurzającym lekceważeniem jej rozterek ze strony tych, co jeszcze cieszyli się stanem wolnym. Nikt nie miał ochoty ani zamiaru usiąść i poradzić jej, co ma właściwie robić.

Kocham go, myślała. A on kocha mnie. Jest nam razem cudownie. On uwielbia dzieci. I ma dobrą pracę...

...i właśnie to mnie czasami autentycznie i cholernie denerwuje, dokończyła myśl.

Zadzwoiła do Annabel, która koniec końców, miała w tej sprawie niejaki doświadczenie.

– Annie – spytała – czy miałaś kiedykolwiek uczucie, że George cię nudzi? Tak naprawdę, naprawdę zanudza?

W głosie Annabel dało się słyszeć leciutkie rozgoryczenie.

– Mój Boże, jak on może mnie zanudzać? Dzień w dzień siedzi w pracy do wpół do dziesiątej wieczorem, w wolne dni zimą gra w golfa, a latem w krykieta. Poza tym właściwie wcale nie wchodzi do kuchni, więc nie może mnie zanudzać i gędzić, gdy zmywam naczynia ani gdy robię pranie, ani gdy gotuję, a nawet gdy rozpakowuję zakupy. No, ale będąc kobietą, lubię robić zakupy i lubię prace domowe, a jednocześnie rozumiem, że dla facetów to... no, jednym słowem, prasowanie i posiadanie penisa nawzajem się wykluczają.

– Taa, co racja, to racja – mruknęła Julia. – Ee... Annie, Loxy... ee... oświadczył mi się. Chce, żebyśmy się pobrali.

– Och, doprawdy! Ależ Jula, to cudownie! Doprawdy wspaniale! Tak się cieszę! Dla was obojga!

– Ehem, jeszcze nie dałam mu stanowczej odpowiedzi.

– Oj, nie martw się na zapas, będziesz miała przepiękny ślub. Ojoj, mogę ci pomóc w wyborze sukni?

Julia zakrztusiła się i wybałuszyła oczy do słuchawki.

– Ehem... to ja może potem oddzwonię, dobrze?

Ellie wciąż siedziała w swoim biurze (a właściwie kanciapie) i – rozmyślała, zastanawiając się, co jest mniejszym złem. Mieć pracę, której się nie cierpi, czy nie mieć pracy w ogóle? Zrobić trochę szumu i zamieszania i móc wreszcie wyjechać do Ameryki? W końcu wstała i zdecydowanie, choć z duszą na ramieniu, skierowała się do sali konferencyjnej, próbując zadzierać podbródek prawie tak wysoko jak Michael J. Fox w *The Secret of My Success*.

– Panie Rooney?

Spojrzał na nią.

– Panno Eversholt, naprawdę nie mam czasu na pani kolejne pomysły...

W zatłoczonej sali unosił się ciężki zapach palonej kawy i ogólnego znudzenia. Pan Rooney stał przy projektorze, który rzucał na ekran jakieś pozbawione sensu i ładu wykresy. Ellie zatrzymała się w drzwiach, wciąż blada i zdenerwowana, ale zarazem zdeterminowana jak nigdy.

– Ehem. Nie ma pan czasu. Nawet wtedy, gdy ci powiem, ty CHOLERNY DRANIU, ŻEBYŚ SIĘ UGRYZŁ W TO SWOJE CHOLERNE DUPSKO?

Zamierzony efekt osiągnęła: wszyscy obecni obrócili się w jej kierunku.

Pan Rooney wybałuszył swe wiecznie zaróżowione oczka i wymierzył w jej kierunku laserowy wskaźnik.

– Ee... Czy ktokolwiek z tu obecnych może mi objaśnić, co panna Eversholt chciała przez to powiedzieć? Proszę... kto...?

Wszyscy jak jeden mąż wpatrywali się solidarnie w swe obuwie. Pan Rooney powoli opuścił wskaźnik, zdejmując rubinowe światelko z nosa Ellie.

– Rozumiem, że pisemne upomnienie nie zadziałało?

– Trznięm to – oznajmiła Ellie – i wszyscy **MOŻECIE UGRYŹĆ SIĘ**
W...

– Ach, pojmuję – powiedział łagodnie pan Rooney – cóż za uprzejma propozycja i do tego skierowania do wszystkich. Jesteśmy doprawdy zaszczyceni.

– No właśnie... – zaczęła Ellie i nagle zamilkła. Sprawa rozwijała się niezupełnie po jej myśli. Myślała, że wszyscy zaplują się ze złości, a pan Rooney zaleje się łzami lub przynajmniej padnie rażony apopleksją. Zamiast tego przyglądał się jej z wyraźnym zatroskaniem.

– No, tak, niezmiernie mi przykro, ehem, ale jak sobie pani właściwie wyobraża spełnienie swej prośby? To dość...

– Kurczę! Czy to takie trudne ruszyć **DUPE** do kadr i rachuby...

– Ach, tak. Zaczynam pojmować pani życzenie. W ogólnych zarysach. Nie ma sprawy.

Uśmiechnął się łagodnie.

– Zamierza nas pani opuścić, panno Eversholt?

– Może pan sobie wziąć tę robotę i wsadzić ją sobie...

– No, doprawdy, wstydziłaby się pani, panno Eversholt. Czy nigdy nie przyszło pani do głowy, by przyjść do mnie i powiedzieć, że jest pani

nieszczęśliwa, zanim zaczniesz pani składać mnie i wszystkim... ee... propozycje...?

Ellie wzruszyła ramionami, czując się nagle jak skarcona małolata. Wbiła wzrok w podłogę.

– To że nie mogę pozwolić pani na ulotnienie się z pracy na parę miesięcy, nie oznacza, że nie mogę zarazem pani wysłuchać...

Ellie pozostało tylko bezradnie mamrotać pod nosem swoją, dopiero co wyrażoną głośno, ekscentryczną propozycję.

– Gdyby na przykład przyszła pani do mnie i porozmawiała ze mną o odejściu za obopólnym porozumieniem i ze stosowną odprawą...

Ellie gwałtownie podniosła głowę.

– Oczywiście – ciągnął – ma pani pełną swobodę w rozporządzeniu tą odprawą. Może ją pani na przykład wetknąć komuś w tyłek...

– Ee... niekoniecznie – zapiszczała bardzo cieniutko Ellie.

– Doprawdy? No to zechce pani przed udaniem się do domu wstąpić do mojego biura... gdzie uzgodnimy wszystkie sprawy: pani, ja i mój tyłek.

Wszyscy w sali wybuchnęli tym szczególnym, niepowtarzalnym śmiechem używanym przez personel, gdy przychodzi śmiać się z dowcipu szefa.

– Muszę się z tobą zobaczyć dziś wieczorem – syknęła Julia.

– To ja muszę się z tobą zobaczyć! – odsyknęła w odpowiedzi Ellie, zastanawiając się, czy goniec znów podsłuchuje rozmowę.

– Mam nowiny!

– Ja też!

– No... to... do zobaczenia!

– Do zobaczenia!

– Cześć!

– Cześć!

– Wychodzi pani? – spytał goniec. – To niech pani przedtem podpisze, że miałem podwójne nadgodziny.

Pan Rooney i personalna najpierw wydusili z niej obietnicę, że zostanie jeszcze dwa tygodnie, by przynajmniej z grubsza uporządkować bałagan panujący w prowadzonych przez nią sprawach, po czym podsunęli jej do podpisu stos papierków. Następnie wszyscy troje podpisali się na najważniejszym, czyli na czeku. Ellie – zbyt zakłopotana, by jeszcze spierać się o cokolwiek, kuliła się na krześle, starając się wydawać jak najmniejsza, od czasu do czasu wydając tylko uprzejme i wrażliwe wdzięczność pomruki.

Gdy personalna, która całą osobą wyrażała oburzenie i dezaprobatę, wreszcie poszła, Ellie odzyskała głos na tyle, by wyrazić swe podziękowania w bardziej artykułowanych słowach.

– Mów mi Craig – powiedział zniechęca pan Rooney, odchylając się wygodniej na oparcie fotela, zdejmując okulary i trąc zaczerwienione oczy.

Ellie szybciotko zmówiła modlitwę do wszystkich bogów, jacy byli, są i będą, aby nie był to wstęp do jakichś niestosownych propozycji. Jednak pan Rooney, przewróciwszy kilka kartek w jej teczce personalnej, nagle podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w oczy.

– Ellie, ile miałaś lat, gdy twoja matka odeszła? – zapytał.

Od tak dawna nikt nie zwracał się do niej po imieniu (ciągle tylko Jeżyk, Jeżyna i wszelkie pochodne), tak że potrzebowała kilku sekund, by ochłonać i odpowiedzieć.

– Czternaście. To wszystko jest w papierach, Craig – dodała ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Ja miałem dwanaście – powiedział, patrząc w okno.

– Tak więc, jak widzisz, wyprzedzam cię o parę punktów.

Ellie nie odpowiedziała, gdyż na te słowa nie było ani dobrej, ani niedobrej odpowiedzi. Craig nadal gapił się w okno.

– Nie będę ci doradzał pracy jako lekarstwa – podjął po chwili. – Na dłuższą metę to nie skutkuje. Za to podróż – hm – w każdym razie nie zaszkodzi.

– Pewnie nie, ehem...

– No, tak. Zresztą sędzę, że podróż w ogóle nie zaszkodzi...

Podał jej czek, poklepał ją po ramieniu, po czym włożył płaszcz i wyszedł z biura.

Ellie, gdy w końcu dotarła do domu, nie mogła usiedzieć na miejscu, co Mięśniaka zaczynało doprowadzać do szału.

– Co się z tobą, kurde, dzieje? Masz hemoroidy czy co?

– Och rozumiem, że przy twoim delikatnym zdrowiu trudno ci myśleć o czymkolwiek innym niż hemoroidy, ale nie ciesz się, to nie to. Zdarzyło się coś wspaniałego i jestem po prostu podekscytowana, dzięki za troskę.

– A co się... – no nie... tylko nie mów, że Unia Europejska zarządziła, że wszystkie baby, jak mają okres, mają automatycznie tydzień wolnego.

Poglądy Mięśniaka na Unię Europejską były jasne i stanowcze, co więcej, wyrażał je przy każdej okazji, a czasem i bez.

– Ach, nie. Ale pewnie słyszałeś, że uchwalili, że odtąd piłki do rugby muszą być sześciennie, żeby pasowały do europejskich norm?

Mięśniak aż zszarzał.

– Co za skurwiele. Ale my im jeszcze pokażemy... Do mieszkania wpadła Julia, wlokąc za sobą Artura.

– Co to za nowiny? – zawołała, wyplątując się z płaszcza.

– Zaznaczam, że pojawiłem się pod przymusem – wtrącił kwaśno Artur.

– Sześć godzin czekałem na twój telefon...

– Biedaczek, No dobra, oto moje wielkie nowiny... – zaczęła Ellie, mieszając palcem w szklance z cosmopolitanem.

Julia zacisnęła usta. Ellie wyjęła palec ze szklanki.

– ...albo może wasze najpierw...

Julia jęknęła, padła na kanapę i zaczęła się na niej mościć.

– Mięśniak, chcesz cosmopolitana? – spytała Ellie, rozlewając drinka do pozostałych szklanek.

– Co, ten pedalski soczek? O, przepraszam Arturze, bez obrazy.

– Bez obrazy, kaczoruku. Ellie, po jednym dla wszystkich.

– Nie powiedziałem, że chcę...

– Masz tu coś specjalnie dla siebie. Koktail owocowy dla dużych, silnych facetów. Same witaminy.

– No dobra. Rozumiem, że to miała być finałowa scena z *Pretty in Pink**. No, prawie finałowa – prychnęła Julia.

– A wiecie – Ellie jak zawsze złapała podrzucony temat – ta kiecka była naprawdę ohydna. I jeszcze w zestawieniu z rudymi włosami... to było zupełnie nie na miejscu.

* *Pretty in Pink* – amerykański film z 1986 r. znany w Polsce tylko z kaset video (polski tytuł: *Ślicznotka w różowym*), oczywiście z A. McCarthym w głównej roli męskiej.

– Całkowicie się zgadzam – powiedział Artur – nawet jak na ówczesne standardy, było to zupełnie nie na miejscu. A pamiętajmy, że ówczesne standardy były do rzygu...

– Zamknij się na chwilę, dobrze. I spróbujmy sobie przypomnieć...

– Dobrze już, dobrze.

– Co Andrew powiedział Molly? Dokładnie w ostatniej scenie?

– Czyżby powiedział: „Nie jestem pewien, czy ta różowa sukienka naprawdę pasuje do twoich rudych włosów”? – spróbował zagadać Artur.

– Nie! On powiedział: „Wierzę w ciebie – natomiast nie wierzę w siebie”.

– Julia, to najgłupsza i najbanalniejsza kwestia wszech czasów.

– Nie, nie kojarzycie? Myślę że... to jest dokładnie to, co muszę zrobić. Albo przynajmniej spróbować zrobić.

– Niby co? – Ellie aż wychyliła się w przód, cała podekscytowana.

– No, chodzi o Loxy'ego, ty idiotko. Chodzi o to, że on jest w porządku. Jest wspaniały. To ja stanowią problem. Tak więc...

– Ehem?

– No, trzeba odnaleźć Andrew McCarthy'ego. Wchodzę w to. Muszę, kurczę, dowiedzieć się, o co mu do cholery chodziło. Chcę się dowiedzieć, czy znalazł miłość tylko dlatego, że – tu zaczerwieniła się – że był najprzystojniejszym i najmiłszym facetem na świecie. I mam zamiar odkryć czy – wierzę w siebie na tyle, by przejść przez to wszystko i no, ee... może wyjść za mąż, a może nie...

– O rany. Super! – wrzasnęła Ellie.

– Żadnych gratulacji! Mam już tego, o, potąd. Wygląda to w końcu tak, jakby wszyscy dookoła uważali, że i tak nic lepszego mi się nie trafi, i że skoro ktoś mi się oświadczył, to obowiązkowo powinnam z marszu odpowiedzieć „tak”, niczym jakaś skrajnie zdesperowana, przechodzona panienka, którą nie jestem – dodała właściwie niepotrzebne.

– To znaczy, Julia, że wychodzisz za mąż? – odezwał się radośnie Mięśniak. – Kurde, gratuluję. Ten twój Loxy jest całkiem niezły, jak na kogoś... ee... no, białego inaczej...

Reszta przyjaciół wymieniła wymowne spojrzenia.

– Dobra – westchnęła Ellie – obleję mu skarpetki moim lakierem do paznokci albo jeszcze lepiej – uperfumuję mu jego gacie...

– Słuszałem – zagrzechotał Mięśniak.

– Czyli Loxy nie jedzie z nami? – spytał Artur. Julia potrząsnęła głową.

– Loxy, jak na razie, nawet nie odbiera telefonu – przyznała z pewnym zawstydzeniem. – Ale tę wyprawę, tak sędzę, muszę odbyć sama i dla siebie.

– Przez chwilę zapatrzyła się przed siebie. – No dobra, Jeżyna, mów teraz, jakie są twoje nowiny?

– Nigdy byście nie zgadli – oznajmiła Ellie.

– Przestań mendzić – warknął Mięśniak. – Ktoś cię przeleciał?

Ellie odwróciła się do niego.

– O ile dobrze pamiętam – zauważyła słodziutko – to dokładnie dwa tygodnie temu to ty próbowałeś mnie namówić na małe bara–bara.

– Owszem, próbowałem, ale mnie załatwiłaś odmownie, nie pamiętasz? Uchlałem się na amen.

– Odeszłam z pracy.

– Co zrobiłaś? – wrzasnęła Julia, po czym spojrzała na Artura i wrzasnęła jeszcze głośniejszym głosem – Ty wiedziałeś?

– A ty mi nie powiedziałaś, że wychodzisz za męża...

– Uszom własnym nie wierzę...

– Spoko! Wszystko gra. Dostałam odprawę – oznajmiła Ellie.

– I jak myślisz, na jak długo ci wystarczy? Jeżyna, jak mogłaś zrobić coś takiego bez zaplanowania...

– Wszystko zaplanowałam – odpaliła Ellie. – Na początek: Kalifornię.

– No, a potem, gdy wrócimy! Rzucasz wszystko w imię tej podróży?

– Jak wrócimy, wszystko może wyglądać inaczej. To zresztą główny powód tej wyprawy. Wciąż nie kojarzysz? Chodzi o wielką, generalną,

całkowitą zmianę. Żeby wszystko wywrócić do góry nogami. Ja już zaczęłam. Ty zresztą też.

Julia wzruszyła ramionami.

– No, tak jakby...

– ...a poza tym, Andrew powie mi, co robić.

– Cholera, nie powie! Wszystko, na czym się zna, to aktorstwo. No, może jeszcze trochę kelnerowanie.

– No, ale ty przecież zamierzasz zapytać go, czy powinnaś wychodzić za mąż.

– Dziewczęta, uspokójcie się.

– W końcu, kurczę, zrobiłam to także dla niej – poskarżyła się Ellie.

– Ojej, przepraszam Jeżynko – sumitowała się Julia.

– Przecież wiem, że nie cierpiałaś tej roboty...

– Jak cholera!

– ...I byłaś bardzo dzielna...

– Jak jasna, pieprzona cholera!

– Tyle że... to w końcu była całkiem przyzwoita praca..., w ogóle, to czy jest jakaś praca, którą byś lubiła?

– Oczywiście! Chętnie zostałabym majoretką!

– Jeżyna, to nie jest praca! To... to tylko rozrywka.

– Faktycznie. Ubaw po pachy... Tak czy owak, już na to za późno. No, i już podpisałam wszystkie papiórki. Za dwa tygodnie będę wolna jak ptak!

– Zara, zara! – wtrącił Mięśniak. – A co z forszą za chatę, co?

– Och, nie martw się kaczorku – odezwał się Artur

– jak raz znam kogoś, kto szuka właśnie jakiegoś kąta. Tylko na trochę, może akurat na czas wyjazdu Jeżyny.

– Kto to? – spytała podejrzliwie Ellie.

– No, on mieszka z rodzicami – powiedział Artur – i potrzebuje trochę, no, przestrzeni.

– O nie! – zawołała Ellie – Stanowczo zabraniam!

– Ale będzie płacił? – zainteresował się Mięśniak.

– Ach tak, bez problemu. Robi w telekomunikacji.

– Kurczę, on zakłada budki telefoniczne! – wrzasnęła Ellie. – Nie, nie i jeszcze raz nie. Mięśniak, naprawdę nie sędzę, byś chciał mieszkać z Colinem. Ty masz najprawdziwsze uprzedzenia, a on jest najprawdziwszym gejem. Cholera, to zabrzmiało jak kretyński wstęp do idiotycznego sitcomu.

– Ale on będzie płacił, tak? – zagadnął z namysłem Mięśniak.

– Jeżyna, ile mu płacisz za tę norę – zapytał Artur. Ellie szybko podała mu sumę prawie dwukrotnie wyższą od rzeczywiście płaconej.

– Słuchaj Mięśniak, załatwmy to tak. Colin wypisze czek, a ja go zrealizuję.

Mięśniak zmarszczył oblicze, obliczając coś w myślach.

– Dobra, myślę, że pójdę na to – powiedział w końcu.

– Wspaniale! – zawołał Artur. – Teraz będziemy mogli się kochać we wszystkie dni tygodnia!

– Zaczynam prawie żałować, że tego nie zobaczę – westchnęła Ellie. – Chyba zamontuję w pokoju kamerę.

– Jedną mamy, jakbyś chciała – powiedział radośnie Artur.

Następne dwa tygodnie minęły tak szybko, że spakowały się, zanim to w ogóle spostrzegły. No, prawie. Dzień przed wyjazdem schludnie spakowana torba Julii stała przy wyjściu w jej mieszkaniu, natomiast Ellie u siebie wrzucała do plecaka rzeczy na chybił trafił, upychając je łokciami i kolanami.

– Latarka!

– Jest! Nie, zaraz, Jeżyna po jaką cholerę nam latarka?

– Co, nie oglądałaś *The Goonies*? Zapałki sztormowe?

– Są!

– Nieźle nam idzie – zauważył Artur. Ustalono zostało – wobec rozlicznych zajęć, które absolutnie wymagały jego obecności – że Ellie i Julia spędzą w Los Angeles trochę więcej czasu, niż planowały, próbując namierzyć bohaterów Brat Pack, a potem miały ruszyć do San Francisco, gdzie mieli na nich czekać Artur (i jego kowbojski kapelusz). Czwarty z kupionych przez Siobhan biletów należał formalnie do Loxy'ego, ale na razie nikt z Julią nie poruszał tego tematu, jako że stawało się coraz bardziej oczywiste, że Loxy z nimi nie jedzie.

– Na lotnisku w Los Angeles weźcie taksówkę. Dajcie kierowcy adres hotelu. O, ten tu. Potem zabierzcie się za szukanie tego waszego idolka lat osiemdziesiątych. Trzy dni powinny wam wystarczyć. Potem wynajmijcie samochód i jedźcie, jedźcie, o tak, wzdłuż tej linii...

– ...niczym Struś Pędziwiatr – zachichotała Ellie.

– O ile się da, z mniej katastroficznymi skutkami, oczywiście. Zabieracie mnie z San Francisco; spotykamy się o, tutaj następnego dnia. Po tym będziecie już bezpieczne, w godnych zaufania i zręcznych rękach.

– Bardzo zręcznych – chrząknął Colin.

– A ty, skarbie – odwróciła się do niego Ellie – przeprowadzasz się do mej chaty z własną pościelą. Czy wyrażam się jasno?

Siobhan wywróciła oczami i rzuciła:

– No i nie zapomnijcie o najważniejszym. Z każdego małego miasteczka, w jakim się zatrzymacie, wysyłacie anonimowe wyroki śmierci, wiecie komu.

– Rany boskie, Shiv. Dlaczego po prostu nie urwiesz się z roboty na tydzień i nie pojedziesz z nami? To byłoby dokładnie to, czego ci teraz potrzeba – powiedziała Julia.

– I możesz wziąć bilet Lo... – w tym momencie Artur zaszedł Ellie od tyłu i stanowczo zatkał jej usta dłonią.

– Ach, byłabym doprawdy fantastycznym towarzyszem podróży – burknęła Siobhan. – Nie, dziękuję, postoję. A ściślej mówiąc, zostanę tutaj, by nadal obmyślać plany mej okrutnej zemsty, na–wiecie–kim.

– Ale, pomyśl o tych wszystkich wysokich, przystojnych, białozębnych, kukurydzą pasionych Amerykańcach! Doprawdy nie pojmuję, jak możesz olewać taką okazję! – zawołała Ellie. – Słuchaj, jeśli chcesz, możemy nadłożyć drogi i zahaczyć o Alaskę. Tam na jedną kobietę przypada czterdziestu roz..., to jest, chciałam powiedzieć, facetów.

– Hm, właściwie nalegałbym na to małe nadłożenie drogi – wtrącił Artur.

– Albo może skoczmy do Seattle? Tam możesz upolować jakiegoś komputerowego magnata...

– Taa, czyli mam wybierać między drwalem a okularnikiem? Pomijając już fakt, że co najmniej połowa ich cierpi na chroniczną otyłość? Nie mówiąc już o tym, że wszyscy oni to jedna zgraja dupków...

– A Hawaje? – spytała Ellie.

– Jeżyna, ty chyba zdajesz sobie sprawę, że Ameryka jest znacznie większa od Wielkiej Brytanii? – spytała lekko zaniepokojona Julia.

– No jasne, ale chyba nie za bardzo? Tak czy śmak, jak tylko odnajdziemy Andrew McCarthy'ego, mamy potem mnóstwo czasu, żeby się powłóczyć po Stanach. A on na pewno będzie nalegał, by jego szofer zawiózł

nas, gdzie zechcemy. Albo... ojej... – wiecie, zastanawiam się, czy on ma własny helikopter?

Artur i Julia wymienili spojrzenia.

W tym momencie do mieszkania wsunął się Loxy. On i Julia próbowali już sobie to i owo wyjaśniać. Julia próbowała uzasadnić swą decyzję chęcią upewnienia się co do własnych uczuć. Loxy ze swej strony podejrzewał, że to dość wyszukany sposób na połączenie przyjemnego z pożytecznym: rzucenia go i zarazem zafundowania sobie atrakcyjnych wakacji. Oczyma duszy widział już czarną przyszłość: Julia po powrocie zmienia zamki, numer telefonu i nie poznaje go na ulicy. Wszyscy powitali go z nieco zbyt podejrzanym entuzjazmem. Pozdrowił wszystkich i usiadł przy Julii.

– No więc, Lox – zaczęła Siobhan z fałszywą swobodą

– zamierzasz skorzystać z, hihhi, hojności Patryka?

Loxy wzruszył ramionami i wbił wzrok w podłogę. Julia próbowała wiać go za rękę. Pozwolił jej na to, ale z wyraźnym brakiem zwykłego w takich sytuacjach entuzjazmu.

– Pomyślałem, że wpadnę, żeby... ee... się pożegnać

– powiedział w końcu szorstko.

– Ale wyjeżdżamy przecież dopiero jutro... Wzruszył ponownie ramionami.

Julia rozejrzała się wokół. Wszyscy błyskawicznie pojęli jej niemy przekaz i zmyli się z pokoju.

– Kochanie – szepnęła, łagodnie dotykając jego policzka. – Myślę, że ten wyjazd będzie z korzyścią dla nas obojga. Trochę czasu z dala od siebie, żebym mogła wszystko przemyśleć.

– No tak, oczywiście – odpowiedział. – I przy okazji pobzykać się z kowbojami.

– Nie zamierzam się z nikim bzykać, a tym bardziej z kowbojami! – wrzasnęła wstrząśnięta Julia.

– A ja owszem – westchnął Artur, wraz z Ellie i Siobhan obserwujący całą scenę zza drzwi kuchennych.

– Dobrze, jedź. Jedź szukać siebie albo czego tam chcesz i cokolwiek to jest; skoro to jest dla ciebie ważniejsze... skoro musisz się za tym czymś uganiać, zamiast zostać ze mną...

– Na litość boską, Loxy! Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Dlaczego niby mam robić tylko to, co ty chcesz?

– Noo tak, to skrajny egoizm z mojej strony, że chcę, abyśmy byli razem...

Teraz już nie trzymali się za ręce, stali w pewnej odległości od siebie, nawzajem mierząc się wzrokiem. Po chwili Loxy odetchnął głęboko i powiedział cicho: – No, to baw się dobrze – po czym odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

– Masz to jak w banku! – wrzasnęła za nim Julia, po czym padła na krzesło i głośno pociągnęła nosem. Przyjaciele natychmiast porzucili swe kryjówki, dopadli do niej i wszyscy na wyprzódki zaczęli ją głaskać, klepać i pocieszać.

– Rany boskie! Co mu odbiło? On myśli, że jadę tam, bo chcę się uganiać za innymi facetami!

Ellie i Artur popatrzyli na siebie, jednakowo unosząc brwi.

– Jak tak dalej pójdzie, to gotów jest wywlec mnie z samolotu siłą, a ja wtedy przejrzę na oczy i odtąd będziemy obydwójce żyli długo i szczęśliwie – załkała Julia, wydmuchując nos.

– O, to tak, jak zrobił Ferris Bueller... – zaczęła Ellie.

– Jasna cholera – warknęła Siobhan. – Julia, nie masz najlepszego pojęcia o tym, jakie masz cholerne szczęście...

– Właściwie to też bym się tam wypuścił – powiedział rozmarzonym tonem tato Ellie.

– Rozumiem. Żeby się coś działo.

– Byłem tam w sześćdziesiątym ósmym, z twoją matką, zanim ona jeszcze zdecydowała, że...

Ellie, słysząc te słowa, nagle wróciła pamięcią do tamtej sceny, którą ujrzała, gdy wróciła ze szkoły: tato siedzący przy stole, tyłem do drzwi, jakiś taki przygarbiony, ze świstkiem papieru w dłoni i do połowy pustą butelką whisky stojącą tuż obok.

– Tato?

Odwrócił się wtedy ku niej jakiś taki zakłopotany i zmartwiony.

– Tato, co robisz?

– Twoja matka... – zaczął. Z przerażeniem zauważyła, że z trudem powstrzymuje się od płaczu. A przecież rodzice nigdy nie płaczą...

– ...odeszła. Do Plonckton. Z jednym takim Archiem, księgowym.

– Na jak długo? – zapytała wtedy naiwnie Ellie.

– Obawiam się, skarbie, że na zawsze – odpowiedział tato i z trudem przełknął ślinę. – Chodź, usiądź przy mnie.

Objął ją wtedy mocno, a Ellie – do której z wolna docierało, co się naprawdę stało – patrzyła tylko przed siebie szeroko otwartymi, suchymi oczami.

Ale to nie było jeszcze najgorsze. W końcu mamy i tatusiowie często, a właściwie cały czas, się kłóca, czasami się rozstają; miała wokół siebie aż nadto przykładów. Ale zawsze łączyło się to z zażartą walką o prawo opieki i

prawo do odwiedzin i ciągnięcia dzieci do ZOO w weekendy. Natomiast z Plonckton dobiegała tylko martwa cisza.

Początkowo ojciec próbował żartować na ten temat. – To taka dziura. Nawet nie samo Plonckton. Żadnej elektryczności. Pewnie próbuje pisać listy przy świecach.

Z czasem zaprzestał tych żalonych dowcipów.

– Przyznaj się – spytała nieśmiało Ellie, gdy kończyła szesnaście lat – czy aby na pewno mama po prostu nie umarła, a ty nie chcesz mi o tym powiedzieć?

Oczy taty wtedy tak się jakoś zamgliły.

– Nie, wciąż jest w Plonckton, z tym księgowym. Ale wierz mi, Jeżyku, że to los gorszy od śmierci.

– No i jak było? – zapytała taty, wracając do rzeczywistości.

– Ach, cudownie. Wpłynęliśmy do nowojorskiego portu o świcie, a okręt przepływał tuż obok Statui Wolności.

– Rany, to musiało być niesamowite – westchnęła Ellie. – Całkiem jak *Titanic*, tylko że, ehem, niezatopiony.

– Twoja matka wściekła się na mnie, zresztą słusznie, bo chciałem wysłać pocztówki, więc ona musiała czekać...

– No tak, pisać to nigdy nie lubiła – westchnęła Ellie.

– I wciąż się spieszyła – powiedział tato. – Zupełnie jak ty.

– Pysznie – stwierdziła Ellie kwaśno. – Może lepiej od razu skoczę do kliniki zapisać się na sterylizację?

– Wybacz, Jezusiu – tato poklepał ją po ramieniu. – Ty przecież wrócisz stamtąd do mnie, prawda?

– Oczywiście że wrócę, tatusiu.

Uściskał ją, po czym oboje zamilkli na chwilę, lekko zakłopotani.

– ...no, ale śniadania to tam dawali najwspanialsze, jakie jadłem w całym moim życiu. Wiesz, że oni szynkę oblewają syropem klonowym?

– Błee – Ellie plastycznie wyraziła swój dyzgust, po czym wróciła do swej głównej troski związanej z wyjazdem: co zrobić, by tato pod jej nieobecność przypadkiem nie wyłączył lodówki i nie umarł z głodu albo z zatrucia zepsutym żarciem.

– Popatrz, tato. Tu jest lista – podała mu kartkę z wypisanymi na niej – jak największą czcionką – instrukcjami. Tato przyjrzał się jej podejrzliwie.

– Po co tyle jajek? – zapytał.

– Na wszelki wypadek. Jajecznice najłatwiej zrobić. I jest pożywna.

Tato wzruszył ramionami.

– Lepiej pamiętaj, żeby mi przywieźć coś wolnocłowego.

– Pewnie. A co byś chciał? Wielkie Toblerone czy misia-maskotkę?

Tato zachichotał i uściskał ją ponownie.

– Uważaj tam na siebie, Jeżyku. W Ameryce jest mnóstwo drani.

– Wiem, wiem. Poczynając od ich prezydenta. Nie martw się, będę ostrożna. A poza tym jak byłam w supermarkecie, przy okazji kupiłam spluwę.

– Jezusiu. Ja nie żartuję. W końcu masz już trzydzie...

– Taato...

– Skarbie, wiesz dobrze, że jesteś wszystkim, co mam. I wciąż jesteś moją małą dziewczynką.

– Wiem, tatau – Ellie spotulniała, po czym jednak rezolutnie dodała – nie martw się. Jeśli nauczę się żyć po amerykańsku, to gdy wrócę, będę już bardzo dużą dziewczynką.

Colin wyglądał na bardzo szczupłego i drobnego wśród stosów swoich toreb i waliz.

– Wiesz, nigdy jeszcze nie mieszkałem... ee... poza domem.

Mięśniak zachrzękał dość nerwowo, gdzieś w głębi.

– Będzie dobrze – powiedziała Ellie. – Musisz tylko pamiętać, żeby siusiać do muszli, a nie obok...

Artur, sapiąc, wstaczał ostatnie bagaże Colina po schodach.

– A, tu jesteście, dzieciaki – zawołał. – Masz, Colin to te twoje książeczki z serii *Sweet Valley High*...

– I pamiętaj – ciągnęła Ellie – jeśli będziesz gotował, że Mięśniak je tylko potrawy zaczynające się na „b”...

Z przedpokoju dało się słyszeć parskanie obmówionego.

– Brokuły, brukselka, banany... Przekąska Big Makiem, a zapija browarkiem...

Colin pokiwał głową.

– I nie pozwól mu kupować pastylek czekoladowych. On ma za grube paluchy, żeby wyciągać je z tubki, a wtedy strasznie się stresuje i robi się niebezpieczny...

– Powiedz mu, że bezy też jem – przypomniał Mięśniak.

– Aha. A jeśli rybne paluszki, to tylko marki Bird's Eye. I koniecznie z brązowym sosem, broń Boże z keczupem.

– Dobra – powiedział Colin, patrząc w podłogę.

– I masz być w łóżku o dziesiątej... – ciągnęła Ellie.

– No, Jeżyna, nie przesadzaj... – jęknął Artur.

– Przecież to dla twojego dobra... – zachichotała Ellie. Przed domem dało się słyszeć trąbienie taksówki.

Artur otoczył ją ramieniem.

– To gdzie się spotkamy?

– Ehem... w San Diego?

– Jeżyna! Gdzie się spotkamy?!

– Uhum... w San Taclus?

– Cholernie dowcipne.

Wyłowił z kieszeni plecaka jej kalendarzyk i otworzył. Na każdej stronie wpisane było: „San Francisco. ZA DZIESIĘĆ DNI”.

Ellie roztrzęsiona i rozkojarzona pokiwała głową. Truuuuu! Taksówkarz zdawał się tracić cierpliwość. Ellie odetchnęła głęboko.

– Już idę! – odwrzasnęła.

– Wielkie dzięki za ten pokój i za wszystko – powiedział nieśmiało Colin.

– Nie ma za co. Miłego mieszkania.

– Wielkie pieprzone dzięki za tę odrobinę spokoju, jaki mnie czeka – odezwał się Mięśniak. – Teraz będę sobie mógł spokojnie oglądać pornosy, bo nie będzie tu pewnych osób, które miały zwyczaj specjalnie głośno gadać przez cały czas.

– Rany, to było tylko raz – odwarknęła Ellie. – A poza tym to nie ja zaprosiłam wtedy twoich rodziców.

Taksówka zatrąbiła ponownie.

– Idź już – poprosił Artur. – Pożegnania zawsze przyprawiają mnie o łzy, a jeśli ten taksówkarz wkurzy się czekaniem i odjedzie, to z tym plecakiem na skuterze Mięśniaka na lotnisko nie dojedziesz.

– I lepiej żebyś tego nie próbowała – warknął Mięśniak. – Dobra, Colin, chodź pooglądajmy sobie jakiś futbol. Na pewno to polubisz. Rozumiesz, to jak balet, tyle że dla facetów.

– Już za wami tęsknię – westchnęła Ellie, dźwigając swój stary, spłowiały różowo-szary plecak. Obejrzała się jeszcze, obrzucając spojrzeniem ten swój nędzny pokój ze sflaczałymi zasłonami w oknach, za którymi

rozciągał się przepiękny widok na pojemniki na śmieci. Na jednym z nich wylizywała sobie tyłek tłusta kocica.

Gdy wrócę, obiecała sobie, wszystko będzie lepsze niż to, co jest teraz.

Z drugiego pokoju dobiegał dudniący bas Mięśniaka.

– I pokażę ci, jak się przyrządza Bovril. Jak zrobisz porządny, to normalnie łyżka w nim staje i zmywać nie trzeba...

– Wszystko... – mruknęła do siebie, zamykając drzwi.

Julia siedziała samotnie w swym małym, nieskazitelnym mieszkanku, czekając na Ellie i taksówkę i cały czas wpatrywała się w swój serdeczny palec. Loxy nie oddzwaniał. Jakaś jej część wiedziała, co należałoby zrobić, by przerwać ten stan rzeczy; wystarczyłoby zadzwonić i powiedzieć... Właściwie co? Pobierzmy się, ponieważ na dwa małżeństwa jedno się rozpada i to w skali globalnej, wliczając w to małżeństwa z rozsądku, aranżowane oraz ortodoksyjnie katolickie, a głównie dotyczy to przedstawicieli wielkowiejskiej klasy średniej po trzydziestce i że małżeństwa międzyrasowe też mają wysoki wskaźnik rozpadalności... w sumie mamy jak najpoważniejsze widoki na rozwód. Z drugiej strony myśl o tym, że może go już nie zobaczyć, sprawiała, że było jej na przemian mdło, zimno i gorąco.

Milion razy przeklęła go za to, że wpakował ją w tę sytuację bez wyjścia i sprawił, że jej dobrze zorganizowane i ustabilizowane życie gwałtownie wypadło z szyn.

Popatrzyła ponuro na telefon, potem zaś na swoją schludnie zapakowaną walizkę, odetchnęła głęboko i wstała. Usłyszała taksówkę.

TTLR

5

Wylot, przylot i kompletny odlot

– Czy jest możliwość dostania miejsc w klasie biznesowej?

Stewardesa popatrzyła tak jakoś poprzez nie, jakby nic nie zostało powiedziane. Julia szturchnęła Ellie w ramię.

– Sama pakowałaś te torby?

– Przepraszam – zaczęła raz jeszcze Ellie – ...ale my... jedziemy do Stanów żeby... uhm... wyjść za mąż.

– Umn... albo i nie – mruknęła Julia.

– ...i zastanawiamy się, czy jest jakaś możliwość, żeby dostać miejsce w kla...

– Nie – odpowiedziała w tym momencie stewardesa, po czym dodała – Nie odpowiedziałam pani wcześniej, gdyż pomyślałam, że będzie to dla pani mniej krępujące...

Ellie mężnie przełknęła porażkę.

– No i dobrze – zaświergotała. – Ameryko, nadchodzimy! Julia, zbieraj rzeczy...

Stewardesa uznała za stosowne wtrącić wielce profesjonalnie.

– Wejście numer 354. Pasażerów na wasz lot wywołują właśnie po raz ostatni, więc na waszym miejscu, panienci, raczej bym się pospieszyła...

– Ale właśnie chcieliśmy się pokręcić i usłyszeć, jak wywołują nasze nazwiska...

Julia rozpaczliwie szturchnęła Ellie w plecy, a raczej w plecak. – Rany. Jeżyna. Chodźmy juuż...

– Wywołają albo i nie. To nie jest konieczne – oznajmiła słodko uśmiechnięta stewardesa. – Jak uważacie...

– No to cześć! – wrzasnęła Ellie, gdy obie z Julią przebiegły wreszcie przez bramkę.

– No i teraz nie mamy czasu, żeby zajrzeć do sklepów wolnocłowych – jęczyła Julia, gdy obydwie zaczęły desperacko miotać się po ogromnej hali, poszukując jakiegokolwiek znaku z tytułem „Odloty międzynarodowe”.

– No i bardzo dobrze. Po co nam niby one teraz? Masz zamiar taszczyć jakąś cholerną, ciężką butlę Bailey’a trzy tysiące mil? W końcu jedziemy do kraju, gdzie WSZYSTKO jest tanie. Zamierzam zacząć palić. I używać benzyny.

– Tokuj sobie, ile chcesz, ale jesteśmy cholernie spóźnione – warknęła Julia.

Biegły, sapiąc, długim korytarzem o metalicznych ścianach, przypominającym scenerię tanich filmów futurystycznych, starając się nie taranować po drodze większej liczby starszych pań i drobnych dzieci niż niezbędne minimum.

– Że też ten cholerny Mięśniak nie chciał nas podrzucić na lotnisko... – Ellie starała się złapać oddech.

Julia trzepnęła ją (po plecaku) grubym plikiem czasopism zabranych na drogę.

– Dziewczyno, czyś ty nigdy nie słyszała o odwiecznej banalności zła?

Wreszcie dojrzały niepokojąco długi ogonek przy kontroli paszportów oraz rozblaskujące na ekranach napisy „Ostatnie Wezwanie”. Ellie zaczęła nerwowo grzebać w torebce w poszukiwaniu biletu. Julia poganiała ją nerwowo, od czasu do czasu przykładając jej plikiem czasopism.

– No, ruszaj się! Ruszaj!

– Dobra, dobra. Nie szalej. Będzie dobrze. Andrew na nas poczeka...

– Ale niestety nie będą w nieskończoność trzymać samolotu tylko dla nas, pojmij to wreszcie – jęknęła Julia. – Gotowi jeszcze wywalić nasze bagaże na płytę i cześć.

– Zatrzymaj się! Stój! – darła się dalej. Złapała swój ręczny bagaż i wykonała pełny obrót w tył zwrot.

– Rany, pogięło cię? – zapiszczała Ellie. – To w końcu jesteśmy spóźnione czy nie? A może jak jechaliśmy na lotnisko, zmieniła się strefa czasowa?

– Zamknij się! I popatrz!

Przewieszony przez barierkę odgradzającą dział odlotów, rozpaczliwie machał w ich kierunku... Loxy.

– Pasażerów udających się do Los Angeles, lot BA 1237, prosimy o niezwłoczne udanie się do wyjścia. Ostatnich pasażerów na ten lot prosimy natychmiast do wyjścia 354. Zakończyliśmy odprawę. Jeszcze raz wzywamy ostatnich pasażerów. Dziękujemy.

– Rany boskie, on to robi! – wrzasnęła Ellie, a nagle przypomnienie sobie sceny z filmu podkręciło jej emocje. – Zrobi tak jak Ferris!

– LOX! – Julia z piskiem rzuciła się w jego stronę, roztrącając tłum, po czym również – tyle że w odwrotną stronę – przewiesiła się przez barierkę. Kilka osób w starszym wieku, które stratowała po drodze, przyglądało się jej z wyraźnym zainteresowaniem i sympatią.

– Nie pożegnałem się jak należy! – mamrotał Loxy z twarzą ukrytą w jej włosach. – Przepraszam, skarbie!

– Ja też przepraszam, złotko – odwdzięczyła się Julia. Oboje objęli się ciasno ponad barierką.

– Pasażerki Eversholt i Denford proszone są o niezwłoczne udanie się do wyjścia 354; samolot jest gotów do startu...

– Rany boskie, przestań panikować. No dobra, nasza kolej. No to BIEGIEM!

– O żesz ty w życiu...! Stój! Zatrzymaj się! – wrzasnęła Julia i stanęła w miejscu jak wryta.

– Ja... tego... – sapał Loxy, miętosząc Julię w objęciach – Kurczę. Kocham cię. Ty też mnie kochasz. Julia... proszę. Pobierzmy się. Choćby tu. Na lotnisku jest kaplica...

Jakaś para, chyba Amerykanów, zaczęła klaskać i pokrzykiwać.

– Nie pozwolę, by odjechała! – zawołał nagle Loxy na całą salę. – POBIERAMY SIĘ!

Tłum zaczął klaskać.

– Boziu... – jęknęła Julia.

– Pasażerki Eversholt i Denford – jeśli nie stawią się panie natychmiast przy wejściu 354, wasze bagaże zostaną usunięte z samolotu...

Ellie pomachała w kierunku jednego z wózków transportowych. Julia wciąż zaplątana w ramiona Loxy'ego rzuciła jej zrozpaczone spojrzenie.

– No, więc – Ellie postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce – to jedziesz, czy zostajesz?

– Loxy – zakwiliła Julia. – Już ci mówiłam. Ja... ja po prostu nie wiem.

Jego twarz momentalnie skamieniała. Wezwany przez Ellie wózek podjechał i Ellie wskoczyła do niego. Loxy powoli, bardzo powoli opuścił ręce.

Tłum zaczął buczeć.

– Co jest?! – wrzasnęła Julia. – Co wam do tego, taka wasza... kobieta ma prawo do... do... o, kurwa, niech to...

– Panienko, lepiej żeby pani wsiadła i TO JUŻ – powiedział rozsądnie kierujący wózkiem.

– Pasażerki Eversholt i Denford... – ponownie zagaił głośnik.

– JULIA! – ten okrzyk wydali zgodnie razem Ellie i Loxy, oboje zaniepokojeni, każde z innego powodu. Julia bezradnie patrzyła to na jedno, to na drugie. I nagle – wskoczyła na wózek.

– Dobra! JAZDA!

Wózek ruszył z kopyta i z maksymalną szybkością – czyli około 5 mil na godzinę – zostawiając za sobą samotnego i zgnębionego Loxy'ego, wciąż trzymającego w ręku pudełeczko z pierścionkiem. Otaczający go gapie pocieszająco klepali go po plecach.

Gdy wózek przebył już jakieś sto stóp, Ellie popełniła ten błąd, że obejrzała się za siebie i nagle w tłumie mignęła jej znajoma sylwetka.

– Słodki Jezu – powiedziała głucho.

– Kotku! – krzyknął ten ktoś.

– Słodki Jezu – powtórzyła tępo.

A wtedy ponad zgiełk i łomot wypełniający lotnisko popłynęły dźwięki czegoś, co mogło być, ale raczej nie było największym przebojem zespołu „Baker Street”.

Gdy Ellie wreszcie weszła na pokład samolotu, powitały ją spojrzenia współpasażerów wyraźnie mówiące, że prędzej wybaczyliby jej ojcobójstwo, kanibalizm czy zamach na rodzinę królewską niż to, że przez nią lot BA 1273 wypadłby z rozkładu i musiał potem czekać Bóg wie ile czasu na wolny korytarz powietrzny.

– Mogę dostać gin z tonikiem?

– Nie – odpaliła z kamienną twarzą stewardesa. – Nie, dopóki nie wzniesiemy się w powietrze. O ile to w ogóle nastąpi.

– Nie – burknęła Ellie pod nosem, gdy stewardesa odeszła. – Nie, dopóki nie awansujesz na przełożoną stewardes

– o ile to w ogóle nastąpi.

Po czym pogрузzyła się w studiowaniu repertuaru oferowanych do wyboru filmów.

– Rany, popatrz – szturchnęła wciąż osowiałą Julię.

– Możemy wziąć *Uciekającą pannę młodą...*

– Ale śmieszne, ha, ha. Do rozpuku – Julia odebrała jej program i sama zaczęła go przeglądać. – Rany! Popatrz! Mają *Love story* i *Angielskiego pacjenta* i *Titanica* i *Czule słówka...* Czy nie mają jakiegoś filmu pod tytułem *Dwoje Ludzi Ma Wątpliwości Czy Się Pobrać, Ale Wszystko Kończy Się Szczęśliwie ?*

– Poszukaj w dziale fantasy i science-fiction – poradziła życzliwie Ellie.

Julia próbowała popatrzeć przez okno, ale siedziała zbyt daleko. Natomiast bardzo blisko niej znajdował się rozkoszny bobas, usiłujący przyciągnąć jej uwagę za pomocą energicznych kopniaków wymierzanych w bok jej fotela. Wydawało się, że dysponuje niewyczerpanymi zapasami energii i najwyraźniej przymierza się do pobicia rekordu w uprzykrzaniu długiego lotu.

– Myślę, że oni nas nienawidzą – szepnęła Ellie, patrząc na zawodowo uśmiechniętą stewardesę prezentującą użycie kamizelki ratunkowej – popatrz na tylko na tę tutaj. Założę się że życzy nam wszystkim nagłej śmierci.

– A czego właściwie oczekujesz od pokazu użycia kamizelek ratunkowych i masek tlenowych? Kabaretu? Niech ona lepiej to szybko skończy, a wtedy będziemy mogły zacząć się w pełni rozkoszować podróżą powietrzną – choćby możliwością zamówienia tylu drinków, ile zmieścimy, albo i więcej. A prawdę mówiąc, JUŻ TERAZ pilnie potrzebuję jednego

głębszego... – Julia zaczęła przestawiać wskazówki swego zegarka i ciągnęła dalej.

– W Los Angeles jest teraz chyba czwarta rano. Wydaję mi się, że to całkowicie i absolutnie odpowiednia pora, by zacząć się urzynać.

– Absolutnie – zgodziła się Ellie.

W końcu udało się im zamówić (podwójny!) gin z tonikiem i uszczęśliwione stuknęły się plastikowymi szklaneczkami.

– No to! Jesteśmy na czasach...!

– Za wywczasy! – Za Andrew!

– Za odnalezienie tego, czego szukamy!

– Myślisz, że uda mi się wrócić do 22 cali w talii, które miałam w wieku 16 lat? – zapytała Ellie.

– Chyba tylko wtedy, gdy znów zaczniesz nosić gorset...

– Mam nadzieję, że zdążyły na samolot – westchnęła tego samego wieczoru Siobhan, siedząc z Loxym w Elms i smętnie siorbiąc cosmopolitana.

Loxy wzdrygnął się lekko i pokrótce wyjaśnił, co zdarzyło się na lotnisku.

– Ojej, tak mi przykro – Siobhan pocieszająco poklepała go po ramieniu. Loxy wzruszył ramionami.

– Dajmy temu spokój. A ty, jak spędziłaś dzisiejszy dzień? Teraz przyszła kolej na Siobhan na ten sam ruch ramion.

– Myślałam, że będę układać plany zemsty i odwetu, a skończyło się na tym, że ryczałam w poduszkę. A one – niech się tam dobrze bawią...

– Hmm – mruknął Loxy, gapiąc się bezmyślnie przed siebie. – Byle nie za dobrze...

– No, oczywiście – zgodziła się Siobhan, po czym znów poklepała go po ramieniu. – Nie martw się o Julię. Przecież wiesz, jaka ona jest wrażliwa.

– Która godzina? – wymamrotała Julia piętnaście godzin później, gdy zataczając się, przemierzała bezkresną halę lotniska.

– Niewim – odpowiedziała równie bełkotliwie Ellie. – Bierz... torby.

– Ostaw torby. Ee... wciąż mom to... – Julia podniosła w górę dwie miniaturowe flaszeczki z ginem.

Ellie przetarła oczy, które wypełnił żwir i piasek z pustyni całego świata i niezdarnie sięgnęła po jedną. Julia zdzieliła ją pięścią w ramię.

– Nie powinnaś... nie powinnaś mówić temu miłemu facetowi, że jest komunistą..., zdecydowanie nie powinnaś...

– O rany, niektórzy to, kurde, nie znam się na żartach...

– O, popatrz!! Znowu jakiś facet!

Zwalisty bysio w żółtej kamizelce upychał przyjezdnych do taksówek; bez oporu dały się wepchnąć do jednej z nich.

– Dokond chcom jechać? – zapytał taksjusz, nie zaszczycając ich ani jednym spojrzeniem.

Ellie popatrzyła na Julię, której głowa podejrzenie opadała to na jeden, to na drugi bok. Z pewnym wysiłkiem przywróciła ją do pionu.

– Balham Park Road 79a – wyrecytowała Julia swym najelegantszym i najwytworniejszym tonem, akcentując każdą sylabę.

– Ee? – taksówkarz obrócił się ku nim.

– Nie! – wrzasnęła Ellie. – Nie! Do Los Angeles!

– Prosię bardzo. A Los Angeles, to gdzie panie chcom?

Julia spojrziała w okna, głowa ponownie opadła jej w bok i momentalnie usnęła; ani wrzaski Ellie, ani rozgłośnie trąbienie taksówek za nimi nie zdołały jej obudzić.

Ellie zaczęła gorączkowo grzebać w torebce, ale nie znalazła niczego, co wyglądałoby na adres hotelu. A nawet w swym zamroczeniu zdawała sobie

sprawę, że na dobranie się do torby Julii z zamkiem otwieranym na hasło (i chyba skanowanie siatkówki) nie było najmniejszych szans.

Siadła prosto i patrząc na mrugające w oddali miliardy świateł, próbowała sobie przypomnieć jakieś znane jej miejsce w Los Angeles.

– Proszę do hotelu California – wybełkotała.

– Chiba nie znam tego adresu, paniusiu.

Ellie czknęła i zmusiła się do myślenia. Hotel. Hotel? Hotel!

– Do Ritza! – powiedziała w końcu. I osunęła się w błogą nieświadomość.

Była szósta rano i jeszcze całkiem ciemno, gdy Ellie przebudziła się nagle, zapatrzyła w sufit nad sobą i zaczęła się zastanawiać, gdzie do nagłej i niespodziewanej cholery się znajduje i co tu właściwie do stu tysięcy par beczek robi? Może – rozmyślała – miałam wypadek samochodowy i teraz jestem w szpitalu? Tak, to by wyjaśniało ten koszmarny ból głowy... Ale dlaczego wciąż ubrana? Podniosła ramię, które zdawało się ważyć tonę i jakoś udało się jej zapalić stojącą na stoliku nocną lampkę.

– Kurwa!

W stabilnym świetle zaczęła rozróżniać stopniowo szczegóły otoczenia: coś za dużo ozdóbek i bajerów jak na szpital. Na sąsiednim szerokim łóżu chrapała głośno Julia, skulona jak niemowlę wśród wykrochmalonych białych prześcieradeł. Ich bagaże stały schludnie rzędkiem pod ścianą.

– Cholera! – Ellie nagle zapragnęła zasnąć znowu albo przynajmniej umrzeć. Niczym w *Odmiennych stanach świadomości*, w jej umyśle zaczęły się pojawiać rozmaite bardzo ambarasujące sceny z poprzedniej nocy. Ktoś chyba spadł z jakichś schodów? Otarte do krwi kolano nieśmiało sugerowało, że to chyba ona. Potem było jakieś rozpaczliwe wymachiwanie kartą kredytową i krzątający się wokół zatroskani boye i portierzy... O, Boziuuu...

Zastanawiała się, czy budzić Julię. Problem nieoczekiwanie rozwiązał się sam poprzez nagłą potrzebę udania się do łazienki, co zaowocowało odkryciem, że rozbitemu kolanu towarzyszy najwyraźniej skręcona kostka.

– Booziuu! – kwiknęła, próbując złapać się czegokolwiek.

– Co? co się dzieje? Omójboże! Piekło i szatani! Ale mnie łupie...

Złapała się oburącz za głowę.

– Na litość boską, kurwa mać, co się stało?

– Tak do końca to nie wiem – pisnęła Ellie, podskakując na jednej nodze

– ale liczę na to, że w barku mają dostateczną ilość Red Bulla.

Julia potrząsnęła obolałą głową.

– Jezu Chryste. Gdzie my jesteśmy?

– W Ameryce.

– Dzięki, tyle to i ja pamiętam. Ouu...

– Jesteśmy w Los Angeles...

– Rany, musiałam przysnąć w taksówce. To przez tę różnicę czasu...

Ellie prychnęła głośno i znacząco. Julia rozejrzała się po pokoju, marszcząc brwi.

– Tu jest ciut za wytwornie jak na Holiday Inn – powiedziała powoli – ale może tutaj jest inaczej...

– Ach – chrząknęła Ellie.

Ostrożnie rozchyliła zasłony; na zewnątrz właśnie wschodziło słońce. Za oknem widać było ocean, palmy i wszystko, co tylko można zobaczyć z trzydziestego piętra.

– No to... witamy w Ameryce.

Julia tępo gapiła się przed siebie. Ellie pewnie robiłaby to samo, ale w tej chwili uwagę jej rozpraszał postawiony przed nią talerz załadowany górą najwspanialszych naleśników, jakie w życiu widziała.

– Więc mówisz mi – mówiła powoli Julia, wypijając duszkiem czwartą już szklanekę soku pomarańczowego – że po prostu przeputałyśmy połowę przeznaczoną na naszą wspaniałą wyprawę forsą na opłacenie doby w najlepszym hotelu świata, a ty nawet o tym nie pamiętasz?

– Sądzę – powiedziała ostrożnie Ellie, zlizując z palców klonowy syrop – że w ten sposób okazałyśmy pewien styl.

– Sądzę – odpowiedziała chłodno Julia – że w ten sposób wyrzuciłyśmy do wychodka parę setek dolców.

– Nie przesadzaj, w końcu wydałam tylko piątkę... na napiwek. Chyba – bąknęła Ellie.

– Kurczę, chodzi o ciut więcej niż ta twoja piątka! Rany boskie, Jezyna! Jak do ciężkiego licha mogłaś nie zapamiętać nazwy hotelu, w którym miałyśmy się zatrzymać! Wystarczyło wrzasnąć temu taksówkarzowi „Holiday Inn”. To takie trudne?

– Nie wiem, nie wiem i na litość boską przestań się drzeć. Co się stało, to się nie odstanie.

Ponieważ zorientowały się, że śniadanie u Ritza może kosztować je tyle, ile planowane wynajęcie samochodu, postanowiły zjeść coś na mieście. Gdy przechodziły przez marmurowo–lustrzany westybul hotelu, cały personel gapił się na nie z wyraźnym zainteresowaniem.

– Rany boskie – syknęła Ellie – myślisz, że zrobili nam zdjęcia?

– Jestem więcej niż pewna – odsyknęła Julia – ale bardziej martwi mnie myśl, czy oni przypadkiem ich gdzieś nie sprzedali?

Wyszły przez obrotowe drzwi prosto w słoneczny żar i nikły cień rzucany przez kołyszące się na lekkim wietrze palmy. Wiodący ku plaży deptak był pełen pięknych blondynów i blondynek, przemierzających się głównie na wrotkach. Niebo było aż przeraźliwie niebieskie.

– Ojoj – jęknęła Ellie. – Cholerne słońce. Strasznie razi w oczy.

– A ja bardzo bym chciała, żeby ta cała ciżba zeszła mi z drogi – warknęła Julia.

Gdy w końcu znalazły niedużą i niedrogą jadłodajnię, rozsiadły się z ulgą i zaczęły testować wytrzymałość i dobre serce sympatycznej kelnerki: jak długo wytrzyma ona wypijanie przez nie kolejnych kubków darmowej kawy.

– Pierwszy raz w L.A.? – spytała je, gdy tylko weszły. Obie wtedy ostrożnie pokiwały głowami, tak ostrożnie, że kelnerka błyskawicznie rozpoznała ciężkiego kaca.

– Pewnie pierwszy raz pijecie naszą *kfawę*? – spytała, gdy napełniała kubek Ellie już chyba po raz siódmy.

Julia kopnęła przyjaciółkę w obolałą kostkę, zanim zdążyła powiedzieć coś głupiego, po czym uśmiechnęła się przyjaźnie do kelnerki.

– Jesteś aktorką? – zapytała. Dziewczyna wyglądała na jedną z tych, co to prowadzają się z gwiazdami futbolu amerykańskiego, a potem sprzedają historię swego złamanego serca kolorowym szmatławcom. Jej paznokcie prze-
rażały długością, a blond włosy przypominały watę cukrową. Ilekroć nachylała się nad blatem, by dolać im kawy, jej biust ani na milimetr nie wypływał z dekoltu.

– Nie, jestem normalną, najprawdziwszą kelnerką. I kocham tę pracę. No, to już wasza ostatnia kolejka kawy. Teraz, wybaczcie. Muszę trochę poszczerzyć zęby do tych obleśnych facetów, tam w kącie, ponieważ tak w ogóle to istotnie jestem aktorką.

W rogu sali stół istotnie okupowała grupka zapasionych facetów w okularach przeciwsłonecznych; zarykiwali się głośno i ostentacyjnie pokazywali jeden drugiemu, co sądzą o biuście kelnerki.

– Musimy wymeldować się z hotelu – powiedziała Julia – w końcu mamy tu spędzić jakiś czas, a nasze karty kredytowe mogą tego nie wytrzymać.

– Moja już chyba tego nie wytrzymała...

– Mogłaś nie kupować tego całego chłamu w samolocie. Po kiego grzyba były ci na przykład te perfumy? Przecież w ogóle nie używasz perfum. I na pewno nie potrzebujesz aż dwóch zegarków.

– Oczywiście że potrzebuję. Jeden na czas londyński, drugi na losangeleso... losangelito... losandzelański. Chcę być na bieżąco...

– A piórnik w kształcie samolotu?

– Ale jesteś upierdliwa, Julia. Dobrze, twoje na wierzchu.

– No i lepiej od razu zorganizujemy sobie jakieś cztery kółka...

– I będziemy mogły rozpocząć nasze poszukiwania? – zawołała podekscytowana Ellie.

– Albo pójść na plażę... – rozmarzyła się Julia.

– Nie! Poszukiwania! Wyprawa! Po tośmy tu przyjechały!

– No dobrze, niech ci będzie. Trzeba zdobyć jakąś porządną książkę telefoniczną.

– Książkę telefoniczną?

– Oczywiście. A jak inaczej zamierzasz szukać swego idola?

– Książka telefoniczna? To... to... skrajnie nieromantyczne. A poza tym nie sadzę, by wielcy gwiazdorzcy figurowali w książce telefonicznej.

– No, wielcy gwiazdorzcy nie. Ale on przypuszczalnie tak.

– Nieee, to bez sensu. Myślę, że powinniśmy pójść gdzieś... no, w takie jakieś modne miejsce, tam gdzie bywają gwiazdy filmowe. Chciałabym, żeby to wypadło tak jakoś... naturalnie. Zaraz, mam pomysł. Przepraszam, czy można? – Ellie skinęła na kelnerkę.

– Nie, nie można – odpowiedziała tamta. – Za dużo *kafeiny* na pewno nie wyjdzie wam na zdrowie.

– Ach, nie o to... – zarumieniła się Ellie – Ale skoro już o tym wspomniałaś...

Kelnerka westchnęła ciężko. – Rany, dziewczyno, ty już normalnie zioniesz kawą. Naprawdę nie chciałabym się z tobą całować. No, chyba że jesteś producentką...?

Ellie ostrożnie potrząsnęła głową.

– No, tak i przypuszczałam. Ale chciałyście o coś...

– Ehem – chrząknęła Julia. – Gdzie tu właściwie bywają, to znaczy gdzie można spotkać gwiazdy filmowe?

Kelnerka ryknęła zdrowym i bardzo głośnym śmiechem.

– Jak to gdzie ? W Hollywood. No, albo tu, oczywiście. A o kogo wam konkretnie chodzi?

Pokrótce wyjaśniły jej cel swej wyprawy.

– Kurczę, to najgłupszy pomysł, o jakim w życiu słyszałam. Pomyślałyście, żeby zajrzeć do książki telefonicznej?

– Pomyślałyśmy.

– No dobrze, nie burmuscie się, pomyślimy razem. Taa, możecie spróbować w takim lokalu... Sky Bar... na Bulwarze Zachodzącego Słońca, się rozumie. A poza tym, dobrze wam radzę, to na taki obchód musicie się dużo lżej ubrać...

– O ile lżej?

– No, powiedzmy... osiemdziesiąt do osiemdziesięciu pięciu procent.

– Czyli co... kostiumy kąpielowe? – spytała Ellie.

– Bikini! – prychnęła kelnerka.

– Widziałaś kiedyś, jak ciasto rośnie i wypływa z formy? Tak mniej więcej wyglądam w bikini – burknęła Ellie.

– No, może nie bikini, ale coś plażowego koniecznie.

I podkolorujcie się trochę. Obie wyglądacie jak dusze potępione...

– To tutaj „interesująca bladość” nie jest w użyciu?

– Jeśli bladość, to „wymięta z powodów aż nadto oczywistych”.

– Ciekawe – zauważyła Ellie. – Trzeba o tym donieść naszej Karolinie Usmarkanej Lafayette.

– Wielkie dzięki za pomoc – powiedziała Julia.

– Nie ma za co – odrzekła kelnerka. – A jak byście szukały Roba Lowe, to bym się z wami wybrała.

Recepcjonista w Ritzu przyglądał się im z mieszanią zaciekawienia i z trudem maskowanej pogardy.

– Jestem pewna, że w istocie to naprawdę uroczy facet, tak jak ten recepcjonista w *Pretty woman*... – syknęła Ellie teatralnym szeptem wprost do ucha Julii, która usiłowała – bez ściągnięcia zbytnej uwagi – dyskretnie wymeldować je z hotelu.

– Muszę uprzedzić, że jeśli zechce pani tu wrócić, musi pani robić rezerwację z wyprzedzeniem – oznajmił sztywno recepcjonista.

– ...albo jak ten... no, jak mu tam było... z tego serialu, co to...

Julia z kamienną twarzą przystrojoną w odpowiednio zblazowany wyraz typu co-to-dla-mnie-wymeldować-się-z-pięciogwiazdkowego-hotelu-na-który-mnie-nie-stać podała „uroczemu facetowi” swoją kartę kredytową.

– Dziękuję i polecamy się na przyszłość, szannapani. Obie z ulgą ruszyły do czekającej już taksówki.

– Och, i szannapani... zostawiła pani... ehem, *to*.

I „uroczy facet” z wrednym uśmiechem podał jej dwie miniaturowe – do połowy opróżnione – buteleczki z ginem.

– No, tu jest całkiem miło – powiedziała Julia, rozglądając się po ich nowym, malutkim i ciemnym pokoiku hotelowym. Po podłodze nieśpiesznie truchtał olbrzymi tłusty karaluch.

– Julia, chyba słyszę... chyba strzelają!

– Wcale nie strzelają, to... no, nieważne. Głowa do góry, Jeżyna! Będzie dobrze. Teraz przeberzmy się w coś lżejszego i w drogę...

Lecz Ellie już jej nie słuchała. Rozciągnięta w poprzek łóżka, chrapała tak głośno, że mogła śmiało zagłuszyć każdą strzelaninę.

6

Wszystko różowe

Gdy następnego poranka stanęły obie przed ogrodzonym sznurami wejściem na parking, były mimo wczesnej pory całkowicie wypompowane i stłamszone; złożyło się na to i przebudzenie o niemożliwej godzinie, i dotkliwe uczucie ssania w żołądku (od wczoraj były na czczo), wreszcie dwie godziny strawione na oczekiwaniu na taksówkę, która dowiozła ich wreszcie do miejsca, gdzie wynajmowano samochody.

Zdecydowały się na niedużą Toyotę, która wyglądała mniej więcej tak, jakby ktoś wziął normalny samochód i wypatroszył dokumentnie jego wnętrze. Wyjeżdżając z wypożyczalni, z miejsca zjechały w niewłaściwą stronę (co zresztą miały konsekwentnie powtarzać później, podczas całej wyprawy).

– No, dobrze – westchnęła Julia, studiując wajchy, dźwignie i drążki – przynajmniej udało się zmienić biegi.

– To miała być wajcha skrzyni biegów? Wyglądała jak lizak Kojaka...

– Ciicho bądź. Muszę się skupić.

Po dusznym i zakurzonym parkingu wypożyczalni autostrada na początku wydawała się pełnym światła i powietrza rajem. Wkrótce jednak przemieniła się w piekło, a raczej w obłąkany labirynt pasów rozwidlających się w co najmniej dziesięciu różnych kierunkach, wiodących nie wiadomo dokąd. A poza tym Julia zapomniała kupić mapę, a Ellie miała powtórny napad amnezji co do nazwy ich hotelu. Rozgrzane i lepkie plastikowe siedzenia Toyoty zdążyły się już przylepić im do pleców i siedzeń, i obydwie

– choć żadna za nic by się nie przyznała – marzyły już tylko o tym, by być z powrotem w domu, w kochanej, deszczem zalanej Anglii.

– Słuchaj, a właściwie ile czasu jedzie się do San Francisco?

– Ehem, myślę, że jakieś pół godziny. Przecież to ten sam stan...

– No to zrobimy sobie małą rundkę po mieście. Mamy czas...

Nagle tocząca się autostradą ciężarówka wielka niczym dom omal po nich nie przejechała; w następstwie gwałtownego hamowania poleciały z niej na jezdnię elementy prawdziwego domu z białych desek.

– O ŻESZTY! – wrzasnęły obie chórem. Julia kurczowo chwyciła się kierownicy.

– Rany boskie – jęknęła Ellie, gdy już oddaliły się na bezpieczną odległość. – Może powinniśmy odbyć naszą wyprawę na rowerach?

– O tak, rowery byłyby na tej drodze o wiele bezpieczniejsze – sapnęła Julia, wciąż jeszcze blada i spocona z przerażenia. – Ale poza tym jest dobrze. Nawet bardzo dobrze. Pchamy się amerykańską autostradą pełną gigantycznych maszyn w tym żalonym maleństwie, które na dodatek skonstruowali ludzie nie mający żadnych, ale to żadnych powodów, by lubić Amerykanów... Mówię ci: będzie świetnie.

Sapnęła jeszcze raz i włączyła radio. Na szczęście popłynęły z niego znajome akordy z lat osiemdziesiątych. Ellie natychmiast podkręciła głoś.

– O – oznajmiła zadowolona – teraz to brzmi jak Los Angeles.

Radio darło się na cały regulator. – WEŹ JĄ ZA RĘKĘ. I COŚ PLANOWAŁ, ZRÓB ZARAZ...

Ellie otworzyła okna Toyoty. Z włosami targanymi przez wiatr, w takt głośnej muzyki, nagle uspokojone i szczęśliwe ruszyły na zachód, do serca Los Angeles.

Niestety, już po godzinie dotarła do nich oczywista prawda: Los Angeles nie ma serca. Ani fizycznie, ani metaforycznie.

– Kurde, jak to możliwe, że to wciąż ta sama ulica? – biadała Ellie. Radio grało teraz – niezmiernie stosownie w danej chwili – „Nie przestawaj myśleć o jutrze”. Julia wciąż kurczowo ścisnęła kierownicę, no i wciąż nie miały mapy.

– To nie ulica, to bulwar – syknęła – z prawie jedenastoma tysiącami domów!

– Rany. To musi być kanał, jak ktoś zacznie nie od tego końca... No i biedni listonosze... Dobra, dobra, już się zamykam.

W przedniej szybie zatańczyły słoneczne „zajaczki”.

– Jejku, czy to morze – połapała się w końcu Ellie, pokazując palcem na lśniąca złotem i srebrem linię przed nimi. A może ośleplam od tego słońca?

– Nie! To jest to! To morze! – wrzasnęła podekscytowana Julia.

– Juhuhu! Ale mam nadzieję, że wciąż jesteśmy w Los Angeles? Chyba że tak jechałyśmy, jechałyśmy i dojechałyśmy do Seattle? Jak całe Zachodnie Wybrzeże jest tak ciasno zabudowane, można się nie zorientować...

– Ojej, patrz, tu jest drogowskaz! Zaraz... Ee... „Plaża Wenecja”?

– Nie sądziłam, że dojechałyśmy aż tak daleko... do samej Wenecji? I... o Boziu!

Zatrzymały się na wprost morza. Przed nimi rozpościerały się nieskończone połacie złocistego piasku i błękitnego nieba oraz hordy oszłamiająco pięknych kobiet i oszłamiająco pięknych mężczyzn. Czasami trudno było zresztą rozpoznać, kto jest kim.

– Ty, popatrz tylko na tych wszystkich facetów... same muskuły! Nieprawdopodobne! – Julia aż sapnęła z wrażenia.

– I jacy oni wszyscy są... ee... lśniący – westchnęła Ellie, wysiadając z samochodu.

Kątem oka złowiła swe własne odbicie w szybie Toyoty, po czym spojrzała na tłum opalonych, złotowłosych, długonogich dziewczyn w bikini; jedne grały w siatkówkę plażową, inne jeździły na wrotkach, jeszcze inne po prostu przechadzały się, kołysząc wdzięcznie biodrami i potrząsając rozwiewanymi przez wiatr włosami. Niektóre zaś zadowalały się leżeniem na piasku, tak by wszyscy mogli podziwiać ich idealnie opalone i perfekcyjnie wymodelowane figury.

– Julaa... – jęknęła Ellie, wciąż przyglądając się swemu odbiciu w brudnej szybie – nie jestem gruba, prawda?

Julia starannie zamknęła samochód.

– Oczywiście że nie jesteś... – zaczęła, po czym podniosła wzrok i spojrzała na plażę i wszystko, co na niej było, po czym dokończyła – no, ee, niby w porównaniu z czym?

– No to jestem. Jestem gruba. To znaczy tutaj jestem gruba – zaskrzypiała skwaszona nagle Ellie, skwaszona w najlepszym i najczystszych brytyjskim stylu. – To kanał. Myślisz, że będą rzucać we mnie... ee... zgniłymi pomidorami albo...?

– Ty rzucasz czymkolwiek w ludzi, którzy wedle ciebie są za grubi?

– No nie... to znaczy, wtedy... ee, pamiętasz, co to...

– Dość tego – ucięła stanowczo Julia. – Przebierzmy się i pokorzystajmy z tego piasku, słońca i morza. WRESZCIE poczułam, że to naprawdę wakacje, a nie jakiś niekończący się koszmar senny.

– Jeśli zaskowyczysz jeszcze choć raz, uprzedzam, że po prostu uciekam stąd, siadam za kółko i odjeżdżam – powiedziała Julia tonem pogroźki jakieś cztery godziny później.

– A too taak pieczeee...

Były już w hotelu po upojnym dniu na bajkowej plaży. Julia – zdając sobie w pełni sprawę z beznadziejności swych wysiłków – usiłowała jakoś ratować spaloną do żywego mięsa skórę Ellie grubymi warstwami kremu.

– Ile razy ci mówiłam, żebyś wreszcie zeszła ze słońca i przestała się podsmażać? Kurczę, masz chyba oparzenia trzeciego albo i wyższego stopnia!

– Ale ja mogłam być na słońcu dłużej niż ty, bo ty jako blondynka...

– Jeżyna, znasz mnie pi razy oko dwadzieścia lat i dobrze wiesz, że nie jestem naturalną blondynką!

– Auu! No... no tak. Cholera, nie jestem pewna, czy to smarowanie pomoże. – Ellie znów syknęła z bólu. – Może kup więcej tubek, wyciśnij je do wanny, a ja się w niej położę...

Julia starała się wcierać krem w zmaltretowaną skórę przyjaciółki najdelikatniej, jak potrafiła.

– Gdzie ty miałaś głowę, Jeżyna? Ellie znów zaskowyczała, ale cichutko.

– No... ehem, to jest tak, że cały czas myślałam, że... no, że tyle razy już się tak fatalnie spiekłam, że tym razem muszę pamiętać, żeby nie przesadzić ze słońcem...

– No, i...

– No i tak sobie myślałam, myślałam, a potem nagle... było już za późno. Auuu!

– Kurczę, masz przecież dwa zegarki!

– Jeśli nie zadziałał mój wrodzony instynkt samozachowawczy... to co tu mogły pomóc zegarki...? auu!

– Naprawdę chcesz koniecznie iść dziś wieczór do tego całego Sky Bar, czy jak to się tam nazywa? W tym stanie? Obawiam się, że masz chyba trochę

gorączki. No i jak wsiądziesz do samochodu? Już jak wracaliśmy z plaży, był z tym problem...

– Zostawiłam kilka warstw skóry na siedzeniach tej wrednej maszyny... właściwie to wcale jej nie lubię...

– Słuchaj, może dziś zostaniemy w hotelu, a do tego Sky Bar wybierzmy się jutro wieczorem?

– Nie! – wrzasnęła Ellie, dźwigając się z trudem do pionu. – Co niby miałabym robić w tej zafajdanej norze? Polować na karaluchy?! Czuję się już o wiele lepiej, to znaczy o ile nie wejdę w bezpośredni fizyczny kontakt z czymkolwiek...

– Noo, zważywszy że – tak jak nam radziła tamta babka w knajpie – musimy ubrać najkrótsze i najbardziej wydekoltowane kiecki, jakie mamy, to chyba rzeczywiście wszystko będzie dobrze...

Ellie, posykując i wzdrygając się co chwila, narzuciła wreszcie na swe zbolące ciało luźną czerwoną sukienkę kupioną tuż przed wyjazdem.

– Hmm... wcale nie wygląda źle... – stwierdziła Julia, gdy obie przeglądały się w zmętniałym, pociemniałym lustrze. W rzeczywistości Ellie, której skóra miała odcień świeżo ugotowanego homara, w czerwonej sukience wyglądała jeszcze ogniściej. Patrząc na swe odbicie w lustrze, zauważyła nagle, że...

– Eee... Julia? Nie uważasz, że wyglądam jak... jak...

– Jak ktoś bardzo, ale to bardzo przypieczony... – podsunęła Julia.

– Nie, popatrz! Wyglądam dokładnie jak Molly, tylko na odwrót!

– Dokładnie jak Molly, tylko na odwrót... – powtórzyła powoli Julia – może zechcesz mi to łaskawie wyjaśnić?

– Różowa skóra i czerwona sukienka! Zamiast różowej sukienki i czerwonych... to znaczy rudych włosów! Mówię ci, to znak!

– Znak czego...?

– Tego, że skoro włożyłam tę właśnie sukienkę, to dziś wieczór na bank spotkam Andrew McCarthy'ego! Co, nie widzisz, że to nie jest zwykły zbieg okoliczności, tylko zbyt oczywisty okolicznik zbiegu...

– Chyba nie powinniśmy jednak iść – powiedziała sucho Julia. – Mówiłam, że masz gorączkę. Zaczynasz majaczyć.

– To na pewno znak!

– A co jeśli spotkasz Andrew McCarthy'ego, ale na odwrót? Takiego, co będzie miał kwadratową szczękę i niskie czółko? Ręczę, że w tej wersji zupełnie ci się nie spodoba!

Julii udało się w końcu wypłatać Ellie z tej czerwonej sukienki i ubrać ją w inną, w której nie wyglądała już aż tak bardzo jak ogromny wulkaniczny pryszcz i teraz obie stały przed odgrodzonym sznurami – jak wszystko w tym mieście – wejściem do Sky Bar na Bulwarze Zachodzącego Słońca i nerwowo spoglądały jedna na drugą.

– Jesteście na liście gości? – zapytał jeden z niepokojąco atrakcyjnych wykidajłów.

– Nie – szepnęła Ellie do ucha Julii – ale obaj jesteście boscy...

– Nie – powiedziała Julia. – Dopiero co przyleciałyśmy z Londynu. Mamy tu spędzić parę dni i... no, mamy nadzieję że wpuscicie nas, żebyśmy mogły się... no wiecie... rozejrzeć...

Obaj bramkarze popatrzyli jeden na drugiego, wzruszyli ramionami, po czym uważnie zlustrowali wzrokiem Julię. Najwyraźniej jej efektowna blond grzywa i wspaniałe nogi zadziałały prawidłowo; jeden z wykidajłów wyszczerzył się w szerokim uśmiechu i odsunął sznur blokujący wejście. Po czym aż się zakrztusił, zobaczywszy schowaną za plecami Julii, Ellie.

– Ee... to wasz pierwszy dzień w L.A.? – Zagadnął błyskotliwie, mierząc wzrokiem jej przypieczone na rumiano nogi i ramiona.

– Ach nie, mieszkam tu od dziesięciu lat. Ale lubię się opalać – odgryzła się Ellie, rozeźlona.

Wewnątrz lokalu jakaś nieprzyzwoicie wręcz piękna dziewczyna dość agresywnie zażądała ich dowodów tożsamości.

– Rany, czy ja wyglądam na mniej niż osiemnaście lat? – zdumiała się szczerze Ellie.

– Tu pełnoletniość liczy się od dwudziestu jeden lat, moja panno – wyjaśniła sucho niesympatyczna piękność.

– To znaczy, że wyglądam na mniej niż dwadzieścia jeden...? Fantastycznie!

– Mamy obowiązek sprawdzać każdego, kto wygląda na kogoś poniżej trzydziestki...

– Czyli że ja wyglądam... na... poniżej trzydziestki?

– Ellie wyciągnęła paszport – doprawdy...

– Ona już skończyła trzydzieści – powiedziała usłużnie Julia.

– Dzięki ci, przyjaciółko do grobowej deski.

Obie wspięły się kręconymi schodami do położonego na półpiętrze baru. Tam przystały i rozejrzały się wokół siebie.

– Jezu – westchnęła Ellie. – Ja chyba umarłam i poszłam do nieba...

Przed nimi rozpościerał się ogromny taras ocieniony drzewami, na których porozwieszane było mnóstwo wielokolorowych lampek. Na samym skraju tarasu wielkie kolumny tworzyły ramę dla rozległej, pełnej światła i cieni panoramy Los Angeles. W samym środku tarasu znajdował się, wyłożony marmurem, obszerny basen. Wokół niego krążyli piękni i pięknie ubrani ludzie, popijający różnokolorowe drinki. Cała sceneria wydawała się

idealnym odtworzeniem wszystkich fantazji Ellie o tym, jak powinien wyglądać bar w Hollywood.

Obie przyjaciółki, pogapiwszy się na otaczające je cuda z otwartymi ustami, szybko oprzytomniały i przybrały możliwie zblazowany i nonszalancki wygląd.

– Czy aby nie władowaliśmy się na plan jakiejś reklamówki? – syknęła Julia – jakichś cudów–niewidów niedostępnych dla prostych śmiertelników?

– Baa... nie jestem pewna... – odsyknęła Ellie. – Rany, spójrz tam! Czy to nie jest...? – syczała dalej, wymieniając nazwisko sławnego gwiazdora telewizyjnego.

– Chyba raczej nie – zauważyła trzeźwo Julia – bo właśnie pakuje język w gardło innemu facetowi...

– Rany... to znaczy, że on jest gejem... – jęknęła Ellie. – Boże, to się nie dzieje naprawdę...

– Wolałabym zachować go w pamięci jako dzielnego weterynarza wojskowego, który w wolnych chwilach rozwiązuje zagadki straszliwych zbrodni – westchnęła Julia.

– Rany, popatrz tam. Ten facio... ma chyba z pięćdziesiątkę, a obcałowuje nastolatkę. Może trzeba kogoś uprzedzić?

– Nie sędzę. Podejrzewam, że to jest tutaj przyjęte.

– Noo, niby tak... Ale, ale... za kogo wyszła Catherine Zeta–Jones? Za Michaela Douglasa czy za jego tatuśka?

Usiadły wreszcie – Ellie z maksymalną ostrożnością

– i sącząc podane im cosmopolitany, poczuły się zbyt błogo i bezpiecznie, by kłopotać się takimi drobiazgami jak konieczność wymiany waluty. Gdyby jej dokonały, pewnie dotarłoby do nich, że być może będą

musiały rozejrzeć się za hotelem jeszcze bardziej zapuszczonym i zakaraluszonym niż zajmowany dotychczas.

– Rany, tu jest istne ONZ pięknych kobiet – westchnęła zazdrośnie Ellie, patrząc na otaczające je zewsząd doskonałe rysy i kształty wszystkich ras i kolorów. – O ile te boginie tutaj w ogóle wiedzą, co to jest ONZ i do czego służy.

– Słuchaj, czy ja przypadkiem nie mam jednej piersi większej od drugiej? – spytała Julia, przyglądając się swemu odbiciu w wodzie basenu.

– Myślę, że skoro już tu jesteśmy – odparła Ellie – musimy sobie po prostu dać siana z wszelkim dążeniem do perfekcji w wyglądzie. Jesteśmy bez szans. Pozostaje tylko zaakceptować spokojnie fakt, że w porównaniu z tutejszym gatunkiem jesteśmy parą pokracznych trolli i wszyscy tutaj mogą nas olewać. I pamiętaj, że jeśli ktoś zacznie się kręcić koło ciebie i coś nawijać, to na pewno po to, by zaangażować cię do jakiegoś pornosu.

– Dzięki za ten doprawdy przyjacielski komplement – parsknęła Julia, po czym siorbnęła swego drinka.

– Nie ma za co, trolliczko.

Jakieś dwa cosmopolitany później stwierdziły, że ich nowo odkryta „niewidzialność” stwarza pole do niezłej rozrywki. Ponieważ ludzie istotnie omijali je wzrokiem, niczym – jak stwierdziła Ellie – psie gówienko na posadzce, zaczęły eksperymentować. Ellie spokojnie wysunęła z dekoltu najpierw jedną, potem drugą pierś, po czym próbowała dać Julii przytyczka w nos, gdy nagle podszedł do nich niewysoki, grubawy facet. Miał dość przystojne rysy twarzy i typowy wygląd miłego–Amerykanina–kukurydzą–pasionego. Zauważyły już wcześniej, jak kolejne watahy pięknych dziewczyn machały do niego i pozdrowiały go głośno, on jednak wyraźnie zignorował je wszystkie i podszedł do Julii i Ellie.

– Hej... jesteście tu nowe? – spytał, wpatrując się w Julię.

– Nie – odpowiedziała szybko Ellie. – I nie zamierzamy występować w żadnych pornosach, więc dziękujemy...

– ...za miłą propozycję – dodała Julia, na wypadek gdyby odzywka Ellie zabrzmiała zbyt nieuprzejmie.

– Hej, ja nie robię w pornosach! – zawołał facet, wybuchając gromkim śmiechem i rozpościerając szeroko ramiona. Trwał w tej pozycji przez kilka sekund, po czym powoli opuścił ręce.

Ellie i Julia spojrzały na niego niepewnie.

– Jezu słodki, a myślałem, że jeśli jest tu ktokolwiek dostatecznie dorosły, żeby mnie rozpoznać, to możecie być wy dwie.

– Zaraz, zaraz! Ja to właściwie nie mam jeszcze osiemnastki! – zawołała Ellie.

– Cholera, to przez ten kolor... – powiedział żałośnie facet, potrząsając głową. – Rany, ale to dla mnie cios...

– O co chodzi? – zapytała łagodnie Julia.

– Naprawdę nie wiecie, kim jestem? Nie kojarzycie mnie? Z filmem?

Obie spojrzały tępo na niego.

– Występowałeś w kostiumie Wookiego? – spytała Ellie.

– Byłeś najlepszym szkolnym kumplem kogoś, kto naprawdę był wredny dla kobiet, a na końcu spotkała go zasłużona kara? – próbowała zgadywać Julia.

Facet przysiadł się do nich i zrezygnowanym tonem oznajmił:

– *Soul Man...*

– Rany! – zawołała. – To znaczy, że ty jesteś... jesteś...

– Jesteś Thomas C. Howell – wrzasnęła rozradowana Julia. – Rany! Jesteś pierwszym gwiazdorem poznanym przez nas na żywo!

– Właściwie teraz to jestem Thom – facet pociągnął łyk piwa z trzymanej w rękę szklanki. – W 1986 byłem „debiutantem roku” na liście „Newsweeka”.

– Jejku, jej! Przyłączysz się do nas? Zapraszamy!

– Ee... z przyjemnością... – odpowiedział facet, rozglądając się wokół, po czym zapatrzył się na purpurowo-brązowe nogi Ellie.

– Dopiero co przyjechałyście, prawda?

– Ależ nie, po prostu próbuję zmienić kolor skóry przed wstąpieniem do elitarniej uczelni – odparła Ellie.

– Aha. Jajeczny był ten film*, no nie? – powiedział Thom, jednocześnie niedbale wzruszając ramionami, jakby chciał wyraźnie dać do zrozumienia, że nie zamierza kruszyć kopii w tej kwestii.

– A co teraz porabiasz? – spytała Julia, by podtrzymać rozmowę.

– A takie tam, przeciętnie trzy filmy rocznie i to takie co od razu idą na wideo – machnął ręką i zamówił piwo dla wszystkich trojga.

– Ależ to fantastycznie! – zawołała Ellie – to takie filmy, gdzie zbrodniecy mordują piękne prostytutki, prawda?

– Czyli wciąż jesteś gwiazdorem! – podsumowała Julia; Thom w podzięce uśmiechnął się szeroko, więc ośmielone opowiedziały mu o celu swojej wyprawy.

– Taa... – powiedział. – Aktorzy wiedzą wszystko najlepiej.

– Ciekawe dlaczego? – zapytała Ellie. – Zresztą gwiazdy muzyki pop też...

** Aluzja do dosyć głupawej komedii Rasowy stypendysta, wyświetlanej także w polskiej TV.*

– No, choćby ja – powiedział Thom – wiecie, że w latach osiemdziesiątych ludzie wciąż pytali mnie o takie rzeczy jak Gwiezdne Wojny...

– Ale przecież ty nie grałeś w *Gwiezdnym wojnach* – zaprotestowała Julia.

– Mam na myśli program obrony przeciwrakietowej...

– Niemożliwe... – sapnęła Ellie.

– Ależ jak najbardziej. Pytali mnie o wszystkie co ważniejsze wydarzenia polityczne i krajowe, i zagraniczne. To chyba ważne znać opinię różnych sław, no nie? A właśnie, czemu nie zaczniecie waszej wyprawy ode mnie?

– Naprawdę mógłbyś nam pomóc? – spytała ostrożnie Julia.

– Kurczę, nie wiem. Ale warto spróbować, nie?

Ellie popatrzyła spode łba na Julię, która wzruszyła ramionami.

– No to jazda – Ellie skinęła na Thoma.

– No to jazda – odpowiedział, po czym usiadł na podłodze po turecku. – Mój nauczyciel jogi nauczył mnie tego – objaśnił.

– Hm, umiesz siadać po turecku; praktycznie jesteś już guru – Ellie nie mogła się powstrzymać, ale Thom chyba nie załapał, że się z niego natrzęsa. Ellie tymczasem ciągnęła.

– Oto, co chcemy wiedzieć. Czy tylko my tak żeśmy sobie skiepsciły życie, czy też jest to generalny problem całego pokolenia, które po tylu obietnicach i nadziejach, jakie niosły lata osiemdziesiąte, gdy dorosło, zobaczyło, że jego życie jest nieodwołalnie do bani?

Thom odstawił piwo i przybrał poważny wyraz twarzy.

– Hmm. Interesujące. Hmm. No, nie wiem. Może to jednak wy... Dużo macie... ee... skaz na osobowości?

– A i owszem! – krzyknęła Ellie – ale być może jest to tylko moja odpowiedź na ten cały syf, który mnie otacza!

– Tja... – mruknął Thom – ale poza tym jesteście przecież starsze, no nie? O, to jest to! Z wiekiem stałyście się bardziej cyniczne...

– Doprawdy? – zdziwiła się Julia. – Wydaje mi się, że teraz wszyscy są cyniczni.

Thomas rozmyślał nad tym przez chwilę.

– Hmm – powiedział wreszcie. – To jest tak... dlaczego tak się porobiło? Nie wiem, jak to tam było u was w Anglii, ale u nas, no wiecie, gdy dorastaliśmy, to prezydentem był Reagan, a on to wciąż mówił, że wszystko będzie hiper i super na wieki wieków...

– A nie było? – zapytała Ellie.

– No, na początek, spójrzcie choćby na to... Ilu czarnych było w Brat Pack?

Obie popatrzyły na niego pytająco.

– Tylko ja – odpowiedział.

– I ty nie... – Julia zamilkła, nie chcąc konstatować rzeczy oczywistej.

– A dlaczego tak było?

– Żeby nie mieszać ślicznego, idealnego obrazka kochanej amerykańskiej klasy średniej z jakąkolwiek rzeczywistością, no nie?

– Rany, daj spokój – zawołała Ellie – nie burz mych słodkich złudzeń o tym, że filmy o Brat Pack były dokumentami...

Thom ryknął śmiechem i klepnął ją po plecach. Ellie przygryzła wargi; udało się jej nie wrzasnąć.

– Otóż to. W tym problem. Hollywood uwielbia pokazywać... ee... różnice klasowe, o ile te różnice wyglądają jak Molly Ringwald. No, i jak ja, trochę. I tyle im wystarcza.

– Ehem – chrząknęła Ellie – ale u ciebie... wszystko gra?

– Jasne – odpowiedział. – Wciąż pracuję, jestem w branży. No i wyszedłem żywy z tej przygody z Brat Pack. I na szczęście nie jestem jedynym z tych... ee... niewolników zarobku, którzy widzą, że praca raz jest, a raz jej nie ma i nikomu już nie ufają.

– No, my się poniekąd do nich zaliczamy... – powiedziała Julia.

– Hmm? – chrząknął Thom i ciągnął – moja żona na przykład pracuje w firmie marketingowej. To znaczy jeszcze pracuje, do najbliższej reorganizacji, która będzie przypuszczalnie gdzieś za miesiąc. No, ale mnie jak na razie powodzi się całkiem dobrze, co znakomicie stepia mój cynizm...

– Wiesz? – zachichotała Ellie – całkiem niezły z ciebie guru.

– Wielkie dzięki – odpowiedział poważnie. – Poza tym to dla mnie niezłe ćwiczenie do następnej roli. Mam grać psychiatrę ścigającego seryjnego mordercę pięknych prostytutek.

– Na pewno będziesz świetny – powiedziała Ellie

– a poza tym, już i tak jesteś sławny... Może wiesz jak... ee... mogłybyśmy spotkać z Andrew McCarthym?

– Mój Boże, Andy... – Thom wzruszył ramionami. – Nie widziałem go od lat. On zresztą nie z tych, co lubią to imprezowe życie...

– Nie powinien być... – szepnęła Ellie marząco.

– Nie pomyślałyście, żeby poszukać go w książce telefonicznej?

– A i owszem, dzięki za radę.

– No, to super. Cześć, fajnie było was poznać.

– I nawzajem – powiedziała Julia. – Nikt w domu nam nie uwierzy, gdy opowiemy o naszym spotkaniu...

– Zwłaszcza gdy powiemy, że to był John Cusack – mruknęła Ellie do siebie.

Przy basenie zaczął się tumult; gromada nastolatków, drąc się w niebogłosy, zaczęła szampańską zabawę ze skakaniem do wody, niektóre z dziewcząt pozbywały się przy okazji bluzek i topów. Thom przyglądał się całej scenie z niesmakiem.

– Cóż... wszystko powraca. Bikini... kokaina... – westchnął i skonkludował – znów jesteśmy w punkcie wyjścia...

Cmoknął je obie przyjacielsko i zniknął w tłumie.

Gdy wróciły do swej ciasnej i dusznej klitki w hotelu, Ellie tryskała optymizmem.

– Jakby nie spojrzeć – stwierdziła – początek był całkiem niezły...

Julia pokiwała głową raczej bez przekonania.

– Słuchaj – tokowała Ellie – jak ci się zdaje, on chyba nie próbował mnie podrywać?

– Mówię ci to po raz nie wiem już który – powiedziała znużonym głosem Julia – niechcący złapał cię za kolano, gdy wstawał, by się pożegnać, a ty wrzasnęłaś tak...

– A zresztą, nieważne – Ellie postanowiła nagle zmienić temat – słuchaj, a Loxy lubił filmy z gwiazdami Brat Pack?

– Bo ja wiem... – zastanowiła się Julia. – Ale raczej nie. Nawet na pewno nie. Chyba uważał je za typowo dziewczęńskie.

– Ojojku, te prześcieradła są szorstkie jak tarka... Chyba nie dam rady zasnąć... – zazgrzytała Ellie. – No to lulu... Chrrr...

– Jutro – mruknęła Julia wyłącznie do siebie – musimy zacząć szukać w książce telefonicznej.

Siobhan wysiadła z samochodu prosto w listopadową pluchę i ciężko westchnęła. Czowała się znużona, znudzona i zmęczona.

– Hej! – wrzasnęła mimo to dziarsko, torując sobie drogę przez ciemny i zagracony do niemożliwości przedpokój w mieszkaniu Mięśniaka. Żarówka – która i tak niewiele oświetlała – dawno się już przepaliła, ale nikomu z lokatorów to widać nie przeszkadzało.

– Hej! Jest tam kto?

Gdzieś z głębi mieszkania dobiegało ją pochrząkiwanie Mięśniaka.

– Rany, Mięśniak przestań chrumkać jak wieprz! Mógłbyś wyjść i... i, no, rany powitać mnie albo co...

– Cześć kochanie! Wszyscy już od dawna na posterunku! – zawołał Artur, wychylając się z kuchni. – Czekaając na ciebie, odskrobaliśmy co nieco i z grubsza szafki kuchenne. A było z czego...

– No, przecież wiedziałeś, że się spóźnię – usprawiedliwiała się Siobhan.
– Mam teraz tyle na głowie...

– Co? Trwała czy nowa farba? – Colin postanowił być dowcipny.

– A, cześć mały – rzuciła niedbale Siobhan. – Co, nie bawimy się samochodzikami?

– Co chcesz od samochodów? – obruszył się Colin.

– A poza tym to pomagałem Arturowi szorować te szafki i szykować kolację.

Siobhan łypnęła złośliwie w kierunku Artura.

– I co, pozwoliłeś mu oblizać łyżkę?

Artur pokazał jej język, po czym popchnął ją do salonu, szepcząc teatralnie:

– Jest tu Loxy. Idź i podnieś go trochę na duchu.

– Już się robi! Jestem świetna w podnoszeniu na duchu, zwłaszcza zdołowanych chłopaczków. Daję im niezbędną motywację, by jak najszybciej rozejrzeli się za kimkolwiek lepszym ode mnie. Dawaj mi go tutaj!

W salonie Loxy i Mięśniak zalegali w przeciwległych fotelach i nawet nie drgnęli, gdy weszła.

– Cześć chłopaki – zawołała najradośniej, jak potrafiła.

– Jak leci?

Loxy spojrział na nią oczami zranionego jelenka.

– Miałaś może wiadomości od...

Siobhan potrząsnęła głową. Loxy westchnął.

– Co oznacza, że prawdopodobnie świetnie się bawią i mają się dobrze – powiedziała pocieszająco. – Gdyby stało się im coś złego, na pewno usłyszelibyśmy o tym. No, a gdyby je na przykład tam aresztowali, to wtedy by na pewno zadzwoniły, bo wtedy przysługuje prawo do telefonu... – czując, że trochę się zaplątała, porzuciła ten temat i rześko zapytała: – A u ciebie, tak w ogóle, to jak?

– Ach, świetnie – Loxy wzruszył ramionami – poza tym że nie mogę spać ani jeść, ani...

– Nie mów, że bzykać też nie możesz... – zareagował nagle Mięśniak i roześmiał się głośno z własnego dowcipu.

– Ellie miała absolutną rację co do ciebie, Mięśniak – warknęła Siobhan, Mięśniak jednak bynajmniej się nie spieszył.

– Co, kurde, już we własnym domu pożartować nie wolno?

– Nie zostawiła ci żadnych namiarów? – spytała łagodnie Siobhan, patrząc na Loxy'ego.

Ponownie wzruszył ramionami.

– Nie. I właściwie nawet nie wiem, czy w ogóle jeszcze się do mnie odezwie. Cholera, po co pojechałem na to lotnisko?

– Ale to było słodkie – powiedziała absolutnie szczerze Siobhan. – Takie... romantyczne i szczerze. Naprawdę, coraz mniej dookoła takich porządnych facetów jak ty. Sami dranie albo wypierdki.

– Koleś, mówię ci, daj se z tym spokój – zaburczał ponownie Mięśniak. – Rusz tyłek i rozejrzyj się za jakąś laseczką... Małe bara–bara dobrze ci zrobi... No co?! Co ja takiego powiedziałem?

– Wsadź sobie gdzieś te swoje dobre rady – warknęła Siobhan – bo wypieprzę cię z twojego własnego salonu.

– Rany – jęknął Mięśniak – ja do nich z sercem, a oni mnie... z mojego własnego salonu? A pies z wami tańcował. Spadam. Pójdę rozejrzeć się za jakimś miłym pączuszkim do pobzykania... – dźwignął swe cielsko z fotela i ruszył w kierunku kuchni. – Hej, wy dwaj? Nie wyrzucajcie tych naleśników! Są jeszcze całkiem dobre! Zrobiłem je raptem tydzień temu!

– Przyniosłam wino – przypomniała sobie Siobhan – Loxy, masz ochotę?

Loxy machinalnie kiwnął głową.

– Wiesz, ja chyba zupełnie nie rozumiem kobiet – oznajmił, gdy napełniała szklanki.

– To wszystko przez to, że męskie mózgi mają bezpośrednie połączenie z jajami – wyjaśniła Siobhan – i przez to macie kłopoty z krążeniem. Ale nie martw się. Postąpiłeś słusznie. Właściwie to marzyłabym o tym, by ktoś... – tu umilkła.

– No co?

– Nic. Ona to ma szczęście... A ty... cóż, przynajmniej próbowałeś.

Oboje upili nieco wina i smętnie zagapili się przed siebie.

– No, gotowe! Nasze superchili! – Do pokoju wkroczyli zgodnie Artur, Colin i Mięśniak, dźwigając parujący gar oraz talerz załadowany kawałkami

chleba o bardzo różnym wieku i konsystencji, a także dość heteroklityczny zestaw sztućców i talerzy.

– Proszę, wino dla mnie – zadyrygował Artur. – Browar dla Mięśniaka. I koktajl mleczny dla małego.

– Art, w końcu mam już swoje lata, żeby się napić – wtrącił kwaśno Colin.

– Możemy pożyczyć książkę telefoniczną?

– Cześć! – pozdrowiła je rześko kelnerka. – Wciąż mieszkacie w tym bajeranckim zajeździe po tamtej stronie ulicy?

– Już nie – odpowiedziała Julia – ale zajrzałyśmy tutaj, bo jesteś jedyną osobą w Los Angeles, którą znamy na tyle dobrze, że możemy ją poprosić o pożyczenie książki telefonicznej.

– To znaczy poza Thomasem C. Howellem – uzupełniła pośpiesznie Ellie. – Jego też znamy. Jak raz wczoraj wieczorem piłyśmy z nim razem...

– Taa – powiedziała kelnerka – benzyna w baku, kiełbasa na haku.

– Wybacz, moja droga – wtrąciła Ellie – ale my rozumiemy tylko po angielsku...

Kelnerka wzniosła oczy do nieba i obróciła się na pięcie. Ellie zauważyła, że do jej butów mógł się przyczepić każdy behapowiec: nie spełniały warunków ani higieny, ani bezpieczeństwa pracy w sektorze usług spożywczych.

– Przepraszam?

Ellie odwróciła się, by ujrzeć siedzącego tuż obok niej najprzystojniejszego młodzieńca, jakiego kiedykolwiek widziała, a który wpatrywał się w nią z wyrazem tak szczenięcego uwielbienia, z jakim tylko chyba Emilio Estevez wpatrywał się w Andie McDowell.

No nie, pomyślała spłoszona. Jestem tysiące mil od domu, w obcym kraju, a ten biedak właśnie beznadziejnie się we mnie zakochał. To się nie dzieje naprawdę...

– Cześć – powiedziała uprzejmie, obdarzając młodzieńca swym najmiłym uśmiechem.

– Cześć – odpowiedział, trochę jakby zmieszany. – Przepraszam, ale czy byłabyś tak miła, aby przedstawić mnie tej kelnerce? Wygląda na to, że się znacie.

Jezu miłosierny, ale bym się wygłupiła, pomyślała w popłochu Ellie, zaś głośno powiedziała:

– Doprawdy nie wiem. Ona gada tylko z osobami z filmu...

– Ojej, a ty jesteś z filmu? – zapytał piękny młodzieniec, wytrzeszczając swe już i tak wytrzeszczone oczy – Ja... no... – bo ja jestem aktorem.

– Bez jaj – warknęła Ellie – a gdzie grasz? Pewnie wiewiórkę w *Animal Hospital*.

– Że co?

– Ellie – wtrąciła się nagle Julia – popatrz no tylko. Znalazłam w książce już sześciu Andrew McCarthych i pięciu A. McCarthych.

– Możliwie że on chce jakoś się ukryć... – zauważyła kelnerka, zaglądając im przez ramię.

– Jak? W książce telefonicznej? Pod własnym nazwiskiem? – zdumiała się Ellie.

– Hej, dziewczyny! Chcecie, bym wam pomogła, czy trzniacie to? – obruszyła się kelnerka.

– A prosiłyśmy kogoś o pomoc? – Ellie ostentacyjnie zapytała Julię.

– Złotko, dobrze ci radzę, nie zgrywaj ważniaczki wobec kogoś, kto nalewa ci kawę i podaje tosty!

Ellie zmieszała się odrobinę.

– Ojej, przepraszam.

– Miło z twojej strony. No to tak, zamierzacie dzwonić po kolei do wszystkich?

– Nie, tylko do tego prawdziwego – parsknęła Ellie.

– Cholera, co ja z wami mam... Złotko, weź wreszcie ode mnie te tosty...

– A ty nie pluj na nie, proszę.

– To dla smaku, skarbie – odcięła się kelnerka, po czym wycelowała palec w drugie z rzędu nazwisko. – Do tego tutaj nie dzwońcie. Pod tym adresem to w ogóle dziwię się, że facio ma telefon.

– Dzięki – Julia zamasyście wykreśliła jednego z jedenastu McCarthych po czym, po krótkim wahaniu, wydarła zamasyście całą stronę.

– Ej, skarbie – zawołała kelnerka. – Możemy potrzebować tej strony!

– Doprawdy? – Ellie podniosła książkę i przekartkowała ją szybko. – Ale pozwoliłaś już komuś zwinąć stronę z nazwiskiem „Lowe”. O i stronę z nazwiskiem „Clooney” też.

– Aleś ty upierdliwa, złotko – westchnęła kelnerka.

– Niech ci będzie – dodała, wycofując się do kuchni.

– Zaczekaj, możesz nam rozmiąć trochę drobniaków – spytała Julia.

– Jasne złotko, dawaj.

– Hmm... przepraszam najmocniej.

Młodzieńcowi o szczenięcych oczach udało się wreszcie zagadnąć kelnerkę, gdy mijała jego stół.

– Ehem... czy mogę... to znaczy... czy nie dałaby się pani zaprosić na kolację albo coś takiego ... – zapytał.

– Jesteś z filmu? – spytała krótko kelnerka, wymachując nieco zbyt mocno dzbankiem z kawą.

– No, mam szansę na rolę w *Animal Hospital*...

– Ee?

– Jula, spadamy – syknęła Ellie i obie błyskawicznie wyniosły się z lokalu, zostawiając kelnerkę i jej nieszczęsnego wielbiciela samym sobie.

Z obfitym zapasem drobnych wpakowały się do położonej we względnie cichym miejscu, w pobliżu plaży, budki telefonicznej.

– No to zaczynamy – Ellie była wyraźnie zdenerwowana.

– Proszę włożyć dolara i siedemdziesiąt centów – pouczył ją głos w słuchawce.

– Rany, dziwnie się czuję – przyznała się Julii. – A może damy sobie spokój?

– Zaraz, czy to nie twoja komórka dzwoni? – zawołała Julia w odpowiedzi.

– To tobie coś dzwoni – burknęła Ellie. – Od trzech dni nikt do mnie nie dzwoni. Cudowne uczucie.

– Dobra, jak nie dzwoni, to nie dzwoni, wracamy do naszych dzwonów – powiedziała Julia. – Pomyślałaś już, co powiesz, gdy on odbierze telefon?

– Jejku! – zakrztusiła się Ellie. – W ogóle jeszcze o tym nie myślałam...

– Jeżyna – powiedziała bardzo powoli Julia – przypomnij sobie, po cośmy tu do cholery przyjechały...

– No, wiem, wiem... ale... Aha. Już wiem. Zapytam go, czy jeszcze mieści się w ten biustonosz, który nosił w filmie *Class*...

– ...Jeżyna, dlaczego ja cię jeszcze nie zamordowałam?

– Ee... no to może będziemy udawać, bo ja wiem... reżyserki albo producentki...

– Wiesz co, staraj się, hm, samoograniczać w swoich szampańskich pomysłach. Pamiętaj *Weekend at Bernie's*? Po prostu powiedz mu „cześć”.

– No dobrze – Ellie wzięła głęboki wdech. – Pierwszy numer...

– 310–555... 1796

Telefon zagrzecotał, kliknął i w końcu dało się usłyszeć sygnał, a po chwili męski głos...

– Cześć!

– Cześć! – wrzasnęła podekscytowana Ellie.

– Andy i Maggie nie mogą teraz odebrać telefonu... wiesz, co masz zrobić!

– Żesz ty, niech to szlag, pieprzona automatyczna sekretarka – jęknęła Ellie.

– Ale to był on? – dopytywała się Julia.

– Nie, zdecydowanie nie on. Głosik jakiś taki wesolutki... Poza tym on nie jest „Andy”. Co za imię? W sam raz dla szczeniaka... Jula, może teraz ty...

– O nie, Jeżynko, to twoja działka. Tylko nie zaczynaj takim rozkosznym szczebiotem, jakbyś chciała mu sprzedać ubezpieczenie na życie...

Ellie westchnęła i wystukała kolejny numer.

– Tu kapitan Jean–Luc Picard z gwiazdowego statku *Enterprise*. Jeśli chcesz zostawić wiadomość dla mego wiernego i oddanego porucznika Andrew, zrób to po usłyszeniu sygnału.

Ellie trzasnęła słuchawką.

– Rany, jeśli to jest on, to nasza wyprawa właśnie dobiegła końca. Kolejny numer.

– Halo, tu mikrofalówka Andrew. Jego automatyczna sekretarka niestety właśnie uciekła z jego laptopem, więc jestem zmuszona odbierać zgłoszenia. Jeśli chcesz, bym ci cokolwiek ugotowała...

– Boże na wysokościach, co za świry mieszkają w tym mieście!

– Tu wszyscy starają się, by ich zauważono – powiedziała pojednawczo Julia.

– Jako KRETYNÓW?!

– Poszedłem spać: zostaw wiadomość na pagerze. Jeśli umrę przed przebudzeniem, pamiętaj o skasowaniu nagrania.

– No nie, to przechodzi ludzkie pojęcie... – Ellie ponownie trzasnęła słuchawką. – Przyjmijmy po prostu, że jego nie ma w książce telefonicznej...

– Zaraz, poczekaj, tu jest jeszcze jeden Andrew – powiedziała Julia – spróbuj z nim.

Ellie wzniosła oczy do góry i wystukała numer. Dało się słyszeć parokrotny sygnał, wreszcie ktoś gwałtownie podniósł słuchawkę.

– Tak?

Ellie zdębiała; rozpaczliwie zamachała rękami, na co Julia tylko wzruszyła ramionami z rezygnacją.

– Hej... cześć... czy to Andrew?

– Kto mówi?

Ellie zaczynała brakować tchu.

– Andrew McCarthy?

– Czy ja panią znam?

– No, właściwie to nie, ale...

– Jezu Chryste, tylko nie to! Ile razy można?! Co, pewnie chcesz wiedzieć, czy wciąż mam jeszcze ten stanik i majtki z filmu *Class*...

Ellie szczęka stuknęła o podłogę.

– To on??? – szepnęła bardzo głośno Julia.

Ellie usiłowała mimicznie przekazać jej, że „być może”, jednocześnie starając się nadal prowadzić rozmowę. Bez nerwów.

– Ależ nie, w żadnym razie, ale jestem twoją wielką fanką i...

– Kurcze blade, dziewczyno, dorośnijże wreszcie, dobra?!

Pszytyk. Klik. W słuchawce zapadła cisza.

– O Boziu – jęknęła Ellie. – O BOZIUUU!!!

– To był on????

– Chyba tak! Prawie na pewno! Był autentycznie wkurzony, że mu się zawraca głowę i zadaje pytania o filmy... o Boziu, to musiał być on!

– W takim razie chyba nie powinien dawać swego nazwiska do książki telefonicznej – zadumała się Julia.

– Boziu, Boziuniu... – to na pewno był on. Mówił jak on. Wszystko się zgadza: Amerykanin, płeć męska... i jest w domu w środku dnia! To ON!

– To co, dzwonisz tam jeszcze raz?

– No, nie, chyba nie byłby zadowolony... nawet na pewno nie byłby...

No, ale... mamy wreszcie jego adres!

Milczenie jest złotem

Hej!– wrzasnęła Siobhan, mocując się z kluczykami od samochodu, kluczami do domu, trzema torbami zakupów i parasolką. – Gdzie cię nosi?

Loxy, człapiący smętnie i najwyraźniej bez celu, odwrócił się i pozdrowił ją machinalnie.

– A, to ty, Siobhan. Cześć.

– Parszywy dzień!

– Faktycznie parszywy. Wyszedłem, żeby... pospacerować.

– Loxy, leje jak z cebra.

– Czasami to lubię...

– „śmiesz się w chmurach...” – zachichotała Siobhan, otwierając drzwi swego domu. Loxy zatrzymał się na moment.

– Ehem. Tego... może mógłbym...

– Masz ochotę na filiżankę herbaty?

– Mam.

– Może wreszcie przestaniesz się drapać? – warknęła Julia.

– Nie mogę. Wszystko mnie swędzi. To na pewno z nerwów – pisnęła Ellie.

– Żadne nerwy. Spiekłaś się i tyle. I jeszcze ten kurz... – Julia zmarszczyła nos i ponownie zerknęła na rozłożoną obok na siedzeniu mapę i wymiętoszoną kartkę z książki telefonicznej. Były już w Hollywood Hills; na mapie z „domami gwiazd” Andrew nie figurował, ale Ellie była pewna, że zidentyfikowany wczoraj adres jest tym właściwym.

– Dobrze... Chyba to tutaj...

– O Boziu – jęknęła Ellie – czuję, że ten zjedzony na lunch poczwórny cheeseburger z szynką chce się chyba cofnąć...

– Postaraj się mu to wyperswadować...

– Rany, to naprawdę tu?

Zatrzymały się przed niską, białą willą, odgrodzoną od ulicy niskim, białym płotkiem. W ogrodzie pyszniły się krzaki różowo kwitnących bugenwilli, a na podjeździe stał kosztowny niemiecki samochód.

– Numer 1134 to tu... – powiedziała Julia nerwowo.

– O rany – westchnęła Ellie. – I my teraz tak po prostu podejździemy do jego drzwi i zażądamy...

...satisfakcji? Naprzód, Jeżynko.

– Wiesz, on jeszcze gotów pomyśleć, że mamy nie po kolei...

– Bo nie mamy po kolei.

– Aach – powtórzyła Ellie. – Naprawdę mam pietra.

– Pamiętaj, że nie musimy tego robić – powiedziała Julia – możemy sobie po prostu bryknąć do Disneyworldu albo coś...

– Nie – prawie krzyknęła Ellie. – Nie, nie i jeszcze raz nie. Jakbyśmy to potem wytłumaczyły Colinowi? Nie. Postanowiłam, że to do cholery zrobię. I zrobię. Nacisnę ten dzwonek.

Przyjrzała się swemu odbiciu w lusterku wstecznym.

– Rany, wyglądam jak straszidło.

– Co prawda, to prawda, ale ostatecznie ustaliliśmy już chyba, że nie będziesz próbowała się z nim bzykać, więc twój wygląd nie ma znaczenia. No, wysiadaj wreszcie...

Ellie wygramoliła się z samochodu wprost pod ulewę palącego słońca, wzięła głęboki wdech i ruszyła ku drzwiom. Zanim podniosła rękę, by zadzwonić, drzwi nagle i gwałtownie się otwarły.

– Co jest? Czego chcecie?

Zamruwała. Oślepią słońcem, po paru sekundach dostrzegła wreszcie wysokiego blondyna stojącego w drzwiach.

– Ehem... cześć... ee... – nie wytrzymała i podrapała się w bok. – Szukam Andrew.

– Tak? I czego chcesz?

– Ehem... ee... czy Andrew jest w domu?

– Ja jestem Andrew. O co chodzi?

Julia elegancko i z wdziękiem wysiadła z samochodu.

– Rany, a wy dwie to kto? Interpol?

Ellie stała jak wmurowana, gapiąc się na niego.

– Ojojku... ja... ja... bardzo przepraszam – wykrztusiła wreszcie.

– To ty dzwoniłaś wczoraj, tak?

– Nnie...

– A, może i nie ty; w końcu tabuny Angolek telefonują do mnie dzień w dzień.

Uśmiechnął się i jakby lekko odprężył.

– Macie swoje albumy na autografy? Aparaty fotograficzne gotowe?

Ellie, milcząc, skinęła głową. Uśmiechnął się ponownie.

– To już siedemsettyśięćny raz jak mnie z nim mylą tu, w Los Angeles. Chociaż ostatnio było względnie spokojnie. Wybacz, że wczoraj tak się na ciebie wydarłem, ale doprawdy, dlaczego wy wszyscy myślicie, że te różne hollywoodzkie sławy można odnaleźć w książce telefonicznej? Hej, proszę tutaj – zwrócił się do Julii, która zbliżała się ku nim.

– Naprawdę przepraszamy za najście...

– Ależ nie ma za co – odpowiedział. – Normalne dziewczyny o normalnej porze... Nie tak jak te japońskie nastolatki, co obudziły mnie bladym świtem, a potem trajkotały po swojemu. A wy obie co zamierzacie?

– Och, nic wielkiego – wyjąkała Ellie, nerwowo splatając dłonie.

– No i tak oderwałyście mnie od pracy – powiedział ze wzrokiem wlepionym w Julię. – Napijcie się może mrożonej herbaty albo czegoś innego?

– Nie, dziękujemy, nie zamierzamy występować w żadnym pornosie – odpowiedziała szybko Ellie.

– To znaczy... nie chciałybyśmy się narzucać – poprawiła Julia.

– Nie ma sprawy... wchodźcie. Proszę na zaplecze, to znaczy do ogrodu. Rozgośćcie się przy basenie. Zaraz coś podam. Ojej, twoja przyjaciółka wygląda troszeczkę jak – jak to wy, Angole mówicie – ugotowana?

– Wcale nie – odzyskała głos Ellie.

– Złotko, wyglądasz jak parówka prosto z wrzątku – powiedziała łagodnie Julia i odwróciła się ku blondynowi.

– Dziękujemy. Chętnie skorzystamy. Jestem Julia.

– Andrew – odpowiedział, wyciągając rękę.

– Tak, wiemy – powiedziała Julia i mocno potrząsnęła jego prawicą.

* * *

Na tyłach willi Andrew McCarthy II miał spory trawnik, nieduży basen i elegancki komplet mebli ogrodowych. Ellie z rozkoszą schroniła się przed słońcem w cieniu wielkiego czarnego parasola i z radością przyjęła zaofertowaną przez gospodarza sukienną czapkę z podwójnym daszkiem.

– To wszystko, czym dysponuję, obawiam się – powiedział przeprasząco, przynosząc nad basen trzy, bardzo, gorąco powitane, zimne drinki.

– Ależ wszystko w porządku! – zapiszczała Ellie, boleśnie zdając sobie sprawę, że ich gospodarz jest takim przystojnym blondynem, a ona jest czerwona, spocona, oblażąca ze skóry i idiotycznie ubrana.

– A co robisz, że stać cię na taką chatę i to wszystko...? – zapytała Julia.

– Piszę haselka * – odpowiedział Andrew, po czym spojrzał na nie, pokiwał ze zrozumieniem głową i wyjaśnił: – no, takie kawałki, co to lecą u dołu każdego plakatu filmowego. Niby mają zachęcać do obejrzenia filmu. No, takie coś jak „Tym Razem To Osobiste”.

– Z czego to?

– No, *Szczęki III*, nie pamiętacie? – zdziwił się Andrew.

– No, tego akurat nie napisałem. Ale piszę właśnie takie kawałki.

– Jak właściwie rekin rozumie słowo „osobiste” – zastanowiła się Ellie. Zastanowiła się także, czy jeśli będzie mówić, wyda mu się na tyle interesująca, że zechce poznać ją... hm... głębiej. Westchnęła i kontynuowała rozpoczęty wątek. – No, co on może zrobić, jakieś sarkastyczne docinki na temat twojej wagi zanim przegryzie cię na pół?

– Sza! – powiedziała Julia z uśmiechem. – Ja sędzę, że to doprawdy fascynująca praca. – I uśmiechnęła się ponownie.

Ellie przyjrzała się pięknie umięśnionym ramionom Andrew i pomyślała, że jeśli coś jest fascynujące, to na pewno on.

– Dzięki – powiedział, patrząc na nie obie. – Robię też haselka do filmów na wideo. Oni lubią konkrety... O, to byłoby to... „Oni Lubią Konkrety”; jak raz nada się do *Konkretnych pragnień*. To taki film o facecie, który bzyka się z prostytutkami, a potem...

– Zabija je. Słyszałyśmy o tym. Gra tam Thomas C. Howell?

* *W oryginale strapline; brak jak dotąd fachowego polskiego terminu.*

- Thom Howell? A nie, w tym nie. Znacie Thoma?
- Tak właściwie dość dobrze – powiedziała Ellie.
- Aa, fajnie. To miły facet. No więc, co was sprowadza do L.A.? Poza uganianiem się za pomniejszych sławami, rzecz jasna.
- Właściwie chodzi głównie o to – bąknęła Julia.
- Żartujesz, prawda?
- Ani trochę. Zresztą spytaj Jeżyny.
- O świetnie, teraz wychodzi na to, że to wszystko mój pomysł – stęknęła Ellie. Było jej wciąż gorąco i czuła, że cała się lepi, a włosy pod czaszką zmieniły się w mokrą, tłustą masę.
- Jeżyna. To był całkowicie twój pomysł – odpaliła Julia. Andrew się roześmiał. Ellie rozwój sytuacji powoli przestawał się podobać.
- A pisałeś jakies... ee... haselka do filmów o zwierzętach? – spytała.
- A, tylko do jednego. O facecie i jego kocie, którzy wspólnie rozwiązywali zagadki kryminalne...
- „Perfekcyjna kombinacja”! – zawołała Julia.
- O, słyszałaś o tym? Dobra jesteś.
- Ale to jakiś kompletny syf! – wtrąciła kwaśno Ellie. – Wybacz Julia, ale taka jest prawda. – Oboje zwrócili się ku niej i zmierzyli wzrokiem.
- Film faktycznie był do bani – powiedział Andrew. – Ale przecież nie o to chodzi. Chodzi o to, żeby napisać takie haselko, które od razu ci powie, czego masz się spodziewać.
- Ale co, myślisz, że mogłeś wymyśleć jeszcze coś lepszego? Do tego filmu o kocie... – zapytała Julia, wdzięcznie trzepocząc rzęsami.
- Na przykład „Stalowe szpony” – wtrąciła Ellie, ale nikt jej nie odpowiedział. Andrew i Julia popatrzyli na siebie porozumiewawczo.
- To brzmi całkiem dobrze – powiedział Andrew.

– Wielkie dzięki. A co powiesz na coś takiego: „Najlepiej Się Zwalcza Przystępność w Psią Pogodę”.

– Ale w tym filmie nie ma psów.

– To tylko taka... ee... przenośnia. A takie haselko może skłonić twórców filmu, żeby dodali tam jakieś psy. I jakieś sekwencje w deszczu...

– Hmm...

– O, albo „Napalony Kocur na Mokrym Dachu”^{*}.

– Hmm, no nie wiem. Właściwie to chyba przyniosę jeszcze coś do picia – powiedział Andrew, zrywając się z fotela. – Julio?

– A tak, chętnie. Jeśli można, jeszcze jedną mrożoną herbatę – powiedziała Julia, podając mu swoją szklanę. Andrew wziął ją, uśmiechnął się do Julii i pobiegł w kierunku domu.

– Ty ŻDZIRO! – syknęła Ellie, gdy tylko zniknął z pola widzenia.

– Że co? O co ci do cholery chodzi?

– O co? Popatrz na siebie. Kleisz się do niego i wdzięczysz jak... jak... napalona kocica na mokrym... A on aż się ślini.

– Wcale nie. A on jest po prostu uprzejmy.

– Och, a ty uprzejmie zapraszasz go... między nogi.

– Nie bądź wulgarna. Poza tym mówisz głupstwa. Pamiętaj, że mam chłopaka.

** Wyraźna aluzja do tytułu sztuki T. Williama Kotka na gorącym blaszanym dachu. Na jej podstawie nakręcono też film.*

– No tak – parsknęła Ellie. – W końcu ja tu jestem samotna i do wzięcia. I choćby z tego tytułu mam pierwszeństwo. Rany, on jest absolutnie fantastyczny. A ty, moja przyjaciółka, co robisz? Wsadzasz mi na głowę tą

idiotyczną czapkę i usadzasz mnie pod tym kretyńskim parasolem, a sama w tym czasie trzepoczesz rzęsami i ćwierkasz: *Ooch. Mam ochotę na jeszcze jedną mrożoną herbatę. I małe bzykanko przy okazji*".

– Wcale nie!

– Właśnie że tak! *Andrew, jeszcze jedną mrożoną herbatę z podwójnym seksem...*

– W życiu!

– *Ojojku, wydaje mi się, że ta twoja mrożona herbata kompletnie mnie rozbiera...*

– Jeżyna, czy koniecznie chcesz, żebym ci przyłożyła w ten twój spalony słońcem tyłek?

– Mów, co chcesz, a ja wiem swoje. To normalnie bije po oczach...

– Często się tak kłócicie? – zapytał wyraźnie rozbawiony Andrew, pojawiając się zniemacka obok z tacą, na której stały trzy nowe mrożone herbaty. Julia obdarzyła Ellie jadowitym spojrzeniem. „Rany boskie, czy ja zawsze muszę być taka zazdrosna”, pomyślała skruszona Ellie.

– Ależ skąd. Jeżyna mi właśnie mówiła, jak bardzo spodobała się jej ta twoja czapka i jak bardzo chciałaby ją zatrzymać.

– Ach, nie ma sprawy. Oczywiście że możesz ją wziąć. Zagarnąłem ją kiedyś z jakiegoś planu filmowego, ale właściwie tu, w L.A. jest zbyt gorąco, by ją nosić. Ale cieszę się, że ci się podobała.

– Ugryź się – burknęła, najciszej jak mogła, Ellie, po czym ostentacyjnie przymknęła powieki, udając, że śpi, cały czas przysłuchując się, jak Julia wtajemnicza Andrew Drugiego w historię ich podróży. W jej interpretacji cała sprawa wyglądała jeszcze bardziej kretyńsko niż w rzeczywistości, tym bardziej że Julia starannie ominęła wszystko, co dotyczyło Loxy'ego i przedstawiła siebie jako ROZSADEK czuwający nad KOMPLETNYM

ODJAZDEM. „Cholera, jednak to prawda. Zawsze byłam i jestem zazdrosna. Kompletnie i całkowicie”, myślała Ellie z goryczą.

Andrew Drugi po wysłuchaniu opowieści Julii powiedział tylko:

– Hmm.

– Właśnie, dokładnie hmm – zachichotała konspiracyjnie Julia. Ellie rzuciła tylko jej spod opuszczonego daszka czapki spojrzenie, które mogło zabić na miejscu.

– Dlaczego przypuszczacie, że on mieszka w L.A.?

– No, jak to dlaczego? Przecież to tu mieszkają gwiazdy filmowe...

– No, wiecie, bycie gwiazdą filmową to jednak nie to samo co bycie prezydentem, który musi się kisić w Białym Domu. Gwiazdy filmowe mogą mieszkać wszędzie.

– Co masz na myśli – wyprostowała się nagle Ellie, nawet nie próbując symulować nagłego przebudzenia z miłej drzemki.

– Wiecie... nie obrażcie się, ale... pod koniec lat osiemdziesiątych miałem już po dziurki w nosie tych wszystkich piszczących nastolatków kręcących się wokół mego domu cały Boży dzień...

– Naprawdę?

– Naprawdę. I trochę poszperałem i... przykro mi to mówić, ale obawiam się, że wasz idol i guru mieszka w Nowym Jorku.

Na drugim końcu telefonicznego przewodu panowała martwa cisza.

– Nie ma mowy – powiedział w końcu Artur.

– To tylko malutka, malusieńka, maciupenienczka zmiana planów – zakwiliła Ellie.

– Jeżyna, czy masz chociaż blade pojęcie, ile kosztowały moje spodenki kąpielowe od Prady?

– Ale jestem pewna, że pokochasz Nowy Jork! Pomyśl tylko: lodowisko w Central Parku, ci wszyscy łyżwiarze...

– Otóż to! W tym cały problem. Temperatura poniżej zera! W której spodenki, nie tylko od Prady, są kompletnie nieprzydatne. Kurczę blade i pieprzone, Jezyna, nie mogłyście tego przewidzieć wcześniej?

– Jak to przewidzieć wcześniej? Takich rzeczy nie da się przewidzieć...

– Rany, można było sprawdzić, nie wiem, choćby w internecie albo czymś takim...

– Art, internet to największe zło, z jakim zetknęłam się w życiu i nie zamierzam nawet się zbliżyć do niego...

– Ee. To wszystko przez to, że używałaś komputera Mięśniaka. A w każdym komputerze jest inaczej...

– Naprawdę?

– Oczywiście. Naprawdę sądzisz, że każdy na swoich domowych stronach ma tylko scenki z międzygatunkowym seksem, typu kobieta z kozłem czy kozioł z wiewiórką...?

– Nie miałam pewności i nie miałam chęci, by to sprawdzać. Ale spuszczać wodę na to, co było, jesteśmy w pieprzonym dołku. Większość forsy pożarł ten pieprzony Ritz, tak więc musimy jechać samochodem, bo na samolot nie starczy. Możemy nająć się, by przewieźć czyjś samochód z L.A. do N.J. i w ten sposób żadnym prawie kosztem przejechać w poprzek całe Stany... Czemu niby nie miałbyś przyjechać i spotkać się z nami w połowie trasy?

– Czyli zamiast zadawać szyku w San Francisco w moich supermajtkach od Prady, mam tłuc się z wami cudzym samochodem i to w kierunku przeraźliwego zimna? – spytał powątpiewająco Artur – wiesz mam lepszy pomysł. Może od razu rozbiję sobie, dla jaj, butelkę na głowie albo ukradnę

motor Mięśniakowi i ruszę w motocross do Szkocji albo gdziekolwiek, gdzie leje jeszcze bardziej niż tu.

– Rany, Art, nie bądź taki. Może być fajnie. Na pewno będzie. Obiecuję. Będziemy wspólnie mieli niezły ubaw. Julia z całą pewnością.

Julia rzuciła Ellie wiele mówiące, ale jednocześnie ostrzegające spojrzenie.

– Co, jakieś ploteczki? Zamieniam się w słuch – zawołał Artur.

– A nie, nic takiego – odpowiedziała Ellie tonem, który sugerował coś wręcz przeciwnego. – Nie mogę teraz o tym mówić. Ale jak się spotkamy w pół drogi, to...

– Kurdebalans i defrak! – wrzasnął Artur. – W jakie pół drogi? Rozumiem, że nie będzie to plaża, na którą wstęp mają tylko ci, co noszą kąpielowe majtki od Prady...

Ellie się zamknęła. Nie przemyślała swego planu aż w takich szczegółach. Bąknęła niepewnie.

– Może... ee w Kansas City?

– W Kansas City?

– No, ehem, tak. Andrew twierdzi, że można tam dojechać w cztery dni.

– Ktoo?

Julia wzięła do ręki pojemnik z dezodorantem i powoli zaczęła zbliżać się do Ellie.

– Hmm, nikt taki. To znaczy taka jedna babka, którą tu poznałyśmy. Ma na imię Andrew. Wiesz przecież, jakie idiotyczne imiona mewają tutaj ludzie...

– Ale co ja bym, do ciężkiej cholery, miał robić w tym Kansas City? – warknął Artur.

– No, poczekać na nas, a potem prowadzić samochód przez następne trzy tysiące mil. Przecież na takiej trasie trzeba się zmieniać za kółkiem.

– Boże miłosierny.

W tle dało się słyszeć jakieś podejrzone hałasy.

– Dobra, dobra, no, wy obaj przestańcie wreszcie...

– Art, co tam się wyrabia?

– Nic. Colin i Mięśniak mieli... małe zderzenie.

– Oddawaj to w tej chwili, ty pieprzony dupku – dało się słyszeć w tle zachrypnięty sznapsbaryton punktowany czymś cieniutkim, żalonym piskiem.

– Colin pożyczył sobie slipki Mięśniaka, a teraz Mięśniak nie chce ich już nosić z tego powodu, no i stale próbuje powstrzymać Colina od buszowania w jego pokoju... Mięśniak, postaw w tej chwili tę szafkę!

„Spytaj co z Loxym”, bezgłośnie poprosiła Julia.

– Art, a co z naszym Loxterem? – spytała Ellie.

– Colin, tyle razy ci mówiłem, kamizelki są do noszenia, a nie do bicia...

– ...Że co?

– Julia chce wiedzieć, jak tam Loxter...

– Aa, hmm... nieźle, jak sędzę. Rany boskie! Słuchaj, muszę kończyć. Chłopaki zaczynają miotać w siebie obuwiami. Słuchaj... może... lepiej spróbuj zadzwonić później... Mięśniak! Odłóż ten swój kamasz! To zresztą, kurczę, nie kamasz, to chyba transporter opancerzony!

– No to cześć – powiedziała smętnie Ellie i rozłączyła się.

– No i co u nich – spytała z niepokojem Julia, nerwowo to wchodząc do mikroskopijnej łazienki, to z niej wychodząc.

– W porzo. Sam miód. Chyba właśnie usiłują się nawzajem pozabijać. A Artur jest w zasadzie przeciw...

– Nie jestem zaskoczona. A jak Loxy?

– Nie powiedział nic konkretnego. Ale myślę, że też w porzo.

– Taa. Dość skąpa informacja. Myślisz, że powinnam zadzwonić do niego?

– Czy masz zamiar popełnić cudzołóstwo? Andrew Drugi miał zabrać je na kolację.

– Nie! Co ci...

– Na pewno? W takim razie po co miałabyś dzwonić do domu?

Julia zbyła ten przytyk wyniosłym milczeniem, lecz po chwili podjęła:

– Artur na serio nie zamierza przyjechać?

– Jestem pewna, że miałby w Nowym Jorku mnóstwo... do roboty. Trzeba go tylko troszeczkę poprzekonywać i tyle. A w końcu, nawet jakby nie dojechał, to i tak będziemy miały ubaw, prawda?

– Po pachy – burknęła Julia, starannie wyskubując jakiś zapomniany włoszek ze swych cieniutkich, prawie niewidocznych brwi.

– Dobra, zadzwonię teraz do taty.

– Dobra, dzwoń.

– Ojej! Jezusiu! Jak się masz, skarbie!

– Cześć tato. Świetnie.

Głos taty był jakby nieco zaspany. Ale w końcu tam w domu było już późno.

– No i jak sobie radzisz?

– Jeżyku, nie mówmy o mnie; no, powiedzmy, że próbuję zasnąć podczas oglądania *Newsnight*. Za dnia też nic specjalnego się nie dzieje. Mów lepiej ty, co porabiasz...

Ellie odpowiedziała tacie, co porabiała i porabia, opuszczając momenty mogące prowokować tatę do kłopotliwych pytań i te, które mogły go (całkiem

niepotrzebnie) zaniepokoić i zdenerwować, jak na przykład przyjęcie od kompletnie obcego faceta zaproszenia na mrożoną herbatę, plan jazdy samochodem przez zupełnie nieznane tereny, dręczenie obywateli USA telefonami, urznięcie się w samolocie... w sumie, głównie więc opowiadała o naleśnikach.

– No, przecież ci mówiłem, że tam mają wspaniałe żarcie...

– No. I miałeś całkowitą rację. A tak przy okazji tato, jadłeś coś dzisiaj?

– Co? A tak – odpowiedział tato. – Skarbie, nie martw się o mnie. Po prostu baw się tam dobrze.

– Jadłeś coś z tych rzeczy, które zostawiłam ci w zamrażalniku?

– Owszem, głównie z zapiekankami.

– Taatoo...

– Mówiłem ci skarbie, żebyś się nie martwiła. Masz tam miło spędzać czas i dobrze się bawić... – głos taty nie brzmiał zbyt radośnie.

– Próbuję.

– Tylko oczywiście nie przesadzaj, dobrze? Chcę, żebyś wróciła cała i zdrowa. Może jestem starym zgredem w tych sprawach, co to wiesz, ale obiecasz mi, że będziesz grzeczna, Jezusiu?

– Obiecuję – bąknęła niepewnie Ellie. Nagle, wbrew samej sobie, poczuła, jak bardzo uwiera ją fakt, że jest daleko od domu, i dodała:

– Tęsknię za tobą, tatku.

– Ja też, skarbie. I nie zapomnij wspomnieć o mnie komu trzeba w tym całym Hollywood. Powiedz, że mogliby zrobić film o gliniarzu na emeryturze...

– Opychającym się zapiekankami...

– Pewnie.

– A który tak naprawdę jest supertajnym agentem sił specjalnych...

- Rany, będę sławny na cały świat.
- A ja będę szaleć i przepuszczać twoją forszę...
- Złotko, to myślenie w stylu Plonckton, niegodne ciebie.
- Fakt – szepnęła Ellie, nagle posmutniała.
- No to jeszcze raz, baw się dobrze, skarbie. Ale nie szalej.

Rozłączywszy się, Ellie klapnęła na łóżko, zrzuciła pantofle i zaczęła zastanawiać się, co tato miał właściwie na myśli, prosząc, by „nie szalała”. Nagle usłyszała, jak Julia zaczyna pełnym głosem śpiewać w łazience „Saving All My Love For You”. Tknięta nagłym przeczuciem poderwała się i skoczyła do drzwi łazienki.

- Golisz nogi??
- Bo co? – odwarknęła Julia.
- Wiedziałam! Teraz już wiem, co planujesz...

Julia wystawiła głowę z łazienki.

- Zaniknij się albo cię nie wezmę ze sobą!
- O ile pamiętam, zaprosił nas obie!
- I O ILE PAMIĘTASZ, to JA mam kluczyki do samochodu! Zamiast się mnie czepiać, lepiej załóż to jego urocze czapsko. W końcu tobie dał je w prezencie...

– Rany, to ty się zamknij – warknęła Ellie. Julia zachichotała pełną pierśią.

– Naprawdę zamierzasz przyprawić Loxy'emu rogi? – Spytała nagle Ellie.

Julia zdecydowanie wyszła z łazienki.

– Słuchaj. W końcu ta cała porębana wyprawa jest po to, by odnaleźć siebie. Odkryć to, czego jeszcze o sobie nie wiem. Sprawdzić, jak bardzo podobam się innym mężczyznom i do jakiego stopnia odczuwam brak

Loxy'ego, gdy jest daleko. Jeśli to nie zadziała, to po powrocie do domu odpuszczam sobie wszystko. A to znaczy, że cokolwiek zrobię *tu*, *tam* nie będzie się już liczyć.

Odwróciła się i zaczęła rozczesywać swe długie blond włosy.

– Hmm. Całkiem niezłe usprawiedliwienie na ewidentne zamiary puszczenia się – stwierdziła Ellie.

Julia cisnęła w nią szczotką.

– No! Nie ciskaj się! Wiesz, że mam rację!

– Niech ci będzie – machnęła ręką Julia – a tak nawiasem mówiąc, to twoim zdaniem na którym miejscu byś go umieściła?

Ellie wzruszyła ramionami.

– Przyjmując, że Jono Coleman jest na pierwszym...

Ich prywatny ranking obejmował facetów, z którymi nie przespać się oznaczało zbrodnię przeciwko ludzkości.

– No, powiedziałabym, że on jest jak James Spader...

– Czyli mówiąc otwartym tekstem, on nie jest jak James Spader... Próbujesz zaniżyć mu kategorię, żebym straciła do niego zainteresowanie, żeby samej go capnąć.

– No dobra. On jest jak Lloyd Cole.

– On jest jak Judd i lepiej sobie to zapamiętaj.

– On nie jest jak Judd.

– Właśnie, że jest.

– No to pysznie. Możesz się więc z nim przespać. I zobaczyć, że mi to wisi – warknęła Ellie.

Julia ponownie znikła w łazience.

– A w rzeczywistości, kurczę, wcale mi to nie wisi – zawołała za nią Ellie.

– Wiem. Ale tu chodzi o moje małżeństwo!

– Ciekawe, czy do niego dojdzie! – zazgrzytała Ellie, związując swe nieposłuszne loki czerwoną bandanką.

Restauracja wyposażona była w obszerny taras ocieniony palmami; roztaczał się stąd widok na skupisko przeraźliwie brzydkich i wielostylowych domów, które nadawały taką klasę całemu Los Angeles.

– Garaż w stylu Tudorów – jęknęła Ellie – to mogło się zdarzyć tylko tutaj. Julia, chłodna i wytworna w swej eleganckiej sukience z białego lnu, siedziała pod krzewem hibiskusa, sącząc wodę mineralną. Wieczór był ciepły i pachnący; na niebie widać było mnóstwo jasnych, krzyżujących się smug, jakie pozostawiały za sobą odrzutowce.

Ellie ściągnęła ukradkiem koszmarną czapkę; powiedziała sobie, że wygląda może odrobinę siermiężnie, ale przynajmniej nie przypomina już cudem ocalałej ofiary pożaru na platformie wiertniczej. Obie czuły się zadowolone i szczęśliwe; zwłaszcza że mogła teraz podziwiać tonące w różowym świetle zmierzchu wielkie miasto, a nie, na ten przykład, tłustą kocicę wylizującą sobie tyłek na zalanym deszczem śmietniku.

Andrew Drugi pojawił się zaraz po wpół do ósmej, wystrojony w komplet khaki i koszulę w drobne kwiatki. Jasne włosy miał najwyraźniej świeżo umyte, a jeden miękki pukiel opadał mu na oko.

– Ja cię kręcę – westchnęły unisono Ellie i Julia, po czym uważnie zmierzyły się wzrokiem.

– Rozumiesz, w technicznym sensie, to ja zobaczyłam go pierwsza – syknęła Julia.

– Ale to ja nacisnęłam jego pieprzony dzwonek! – zaprotestowała Ellie – jeśli to nie znaczy, że zobaczyłam go pierwsza, to jestem królową Madagaskaru!

– Tak, Wasza Królewska Mość – parsknęła Julia.

– Ty zmij! – Ellie trzepnęła przyjaciółkę trzymanym w rękę toastem.

– Hej, dziewczęta – odezwał się podejrzanie słodko Andrew Drugi, objawiając się przy ich stoliku. – Wszystko w porządku?

– Cześć Andrew – zapiszczały obydwie, znowu prawie chórem.

– Słuchajcie, mam nadzieję, że to wam nie przeszkadza, ale przyprowadziłem kumpla... właśnie wytaszcza się z samochodu i zaraz tu będzie.

I Ellie, i Julia udały życzliwie zainteresowanie, każda bowiem w duchu liczyła, że ten kumpel nie jest przeznaczony dla niej. Nastrój Ellie oklapł gwałtownie, gdy zobaczyła raczej rozlazłego faceta w olbrzymim kapeluszu w stylu Jamiroquai'a, toczącego się ku nim.

– Ee, hm, Ellie, Julio... to jest Chip. A wszyscy mówimy na niego Hatsie.

Hatsie wychrząkał coś i usiadł. Kawałek chleba ze stojącego na stole koszyczka z pieczywem natychmiast zniknął pod jego kapeluszem i już się nie pokazał.

– Hej! – ćwierknęła Julia i z uśmiechem potrząsnęła jego ogromną łapą.

– Jejku, widzę, że ty i Ellie macie tyle wspólnego ze sobą... Założę się, że choćby miłość do ciekawych nakryć głowy na dobry początek.

– Wiesz, to było niesamowite! – Ellie zwróciła się do Andrew – Julii przez całe popołudnie buzia się nie zamykała. Nie wiem, czy to nie z niewyspania...

Andrew uśmiechnął się do nich obu, lekko zmieszany.

– Ciekawe. To jak, mogę wam przynieść jakieś drinki?

– A co byś polecał – odezwały się obie, znowu jednocześnie. Zarazem obie jak na komendę wychyliły się ku niemu, nieznacznie, ale znacząco wypinając biusty.

– Uhum... – Andrew jakby się spłoszył. – To może zaczniemy od wody mineralnej, a potem się zobaczy.

– Och, to brzmi wspaniale – zapięła Julia, potrząsając swoją lśniąco blond grzywą.

Ellie siedziała nieruchomo, z krzywym półuśmiechem. Trudno, z mistrzynią nie wygrasz. Odwróciła się ku nowo przybyłemu.

– No to... jak to się mówi... witaj Hatsie!

– Hgnfu – odpowiedział Hatsie. Ze stołu zniknął kolejny kawałek chleba.

– Co proszę?

– Hgn–FU!

– Co? Ach tak. Rozumiem – Ellie złapała rożek serwety i zaczęła ją nerwowo miętosić.

– Hgn–fu corhayy.

– Dobrze! – zawołał Andrew i się roześmiał.

– Że co? – zaskrzypiała Ellie.

Julia roześmiała się perliście.

– Hatsie zna wszystkich w L.A., prawda stary? – potwierdził Andrew. – Prawdę mówiąc, to dzięki niemu mamy dziś ten stolik.

Julia pogłaskała go po ramieniu.

Jakby na zawołanie i zamówienie niemożliwie piękna/wydrowata (niepotrzebne skreślić zależnie od skłonności seksualnych) blondyna o nieprawdopodobnie... jędrnych piersiach, przechodząca obok ich stolika, nagle przyhamowała.

– Hatsie! – zapiszczała przeraźliwie – Jakże się cieszę, że się widzę! Jak tam w Malibu?

– Gnrgh – odpowiedział Hatsie.

– Niegrzeczny chłopiec. Jestem pewna, że Puffy tak nie uważa...

– Kfnia.

Ellie pomachała na kelnera.

– Mógłby pan podać jeszcze jeden koszyk z pieczywem? I potrójne Bacardi.

W połowie kolacji Ellie wywlokła wreszcie Julię do łazienki. Julia bowiem zasypywała Andrew gradem słów, objaśniając między innymi, jak trudno jest utrzymać *naturalnej blondynce* właściwy kolor w tutejszym słońcu i jak ciężko jest nie pomic delikatnego włoskiego lnu w tutejszym parnym klimacie.

– Julia – warknęła surowo. – Monopolizujesz go.

– Och, nie bądź niemądra – oznajmiła Julia. Wypiła już kilka kieliszków wina i oczy podejrzenie jej błyszczały. – W końcu jestem na wczasach. I nie zamierzam już więcej być dawną Julią. Bawię się, rozumiesz? A poza tym tylko trochę flirtuję.

– Julia, takie flirtowanie skończy się tym, że rano on ci przyniesie do łóżka pyszne, amerykańskie śniadanko jako ukoronowanie pysznego amerykańskiego bzy...

– Mylisz się – bąknęła Julia. Ale się zarumieniła. Po czym nagle powiedziała:

– Ale jeśli...

– Jeśli dojdzie do tego, o czym ja myślę, że ty zamierzasz?

– Jeśli ja... nikomu nie powiesz, prawda?

– Oczywiście, że powiem! – wrzasnęła Ellie. – Co, serio masz zamiar się bzyknąć z innym facetem? I to z takim kompletnie, że tak powiem, przeciwieństwem Loxy'ego? Ale rozumiem. Kurczę, pasujecie do siebie; oboje z Andrew wyglądacie jak superaryjskie bliźnięta, marzenie każdego faszysty!

– Taak? A sama to nie lecisz na niego?

– No, ale mnie wolno, to znaczy jestem wolna. Coś mi się kurczę należy. A tak siedzę i usiłuję rozmawiać z tym kłocem, podczas gdy ty starasz się pobić światowy rekord w trzepotaniu rzęsami i masz duże szanse na sukces.

– Czyli postanowiłaś zepsuć mi wieczór. Jeżyna, spójrz prawdzie w oczy. Jesteś zazdrosna.

– A nawet jeśli tak, to co? Nie żebym była... Cholera. Wszystko mi się płacze.

– Jeżynko, proszę.

Ellie końcem palca wytarła drobiny tuszu, które artystycznie rozmazała pod okiem.

– No cóż, skoro TY MASZ KLUCZYKI i ty prowadzisz, nie mam chyba wielkiego wyboru, jeszcze upozorujesz wypadek i...

– Dzięki przyjaciółko do grobowej deski – powiedziała chłodno Julia, nakładając nieco różu na policzki. – Rany boskie. Przecież ja wcale nie chcę z nim...

– To co, zgoda? Nie mówmy już o tym.

– Dobrze. Wybacz Jeżynko.

– Ale jak wrócimy, to musisz zacząć rozmawiać ze mną; nie mogę tam siedzieć przykuta do tego... czegoś. Kto to w ogóle jest ten Straszliwy Kapelusznik?

– Może to zombie? – podsunęła Julia.

– Lepiej tego nie drażyć... A jak nagle ściągnie kapelusz i okaże się, że...

POD SPODEM NIC NIE MA?

– No, nie układaj teraz horrorów – zaśmiała się Julia. – No, wracajmy na salę i postarajmy się miło spędzić resztę tej kolacji.

– Przemiała kolacja, w istocie... mogę Hatsiemu rzucać kawałki chleba jak fokom w ZOO...

– Przypomnijmy sobie, co mówiły nasze prababki: kapelusz duży... konwersacji nie służy. Fakt. – Julia przeciągnęła po wargach jasnoróżową szminką.

– No, jestem gotowa. Wracajmy.

– Więc umówiłyśmy się – podsumowała Ellie. – Ty opowiesz mi z detalami, jak wam się bzykało, tak abym przez resztę twego żywota mogła cię szantażować, o ile poślubisz Loxy'ego. Czyli w praktyce staniesz się moją niewolnicą.

– Wcale się nie umówiłyśmy!

– A właśnie, że tak.

– No więc, one bez przerwy sobie dogryzają... – Andrew przerwał nagle, widząc, że wracają.

– Hej, dziewczęta! Zdecydowałyście już, co zamawiamy jako danie główne? Słyszałem, że mają tu fantastyczne owoce morza...

– Wolę płetwy rekina w sosie. Tym razem to osobiste – parsknęła Ellie.

– Ty zaprosiłeś, ty wybierasz – zwróciła się do niego Julia i zatrzepotała rzęsami.

W końcu Andrew zamówił ogromne półmiski sałatek i grillowanych piersi kurczaka, polanych aromatycznym sosem. Wszystko było wyśmienite.

– No to, Hatsie, czym się zajmujesz?

Hatsie spojrział znad talerza, z którego zdumiewającą ilość zdążył już przenieść pod kapelusz.

– Hatsie! Hatsie zajmuje się wszystkim, no nie, Hats? Wszystkich zna, wszystko robi... – wtrącił się jowialnie Andrew.

– Wszystko poza mówieniem i... nie śmiem kończyć – mruknęła Ellie.

– Snghfrh – powiedział Hatsie.

– Właśnie! Świetnie rozumiem, co chciałeś przez to powiedzieć – zawołał Andrew i wybuchnął śmiechem.

Julia przyłączyła się, śmiejąc się perliście i trzepocząc rzęsami. Ellie posłała jej zrezygnowane spojrzenie i zabrała się za energiczne przeżuwanie swej porcji sałatki Cezara, starannie odsuwając na bok kawałki grzanek (dla foczki).

Do stolika podeszło dwóch typów wyglądających jak klasyczni mafiosi; obaj oparli swe wielkie jak szynki łapska na ramionach Hatsiego i wdali się z nim w intensywną rozchrzakaną konwersację.

– To jak, postanowiłyście już, co robicie dalej? – zapytał Andrew Drugi.

Julia pokiwała głową (i zatrzepotała rzęsami).

– Ruszymy na Wschodnie Wybrzeże. Mamy zamiar poszukać kogoś, kto chce, żeby przewieźć jego samochód przez Stany w poprzek. Pozwoli nam to zaoszczędzić trochę forsy.

– Aa, taki sposób... Wspaniale! – Spodziewam się, że trafi się wam coś takiego naprawdę super – Jaguar z otwieranym dachem albo coś w tym guście.

– Albo Chevrolet 59 – powiedziała Ellie. – Wprawdzie nie mam pojęcia, co to jest, ale brzmi interesująco.

– To taka bryka przypominająca bawołu na kółkach – wyjaśnił Andrew – raczej bym nie polecał. Ale przy okazji, skąd zabieracie tego swego kumpla?

– Z Kansas City – powiedziała Julia.

– To jakieś szesnaście cheeseburgerów stąd – dodała Ellie – tam spotykamy się z Arturem.

– Artur jest gejem – dorzuciła szybko Julia.

– Och – czyżby on też polował na waszego idola?

– Ależ nie, to tylko Jeży... Ellie.

Ellie aż zatkało na tak jawną niesprawiedliwość.

– A ty co? – wrzasnęła. – Przecież zamierzasz zapytać go o...

Julia uniosła widelec w jednoznacznie ostrzegawczym geście.

– Cholera, naprawdę lubię Angolki – powiedział leniwie Andrew. – Jesteście takie zabawne.

Ellie i Julia popatrzyły na siebie. Przy stole na moment zapadła cisza. Po czym Julia zatrzepotała rzęsami i przywołała swój wypróbowany uśmiech.

– No więc, Andrew – jak to jest mieszkać w L.A.?

– No więc, Hatsie – jaki jest ten twój ulubiony fason kapelusza? – włączyła się do konwersacji nagle sposepniała Ellie.

– Ach, to wspaniałe, choć dość ee... płytkie. Prawdę mówiąc, porąbane. To trochę tak jak mieszkanie w takim przyfabrycznym osiedlu. Wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich i właściwie wszyscy pracują w tym samym miejscu.

– Nie mówiąc o tym, że wszyscy wyglądają jak produkty eksperymentów szalonych genetyków – dorzuciła Ellie, oblizując łyżkę.

Andrew ponownie się roześmiał, tym bardziej że ich stolik mijala właśnie młoda kobieta, tak koścista, że była chyba w początkowym stadium anoreksji, na nieprawdopodobnie wysokich obcasach.

– No, poniekąd trafiłaś. Tu wszyscy powoli zaczynają wyglądać, jakby wyszli spod sztancy. Albo jeszcze lepiej, są, że tak powiem, homogenizowani.

– Jak mleko.

– Niektórzy ludzie lubią mleko.

– Tak, prawdziwi nudziarze. Ja wolę Krwawą Mańkę – powiedziała Ellie.

– To tak jak ja.

Uśmiechnął się do niej, prezentując olśniewająco białe zęby, i Ellie poczuła, że na moment zapało jej dech. Julia zakaszłała niezbyt dyskretnie.

– Znów musisz do klopa, Ellie? – powiedziała z naciskiem. Ellie, chrząkając gniewnie, podporządkowała się prastarym zasadom i wstała.

– Przepraszam – i tu obdarzyła Andrew miłym, przepaszającym uśmiechem.

– Nie ma sprawy. W L.A. ludzie chodzą do łazienki na okrągło. Może zgadnę: idziecie przypudrować nosy czy puścić pawia?

– Nic z tych rzeczy – zawołała lekko zaszokowana Ellie.

– Właściwie to idziemy, żeby porozmawiać o... auuuuu! Julia dyskretnie wsunęła widelec z powrotem do torebki.

– Podejrzewam, że on leci na nas obie – oznajmiła Ellie wojowniczo. – We troje w łóżku. Co ty na to?

– Ja na to, że pieprzysz głupoty, a poza tym nigdy byś czegoś takiego nie zrobiła.

– A właśnie, że tak!

– A właśnie, że nie. Wydaje się, że jesteś taka wyluzowana i wyzwolona, jeśli idzie o seks, ale pamiętasz, co było, jak Billy chciał cię namówić na...

– Dzięki za wszystko i za przypomnienie. Chyba się jednak wyrzygam.

– Jeżyna, posłuchaj. Przepraszam. Nie ma sensu, żebyśmy skakały sobie do oczu. Ale ty masz całe życie na znalezienie nowego chłopaka, a ja muszę podjąć decyzję w trzy tygodnie. Rozumiesz.

– Kansas City – powiedział z namysłem Andrew. – Wiecie, właściwie to ja mam tam coś do załatwienia.

Julia się rozpromieniła.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – nadała się Ellie. – Myślałam, że piszesz haselka. Ile potrzebujesz studiów i badań, żeby napisać sześć słów?

– Właśnie piszę – powiedział powoli Andrew – haselko do kolejnego wielkiego przeboju, najbardziej-kasowego-filmu-wszechczasów itepe. Będzie o ataku kosmitów, no wiecie, bomby, meteoryty i trzęsienia ziemi, a potem okazuje się, że ci kosmici to w rzeczywistości zmutowane dinozaury i wyjaśnia, dlaczego dinozaury wyginęły, to znaczy nie wyginęły, tylko odleciały w kosmos...

– A mordują tam jakieś atrakcyjne prostytutki? – spytała Julia.

– Detalicznie to nie. Ale te wszystkie eksplozje zrywają z nich wszystkie ciuchy, no i same rozumiecie... A kręcą to właśnie w Kansas City. Mam więc zamiar tam pojechać by wczuć się w atmosferę, zanim napiszę choćby próbkę haselka.

Ellie – udając, że kicha – parsknęła tylko w serwetkę „chrzanisz koleś”. Andrew zauważył jej manewry i uśmiechnął się do siebie. Obaj mafiosopodobni faceci po oklepaniu i obcałowaniu Hatsiego ruszyli do wyjścia. Za chwilę z kuchni wypadł bardzo blady szef i zaczął nerwowo wypytywać Hatsiego, czy smakowały mu podane potrawy. Hatsie odsapał i odsmarował coś w odpowiedzi. Andrew zaś tokował.

– Kiedy pisałem haselko do tego kawałka o ogromnych jaszczurach, które wylazą na powierzchnię poprzez kanalizację w Waszyngtonie, a ich

mózgi zostały zmodyfikowane przez stały kontakt z płynami do czyszczenia toalet i przez to stały się one, znaczy się te jaszczury, superinteligentnymi bezlitosnymi łowcami... to wtedy ułożyłem takie coś: „Oto Zbrodnia Kapitolu – Zabójstwo Za Pierwszym Spuszczeniem Wody”, a pomysł przyszedł mi do głowy, jak pojechałem do Waszyngtonu szukać inspiracji.

– Naprawdę? – Spytała Ellie.

– Oczywiście. I wiecie co? Ten film już w swój pierwszy weekend zarobił 22 miliony dolarów...

– To dobrze czy źle?

– To znaczy, że uczciwie zarobiłem kupę forsy, jaką zgarnąłem za to haselko. I dlatego takie badania na miejscu są ważne.

– No dobrze, ale co właściwie inspirującego jest w Kansas City?

– No, chociażby wy dwie, na początek.

Ellie już–już zamierzała ostentacyjnie wetknąć dwa palce do gardła, pamiętając, że tego typu zachowanie jest tu towarzysko akceptowalne. Zawahała się jednak w ostatniej chwili i zamiast tego zatkała sobie nos.

– Dobrze się czujesz? – Spytał Andrew Drugi.

– Pysznie. Wielkie dzięki.

– To dobrze. A wracając do sprawy, to powinnyście sobie sprawić takie specjalne kowbojskie kapelusze typu „Ruszaj na Zachód młodzieńcze”!

– Na kapelusz zgoda, ale płęć się nie zgadza...

– No to tylko „Na Zachód”...

– Młode jesteśmy, w każdym razie.

– Nawet bardzo – prychnęła Ellie, po czym zerknęła na Hatsiego.

– To co, płacimy i idziemy?

Hatsie za pomocą serii pochrząkiwań i wymachiwań rękami pokazał, że już się zatroszczył o zapłacenie rachunku, w związku z czym wszyscy razem

wyszli z restauracji; na zewnątrz powietrze przesycone było zapachem kwitnących oleandrów i spalin.

– Skoczmy jeszcze gdzieś we trójkę? – spytał Andrew Drugi. Julia stanęła tak jakoś bardzo blisko niego.

– Nie ma mowy! – wrzasnęła Ellie. – Jutro rano musimy wcześniej wstać! Poza tym... no, Kansas i to wszystko...

– Czemu nie – zaczęła Julia. Dokładnie w tym samym momencie. Andrew popatrywał to na jedną, to na drugą.

– No, więc?...

Przez chwilę panowała krępująca cisza. Hatsie sapał i smarkał gdzieś ponad ramieniem Ellie. Zirytowana, niespodziewanie zerwała mu z głowy ten ogromny kapelusz w stylu Jamiroquai'a i pobiegła z nim przez gęstniejący mrok zalegający parking.

Hatsie wydał z siebie przeraźliwy pisk, a Julia odskoczyła w bok od osłupiałego Andrew.

– GOŃ MNIE! – wrzasnęła Ellie.

– Jezu Chryste – jęknął Andrew.

– Snffghhg! – zbulgotał błagalnie Hatsie pod jego adresem.

– Tak, tak oczywiście – wybąkał Andrew, po czym krzyknął w ciemność parkingu: – Ellie, przepraszam... mogłabyś oddać mu ten kapelusz? Proszę...

– Niby dlaczego? – parsknęła na to z bezpiecznej odległości – Co, padnie trupem, jak mu nie oddam? Mamy dzwonić na 999? A nie, za długo by trwało, zanim by tu dojechali z Anglii; czyli dzwoniemy na 911? – Hatsie skomlał cichutko: Ellie zawahała się chwilę i wreszcie podeszła do nich.

– Nie ma sprawy – zaświergotała, maszerując prosto na niego. Hatsie kurczowo chwycił Andrew za ramię.

– Wiesz... myślę, że lepiej już pójdziemy – powiedział ten pojednawczo.

– Hhf – sapnął Hatsie, gwałtownie kiwając głową. Odczekał, aż Ellie podeszła dostatecznie blisko, złapał kapelusz i wcisnął go na głowę.

– Bardzo mi przykro... ale Hatsie nie znosi, jak ktoś dotyka jego kapelusza – powiedział przeprasząco Andrew, wskakując do swego samochodu. – To dla niego... jak tabu...

– Rany, to doprawdy podniecające – parsknęła Ellie – No, Julia, idziemy. – Julia spojrzała błagalnie na Andrew i zatrzepotała rzęsami.

– No, to na razie...

Andrew wychylił się przez okno samochodu: Hatsie skulił się tak, że prawie nie było go widać.

– No, to miłej podróży – powiedział Andrew, przyglądając się im obu. Ellie nie mogłaby przysiąc, ale zdawało się jej, że z trudem ukrywa rozbawienie.

Po chwili stały obok siebie, patrząc jak samochód znika na zakręcie.

– No, wielkie dzięki – zasyczała Julia, gdy taksówkarz dojeżdżał już do mniej atrakcyjnej części Los Angeles.

– Ojej, przepraszam – powiedziała Ellie. – Sama nie wiem, co mnie napadło... Ale chodziło mi o ciebie...

– A ja wiem – parsknęła Julia – to się nazywa sabotaż. Ellie oparła czoło o szybę samochodu, patrząc na rozmazujące się z tyłu światła.

– Przepraszam. Tak sobie nagle pomyślałam...

– Jeżyna. Pozwól, że moralnych wyborów będę dokonywać sama. Zrozumiano!

– Dobrze. Już dobrze. Przepraszam.

– Szkoda, że nie możesz jechać z nami. Robiłabyś nam naleśniki w drodze – zwróciła się Ellie do kelnerki następnego ranka i łapczywie wepchnęła do ust kolejny kawałek. Julia nie jadła nic.

– No, już wam mówiłam... gdyby chodziło o Roberta Lowe...

– Tak, wiem.

Julia w milczeniu siorbała kawę.

Ellie ponownie zwróciła się do kelnerki.

– Ty naprawdę lubisz Los Angeles? To znaczy mieszkanie tutaj?

Kelnerka zadumała się przez chwilę, jakby nigdy tak naprawdę nie zastanawiała się nad tym.

– Ba, bo ja wiem... wydaje się... no, tu jest ocean... a poza tym, wiecie jak się nie ma za dużo kasy... to lepiej mieszkać gdzieś, gdzie jest ciepło.

Ellie pokiwała głową.

– A właściwie dlaczego nie zostałam aktorką?

– Złotko, niewielu z nas tutaj to się udaje. Kręcimy się. Podtrzymujemy wzajemnie. To jest fajne. No i tylu tu milionerów. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyjdzie twój szczęśliwy dzień i co się w nim wydarzy. W sumie mimo wszystko jest fajnie. Jezu Chryste, żebyście widziały tę dziurę, gdzie dorastałam.

– Czyli gdzie? – spytała Ellie z nagłym przeczuciem nadchodzącej katastrofy.

– W Kansas City.

– Oczom własnym nie wierzę – Ellie stała jak wmurowana, gapiąc się na samochód, który miał zawieźć je do celu.

– Nie mamy forsy do wyrzucenia – powiedziała cierpliwie Julia. – A miałybyśmy, gdybyś się nie upierała, żeby dać wtedy całą żywą gotówkę tej kelnerce.

– Co być może Los nam uczciwie wynagrodzi. Ale TO...

Wybrany przez Julię samochód była to znów Toyota, jeszcze starsza i jeszcze mniejsza od tej, którą dotąd jeździły po mieście.

– To jest normalnie nie w porządku.

– Ta bryka ma tę zaletę, że do siedzeń nie poprzyklepiały się kawałki twojej skóry.

– Rany, jak u licha można liczyć, że ten gruchot dowiezie nas z jednego końca kraju na drugi? Na co to w ogóle chodzi? Na napęd ręczny?

Julia wsiadła do samochodu, głucha na argumenty.

– Pysznie. A już na pewno nie zwrócimy w tej bryce uwagi żadnego faceta.

– To nawet ma swoje dobre strony... – powiedziała Ellie.

– Słyszałam!

Ellie westchnęła zrezygnowana.

– No, wsiadaj wreszcie.

– Dobrze, już dobrze. – Wrzuciła swój plecak na tylne siedzenie i dodała kwaśno:

– Oto ruszamy w nieznaną. *Thelma i Louise* za pół ceny...

Julia zdecydowanym gestem uruchomiła motor i energicznie włączyła się do ruchu, tym razem po prawidłowej stronie drogi, prosto w kierunku wchodzącego właśnie słońca.

Kierunek: Kansas City!

Artur zapatrzył się w mroki nocy i wydał z siebie wyjątkowo melodramatyczne westchnienie.

– Czy kiedykolwiek wreszcie przestanie padać?

– Że co? – dał głos Mięśniak, całkowicie pochłonięty oglądaniem *Dźwięków muzyki* z kolekcji wideo Colina.

– Podoba ci się ten film? – zapytał Colin, zwinięty wygodnie na podółku Artura.

– Ee, nie, to syf. A teraz się zamknij – warknął, nie odrywając oczu od ekranu. – O Boże! Kurczę! Nie żeń się z tą suką!

– Cześć wszystkim – odezwał się Loxy wślizgujący się do pokoju.

– O, cześć, stary. Jak leci?

– Jakoś. A nie, przepraszam, wróć; moja dziewczyna jest gdzieś na drugiej półkuli, gdzie ugania się za jakimś facetem, którego nigdy w życiu nie spotkała.

– Nie chciałem wcześniej nic mówić – oznajmił Colin. – Ale to zaczyna się robić nudne.

Mięśniak z Arturem skwapliwie przytaknęli, energicznie kiwnąwszy głowami.

– No to fajnie – powiedział Loxy, siadając ciężko na kanapie i wyciągając z przyniesionej torby kilka puszek z piwem. – Postąpię więc jak rasowy Brytyjczyk i zduszę w sobie wszystkie emocje. Pewnie skończy się to rakiem, ale co mi tam.

– Właściwie, jakbyś se trochę pobzykał na boku, rozwiązałyby to większość twoich problemów, koleś – Mięśniak wytrenowanym gestem sięgnął za siebie i złapał kolejną puszkę piwa. – O, na przykład z Julie Andrews miałbyś ochotę?

– To zależy, ile by mi zostało z oprzyrządowania, jakbym już dostał tego raka.

– Wiesz, jak na nią patrzę... Myślisz, że poleciałaby na to? Wygląda na taką czystą i świeżą...

– Hej, ty tam! – wrzasnął Artur. – Jeśli chcesz dalej oglądać ten film, dobrze ci radzę okazywać nieco więcej szacunku.

Mięśniak wzruszył ramionami.

– Co się rzucasz? Zresztą to bije po oczach, że ona nie wróci do klasztoru...

– Rany boskie! – trzasnęły frontowe drzwi i wpadła przez nie Siobhan. Usiadła wprost na podłodze i zalała się łzami.

– Jezu Chryste! – zawołał Mięśniak – jak koniecznie chcesz zalewać dywan, to może rób to gdzie indziej!

– Ja nie płaczę – smarknęła Siobhan – wcale nie płaczę, tylko mam orgazm. Nie rozpoznałeś takiej prostej rzeczy, seksualny analfabeto.

– Złotko, co się stało? – Artur zerwał się, strącając zwiniętego na jego podółku Colina.

– Właśnie widziałam Patryka i tę całą jego baletnicę – smarknęła ponownie. Wspólnie, kurwa, WYBIERALI ZASTAWĘ STOŁOWĄ.

– Rany... – Artur współczująco otoczył ją ramieniem.

– A ja tego faceta nie mogłam zmusić, żeby poszedł razem ze mną kupować swoje pieprzone gacie. Swoje własne pieprzone gacie...

– No, ale z nią też gaci nie kupuje – zaproponował Mięśniak.

– Boże drogi. Jestem kompletnie... Cholera, już nigdy z nikim się nie związę. Nigdy. I jak ja teraz mogę mieć dziecko? Artur, może ty zechcesz mi je zrobić, tak jak w tym filmie z Madonną? *

Łkania Siobhan cichły powoli. Loxy pomyślał, że gdyby i on się tak rozplakał, może przyjaciele też by się nad nim użalili, ale rozsądnie powstrzymał się przed sprawdzeniem tego w praktyce.

– Zwykle talerze są w tym roku już niemodne – Artur podjął temat zastawy stołowej z wyraźnym entuzjazmem. – Teraz każdy, kto jest kimś, kupuje zestawy Benta Boxes. Ale raczej nie w Habitacie.

– Skąd wiesz, że widziałam ich w Habitacie?

– Bo Patryk jest najbardziej przewidywalnym typem, o najbardziej ograniczonej wyobraźni, jakiego spotkałem w życiu. Napuszony typek. Taki nie wypuści się po zakupy dalej, niż sięgają granice jego kodu pocztowego...

Siobhan uśmiechnęła się. Co prawda, blado i z przymusem.

– I co? Kupowali te idiotyczne ogromne talerze, jakich normalny człowiek nigdy nie użyłby do normalnego posiłku?

– Ogromniaste.

– Sam widzisz. Nie martw się. Do Bożego Narodzenia te wszystkie talerzydła im się wytluką w tej ich niepokalanej stalowo–aluminiowej kuchni...

Siobhan hałaśliwie pociągnęła nosem.

– Dostanę piwa?

– Możesz tu dostać wszystkiego, czego zażadasz – powiedział Artur. – Poza moją spermą.

* *W filmie tym (Niedobrana para) Madonnie partnerował Rupert Everett.*

– Mogę cię potem podwieźć do domu, jeśli chcesz – wtrącił Loxy. – Możemy przejechać obok jego, Panie Boże odpuść, rezydencji i zrobić jakiś kipisz. Powywracać śmietniki na przykład. A jeśli nie czujesz się na siłach, możemy mu wysmarować czymś drzwi...

– Dziękuję, Lox.

– Rany, kurwa, Rolf, nie rób tego! – wrzasnął wstrząśnięty do żywego Mięśniak.

Ellie wystawiła głowę za okno samochodu, wpatrując się w rozpościerającą się przed nimi bezkresną, jałową pustynię. Radio zacharczało „der...der...der...” po czym rozległy się znajome dźwięki „The Boys of Summer”. Poczowała się dziwnie.

– Julia?

– Mmm.

– Czy kiedykolwiek czułaś, że..., że naprawdę bardzo czegoś chcesz, tyle tylko, że nie masz pojęcia, co to takiego?

– Nie – odparła sucha Julia. – Dostrzegam różnicę między tortem czekoladowym a zamszową torebką.

– Nigdy nie czułaś... no, że gdzieś tam coś na ciebie czeka, a ty nie wiesz co...

– Nie – głos Julii był suchszy niż pustynia, którą przemierzały. – Jestem na wakacjach. Ciebie trapią jakieś przyprawiające o ziewanie egzystencjalne lęki. Dlaczego miałyby dręczyć i mnie, i kto by wtedy prowadził samochód? Nie mam bladego pojęcia.

Ellie cofnęła się od okna, po czym przelazła na tylne siedzenie, skąd podziwiając uciekający w dal bezkresny horyzont, zastanowiła się po–raz–nie–wiadomo–który, co właściwie robi.

– Jak myślisz, jak to jest być sławnym – spytała leniwie.

– Nie wiem – warknęła Julia. – Być może oznacza, że możesz wylegiwać się na tylnym siedzeniu, podczas gdy ktoś inny prowadzi.

Ellie puściła tę oczywistą aluzję mimo uszu.

– Przypomnij mi raz jeszcze, z łaski swojej, czemu nigdy nie nauczyłaś się prowadzić?

– Z powodu jelonka – powiedziała Ellie.

– Aha. Ale to nie był jelonek, prawda? Jeżyna?

– Jelonek, który z wdziękiem wyskoczył z krzaków...

– To był kot, prawda? Jeżyna?

– ...i z wdziękiem biegł przez poranne mgły, na spotkanie z innymi leśnymi stworzeniami...

– ...taka wielka, tłusta kocica, co jak raz zleciała ze śmietnika...

– ...albo z tygrysem. A tak w ogóle, to nie znosiłam mojego instruktora. Zaraz pierwszego dnia powiedział mi: „Są dwie rzeczy, których kobiety robić nie mogą i nie potrafią. Jedna to prowadzenie samochodu, a druga to...”.

– ...drapanie się po jajach?

– Nie, choć właściwie kiedy dziś o tym myślę, to być może miał rację. Ta druga rzecz to nagrywanie filmów na wideo.

Przez jakąś setkę mil jechały w milczeniu.

– Właściwie to ja ciągle schrzaniam nagrania – wyznała Julia. – Nigdy nie potrafię nacisnąć guzika z pauzą we właściwym momencie i potem wychodzi sieczka, i...

– ...dokładnie to. A on już wtedy to spostrzegł, więc nie widziałam większego sensu, by to kontynuować.

– Dobra, przełaż tu z powrotem i pokręć gałką. Złap coś fajnego – Don Henley właśnie skończył. Ellie przeturlała się posłusznie na przednie siedzenie.

– Wolisz ludowe country czy chrześcijańskie?

– Mmm – Julia zerknęła na podziałkę. – To ci co śpiewają „Jezu, Kopsnij Mnie Tam, Gdzie Być Powinienem”?

– Coś w tym guście. Ale jeśli wolisz ludowe country, to może być „Nigdy W Życiu Nie Byłem W Łóżku Z Brzydką Kobieta, Ale Nie Wiem, Co Będzie, Gdy Się Obudzę”.

– Mmm.

– Dobra, poszukam czegoś. – Ellie zaczęła pracowicie kręcić gałką. Nagle wewnątrz Toyoty wypełniły dźwięki „The Heat Is On” Glenna Freya.

– O, to jest to – skonstatowała Julia i obie zanurzyły się w muzyce i pustyni.

* * *

Ellie pamiętała, jak niegdyś ekscytowała się wizją prowadzenia samochodu. Jej matka nigdy się tego nie nauczyła; toteż wielki projekt nauki jazdy połączył tylko ojca i córkę. Matka zdawała się tym w ogóle nie interesować.

– Oni w tym całym Plonckton nie mają samochodów – powiedział kiedyś tato.

– Tylko konie, wielkie perszerony, których gówno zalega wszędzie. – Ellie rozchichotała się wtedy i gwałtownie zjechała z drogi. Po dwóch, wypełnionych bólem i strachem godzinach, oboje uznali, że nigdy już nie wsiądą do samochodu razem. Gdy na całym świecie ma się tylko jedną bliską osobę, nie należy ryzykować i uczyć ją prowadzenia samochodu.

– Rany, popatrz tam! Facet w kowbojskim kapeluszu! – wrzasnęła Ellie, ściągając na siebie uwagę pozostałych gości siedzących w zapyłonym choć przeklimatyzowanym baraczkę przydrożnym, gdzie zatrzymały się, by coś

przekąsić. Zresztą jak tylko weszła do zapchanej salki, zorientowała się, że jest zapchana tłumem postawnych facetów w kowbojskich kapeluszach.

– Panie szanwne co uważają? – spytał niski, sympatycznie wyglądający facecik, podchodząc do nich i podając dwa menu.

– O ra...

Julia zatkała jej wreszcie usta dłonią.

– Prosimy dwa miejsca. Dla niepalących.

– Niepa... – facecik najwyraźniej nie zrozumiał.

Julia doprowadziła jakoś osłupiałą Ellie i usadziła na krześle prawie przemocą.

– Ale to jest... on jest...

– No, rdzenny Amerykanin, bo co? Dobry Boże, Ellie przestań dźgać paluchem powietrze! Czy jako dzieciak pokazywałaś palcem na ulicy dzieci z zespołem Downa czy starsze panie w perukach?

– Nie! Raz tylko jedną starszą panią z zespołem Downa i w peruce...

– Mam nadzieję, że zmyślasz.

– Ale on jest...

Nieduży facet wrócił do ich stolika, niosąc dwie szklanki lodowato zimnej wody. Uśmiechnął się i spytał przyjaźnie:

– A wy skąd? Z Polski?

– Z Anglii – odpowiedziała skwapliwie Ellie, wpatrując się w jego pięknie sklepione czoło i wielkie piwne oczy.

– Anglia? To gdzieś niedaleko Brytanii, nie?

– W Brytanii – powiedziała Ellie już mniej ochoczo. – Anglia to jakby największa część Brytanii.

– No, bez jaj! Myślałem, że największy w Brytanii jest Londyn.

– No, my właśnie jesteśmy z Londynu. Kelner wyglądał na skonfundowanego.

– No, niech wam będzie. A tak w ogóle – to dokąd zmierzacie? Do Wielkiego Kanionu czy do Las Vegas?

– Ani tu, ani tam – powiedziała Julia. Jedziemy do Kansas City. Mogę dostać jeszcze coca coli? I podwójne espresso.

– Kurczę, wy cudzoziemcy to jednak jesteście dziwni – stwierdził filozoficznie kelner kiwając głową.

– Słuchaj, ty naprawdę jesteś... ee... czerwonoskórym? To znaczy Indianinem? – spytała Ellie z pełnymi ustami. Julia kaszlnęła głośno.

– A tak, jestem Hauausupai, panienko.

– Nigdy jeszcze nie spotkałam prawdziwego... ee... rdzennego Amerykanina.

– No, ja nigdy jeszcze nie spotkałem nikogo... prawdziwego z Londynu.

– Doprawdy? Dziwne, jest nas w końcu jak mrówek.

– No, a nas jest raczej mało.

– Rany, czyż to nie cudowna podróż? – szepnęła Ellie do Julii, która w odpowiedzi wzniosła tylko oczy do nieba, a raczej do sufitu, pijąc łąpczywie kolejną kawę. Ellie ponownie zwróciła się do „rdzennego” kelnera.

– Jedziemy z Los Angeles – powiedziała.

– Naprawdę? Kiedyś tam mieszkałem. W latach osiemdziesiątych.

Te słowa natychmiast obudziły czujność Ellie.

– Tak? O mój Boże, a cóż ty tam robiłeś?

– Jak to co? Pracowałem w restauracji. Chociaż w tamtych czasach do restauracji nie chodziło się tylko po to, by jeść.

– Ee...? – Obie przyjaciółki wyczekująco wlepiły w niego wzrok.

– Kurczę, Jimmy, ty znowu zaczynasz to swoje hollywoodzkie gładzenie? – rzucił dobrodusznie facet z sąsiedniego boksu.

– Owszem, zaczynam i lepiej się zamknij – warknął wojowniczo Jimmy.

Przysiadł się do nich. Ellie, cała spięta, oparła podbródek na splecionych dłoniach, gotowa na słuchanie jego opowieści.

– To był taki sympatyczny lokal; wszyscy się tam spotykali...

– Jak się nazywał? – spytała Julia.

– „Flash”. Mieliśmy różowy neon, a w środku wszystko obite czarną skórą. A porcje podawaliśmy takie, że nawet szczur by się nie pożywił, bo nie przychodziło się tam żreć, tylko... się przychodziło. Było naprawdę super.

– I brzmi super – powiedziała Ellie. – No, mów dalej! Kto tam bywał?

– Waliły takie tłumy, że musieliśmy poszerzyć drzwi. Były takie wieczory, że można się było udusić od oparów spreju do włosów i perfum od Giorgia. I wszyscy mieli komórki, a wtedy były takie wielkie jak cegły... – głos Jimmiego stawał się coraz bardziej rozmarzony.

– A Brat Pack? Bywali we Flashu? – spytała niecierpliwie Ellie.

– A, tak – odpowiedział.

Ellie aż pojaśniała. Nagle wyobraziła ich sobie, będących wtedy u szczytu sławy i popularności, śmiejących się, żartujących i wznoszących toasty za swą młodość, radość i sukcesy. Prawie widziała, jak pakują się do lokalu przez te poszerzone drzwi, siadają na obitych czarną skórą ławeczkach w swoich (na pewno mieli swoje!) boksach. Wizja ta sprawiła, że jej smętne zwisające, nabite kurzem kędziory, jakby cudownie ożyły i skrzyły się na nowo.

– Najbardziej wkurzająca banda niewdzięczników, z jaką zetknąłem się w całym moim życiu.

– W jakim sensie wkurzająca? – zapytała zaszokowana Julia; Ellie zeszywniała.

– Może trafiłeś na nich, gdy mieli zły dzień... to znaczy noc? – rzuciła desperacko.

– Ee tam. Przesiadali we Flashu na okrągło. Pili jak smoki. Rozbijali się tymi swoimi brykami. I furt narzekali na Toma Cruise, że dostaje wszystkie dobre role...

– Hm, w tym to akurat mieli rację – wtrąciła Julia. Ellie nadal wyglądała na skrajnie nieszczęśliwą.

– Czy... Andrew Mc Carthy też tam bywał?

– Kto? – Jimmy zastanawiał się przez kilka sekund, po czym zakłopotany podrapał się w głowę. – A nie, on właściwie nie spędzał wiele czasu w ich towarzystwie. To nie był taki typowy imprezowicz.

Na twarzy Ellie natychmiast pojawił się ponownie szeroki uśmiech.

– Jasne. Nie był taki.

Jimmy potrząsnął głową. Chyba nie chciał zajmować jednoznacznego stanowiska.

– A nie wiesz przypadkiem, gdzie on może się teraz obracać? – zapytała Julia.

– No, na pewno nie w restauracjach, jak sądzę.

– Hmm.

– No, ale poza tym to były piękne dni – podjął temat Jimmy. – Jakie wtedy dawali napiwki! Nie macie pojęcia. Tysiące dolarów po prostu fruwały w powietrzu.

– A co się właściwie stało, że tu wylą... – zaczęła Julia, po czym szybciotko się poprawiła. – Nie, żeby to miejsce nie było sympatyczne, ale...

Jimmy wyszczerzył zęby w radosnym, acz nieco głupawym uśmiechu, odchylił skrzydło wahadłowych drzwi wiodących do kuchni i oczom ich ukazał się śliczny tłuściutki bobas siedzący w plastikowym foteliku i z zapalem wpychający sobie do uszu jakieś walające się obok na stole zimne frytki.

– Noo, same wiecie... – Jimmy wzruszył ramionami. – Czasy się zmieniają. Tak samo obyczaj. Ludziska, żeby nie wiem jak odłotowo ubrane, zamawiają wodę mineralnom. Żadnego ubawu, żadnych jaj. Wszystko, co kiedyś błyszczało, się wytarło i tyle, same wiecie. Julia smętnie pokiwała głową.

Jakaś kobieta wyjęła dzieciaka z fotelika i przeszła z nim z kuchni do sali restauracyjnej. Miała długie ciemne włosy i ogromne ciemne oczy; kiedyś była zapewne niezmiernie atrakcyjna, teraz niestety już tylko niezmiernie zapasiona.

– A to moja żona, Sharalees.

Kobieta obdarzyła je ciepłym uśmiechem. Ellie podała maluchowi kawałek tosta, który ten natychmiast wsadził sobie w ucho.

– Właśnie se troszkie pogwarzyłem z temi miłemi panienkami z Irylandii...

– Dziń dybry. Pewnie panienki zanudzał tymi swoimi wojennymi opowieściami?

– Sharalees też była aktorką – oznajmił z dumą Jimmy.

– Występowała w erotycznym thrillerze z Markiem Hamillem.

– Rany, to niesamowite.

– Stare dzieje; a poza tym i tak głównie byłem kelnerką – stwierdziła pogodnie Sharalees. – I jeszcze tyle wam powiem, że w tym całym Flashu to można było dostać bzika. Te tłumy rozwrzeszczanych sław na ćwierć sezonu;

teraz większość albo się stoczyła, albo poumierała. Ale napiwki dawali naprawdę dobre.

– Hmm – zachrzękała Ellie.

– Miło było was poznać – Sharalees, jak się rozpędziła, mówiła całkiem poprawnie, zapominając o gwarze.

– A przy okazji muszę wam powiedzieć, że wy dwie naprawdę dobrze mówicie po angielsku.

– Ojej, chyba musimy już ruszać – poderwała się Julia – chciałybyśmy dojechać do motelu przed zmrokiem, bo...

– A może chcecie jeszcze posłuchać jak jednej nocy Dudley Moore i Robert Downey Junior...

– Ja chcę.

– Jeżyna. Mamy podział obowiązków. Ja cały dzień tkwię za kółkiem, a ty tłuczysz karaluchy w motelach. A sama wiesz, że najlepiej się je tłucze, gdy jest jeszcze jasno...

– No, to jedźcie z Bogiem. A jak będziecie znów w Stanach, to wpadnijcie do nas, nie?

– Oczywiście. A jak wy będziecie w Europie, też możecie wpaść.

– Na pewno. Ellie i Julia, tak?

– Ehem.

– Świetnie. W takim małym kraiku jak wasz, nie będzie trudno was odszukać.

Następny poranek wstał jasny i pogodny. Julii udało się stosunkowo szybko odciągnąć Ellie od stołu oferującego niepowtarzalną okazję pt. Zjedz Tyle Bekonu, Ile Zmieścisz.

– Ruszaj się! Musimy jechać!

– Spoko! On przecież i tak ma na nas czekać w Kansas City!

– Kto? – zdumiała się Julia – Andrew Drugi? W ogóle nawet o nim nie pomyślałam. – Poklepała ukradkiem kieszeń, w której trzymała kartkę z numerem jego komórki.

Ellie, ociągając się, wsiadła do ciasnej Toyoty.

– Pfuj. Ale tu cuchnie.

– Trzeba się było nie objadać fasolą... Ellie opuściła szyby i usiadła wygodniej.

– A co będzie, jeśli Artur nie przyjedzie? To byłby kompletny kanał...

– Nie mam zamiaru martwić się na zapas – odpaliła Julia. – Jestem pewna, że wszystko pójdzie zgodnie z planem.

– Nie, mnie nie o to chodzi – powiedziała Ellie – ja tylko... no, głupio mi, że pozbawiłam go tej wyprawy do San Francisco...

– Może lepiej było pomyśleć o tym wcześniej i ułożyć sensowniejszy plan podróży, zanim powlokłaś nas w tę stukniętą wyprawę...

– Dobrze, już się zamykam.

Ellie zamilkła i zaczęła się zastanawiać. Dlaczego nigdy nie czuła, że postępuje samolubnie i egoistycznie, podczas gdy w rzeczywistości tak właśnie postępowała, póki ktoś jej tego faktu nie podetkał pod nos? No dobrze, czasami popełniała błędy. Ale nigdy nie chciała nikomu zaszkodzić ani sprawić przykrości. A teraz chciała tylko i po prostu kogoś odnaleźć. Myślenie o tych sprawach uwierało ją prawie tak samo jak myślenie o matce. Zaczęła niespokojnie wiercić się na fotelu.

– Co znowu? – warknęła Julia.

– Nic – odpowiedziała Ellie potulnie – chwilowy atak alienacji.

– A – po tym głębokim stwierdzeniu Julia wsunęła do odtwarzacza kasetę Cindy Lauper (cena okazyjna, tylko 2 dolary i dziewięćdziesiąt

dziewięć centów!); wewnątrz Toyoty wypełniały dźwięki „Time after Time”, a Ellie zapatrzyła się w okno i oddała marzeniom.

Nagle bardzo daleko przed nimi, na poboczu drogi zamajaczyła jakaś postać.

– Autostopowicz! – wrzasnęła podniecona.

– Nawet o tym nie myśl – powiedziała surowo Julia.

– To zupełnie tak jak na wideo Shani Twain – zawołała Ellie. – Patrz! To kobieta!

Zbliżały się coraz bardziej, ale w rozedrganym od gorąca powietrzu sylwetka na skraju drogi wciąż była nierozpoznawalna. Julia rzuciła okiem.

– Trochę za wysoka... jak na kobietę – powiedziała z powątpiewaniem.

– Ale popatrz. Ma długie, różowe włosy – zaprotestowała Ellie. Julia z wahaniem, ale jednak zwolniła. Kobieta energicznie zakołysała biodrami, przytupując stopami obutymi w niebotyczne szpilki.

– Jejku, wygląda na to, że ona może być ogromnie wdzięczna za podwiezienie – zauważyła Ellie.

– Powtarzam. Nawet o tym nie myśl. Nie zamierzam...

– Co? Zamierzasz zostawić samotną kobietę na poboczu drogi w środku pustyni? Pięknie, siostró.

Julia zawarczała, ale widać było, że się łamie.

– Ojej, proszę, Julia, zabierzmy ją – błagała Ellie. – Czuję się już tak zdołowana przez te różne... rzeczy i mam takie poczucie winy, a to przecież byłby dobry uczynek...

Julia chrząknęła, prychnęła i w końcu zahamowała tuż przy egzotycznie wyglądającej autostopowicze.

– Hej! – zawołała tamta podejrzenie niskim głosem. – Wielkie dzięki! Oj, ale z was ślicznotki! Całkiem jak Spice Girls, tylko trochę wymiętoszone!

Julia popatrzała na Ellie; w tym czasie „kobieta”, nadal śmiejąc się (raczej basowo), wrzuciła swą podróżną torbę (imitacja skóry leoparda) i z jakimś wdziękiem wpakowała się za nią na tylne siedzenie, zgrabnie składając w ciasnej przestrzeni swe bardzo długie i podejrzanie szczupłe nogi.

– Jestem Holly Wood – oznajmiła, wtykając głowę w szparę między przednimi siedzeniami. – A wy jesteście moimi nowymi najlepszymi przyjaciółkami!

– Znaczy się, nie uważasz – wtrąciła Ellie, gdy Holly przerwał na chwilę swój słowotok dla nabrania oddechu – że będąc dwumetrowym transwestytą wystrojonym jak pierwszej klasy ostatnia dziwka, jest jednak odrobinę niebezpiecznie łapać okazję na autostradzie?

– Złotko! Jakby któryś z tych kolesiów z ciężarówek choćby spróbował, to dałabym mu taką szkołę, że do końca życia siusiałby w łóżko ze strachu!

– No, tego to jestem pewna – mruknęła Julia.

– Gdzie zmierzasz? – spytała Ellie.

– Najpierw do Toledo, zabrać stamtąd paru kumpli.. ee... kumpeli, a potem prujemy do NOWEGO JORKU. JAHUU!

– Au – syknęła cieniutko Julia, której ucho było zbyt blisko mięsistych ukarminowanych ust Holly.

– My też – powiedziała Ellie, zanim Julia zdążyła rzucić jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Tak? Na festiwal?

– Festiwal transów, złociutka. W końcu miesiąca. A niby, gdzie myślałaś, że się wybieram, do Carnegie Hall? Będziemy tańczyć na ulicach, złociutka. Nawet nie MYŚL o tym, żeby to przepuścić!

Ellie spojrzała na Julię.

– Rób, co chcesz – odpowiedziała tamta. – Ja w tym czasie pójdę sobie do Guggenheima.

– Ależ Julia! – zawołała Ellie. – Nie o to mi chodzi! Nie widzisz, jak się cudownie składa! Teraz już wiem, jak ściągnąć tu naszego trzeciego muszkietera!

– WAARRGH!

– Że co? – krzyknął Artur – nie usłyszałem, co mówiłaś na końcu. Colin z Mięśniakiem przekształcili frontowy pokój w lodowisko do gry w hokeja. Za długo by wyjaśniać... Aha i przy okazji: Billy się tu kręcił. Pytał, czy mogłabyś mu dać znać, czy po powrocie schodzicie się z powrotem, czy nie, zanim zrobi sobie nowy tatuaż.

– Pff – parsknęła Ellie – wierz lub nie, ale w ogóle o nim nie myślałam.

– Czyli twoja odpowiedź brzmi „nie”, jak rozumiem – stwierdził Artur, nieco zaniepokojony – chyba osobiście mu to przekażę.

Ellie powtórzyła jeszcze raz informację o Międzynarodowym Zlocie Transwestytów.

– Jeżynko, jesteś już dużą dziewczynką i powinnaś wiedzieć, że homoseksualiści i transwestyci to zupełnie nie to samo – pouczył ją belferskim tonem Artur.

– Wiem o tym – odpaliła Ellie. – Ale pomyślałam sobie, że być może chciałbyś wiedzieć o tym zlocie. Na wypadek gdybyś jeszcze raz przemyślał sprawę przyjazdu do Stanów.

– Hmm. Czyli gdy wy będziecie w zaspach i zadymce polować na waszego idola, ja mam włożyć hawajską spódniczkę i potrząsać tyłkiem w takt muzyki disco?

– No, skoro cię to nie interesuje i nie chcesz przy...

– Do zobaczenia w Kansas City!

– No, to powodzenia Holly Wood! – Ellie uściskała serdecznie nową „przyjaciółkę”, gdy zostawiały „ją” w małym cichym miasteczku, w samym środku pustyni Arizony.

– Złotko, bardziej niż powodzenia potrzebuję teraz kogoś, kto by mi przyszył cekiny do rajstop... No, czyli że spotkamy się w Nowym Jorku?

– Absolutnie.

– No to pysznie! Miłej podróży! I nie zabierajcie po drodze żadnych obcych facetów!

– W życiu! – mruknęła pod nosem Ellie; Julia wrzuciła bieg, nacisnęła gaz i ruszyły z kopyta.

– Dobry Boże – jęknął Artur, patrząc na swą walizkę.

– Nie mam ani jednego porządnego swetra...

– Mogę ci pożyczyć ze swoich – zaofiarował się Colin. Siedział na łóżku opatulony (bowiem w pokoju panował przenikliwy ziąb) w co najmniej dziesięć razy dla niego za dużą bluzę rugbisty. – A twoją hawajską spódnicę już zapakowałem...

– Hej – wrzasnął Mięśniak, ładując się do pokoju z sześciopakiem, który czule tulił do piersi.

– Tak przy okazji, Artur... jakimi liniami lecisz? British Gayerways? A może Gejroflotem?

Artur odwrócił się ku niemu bardzo powoli.

– Kolego M. Ile czasu zajęło ci wymyślenie tych błyskotliwych kalamburów?

Mięśniak zwiesił głowę.

– Kurczę, to był długi dzień...

– Znaczy się, cały dzień? Mięśniak wzruszył ramionami.

– No, dobrze, zacząłem już wczoraj... Ale jak pomyślę, że będziesz leciał na wysokości 30 000 stóp...

– Dobra, dobra! – uciął Artur – ale co ty tu właściwie robisz? Obecność w tym pomieszczeniu pospiesznie schowanych książeczek Nancy Friday zdaje się jednoznacznie wskazywać, że to nie jest twój pokój.

– A co to za zdzira, ta cała Friday?

– To takie porno, tyle że dla dziewczyn – zapiszczał Colin.

– Dziewczyny nie lubią porno! – parsknął Mięśniak.

– Mięśniak, ty naprawdę uważasz, że dziewczyny nie lubią seksu? – zdumiał się Artur.

– Ee, nie, tylko ja, kurczę, mam takie pieprzone szczęście do zimnych suk. Ale w sumie, co one, kurczę, lubieją?

– Tu wszystko jest opisane – powiedział Colin, podając mu egzemplarz *Women on the Top*.

– Opisane? Kurde, to jakiś szwindel – zdenerwował się Mięśniak, ale złapał książkę i wsadził ją sobie pod pachę.

– Kiedy wyjazd? Mogę cię podrzucić moim skuterem. Ale właściwie jestem troszkę zajęty – mówiąc to, łypnął okiem na tkwiącą mu pod pachą książkę Nancy Friday.

– Nie ma sprawy. Siobhan przyjedzie i odwiezie mnie na lotnisko.

– Środek zimy, to nie jest, kurde, odpowiednia pora na wakacje. Powinieneś wybrać się ze mną i chłopakami z klubu na Ibizę; tam to już tylko słońce, plaża, zimne piwko i laski jak foczki, jedna w drugą. Super–duper, mówię ci...

– Chyba ktoś dzwoni do drzwi – powiedział Artur, zrywając się pośpiesznie z łóżka.

– Cholera – dało się słyszeć z przedpokoju głos Siobhan, po czym ukazała się ona sama, otrząsając się z deszczu.

– Miałam zamiar skorzystać z waszego kibla, ale przypomniałam sobie w porę, że to dom Mięśniaka. Ostatnim razem w sraczyku pływała szczoteczka do zębów...

– Niestety, takie są twarde realia... – westchnął Artur.

– Ale jak będę wracać z lotniska, to wpadnę jeszcze i zabiorę te płytki, co się tam poniewierają w kącie. Zamierzam użyć ich przeciwko cieplarni mego byłego...

– No, nie zrobisz tego!

– Wiem. Ale pomarzyć można.

– Colin!

Colin wytaszczył właśnie walizkę Artura i ładował ją na tylne siedzenie samochodu Siobhan.

Artur nerwowo pokręcił się przy drzwiach i bąknął niepewnie.

– Cześć, Mięśniak...

Odpowiedziało mu stłumione pochrząkiwanie.

– Zamknął się w łazience z tą książką – poinformował Colin, gramoląc się na przednie siedzenie samochodu. – I chyba prędko stamtąd nie wyjdzie.

– Tym bardziej cieszę się, że nie skorzystałam z waszego sanitariatu – parsknęła Siobhan.

– No i będziemy musieli pędzić na lotnisko co koń mechaniczny wyskoczy, zanim twój pęcherz eksploduje – podsumował Artur.

Colin przysnął, zanim jeszcze wjechali na Westway. Siobhan z rozważą, ale i po mistrzowsku przepychała się przez korki uliczne.

– Artur?

Artur podniósł brew.

– Słuchaj, on chyba zasnął.

– Chyba tak. Zawsze zasypia w samochodach. I w autobusach. Zresztą tak żeśmy się poznali.

– Masz szczęście, że go spotkałeś.

Artur popatrzył chwilę na śpiącego Colina.

– Jest słodki, prawda? Chociaż to nie powstrzyma mnie przed tym, by w Nowym Jorku poszaleć i pójść na całość.

– Artur... Możemy porozmawiać?

– Oczywiście. O czymkolwiek zechcesz.

– Zachowasz to dla siebie?

– Zapewne. Chyba że będzie to wbrew moim żywotnym interesom...

Siobhan spojrzała na niego groźnie.

– Ojej, próbuję być wobec ciebie uczciwy. A co, jeśli zaczną mnie torturować?

– Artur... to... to... Loxy.

– Że co? Co z Loxym?

– Noo... mówiąc ściśle, chodzi o Loxy'ego i o mnie...

– CO??

Wrzask Artura sprawił, że Siobhan na moment straciła kontrolę nad kierownicą i wpakowała samochód wprost pod wlokącą się za nim ogromną ciężarówkę.

– JEZU CHRYSSTE! – zawyła przerażona. Ciężarówka zatrąbiła jak na pożar, po czym samochód powoli ześliznął się na właściwy pas.

– MAMUSIU! – wrzasnął rozbudzony z miłych snów Colin.

Siobhan wzniosła oczy do nieba.

– Co tak wywracasz oczami? – syknął Artur. – Cholera, to się w głowie nie mieści...

– A ty o mało nas wszystkich nie zabiłeś! Więc lepiej się zamknij! – wrzasnęła Siobhan i podkręciła radio. Wnętrze auta wypełnił ryk Eminema.

– Lubię go, bo przeklina – powiedział sennie Colin. Artur odchylił głowę i zakrył oczy dłońmi.

– To nie było... – zaczęła niepewnie Siobhan.

– Co? Poważne? Znaczący się, zamierzasz to zakończyć zanim ona wróci do domu? A może przeciągniesz to aż do ich ślubu?

– Nie.

– A ja tobie nie wierzę. Cholera. Kochana, zniżyłaś się do poziomu tamtej baletnicy...

Siobhan przyhamowała gwałtownie przed małym, narożnym sklepikiem i wcisnęła Colinowi garść drobnych.

– Leć, kup sobie cukierków.

Colin wybałuszył na nią oczy i wyskoczył z auta.

– Tylko broń Boże nie toffi! – krzyknął za nim Artur. – Skleją ci zęby; ostatnim razem aż się popłakałeś, pamiętasz? A ty – tu zwrócił się do Siobhan – po prostu nie ufam ci już i tyle.

– Już to mówiłeś – warknęła Siobhan – zamiast odczekać parę minut i poznać fakty.

– Fakty? Pieprzyłaś się z chłopakiem twojej najlepszej przyjaciółki! Hmm. Właściwie masz rację. Powinienem dostrzec w tym *fakcie* więcej odcieni i czego tam jeszcze chcesz...

Siobhan splotła ramiona, by mu nie przyłożyć.

– NIE PIEPRZYŁAM SIĘ Z NIM!

– Że jak??

– Nno... ja faktycznie mam do niego słabość. Chciałam ci o tym powiedzieć... liczyłam na zrozumienie i sympatię. A ty jesteś gotów ostrzec mnie do skóry, pomalować na czerwono i przegonić nago przez całe miasto!

– Ale... ee... Shiv... strasznie przepraszam... – Artur pochylił się i dotknął jej ramienia. – No, przepraszam. Ja tylko...

– Wyciągasz pochopne wnioski, dupku żołądny.

– Przepraszam.

Siobhan pociągnęła nosem.

– Czyli, jak rozumiem, raczej byś tego nie pochwalała?

– No, nie wiem – powiedział Artur. – Ale chyba bym jednak osobiście wyhaftował ci szkarłatną literę. Może na tyłku?

– Ale, Artur, on jest taki słodki... I przystojny, i seksowny, i kochający, i oddany...

– Owszem, ale nie tobie.

– Ale ja mam bujną wyobraźnię...

– Ale czy on... robił ci jakieś awanse?

– Nic z tych rzeczy. Wpada do mnie tylko i wypłakuje mi się na ramieniu. Naprawdę za nią tęskni.

– A ty zamierzasz to zmienić i dać mu się wypłakiwać na innej części ciała, tak?

– Rany, musisz być wulgarny?

– Kochana wpadłaś po uszy w podręcznikową sytuację. Najpierw wzajemne pocieszanie się, potem zaczynamy się utulać, potem ciuchy won i hop do łóżka. Podobno w wypadku wdowców to działa bez pudła.

– No, i co ja mam robić?

– Jedyne, co ci mogę rozsądnie doradzać, to przeczekać. Takie... febliki mają to do siebie, że szybko mijają. Wiem coś o tym... O, Colin wraca. No, to jedźmy!

– Gmdppffhn – powiedział Colin.

– Mówiłem ci, żebyś nie kupował toffi...

– Frnnggff – pozałił się Colin, potulnie kiwając głową.

– Hum–hum–hum – Artur, nucąc pod nosem, kroczył przez halę lotniska, buńczucznie i dziarsko, wymachując torbą załadowaną książkami i ilustrowanymi magazynami, które przewidująco nabył, myśląc o – być może bardzo długim – oczekiwaniu na lotnisku w Kansas City, po przesiadce w Atlancie. Wedle rozkładu miało to być długich piętnaście godzin, ale należało przecież doliczyć jeszcze nieprzewidywalność Ellie.

Minął go wyjątkowo przystojny steward i chwytając jego spojrzenie – mrugnął do niego. Artur przez chwilę zamarł, ale za chwilę odzyskał kontenans. W końcu jest, do cholery, wolnym człowiekiem! I ma prawo do niewinnego flirciku. Po chwili jednak musiał przyznać się przed samym sobą, że trochę martwi się o Colina. Że być może Mięśniak nie będzie chciał się z nim pokazywać na zewnątrz, więc nie będzie go nigdzie zabierał, póki on, Artur będzie daleko. Bo co innego pójść do pubu we trójkę, a co innego w duecie, to od razu pachnie gejostwem. Artur westchnął i zaczął posuwać się w kolejce do odprawy, starając się nie myśleć o Colinie i jego w podkówkę wygiętych ustach. Przez te cholerne toffi nie mógł się porządnie pożegnać.

9.

Niebezpieczne związki

Dwie kolejne noce spędziły w motelach, w jakich zwykli zatrzymywać się Mulder i Scully, gdy przychodziło im na cichej amerykańskiej prowincji tropić i ścigać mięsożerne i kazirodczne plemię ludzi–drzew albo jakieś inne, równie oryginalne stworzenia. Spotkało ich tam też mnóstwo przyjaznych, aczkolwiek głęboko podejrzanych gestów i zachowań, tak ze strony personelu, jak i gości; głównie chyba z powodu ogromnej kokardy w kropeczki, którą Ellie znalazła i postanowiła nosić we włosach. A poza tym były tylko kolejne mile zapyłonej drogi i stojące na poboczu wciąż te same, bez końca, pankarty z tymi samymi napisami: Transco, Wendy's, Tacobell, White Castle, Elf... i znowu, i znowu... Za nimi na horyzoncie wypiętrzały się posępne łańcuchy poszarpanych górskich szczytów, przed nimi – bezkresne żółte pola. Stłamszona w ciasnej i nagrzonej puszczy, jaką stała się ich Toyota, Julia miała wrażenie, że te elementy krajobrazu już na zawsze pozostaną przyklepione do jej źrenic. Jedyłą odmianą był obecnie bębniący wściekle o dach Toyoty deszcz, ulewa, której nawet w Anglii nie widziały, a która prześladowała je od momentu, gdy wjechały w granice stanu Kansas. W przeciwieństwie do Julii, Ellie czuła się szczęśliwa i odprężona. Nikt nie mógł jej teraz odnaleźć. Żadnych wiadomości, żadnej komórki, komputera, faksu. Samochodów też na tej trasie nie było za wiele. Poza tym żadnych wiadomości, poza tymi, co mogła wyczytać z pierwszych stron tabloidów wykładanych w przydrożnych supermarketach. Nie napotkały po drodze ani jednej Ikei, a monotonne rżenie Toyoty i monotonia widoków za oknem miło kołysały ją do snu na jawie.

– „Każdy farmer w Kansas żywi siedemdziesiąt pięć osób” – czytała na głos dane z przewodnika. – Hmm. Ale czy tu chodzi o siedemdziesięciu pięciu Amerykanów, czy też siedemdziesięcioro pięcioro zwykłych ludzi? To w końcu nie to samo. – Podumała chwilę, po czym wróciła do lektury. – O! Posłuchaj Jula: „Kansas City...” – o rany, wiesz, że tu urodził się Harry Truman? I mają naprawdę duże zoo.

Po czterech godzinach jazdy niestrudzenie czytała dalej. Przy drodze pojawiły się niepokojące znaki oznajmiające „Opuszczacie Kansas”.

– Jeżyna – powiedziała zaniepokojona Julia. – Proszę, spojrzysz jeszcze raz na mapę!

– Patrzyłam już ze sto razy – odpowiedziała Ellie, wyjadając z ogromnej torby ostatki czegoś, co nazywało się Tater Tots, a było dość śmiałą mieszanką idei Smarties i Pringles. – Jedziemy prosto do Kansas City.

– Ale tu piszą, że opuszczamy Kansas.

– Hmm. Jesteś pewna, że gdzieś kiedyś, kiedy nie patrzyłam, nie skręciłaś o sto osiemdziesiąt stopni?

– OWSZEM, jestem pewna, że nigdzie nie skręciłam. Patrz, do ciężkiej cholery, tu jest cholerna granica stanu!

Julia była zazwyczaj opanowana i bardzo rzadko wychodziła z siebie, ale też dotąd nie zdarzyło się jej spędzać całych dni na użeraniu się z kimś, kto bez przerwy robi ci uwagi, podczas gdy ty odwalasz całą robotę. Tak więc Julia nie tylko wyszła z siebie, ale i nie stanęła obok, tylko rozdarła się na dobre.

– Gdzie, do kurwy nędzy, jest to twoje pieprzone miasto z tym pierdolonym ogromnym zoo?!

– No, powinno gdzieś tu być w okolicy...

Wokół we wszystkich kierunkach widok był tylko jeden: bezkresne, płaskie pola,

– Na litość BOSKĄ, Jeżyna, dlaczego nie możesz porządnie zrobić choćby tak banalnej rzeczy, jak pilnowanie trasy? Po prostu brak ci kompletnie jakiegokolwiek PIEPRZONEGO poczucia odpowiedzialności!

Ellie natychmiast się nadała.

– Robię, co mogę, Panno Przemądrzalska. I jestem pewna, że to jest gdzieś tutaj.

Mijały właśnie granicę stanu.

– To właśnie powiedział ten cholerny kapitan Scott! – zawarczała Julia – jak szukali Atlantydy. Dość tego! Dawaj mapę!

Ellie potulnie podała jej mapę.

– Żesz ty w życiu! Jeżyna, kurwa, gdzie ty masz głowę!? Skala mapy wynosiła w porywach 1:250 000.

– Kurde!

– NO CO?

– Zrobiliśmy dwa tysiące mil i jesteśmy w samym środku NIE WIADOMO CZEGO i NIE WIADOMO GDZIE i nie wiemy, w którym z pieprzonych stanów tego pieprzonego kraju się znajdujemy i nie znamy tu nikogo i nie mamy bladego pojęcia, co robić dalej i chciałabym, kurde, żebyśmy nigdy...

Wygłaszając tę tyradę, Julia energicznie zawróciła na skrzyżowaniu (o sto osiemdziesiąt stopni).

– W porządku – powiedziała. – Teraz pojedziemy z powrotem przez ten cholerny stan, bardzo, bardzo powoli. A jeśli nie znajdziesz tego całego Kansas City, to cię wysadzę z samochodu i będziesz szła przodem, póki nie znajdziesz.

Ellie milczała przez jakieś piętnaście sekund.

– Czy to znaczy, że nie mogę zacytować klasycznych słów „Oj, Toto, to już chyba nie jest Kansas?” *.

– Jeżyna, to wcale nie jest zabawne.

Przez chwilę jechały w milczeniu tą samą drogą (tyle że w odwrotnym kierunku) i w tym samym siąpiącym deszczu. Po drodze nie było widać żadnych znaków, które by wskazywały cokolwiek. Nagle Ellie wrzasnęła.

– O, cholera! Zatrzymaj wóz!

– Pewnie. Natychmiast. Sługa uniżona. Ugryź się...

– Nie, nie, chodzi o... Cholera! No, dobrze: skoro tak bardzo chcesz wiedzieć, gdzie jesteśmy i gdzie mamy jechać, czemu nie zapytasz jego?

Właśnie mijaly samotnego autostopowicza stojącego akurat po przeciwnej stronie drogi; niechący obficie zmoczyły go brudną wodą z koleiny. Autostopowicz obrócił się, a Ellie zaczęła przyglądać się jego odbiciu w lusterku wstecznym.

– Jeśli sądzisz, że zawrócę, żeby zgarniać jeszcze jednego pieprzonego autostopowicza, to jesteś bardziej porąbana, niż mogłam przypuszczać w swych najstraszniejszych koszmarach – oznajmiła Julia, wciąż jeszcze posiniała ze złości. – A ten tu to zdecydowanie facet, więc...

Ellie spojrzała na nią.

– Nie przeczytałaś, co miał napisane na kartonie, który trzymał?

– Co?

Ciągle wściekła, odrobinę jednak zwolniła.

– Wierz mi, Jula. Na pewno chcesz zabrać tego gościa. Zawróć. Musisz zawrócić.

* „Oj, Toto, to już chyba nie jest Kansas” – mówi do swego pieska Dorotka w Czarnoksiężniku z Oz.

– Jeżyna, jesteśmy na autostradzie, nie mogę zawrócić! A w ogóle o co ci chodzi?

– A skąd mam to wiedzieć? Przecież jestem kompletnie nieodpowiedzialna.

Julia zwolniła jeszcze bardziej.

– Jeżyna, przysięgam na Boga Wszechmogącego, że jeśli się okaże, że znowu coś pieprzysz, to zostawię cię na środku drogi i odjadę w siną dal, życząc ci miłych chwil z tym twoim autostopowiczem.

– Cudownie! – Ellie zaczęła nucić pod nosem „Treeway of Love”, podczas gdy Julia wykonywała niebezpieczny i całkowicie nielegalny w tył zwrot na autostradzie i to w strugach deszczu. Zatrzymała się w pewnej odległości od autostopowicza, który rażno ruszył w ich kierunku. Przez zasłonę deszczu i rozmazany na szybie kurz usiłowała jakoś mu się przyjrzeć, by w razie czego jednak wcisnąć gaz i wiać. Autostopowicz, odrobinę ubłocony, wyglądał normalnie i niewinnie. Julia otworzyła drzwi Toyoty i wyskoczyła pod strugi deszczu. Ellie pilnie wetknęła nos w przewodnik.

– Co... co... co u licha??? Andrew McCarthy Drugi stał w błocie na poboczu drogi i śmiał się na całe gardło, podnosząc nieco sponiewierany karton, na którym napisane było: „Poszukiwany Andrew McCarthy”. Czarny marker zaczynał się już rozpląwać.

– Ale jak... co... co ty tu, u diabła, robisz?!

– Przyhamuj. Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Wcale nie jestem pewna, czy właśnie nie zobaczyłam. Takie rzeczy ciurkiem opisują w „Misty” i innych tego typu szmatławcach. Później odkryję, że dokładnie w chwili, gdy cię ujrzałam, zostałeś zamordowany albo przejechany w Los Angeles...

– Sza! – powiedział, kładąc jej palec na ustach, po czym dodał:

– To jedyna droga do Kansas City. Wyobraziłem sobie, że prędzej czy później na nią traficie, pomyślałem więc, że fajnie byłoby zacząć się i spotkać was na tym szlaku. Niestety, nie uwzględniłem w moich planach tej porządnej, staroświeckiej ulewy, jakie zdarzają się na Środkowym Zachodzie. No i – pojechałyście najpierw nie tą drogą...

– No, tak przypuszczam, bo... rany, włącz do środka, bo całkiem się rozpuścisz.

Oboje wladowali się do Toyoty.

– Ellie patrz, kto...

– Owszem, zauważyłam kto to. Nawet, o ile pamiętasz, pokazywałam palcem, choć to nieładnie i niedelikatnie. Cześć Andrew.

– Hej, cześć.

– Jak tam Hatsie?

– Trzyma się, dzięki. Chodzi na terapię.

– Och, miło będzie go spotkać, gdy dzięki terapii wyjdzie ze swej skorupy.

Andrew uśmiechnął się.

– Wyglądasz jakoś inaczej...

– Przesłałam już obłazić ze skóry.

– Faktycznie. Wcześniej wyglądałaś jak biała *squaw* przy palu męczarni.

– No więc, mmm – wtrąciła Julia, odwracając się od kierownicy ku tylnemu siedzeniu, gdzie Andrew próbował się jakoś umościć, wciskając swe długie nogi w wąską przestrzeń między fotelami i odsuwając ostrożnie na bok stosy zatłuszczonych opakowań i pogiętych kubków po kawie, które Ellie zdążyła tu zrzucić przez parę ostatnich dni – to niewiarygodne, że tu jesteś. Bo, prawdę mówiąc, zgubiłyśmy się.

– Zgubiłyście się? Myślałem, że jedziecie do Kansas City?

– No tak, ale... chcieliśmy też objechać stan...

– Aha. – W oczach Andrew zatańczyły wesołe iskierki – Aha. A czyj to był pomysł?

– Jeżyny.

– Noo, ee... – powiedziała błyskotliwie Ellie, wciąż z nosem w przewodniku.

– W sumie nic się nie stało – stwierdził pogodnie Andrew. – W końcu każdy może się pomylić. A nie zgubiłyście się wcale, miasto jest jakieś dziesięć mil stąd. Tylko że to już właściwie nie jest Kansas.

Obie zagapiły się na niego z otwartymi ustami.

– Ale... to przecież jest zupełnie bez sensu... – wydukała wreszcie Ellie.

– Dlaczego? To kwestia umowna. Parę kilometrów wte czy wewte...

– TO IDIOTYCZNE – parsknęła Julia, uruchamiając ponownie samochód, myśląc z niepokojem o szybko zbliżającym się zmierzchu i że w mroku mogą się gdzieś czaić bardzo wysocy gliniarze, uzbrojeni i niebezpieczni.

– Co kraj to obyczaj. Dobra, przepraszam, jedźmy już, to naprawdę o rzut beretem. Zaraz zobaczycie to ich słynne zoo.

– Aha! – zawołała triumfalnie Ellie. – Czy jest tu pewna Julia, która powinna mnie teraz przeprosić?

– Rany, stęskniłem się za wami obiema – powiedział Andrew. I choć czuł, że Ellie jakby niechcący oparła się o niego, udawał, że nic nie zauważył. Ale zapamiętał.

Dzięki jego wskazówkom dojechały do małego hotelu, który Andrew wcześniej namierzył, a który był tysiąc razy sympatyczniejszy od wszystkich poprzednich, w jakich się dotąd zatrzymywały, a i cena była nad wyraz rozsądna. W barze znajdował się ogromny piec z otwartym rusztem, na

którym płonął suty ogień; pośpiesznie przebrali się w suche ubrania i zebrali się wszyscy troje, by w ciepłe i miłe ciszy sączyć leniwie whisky z ogromnych szklanic. Julia czuła się zarazem senna i ożywiona, wyczerpana i pełna energii i nie była pewna, czy ten osobliwy stan zawdzięcza długiej jeździe, mile trzaskającemu ogniovi, Jackowi Danielsowi, czy też obecności u jej boku pewnego dryblasza, na którego widok miękły jej kolana.

– Nie wiem, czy uda się nam zgarnąć Artura na czas – wymamrotała Ellie (też odrobinę senna), studiując menu.

– Ojejku – sapnęła – co za dziwaczne menu, bez cheeseburgerów. Zdażyłam już zapomnieć, że są i inne rzeczy do jedzenia.

– A po tym, jak sobie przypomnisz, nie będziesz miała co na siebie włożyć – powiedziała surowo Julia, patrząc znacząco na trochę zbyt już opinające się tu i ówdzie dżinsy Ellie.

– Na pewno mają tu burgery, jeśli miałybyście na nie ochotę – powiedział Andrew. Rozsiadł się wygodnie z wielkim notatnikiem na kolanach i stosem różnokolorowych markerów na stoliku; wyglądało, jakby miał już zamiar zacząć pracę nad nowym haselkiem.

– Poproszę zieloną sałatę – powiedziała wreszcie zrezygnowanym tonem Ellie. – I bez sosu.

– Hmm. Może... – Oj, To Już Chyba Nie Jest Kansas...? – myślał na głos Andrew. – Nie, to byłby plagiat. – Może... Już Nie Jesteśmy W Kansas City?

– To samo przyszło i nam dziś do głowy. Ale przecież te twoje dinozaury były w Kansas City? I pewnie dlatego zjadały ludzi, rzucały w nich metorytami i tak dalej. Z nudów najgorsze rzeczy przychodzą do głowy – stwierdziła Ellie.

– Trafiłaś w sedno.

– Uważam, że to całkiem dobre – powiedziała Julia. Andrew uśmiechnął się leniwie w jej kierunku. Ellie przełknęła potężny łyk swego drinka i postanowiła twardo, że już się nie odezwie.

Byli jedynymi gośćmi w hoteliku, więc kolację podano im przy palenisku, na niskich stolikach.

– Och, jakżeż amerykańsko – powiedziała Ellie. – Teraz do pełni obrazu brakuje nam tylko czterdziestocalowego telewizora, przy którym zamiera wszelka konwersacja.

– Dinosty! * – wrzasnął nagle Andrew. – Hmm. Psiakrew, zastanawiam się, czy mógłbym pracować w tutejszym zoo...

– Andrew, przestań tworzyć, choć na sekundkę – powiedziała Julia, której oczy bardzo się kleiły. – Opowiedz mi... ee... to znaczy nam coś o sobie.

– No więc – zaczął z ochotą Andrew – urodziłem się w północnej Kalifornii i surfować nauczyłem się dużo wcześniej, zanim chodzić. Potem mój ojciec przeniósł się do Los Angeles i został prawnikiem, a ja właściwie jak tylko tam przybyliśmy, zrozumiałem, że chcę pracować w branży filmowej, chociażby, ehem, na jej peryferiach. No więc wstąpiłem do UCLA i... – Ellie spojrzała spod oka na Julię, która po trzydziestu sześciu godzinach za kółkiem i czterech kolejkach Jacka Danielsa właśnie łagodnie osuwała się w objęcia Morfeusza, ale taktownie, acz bełkotliwie wymamrotała:

– Taa, to bardzo in-te-re-su-ja-cee...

Andrew wyglądał na zmieszanego i zawstydzonego.

– Ojej. Chyba nie będę was zanudzał opowieściami z mojego akademika i tak dalej... Zresztą, poza przejechaniem fretki, nie ma wiele do opowiadania.

* „Dinosty” – oczywista aluzja do serialu *Dynastia* (Dynasty)

– Pójdę położyć ją do łóżka – powiedziała Ellie.

– Dobrze... Ja jeszcze posiedzę i spróbuję popracować. Hmm. „Kansassaurus”? Chciałabyś mieć takie zwierzątko?

– W życiu. Jak pomyślę, co one wyprawiały z kangurami...

– Fakt. Wstyd i hańba.

– To do–bra–noc – powiedziała rozmazanym głosem Julia. Gdy Ellie dowlokła ją do pokoju i próbowała pomóc się jej rozebrać, zaczęła słabo protestować:

– Ojoj... nnie, zostaw mnie... nie chcę jeszcze iść do łóżka... chcę zostać... chcę... jest za wcześnie na... O Boziu, jestem skonana...

– Doskonale wiem, czego chcesz – powiedziała Ellie. – Może prześpij się z tym i pomyśl o tym rano, co? Może zadzwonisz do Loxy'ego...

– O Boziu – jęknęła Julia i padła jak długa.

Ellie zbiegła z powrotem na dół i przez chwilę przystanęła w drzwiach, by podziwiać piękny profil Andrew na tle płonącego ogniska.

– Nic z tego nie będzie – westchnęła pod własnym adresem, mimo to weszła do baru. Andrew podniósł wzrok i spojrzał na nią tymi swoimi niesamowicie niebieskimi oczami. Uśmiechnął się do niej.

– No i jak nasza śpiąca królewna?

– Ach, świetnie. Była po prostu wykończona. Głównie mną.

Andrew uśmiechnął się również.

– Albo mną.

Oboje zaparzyli się w buzujący ogień.

– Sądzę, że jednak mną – powiedziała Ellie.

– No, ja też mam swój udział... ale chciałem tylko być miły.

Ellie, zbyt zaambarasowana tym pierwszym sam na sam, nie pociągnęła wątku, tylko uśmiechnęła się najśliczniej jak potrafiła.

- A właściwie dlaczego Julia nazywa cię „Jeżyna” – spytał nagle.
- Czyżby to nie biło po oczach?
- No, nie bardzo. Nie wiem, co to właściwie jest...
- Żartujesz.
- Ani trochę.
- Hmm... to taka postać z bajek... prześliczna istota. Jak syrena... tyle że z nogami.
- Och.
- A tak naprawdę to taki cholerny, kłujący chwast, co rośnie wszędzie... to znaczy na wsi.
- Ale ty nie mieszkasz na wsi...
- Bardzo śmieszne, ha, ha.
- Ja poważnie.
- Mówisz, że poważnie... bo ja wiem, skąd się wzięło? Może stąd, że wszystko dookoła wciąż strasznie mnie wkurza.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Nigdy nie układa się tak, jakbym chciała.
- A czego byś chciała? Damą być i na Hawajach pina-coladę pić? Oczywiście z moim imiennikiem u boku...
- Uważasz, że jestem głupia, tak?
- Wcale tak nie uważam. Ale chyba sama wiesz, że świat nie kręci się wedle naszych pragnień i planów. W zasadzie nigdy. A jeśli czasem zdarzy się wyjątek, to on tylko potwierdza regułę. Zresztą, popatrz na mnie – tu podniósł swój notatnik – zamiast pisać scenariusze, układałam do nich haselka...
- Ale mógłbyś pisać scenariusze.
- Ale do tego potrzeba umiejętności skupienia się na temacie dłużej niż piętnaście sekund...

– Przepraszam, co powiedziałaś? Nie dosłyszałam.

Roześmiał się i jakby przypadkiem przeciągnął palcem po jednym z jej sterczących jak zwykle na wszystkie strony kędziorów.

– Myślę, że ty i ja mamy ze sobą więcej wspólnego, niż myślisz.

Ellie natychmiast zrobiła się czerwona jak burak.

– Ehemm... – wybąkała, usiłując ukryć zakłopotanie i udawać nonszalancję. – A jakie jest twoje ulubione... no, co lubisz najbardziej jeść?

– Banany.

– Ja też! A jak myślisz, ile potrafię naraz wsunąć?

– Dwanaście?

– Dwa razy tyle i to lekko.

Andrew uśmiechnął się. Ellie westchnęła.

– No i jeszcze jedna rzecz, która nas łączy – powiedziała – myślę, że oboje lubimy pewną atrakcyjną blondynkę.

Andrew zamrugnął oczami, jakby lekko zaskoczony.

– Masz na myśli Julię?

– Uhm.

– Jest wolna? Choć wydaje mi się, że ma jakiś problem...

– Taak?

– No, nie chcę być wścibski, ale wydaje mi się... krótko mówiąc, zastanawia mnie, dlaczego ona wciąż miętosi swój serdeczny palec, kiedy rozmawia z mężczyzną?

– Nie ze wszystkimi.

– Aha. Doprawdy? – machinalnie pokręcił szklanką.

– To znaczy ona cię naprawdę bardzo lubi – zaczęła nagle Ellie, jakby chciała teraz, zaraz wszystko wyjaśnić – no, w pewien sposób...

– Ja też ją lubię. Jest śliczna i przemiła. I nie chciałbym na tym polu przegrać z którymś z tych waszych kościstych i końskoszczękich ziomków o pokręconej psychice, jak przynajmniej to pokazują wasze filmy...

Gdy Ellie kończyła objaśnianie sytuacji, w jakiej ostatnio znalazła się Julia, ogień już dogasał.

– Tak więc, sam widzisz, jeśli chciałbyś... to ja będę za... bo...

Andrew spojrzał na nią uważnie.

– Nie wydaje mi się, aby to miało sens. Naprawdę myślisz, że mógłbym... rozwiązać jej problem?

– Być może! Wtedy zrozumiałaby zapewne, jak bardzo kocha Loxy'ego.

– Hmm, to doprawdy szalenie poprawia moje samopoczucie, samoocenę i jeszcze parę innych rzeczy... Mógłbym w ramach tej... hm... terapii... z rozmysłem skompromitować się w łóżku...

Ellie popatrzyła na jego smukłe, pięknie umięśnione i cudownie proporcjonalne ciało i na moment zacisnęła powieki i kolana.

– Myślę, że skoro stałoby się to daleko od domu... no... na innym kontynencie... toby się nie liczyło.

– Hmm. Nie. Raczej nie. Odpada. Przeciwiczyliśmy to już w Wietnamie.

Ellie wzruszyła ramionami.

– Słuchaj, Jeżyna... ee... Ellie. Myślę, że na świecie jest dostatecznie dużo wspaniałych i pięknych rzeczy... można szukać czegoś dla siebie, niekoniecznie podkradając cośkolwiek innym, nie uważasz? – mówiąc to, patrzył na nią tymi swoimi niebieskimi oczami.

Ellie przełknęła ślinę, ale nie zdobyła się na żadną błyskotliwą odpowiedź.

– A co z tobą? Masz kogoś?

Żesz ty w życiu...

– No... właściwie prowadzam się z takim jednym saksofonistą... to się liczy?

Andrew potrząsnął głową i nagle powoli nachylił się ku niej. Ellie poczuła, że drży. Dogasający ogień rzucał jeszcze odbłyski, gdy ujął jej twarz w swe silne i delikatne zarazem dłonie i przysunął się jeszcze trochę bliżej.

– „Żyję w Kansas... jeśli życiem jest świat bez ciebie” – szepnął.

– Och – powiedziała Ellie.

– Ach – powiedział Loxy, wchodząc do elegancko i orientalnie (z przewagą Maroka) umeblowanego salonu, niosąc ostrożnie dwa kubki z herbatą. O szyby wciąż dzwonił padający bez końca deszcz.

Jakoś udało mu się nie rozlać herbaty.

– Ach – powiedział znowu – Siobhan, czy zdajesz sobie sprawę, że jesteś całkiem gołą?

Pocałowali się gwałtownie i namiętnie, Ellie przymknęła oczy i pozwoliła swym dłoniom swobodnie błądzić po jego barczystych ramionach i prostych plecach. Gdy wreszcie oderwali się od siebie, Andrew pochylił się i owinał jeden z jej rozczochranych loków wokół palca.

– Jejku – powiedział. – Czarne włosy! Boże! Że też tego nie zauważyłem – Ellie, jakby ją uderzono, cofnęła się natychmiast.

– O mój Boże...

– Ellie... żartowałem...

– Nie o to chodzi... właśnie złamałam pierwszą podstawową zasadę Dziewczyńskiego Kodeksu Honorowego.

– Co takiego zrobiłaś?

Ellie ponownie zapatrzyła się na jego rysujący się na tle dogasającego ognia profil.

– Noo... nie wolno... z kimś... komu podoba się ktoś inny...

– Ale ona jest zaręczona. A my dwoje jesteśmy wolni.

– Nie w tym rzecz. Co byłoby, gdybyście ty i Hatsie spotkali kogoś...

– A, Hatsie ma zawsze wszystkie kobiety. Przyzwyczaiałem się już do tego.

– Jaja sobie robisz?

Andrew delikatnie przeciągnął palcem po jej dolnej wardze.

– Hej – powiedział cicho. – A co z twoją teorią „daleko od domu / na innym kontynencie”?

Ellie poczuła, że jest rozdarta na dwoje. Z jednej strony straszliwie chciała być całowana przez Andrew, z drugiej – Julia i jej problem... A gdzieś pod spodem pulsowało w niej to wredne uczucie zazdrości. Julia – ta olśniewająca i zarazem kompetentna blondynka, to skrzyżowanie Pameli Anderson z Delią Smith – zawsze, zawsze zwracała uwagę mężczyzn i zawsze zgarniała ich pierwsza... A teraz jakby przyszła kolej na nią... Dlaczego nie skorzystać? Ubędzie jej?

Nagle drzwi do pogrążonego w czerwonym półmroku baru otworzyły się z trzaskiem i buchnęła przez nie kakofonia wrzasków, pisków i pokrzykiwań. Oboje z Andrew podskoczyli nerwowo, pełni poczucia winy niczym przyłapana przez dorosłych na obściskiwaniu się para nastolatków.

– Dobry Boże! – Ellie szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w rozgrywającą się przed nimi scenę. Wszystkie dziewczyny miały włosy nastroszone i utapirowane na sztywno niczym wata cukrowa. Wszystkie nosiły pastelowe w kolorach suknie z tiulu, koronek i tafty lub z marnych ich imitacji, wszystkie szcudrze wydekoltowane, z mnóstwem riuшек i falbanek. Chłopcy paradowali w kiepsko dopasowanych, na kilometr zajeżdżających wypożyczalnią smokingach z białymi lub bładoniebieskimi szarfami.

– Rany, to jakaś inwazja z Planety Sitcom?

– A WY TU CO? – ryknęła jakaś obfita w kształtach młoda dama, prawie wylewająca się z sukni, która mogłaby uchodzić za suknię drużyny, pod warunkiem że byłby to ślub pięciodolarowej dziwki.

– O kurczę – jęknął Andrew. – Ale mamy fart. Jak nagi w pokrzywach. To bal maturalny.

Tłum nastolatków zalał cichy i przytulny jeszcze przed chwilą bar; większość ukradkiem, choć niezdarnie pociągała długie łyki z piersiówek wydobywanych gdzieś z fałdów garderoby. Jeden z kelnerów wyjrzał przez drzwi kuchenne, uniósł brew i błyskawicznie podał tyły.

– Naprawdę? – spytała podekscytowana Ellie. – Oni wszyscy przyszli prosto z balu maturalnego?

– Raczej dopiero tam pójdą. W Ameryce bale maturalne zaczynają się o jedenastej wieczór.

– Żartujesz! A nie powinieneś! Przecież to najważniejszy moment w waszym... twoim życiu!

– Tammi-Lee! Tammi-Lee! Poprawisz Chipowi szarfę, czy ja mam to zrobić?!

Andrew wzruszył ramionami.

– O, oto i nasz Chip, jak mniemam – gestem głowy wskazał napalonego chłoptasia z tłustym zadkiem, który przepychał się przez tłum w poszukiwaniu Tammi-Lee lub tej drugiej.

– No... – podjęła Ellie – wiesz, o co mi chodzi... Jak nikt nie poprosił cię, żeby pójść razem na bal maturalny... to tak jakby... śmierć cywilna. Koniec, kłapa. Amen.

Powiedziała to z takim przekonaniem, że Andrew znów się roześmiał.

– Wiesz, taka impreza może być najważniejszym momentem twego życia tylko wtedy, jeśli nie planujesz już nic więcej ponad pracę na wzorowej farmie swego tatusia i małżeństwo z Betty Sue.

– Mówisz o mojej dziewczynie, koleś? – spytał groźnie jakiś chłopak w przeraźliwie niebieskiej koszuli.

– Ależ w żadnym razie.

– No to klawo. Macie jakieś prochy? Ellie zakrztusiła się.

– Aha – podjął Andrew – zapomniałem nadmienić, że u nas bal maturalny jest także niepowtarzalną okazją do obmacywania się i wybzykania za całe życie. Przynajmniej dla niektórych.

Jedna z dziewcząt zaczęła ściągać swój usztywniony fiszbinami top. Ellie dopadła do niej i niemal przemocą zaciągnęła zamek błyskawiczny z powrotem. Po czym padła na fotel i spojrzała na Andrew.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Dla wielu to także szansa na postradanie wreszcie dziewictwa. A dla innych usprawiedliwienie owej utraty.

– Hm, skoro tak mówisz... – bąknęła Ellie, rzucając z ukosa spojrzenie na dwie pary nóg majtających się energicznie za oparciem kanapy.

– Własny bal maturalny ledwo pamiętam, taki byłem zalany.

– Tak? I straciłeś dziewictwo?

Roześmiał się.

– Wyobraź sobie, że nie. Nigdy przedtem nie spotkałem dziewczyny, która zrobiłaby na mnie takie wrażenie jak ty. Spodziewam się więc, że dzisiejsza noc będzie tą najważniejszą...

– Jaja sobie robisz!

– Robię, przepraszam. O żesz ty... warknął nagle, patrząc na parę wymieniającą w drugim końcu sali szczególnie zaśliniony pocałunek. – Ona chyba zaraz puści na niego pawia. Nie cierpię takich nieeleganckich sytuacji...

– Och, ja także – powiedziała Ellie, obserwując całą scenę ze zgrozą przemieszaną z fascynacją. Chłopaczek zostawił nieco bezwładnie kiwającą się dziewczynę i ruszył z powrotem w tłum, ocierając usta i wypatrując kolejnej ofiary. Do porzuconej przypadła jakaś brzydka dziewczyna w grubych okularach i zaczęła obcierać jej brodę, biust i podolek.

– Nie przejmuj się, zazwyczaj nasza przyszłość narodu nie jest aż tak odrażająca – powiedział Andrew. – Taka noc jest dla nich rodzajem obrzędu, gdy pozbywają się wielu swych szczenięcych lęków i upiorów wieku dojrzewania. A poza tym musisz przyznać, że to niezła rozrywka, patrzeć na to wszystko... – w trakcie jego perory jakiś chłopaczek runął prawie z pionu na podłogę, pojechał po dywanie aż na drewniany parkiet i już tam pozostał, rozplaszczony jak przejechana na autostradzie żaba, lekko podrygując.

– Patrzeć owszem, ale nie wachać – skrzywiła się Ellie. – Jejku. Czuję się skrajnie rozczarowana. Tak sobie lubiłam zawsze marzyć, w co ubrałabym się na swój bal maturalny – gdybym miała takowy. A w istocie była to koszmarna impreza w sali gimnastycznej. Chłopcy nosili jeszcze swoje szkolne mundurki, tyle że pościągali krawaty. Tyle chociaż mogli. A dziewczyny, jakby się umówiły, wszystkie kupiły swoje kiecki na wyprzedaży w Clockhouse. Rezultat łatwy do przewidzenia.

Westchnęła i dodała z autentyczną nostalgią.

– To było naprawdę straszne. Autentyczny koszmar.

Zapatrzyła się na długie, powiewne i bombiaste suknie dziewcząt i westchnęła.

– To jest to, czego zawsze pragnęłam. No, oczywiście bez pawia i tak dalej. Pragnęłam mieć taki prawdziwie amerykański bal maturalny, z różową suknią i Andrew McCarthym u boku...

– Hej – Andrew opiekuńczo otoczył ją ramieniem – skąd masz pewność, że wtedy obeszloby się bez pawia?

– I tak już tego nie sprawdzę – westchnęła Ellie i wstała.

– Przepraszam, chyba lepiej pójdę już spać. Zrobiło się już późno.

W tej chwili ktoś uruchomił stereo na cały regulator.

– No, chodź – powiedział Andrew, ściągnął różową narzutę z oparcia sofy i przewiązał jej w talii. – Zatańcz ze mną. Tylko jeden taniec przed udaniem się na spoczynek...

Ellie zarumieniła się i roześmiała.

– Jak sądzisz, mają tu płyty Psychodelic Furs? – Na moment zamilkła, skłopotana. – Czy ja dopiero teraz odkryłam, czy to istotnie jest najgorsza nazwa dla kapeli?

Andrew pociągnął ją do siebie, tak że musiała oprzeć głowę na jego ramieniu. Zaczął coś nucić. Próbowwała rozpoznać słowa i melodię...

...i wtedy stereo ryknęło.

– ŚWINIE PIEPRZONE, W DUPEĘ KOPANE!!! WALMY DO NICH ZE WSZYSTKICH LUF NASZYCH SPLUW!!!!!!

Ellie momentalnie oklapła.

– Poczekaj! – zawołał Andrew. Torował sobie drogę przez tłum, dopadł fotela, przy którym wciąż zwisała jego torba, i zaczął w niej przewracać. Wyciągnął wreszcie coś, rzucił się do odtwarzacza, wyłączył go, ignorując ryki i skowyty zawiedzionych nastolatków, i włożył własną taśmę. Nagle popłynęły dziwnie znajome dźwięki i... tak. To było to. Psychodelic Furs!

Ellie roześmiała się radośnie i prawie rzuciła mu się na szyję, nucąc pierwsze takty przeboju (cokolwiek fałszywie). Andrew był chyba pod wrażeniem.

– Rany, znasz cały tekst!

Ellie spojrzała na niego zszokowana.

– Zrobiłeś to specjalnie!? Roześmiał się.

– Wszystko robię specjalnie i w określonym celu. A ty jesteś... – i w tym momencie oboje zgodnie włączyli się w refren „Pretty in Pink”.

I stali tak objęci, kołysząc się w takt melodii, przy zamierającym ogniu, kompletnie obojętni na chaos i pobojowisko wokół nich, póki melodia nie ucichła, a Ellie w końcu niechętnie udała się do łóżka. Sama.

– Dobry Boże, jak mi tego było potrzeba! – Julia przeciągnęła się rozkosznie – nie mogę uwierzyć, że przespałam całe dwanaście godzin.

– Hmm – Ellie cichutko sączyła swą kawę; rozmyślała przy tym, jaki sens mają dobre uczynki, jeśli nikomu nie można o nich opowiedzieć, gdyż groziłoby to ujawnieniem zbyt wielu niepotrzebnych szczegółów, co pociągałoby za sobą równie kłopotliwe wyjaśnienia.

– Dziwnie tu dziś pachnie – pociągnęła nosem Julia.

– Nastolatki.

– Rany, czułam, że to coś znajomego. W sumie to nawet dość seksowne. Przypomina mi to tamtą imprezę...

– Z bandą Koola? Jakby można było o niej zapomnieć. Złałaś się wtedy tymi perfumami... no... Poison, tak że o małośmy się nie potruli na śmierć od tych wyziewów.

– Ale ubaw był po pachy – westchnęła nostalgicznie Julia.

Wszedł Andrew; wyglądał na troszkę zmieszanego. Julia na jego widok aż pojaśniała i odwróciła się ku niemu niczym słonecznik ku słońcu.

– Hej, tu jesteśmy! Długo tu jeszcze zostałeś wczoraj wieczór?

– Nie za długo – odpowiedzieli prawie chórem Ellie i Andrew, po czym popatrzyli jedno na drugie, co dla Ellie stało się nieomal równoznaczne z wyznaniem głośno „tak, zrobiliśmy to za twoimi plecami, za to przed wspaniałym neokolonialnym kominkiem”.

Poczucie winy sprawiło, że Ellie zdała sobie sprawę, że nie może przełknąć ani kęsa od chwili, gdy zjawił się Andrew. Westchnęła ciężko.

– Co, nie jesteś głodna? – spytała rześko Julia. A może to przez Hatsiego? – Może zrobił ci dziecko, gdy zabrałaś mu kapelusz?

Ellie chrząknęła i wmusiła w siebie trochę jajecznicy.

– No więc... Andrew... jakie masz plany na dziś? My musimy po południu odebrać Artura z lotniska.

Andrew wzruszył ramionami.

– Pokręcę się po okolicy i pooglądam krajobrazy... przyda się przy pisaniu haselka.

Ellie wstała i oznajmiła nieco sztywno.

– To ja pójdę spakować rzeczy...

– Świetny pomysł – powiedziała Julia, uszczęśliwiona, że będzie miała Andrew przez chwilę tylko dla siebie. – Aha, żebyś nie pomieszała rzeczy; twoje te to, co walają się po podłodze.

– Tak, mamusiu.

Lotnisko było ogromne i puste. O dziwo, przybyły za wcześnie. Po paru niezgrabnych przekomarzeniach w stylu czekam-na-kogoś, Julia, przechodząc obok budki telefonicznej do rozmów międzynarodowych, poczuła nagłe ukłucie winy. Ona tu flirtuje z tym przystojnym autorem haselka do filmów o dinozaurach mordujących prostytutki (albo odwrotnie), a Loxy tam...

Odetchnęła głęboko, weszła do kabiny i wystukała numer.

– Halo?

– Uhum, cześć – powiedział Loxy. Jego głos wydawał się jakiś dziwny.

– Ehem, no, co u ciebie?

– Świetnie – odpowiedziała Julia. W słuchawce zapadła cisza. Po chwili Loxy odezwał się, jakoś dziwnie chłodno.

– Ehem, hm. To wspaniale. Wiesz, ja teraz właśnie... ee... nic takiego.

Julia drgnęła gwałtownie. No tak. Najwyraźniej wciąż jeszcze nie wybaczył jej tamtej sceny na Heathrow.

– No, to w porządku – odpowiedziała, siląc się na swobodny ton. – Muszę już lecieć. Wkrótce znów zadzwonię.

Spojrzała na zewnątrz. Andrew i Ellie stali nieopodal, zaśmiewając się z czegoś. Nagle dotarło do niej, że chciałyby być na ich miejscu.

– No to fajnie. Zatem cześć! – rzuciła gwałtownie i odłożyła słuchawkę.

– No to fajnie – powiedział Loxy do głuchej słuchawki.

Odłożył powoli telefon i równie powoli zdjął drugą dłoń z ust Siobhan.

– Też masz pomysły! Przychodzić do mnie o tej porze, w środku nocy...

– Ojejku, co robisz wielkie halo. Mogłam wpaść w drodze z pracy do domu...

– Właśnie to zrobiłaś, Siobhan. Co nie zmienia faktu, że to dziwne.

Loxy obciągnął na sobie szlafrok Julii, który nosił, odkąd wyjechała. Siobhan stała przed nim w eleganckim kostiumie i pantoflach na szpilkach: na pozór idealna, schludna kobieta interesu; tyle że rozpięty zakiet eleganckiego kostiumu zsunął się lekko z jednego ramienia, odsłaniając równie elegancki i bardzo kosztowny biustonosz.

Loxy zaczynał się serio martwić. Lubił Siobhan i tak dalej – choć dotąd nie poświęcał przyjacielom Julii zbyt wiele uwagi – ale odkąd znalazł ją

wtedy nagą w salonie (i elegancko wyprosił, skłoniwszy przedtem do przyodziania się), wszystko między nimi zaczęło obracać się na... może nie na gorsze, ale na coraz bardziej... nieprzewidywalne.

– No więc wpadłam zobaczyć, czy masz ochotę na kolację – powiedziała Siobhan, obracając w dłoniach butelkę wina.

– Nie, dziękuję – odpowiedział Loxy, trąc zaspane oczy.

– Dobrze, skarbie... to może jutro po drodze przyniosę ci śniadanie?

– Dziękuję, nie trzeba...

Siobhan już nie było. Wino zostało na stole.

Loxy uznał, że w sytuacji, w jakiej się znalazł, potrzebuje męskiej porady. Niestety, odkąd całkowicie poświęcił swe życie Julii, nie miał zbyt wielu możliwości, by takiej porady szukać.

– Taa. Pozwól, że ci powiem bez owijania w bawełnę – Mięśniak pociągnął solidny łyk piwa. – I nie będę powtarzał dwa razy, więc słuchaj uważnie. Ona chce się z tobą bzykać, a ty... ee... tego nie robisz. Wybacz koleś, ale ja tego po prostu nie przyswajam. Wyjaśnij jeszcze raz: dlaczego??

– Kocham Julię – powiedział Loxy. – I staram się być jej wierny.

– Koleś, a co ma jedno do drugiego? Ale co, może myślisz, że Siobhan ma jakąś... ee... sekretną przypadłość? Nie? No to, koleś, czego się do cholery z nią nie bzykniesz? Julia wzięła dupcię w troki, pojechała sobie w świat i zostawiła cię, tak czy nie?

– Pojechała na wakacje. I nie sędzę, żeby to było zaproszenie i przyzwolenie, abym sobie w tym czasie urządzał orgietki.

– A skąd wiesz? Kobitom trudno rozmawiać o takich rzeczach, to robią... te... żaluzje, no nie?

– Aluzje. Wybacz Mięśniak, ale nie kupuję twoich świątłych porad.

– Jak sobie chcesz – burknął Mięśniak. – Gdzie Siobhan mieszka?

– 39 Lavender... a bo co?

– Tak sobie! Ale jeśli chcesz, mogę pójść do niej i przemówić jej do rozsądku, co koleś? – zapytał Mięśniak. – Tak tylko, żeby się trochę odczepiła, co?

– Ehem, no nie wiem... myślisz, że to coś pomoże?

– Na pewno pomoże mnie – oznajmił Mięśniak – cholerna Carmel wystawiła mnie do wiatru. Pogadanie o sercowych sprawach z kurtularną kobitą, taką jak Siobhan, pomoże mi się, tego... ten... oderwać. Zobaczysz koleś, wszystko się ułoży.

Artur był zdumiony. I zaskoczony. Gdy po osiemnastogodzinnej podróży dotarł wreszcie do Kansas City i teraz wymiętoszony i skonany z trudem pchał swój bagażowy wózek ku wyjściu, naprawdę nie spodziewał się, że nagle usłyszy swoje imię wywrzaskiwane w kilku tonacjach.

Wreszcie zidentyfikował źródło dźwięków. Ellie i Julia podskakiwały i machały do niego jak pijane czirliderki; obie opalone i najwyraźniej zadowolone. Towarzyszył im wysoki, absolutnie fantastyczny blondyn. Arturowi pozostało tylko unieść brew.

– ...a to jest Andrew... – powiedziała Julia tonem właścicielki, po tym gdy już został przez obie dziewczyny wyściskany i obcałowany.

– Cześć – powiedział więc ciepło Artur, zerkając z ukosa na spłonioną twarz Julii. Mamy kłopoty, pomyślał. Z uznaniem prześliznął się wzrokiem po męskiej sylwetce Andrew, choć prawie natychmiast przed oczy wrócił mu obraz Colina z ustami w podkówkę.

Ellie była niezwyczajnie jak na nią rozświergotana.

– Cześć Jeżyna – powiedział, otaczając ją ramieniem. – No i jak przebiegają twoje poszukiwania oświecenia... czy też sensu życia?

– Wszystko według planu – oznajmiła Ellie, zdumiewając samą siebie.

Przez chwilę wszyscy stali, przestępując z nogi na nogę, podczas gdy Artur zbierał swe bagaże.

– No więc – powiedziała z entuzjazmem Julia. – Co teraz? Może zwiedzimy wreszcie tutejsze zoo? Podobno jest ogromne – wyjaśniła Arturowi.

Andrew Drugi wzruszył ramionami. Artur wyglądał na nieco spłoszonego.

– Myślałem, że... może przespałbym się z tyłu samochodu, gdy ruszymy DO NOWEGO JORKU. PAMIĘTACIE O NOWYM JORKU?

– Och – zawołała Julia, patrząc niespokojnie na Andrew Drugiego. Ellie udało się zwalczyć pokusę, by uczynić to samo. „Cholera jasna”, powiedziała do siebie. „To zaczyna być naprawdę męczące”. Jedna jej połowa chciała, by Andrew odjechał, zniknął, a z nim wszystkie możliwe komplikacje. Druga połowa chciała (BARDZO!), by został, został, został.

– Uhm – powiedział Andrew, wyraźnie zmieszany.

– No to jak? – spytała Julia desperacko. – Zostajemy tu jeszcze troszeczkę, tak?

– No, nie wiem – powiedział sceptycznie Artur. – A obiecana Międzynarodówka Transwestytów?

Zakłopotane milczenie zaczęło się przeciągać.

– No, Jeźynie chyba jednak się spieszy – powiedział w końcu Artur, postanawiając wziąć sprawy w swoje ręce.

– Uhummm – odpowiedziała Ellie. Nikt się nie ruszył.

– Właściwie – powiedział w końcu Andrew Drugi rozmyślnie niedbałym tonem – nie widzę powodu, żebym miał nie przejechać się z wami do Nowego Jorku. To może być nawet zabawne.

„To jest grane!" pomyślał Artur cynicznie, widząc, jak twarze obu dziewcząt nagle pojaśniały, po czym natychmiast wróciły do poprzedniego stanu. „Bingo!"

– To cudownie! – krzyknęła Julia odrobinę za prędko.

– Zadzwoń tylko do Hatsiego, powiem mu, co zamierzam – powiedział Andrew. – Ostatnim razem jak wyjechałem bez uprzedzenia, próbowałem przeziębic się na śmierć, zostawiając na noc otwarte okno.

– Na szczęście jego kapelusz zatrzymuje co najmniej osiemdziesiąt procent ciepłoty ciała – mruknęła Ellie.

– ...a poza tym mieszkamy w mieście, gdzie na rok przypada trzysta dwadzieścia słonecznych dni – dokończył Andrew. – No więc zadzwonię i wezmę samochód. Spotkajmy się przed wyjściem.

– Będziemy potrzebować drugiego samochodu? – wyrwało się Julii, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Andrew przyjrzał się ich Toyocie.

– Obawiam się, że tak. Chyba że zrobimy hokus-pokus w stylu *Kochanie, zmniejszyłem...* hmm, *jednego Amerykanina i trójkę Anglików*.

– Dobrze – skinęła głową Ellie i Andrew się oddalił. Pozostała trójka stała chwilę w milczeniu.

– Taa... – powiedział wreszcie Artur. – Jak to się stało, że nie powiedziałyście mi ani słówka o tym Adonisie?

Ellie i Julia lekko zeszywniały.

– Uważasz, że jest przystojny? – powiedziała Ellie.

– Nie zauważyłam.

– Hmm, Artur – zaczęła ostrożnie Julia. – Będiesz mógł choć trochę poprowadzić? Bo ja już od tyłu dni siedzę z kółkiem i...

Ellie błyskawicznie się połapała, co jest grane.

– Myślę, że po tym locie jesteś wykończony. No i ta zmiana czasu...
powiedziała do Artura.

– Owszem, jestem wykończony – oznajmił Artur.

– No, to wy dwoje w naszym samochodzie, ja z Andrew w jego, a ty Artur będziesz mógł się wyciągnąć...

– Ale...! – syknęła Julia, dając Ellie bolesnego kuksańca. Ellie zniosła to bez skrzywienia, nawet z uśmiechem.

Przeszli przez halę lotniska i wyszli na zewnątrz, czekając na samochód.

– Samochód Andrew jest z pewnością większy – powiedziała Julia, a głos jej wręcz ociekał fałszywą słodyczą.

– Artur może się tam wygodnie ułożyć, a Jeżyna może jechać ze mną. Zresztą wysiedziałaś już sobie w Toyocie odpowiedni dołek...

– Rany, zaraz się porzygam – jęknęła Ellie

– Właściwie to nawet lepiej, żeby Julia jechała ze mną – powiedział Artur – muszę z tobą porozmawiać o Loxym, skarbie.

– Co z Loxym? – Julia aż podskoczyła. W tym momencie przyhamował obok wspaniały, srebrzysty Thunderbird. W pierwszej chwili nie zwrócili na niego uwagi.

– A kto to jest Loxy? – spytał niedbale Andrew Drugi, wychylając się przez otwarte okno przepięknej bryki.

Julia spochmurniała i zgasła, zaś Ellie przefrunęła na drugą stronę srebrzystego cygara i wskoczyła do środka, pomachawszy przyjaciółce współczująco.

Wielka świnia

Mięśniak z wysiłkiem przełknął ślinę i rozluźnił nieco ciasny kołnierz ściskający jego grubą, różową szyję, nim zdecydował się nacisnąć dzwonek. Cisza. Stał cierpliwie, choć z daszku nad gankiem ściekały na głowę, twarz i co najgorsze, za kołnierz, lodowate krople. Wreszcie usłyszał czyjeś ostrożne kroki na schodach, drzwi się uchyliły i ukazała się w nich blada, pozbawiona makijażu twarz Siobhan.

Przyglądała się mu przez dłuższą chwilę. Wieczór był mokry, szary i posepny.

– Ee... tego... cześć – wystękał Mięśniak. Siobhan gapiała się na niego przez chwilę.

– Mięśniak?? Co ty tu...

– Mogę wejść?

– Niby dlaczego?

– Ehem ... muszę z tobą pogadać o Loxym.

– Ach, dzięki Bogu – Siobhan otworzyła szerzej drzwi. – Przez chwilę myślałam, że kręcisz się tu w nadziei na jakieś małe bara–bara...

Mięśniak wepchnął pudełko Terry's All Gold z powrotem do wewnętrznej kieszeni.

– Ehm... Jeśli chodzi o... hm... Ostatnią Noc – zaczęła Ellie, gdy w końcu wyjechali na autostradę.

– Zmieniłaś zdanie? – Andrew uśmiechnął się szeroko.

– Nie – bąknęła Ellie, wpatrując się w swe paznokcie. Łatwo było posłać do diabła Billa, bo w końcu tego właśnie chciała. Sytuacja z Andrew była sto milionów razy bardziej skomplikowana.

– Ja nie... Chciałam przeprosić.

– Za co? Że dałaś się pocałować?

– Nie... to znaczy tak... nie jestem pewna...

– Och – powiedział tylko Andrew. Próbował udawać obojętność, ale jakby zeszywniał.

– Hmm. Ale nie zamierzasz oskarżyć o molestowanie seksualne ? W tym kraju to normalka.

– Nnie... Chodzi o to, że to szaleństwo – wybąkała Ellie, wpatrzona w jego jasne, rozwichrzone przez wiatr włosy.

– W takim razie witam w klubie. Dwuosobowym i lista członków na tym jest zamknięta.

Przez chwilę milczeli, patrząc przed siebie. W końcu Andrew uśmiechnął się do niej i lekko oparł dłoń na jej nodze. Pozwoliła, by tam została.

– Wiesz, wydaje mi się, że wymyśliłam hasło dla ciebie – powiedziała nagle Ellie.

– Jakie?

– „Kansas, mamy problem” *.

Odwzajemnił jej uśmiech, podkręcił radio i opuścił dach samochodu, tak że teraz jechali z wiatrem we włosach. Milczeli, gdyż szum wiatru i silnika zagłuszały ich i tak. Jechali przez bezkresne, złociste kukurydziane pola Środkowego Zachodu.

* „*Kansas, mamy problem*” – trawestacja słynnej kwestii astronautów z wyprawy *Apollo 13* („*Houston, mamy problem*”).

– Dobry Boże, popatrz na tych dwoje – prychnęła zazdrośnie Julia, kierując swą uwagę wyłącznie do rozłożonych na przednim siedzeniu bagaży. Od dłuższego czasu nie miała z kim porozmawiać. Artur bowiem beztrąsko chrapał na tylnym siedzeniu. Usnął zresztą zaraz, jak tylko wsiadł.

– Co ona sobie myśli, że kim jest? Lori Singer?

– Że co? – Artur ziewnął i przeciągnął się. – Ach, cudownie. Płyniemy przez kukurydzianego przestwór oceanu...

– Artur – głos Julii był suchy jak pustynie Arizony.

– Co chciałeś mi powiedzieć o Loxym?

Artur przez chwilę rozważał wariant udawania, że znowu zasnął, po czym zdecydował, że nie ma sensu przedłużać agonii.

Z trudem prostując zdętwiałe członki, dźwignął się do pozycji siedzącej.

– Ach tak. Istotnie – powiedział. – Choć właściwie bardziej chodzi tu o Siobhan.

I opowiedział jej to wszystko, co Siobhan powiedziała mu w drodze na lotnisko. Julia wysłuchiwała go bez słowa, choć można było zauważyć, że jakby mocniej ścisnęła kierownicę.

– Hmm – powiedziała tylko tyle, gdy skończył. Artur spojrzał na nią z ukosa i zmarszczył nos.

– No i?

Julia parsknęła pogardliwie, po czym powiedziała:

– Artur, jak rany, nie bądź śmieszny. Loxy nigdy mnie nie oszukał i nie zdradził. On po prostu już taki jest. Nie ma tego w genach. Albo w spodniach, jeśli wolisz. Jeśli mi tu kogoś żal, to prędzej już Siobhan, uwierz mi.

– Pozwolisz, że zapytam... ot tak, z czystej ciekawości

– powiedział Artur – jak byś się czuła, gdyby jednak cokolwiek się zdarzyło?

Julia wzruszyła ramionami.

– To się nie może zdarzyć.

* * *

Loxy, spacerując, mijał właśnie dom Julii. Miał do niego klucz, ale nigdy nie przyszło mu do głowy wejść tam pod jej nieobecność; czułby się wtedy jak intruz, prawie jak włamywacz. Spojrzał na starannie pozastłaniane okna i westchnął. Skoro wszystko było w porządku, dlaczego zadzwoniła tak ni w pięć, ni w dziewięć. Wyraźnie nie była w nastroju do pogawędki. Poza tym żadnego listu, żadnej pocztówki. Nie zastanawiał się, co będzie, gdy Julia wróci. Teraz interesowało go tylko znalezienie jakiegoś sposobu, żeby móc jej powiedzieć i okazać, jak wiele ona dla niego znaczy.

W tym natłoku myśli i uczuć przemknęła także, ni stąd ni zowąd, krótka wizja Siobhan w rozpiętym zakiecie, jej białej skóry i wojowniczego spojrzenia.

– No więc? – spytała Siobhan dość rzeźkim głosem.

Mięśniak pomasował się po karku. Cholera, w tych męsko–damskich sprawach czuł się zawsze niezbyt pewnie. Niemniej jednak zdał sobie świetnie sprawę, że jego szanse na jakiegokolwiek bara–bara są wprost proporcjonalnie do tego, jak okaże się taktowny.

– Znasz Loxy'ego, no nie?

– Tak, wydaje się, że wiem, kogo masz na myśli.

– No więc, on mówi, że... tego... – zacukał się w poszukiwaniu właściwych słów. – On podejrzewa że... ee... lecis na niego i że nie odpuszczisz, bo cię straszliwie przyparło.

– Co?

– No, wiesz...ee... że cię swędzi...

– Swędzi – powtórzyła powoli Siobhan. – Ach, ten język miłości...

– No więc, on mówi... czy nie mogłabyś jednak.... ee... zostawić jego czekoladowego żołnierzyka w spokoju...

– Jego co?

– No wiesz. Jego wacka.

– Loxy przysłał tu ciebie, żebyś powiedział mi, żebym zostawiła w spokoju jego wacka?

– No... właśnie... coś koło tego...

Siobhan gwałtownie przysiadła w rogu pokoju.

– Pysznie. Właśnie w chwili, gdy sądziłam, że moje życie już bardziej spaprane być nie może, widzę, że słowo „spaprane” jest lekkim wietrzykiem w zestawieniu z tym tornadem...

– To znaczy, że zostawisz jego wacka...?

– Mięśniak, obawiam się, że zrozumienie tej sprawy przekracza twe skromne możliwości. I proszę, do cholery, wyjmij łapy z kieszeni, jak ze mną rozmawiasz!

– Czemu tak mówisz? Ja potrafię być rozumiejący – oznajmił Mięśniak, sadowiąc się na dywanie obok niej.

– Naprawdę paradowałaś goła w jego mieszkaniu?

– Jezu Chryste! – ryknęła Siobhan – nie mogę uwierzyć, że ci o tym powiedział. Kurczę, nawet nie jest dżentelmenem.

– Naprawdę byłaś goła? – powiedział z zachwytem w głosie Mięśniak. – On mi o tym słówka nie pisał. Tak, ot, strzeliłem na ślepo. I kurczę, trafiłem. Ale fajnie. Byłaś całkiem, goła, czy cośkolwiek miałaś na sobie? No, choćby... botki?

Colinowi po kilku nieudanych próbach udało się wreszcie złapać słuchawkę bezustannie dzwoniącego i wyłączającego się telefonu we właściwym momencie.

– Halo? – pisnął nerwowo.

– Czy mogę mówić z panną Ellie Eversholt – odezwał się bardzo urzędowy głos.

– Uhm... nie ma jej w tej chwili... mogę przekazać wiadomość?

– Nie... raczej nie może pan...

– Największa świnia na świecie! – wrzasnął Artur. Usiadł prosto i błyskawicznie otrząsnął się z resztek snu.

Swe pierwsze dwadzieścia cztery godziny w Ameryce spędził w stanie półświadomości albo i całkowitej nieświadomości. Gdy tylko zatrzymali się w motelu, powędrował do swego pokoju, śpiąc z otwartymi oczami. Julia wytrwała, ile mogła, by ani na chwilę nie zostawić Andrew i Ellie sam na sam; w końcu to siedzenie we trójkę zrobiło się tak męczące, że wszyscy poddali się (i oddzielnie) poszli grzecznie do łóżek.

– Rany boskie, Artur, nie drzyj się tak – jęknęła teraz.

– Coś ci się przyśniło?

– Nic mi się nie przyśniło, właśnie się obudziłem – zawołał Artur, wskazując palcem kolejną ręcznie malowaną pankartę. – Patrz: Frosty. Największa Świnia Na Świecie! Wystawiają ją na stanowych targach w Indianie. Musimy tam jechać

– Nie wygłupiaj się, Art. – powiedziała cierpliwie Julia.

– Nie mamy w planach oglądania największej świni na świecie.

– Największej – podkreślił Artur – będziemy mogli wysłać do Mięśniaka pocztówkę od kuzynki...

– Nie! – wrzasnęła Julia.

Z tyłu za nimi roztrąbił się Thunderbird. Odwróciła się i zobaczyła Ellie, jak woła (czego nie słyszała, ale wiedziała) „Największa Świnia Na Świecie"! Andrew posłał Julii zrezygnowane spojrzenie w momencie, gdy Thunderbird zrównał się z Toyotą, po czym oba wozy przyhamowały.

– Nie mogliśmy obejrzeć tego zoo, ale teraz możemy...

Ellie i Artur przekrzykiwali się nawzajem, podskakując jak nagi w pokrzywach.

– Powinniśmy odwiedzić targi stanowe! – wołała Ellie. – To właściwie obowiązek nakazany przez prawo!

Julia zawarczała wściekle i poddała się.

„Nie wierzę, że to zrobiłam”, myślała Siobhan, gdy w piątkowy poranek usiłowała (bezsukcesownie) przy pomocy szturchnięć i klapsów, a nawet i kopniaków wymierzanych w różne części ciała Mięśniaka, doprowadzić do tego, by się obudził i poszedł sobie.

„Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam”, pomyślała ponownie, gdy przyrządziła sobie filiżankę herbaty (w swojej ślicznej chińskiej porcelanie) i naląła wody do szklanki, by poleć Mięśniaka i zwlec go wreszcie z jej wytwornych prześcieradeł z irlandzkiego lnu.

„Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam”, powtórzyła półgłosem, przyglądając się sobie w lustrze w przedpokoju. Widziała atrakcyjną, szczupłą, choć lekko wymiętoszoną kobietę, której wcale nie знаła.

„Można by sądzić”, myślała „że jestem kobietą, która nie ma żadnych zmartwień ani problemów. Ma ładne mieszkanie, eleganckie stroje... po prostu kobieta sukcesu. I dama, która nie próbuje uwodzić facetów swych przyjaciółek i nie wskakuje do łóżka z wielkimi, napakowanymi mięśniakami, których nawet nie lubi...”.

„...a jeden z nich przypadkiem”, ciągnęła ten wewnętrzny monolog, „ma chyba największego wacka...”.

W drzwiach pojawia się czerwona i radośnie, acz głupkowato, uśmiechnięta gęba Mięśniaka.

– Wszystko gra, skarbie? Wracamy do łóżka?

– Tak, wszystko gra – usłyszała swój własny głos. Jeszcze raz popatrzyła w lustro, jeszcze raz potrząsnęła z niedowierzaniem głową, po czym z niejakim zdumieniem stwierdziła, że dzwoni do pracy, informując, że dziś trochę się spóźni.

Toyota i Thunderbird podskakiwały, zgrzytały i piszczały, pchając się po coraz to mniejszych i mniejszych drogach, które z kolei zmieniały się w rozjechane trakty. Minęli po drodze kilka starych, drewnianych domów, ale nic ponadto.

Artur podśpiewywał pod nosem, chyba z nerwów.

– Jestem więcej niż pewna, że to nie był dobry pomysł – biadoliła Julia.

– Ale to jest...

– ...największa świnią na świecie, wiem.

– Patrzcie! – zawołał Artur, widząc unoszący się w pewnej odległości olbrzymi sterowiec, z wypisanym na boku „Bueller's Corn Feed”.

– Och, cudnie – jęknęła Julia – ludowa zabawa ze wszystkimi atrakcjami!

Z rozjeżdżonego traktu zjechali w wąską polną drogę, zapchaną pojazdami zmierzającymi w jednym kierunku. Przeważnie były to małe ciężarówki z przeogromnymi kołami; jadąc wśród nich Toyotę, czuli się, jakby jechali w wózeku dziecięcym. Minęła ich właśnie ciężarówka pełna chyba miejscowej kawalerki, gdyż na ich widok wszyscy przewiesili się przez

okna i burty, a kierowca zaczął przeraźliwie trąbić za pomocą sygnału chyba jeszcze sprzed I wojny światowej.

– Boże, co za folklor – jęknęła powtórnie Julia. – Nie do wiary, oni tu wciąż jeszcze noszą płócienne kombinezony?

W kierunku rozległych błoni (na których ustawiony był spory wiatrak i ewidentnie były czymś więcej niż tylko wybiegiem dla Największej Świni Świata) podążały coraz większe tłumy. Zapadał już zmierzch. Cała czwórka poczuła, że ogarnia ich znane z odległego dzieciństwa podniecenie towarzyszące zawsze udziałowi w targach i kiermaszach. Otaczający ich tłum wyglądał zupełnie inaczej niż piękni ludzie z L.A. Kobiety miały tu na ogół zwykłe dla ich wieku i kondycji, chude lub tegie, ale bynajmniej nie sztucznie formowane ciała i nie nosiły lycry w jaskrawych kolorach, lecz bawełniane kwieciste suknie i staroświeckie fartuchy. Mężczyźni byli w większości opaleni na ciemny brąz i prawie wszyscy nosili baseballowe czapki. Wszędzie kręciło się mnóstwo dzieci: odkarmione i opalone, złociste i brzoskwińowe nastolatki i piegowate niczym sam Norman Rockwell wyrostki zapowiadające się, jeśli idzie o wzrost, na przyszłe gwiazdy koszykówki. W powietrzu unosił się zapach hot dogów i ten niepowtarzalny szum towarzyszący targom, jarmarkom i kiermaszom zawsze i wszędzie.

Zaparkowali na polu większym niż całe Balham i wygramolili się z samochodów. Julia zanotowała w pamięci, gdzie je zostawili, ale chyba niepotrzebnie się trudziła: i Toyota (najmniejsza ze wszystkich stojących wokół wehikułów), i Thunderbird (najbardziej błyszczący i wielkomiejski) wyróżniały się niczym Eskimos w dżungli lub Masaj na Grenlandii.

Artur, jak tylko opuścili bezpieczne wnętrza samochodów i znaleźli się w tłumie, wyraźnie zeszywniał.

– Co z tobą? – spytała Julia

– Nnie... nic... nie wiem. To znaczy... ehem... jesteście absolutnie pewni, że nikt z tego tłumu nie zechce mnie... ee... zabić.

– Oczywiście że nie. Tyle tylko że... no wiesz, nie spoufalaj się z nikim, to nie podpadniesz.

Czuli się tu jednak zdecydowanie bardziej widoczni i różni od otoczenia: o wiele bardziej niż w L.A., a nawet w Nevadzie. Widać po nich było, że są bardzo, ale to bardzo cudzoziemscy i z bardzo, bardzo daleka.

Ellie podskoczyła nagle; Andrew pospieszył za nią.

– Ojejku! – zawołała – strzelanie do celu! Ale może nie powinniśmy brać w tym udziału...

Nagle jakby znikąd pojawił się obok nich schludnie ostrzyżony młodzieniec w koszuli zapiętej pod szyję, w spodniach z zaprasowanymi na ostro kantami.

– Hej! – zawołał, przywołując na twarz szeroki uśmiech, który jednak nie obejmował oczu. – Jak leci? Coście za jedni?

– Dziękujemy, świetnie – odpowiedziała za wszystkich Julia. – Szukamy tej największej świni świata.

– Aha... Znaczy się przyjechaliście tu dla rozrywki?

– Ehem?

– Aha. Cudzoziemcy, tak?

– No, coś tak jakby...

– Dobra, to mogę zapytać was o...

– ...O świnię?

– Czy uważacie Jezusa Chrystusa za swego osobistego zbawcę?

Wszyscy czworo zamilkli nagle, gapiąc się na młodzieńca, który uśmiechnął się jeszcze szerzej, pokazując cały komplet (zbyt wielu) niesamowicie białych zębów.

– Ach – powiedział wreszcie Andrew Drugi. – Zechciej nam wybaczyć, drogi ziomku.

– Osobistego? W jakim sensie? – spytała Ellie zaprasowanego młodzieńca. – A nie powszechnego? Przecież chyba poświęcił się dla wszystkich, więc powinniśmy się nim podzielić, a nie monopolizować?

– Odkąd odnalazłem Jezusa Chrystusa jako mojego osobistego zbawcę – powiedział zaprasowany – stałem się bardzo szczęśliwym człowiekiem.

– Może dlatego, że on pozwala ci chodzić na wszystkie jarmarki stanowe – mruknęła pod nosem Ellie.

– Młody człowieku – zaprasowany zwrócił się do Artura.

– Czy jesteś gotów, by złożyć swe życie w ręce naszego Pana?

– Nnie... – chociaż spotkałem kiedyś Pana* o bardzo pięknych rękach...

– ŚWIAT JEST SODOMĄ! – zagrział nagle zaprasowany –
WSZYSTKO ZMIERZA KU OHYDNEJ I BŁOTA WSZELKIEGO PEŁNEJ
JAMIE ZEPSUCIA I ZŁA! ALBOWIEM ŁATWIEJ JEST WIELBŁADOWI
PRZEJŚĆ PRZEZ UCHO IGIELNE, NIŻ BOGACZOWI WEJŚĆ DO
KRÓLESTWA NIEBIESKIEGO!!

– Hm, tu on w zasadzie ma rację – powiedziała Ellie.

– ...ALBOWIEM CZCICIE FAŁSZYWYCH BOŻKÓW ROZRYWKI I
SEKSUALNEJ NIEWSTRZEMIĘŻ-LIWOŚCI..

– Chciałabym – pomyślała Julia, ale tylko do siebie.

– ...ROZMAITE BURGER KINGI IIKEE...! Z twarzy Ellie zniknął uśmiech.

** W oryginale nieprzetłumaczalna gra słów: „Lord” znaczy „Pan” (także Pan Bóg), lecz może to być również imię, nazwisko lub przydomek, i w tym znaczeniu używa go Artur.*

– Co powiedział? – spytała.

– Przepraszam was za ten folklor – powiedział Andrew – ale to u nas normalne...

– Boję się i chcę wracać do domu – stęknął Artur.

– Ale... – Ellie nagle potrząsnęła energicznie głową. Julia, mimo że twardo obiecała sobie że chromoli /olewa/ ma gdzieś wszystkie ewentualne wyskoki przyjaciółki, podeszła do niej i delikatnie wzięła ją za łokieć.

– Ale... – zaczęła znowu Ellie. – To przecież jest dokładnie to, o czym myślałam!

Andrew cofnął się o krok.

– Tylko mi nie mów, że masz zamiar uciec i zacząć wygłaszać kazania...

Ellie patrzyła przed siebie z wyrazem głębokiego namysłu na twarzy.

– AMERYKA STRACIŁA SWĄ DROGĘ I CEL! – perorował dalej zaprasowany.

„Tak jak ja”, pomyślała Ellie.

– Jezyna, nie przejmuj się – powiedziała cicho Julia.

– Jak mam się nie przejmować? Wszystko, o czym on mówi, to właśnie mój problem i tu może być jego rozwiązanie...

– Dubose! – dał się słyszeć z boku surowy damski głos – co ty tu wyprawiasz?

– Tylko głoszę słowo Boże, Ferenzo – zaprasowany młodzieniec rozluźnił nieco kołnierzyk.

Wysoka tęga niewiasta z ogromnym kokiem siwych włosów, w kwiecistym fartuchu podeszła do nich.

– Naprzykrzał się wam? Może zdenerwował?

– Tak – odpowiedziała Ellie.

– Nie przejmujcie się nim. On już taki jest...

Odwróciła się do Dubose'a, który stał teraz z oczami wbitymi w ziemię; cały jego kaznodziejski żar gdzieś się ulotnił, a on sam wyglądał na zaambarasowanego.

– Robię tylko to, o czym mówi wielebny, Ferenzo – wymamrotał.

– I możesz sobie robić, ale nie strasz porządnych ludzi. Popatrz lepiej na mnie.

Odwróciła się ku nim.

– Dobra. Przyjmujecie Jezusa Chrystusa jako waszego osobistego zbawcę?

– Czy koniecznie muszę to robić dziś wieczorem? Planowałem zaczekać z tym do ostatniego kwadransu przed ewentualnym zgonem. A poza tym zamierzałem zrobić to po katolicku – powiedział Artur.

– Tak naprawdę, to chcieliśmy tylko zobaczyć tę wielką świnię i jechać dalej... – wtrącił nieśmiało Andrew.

– Czyńcie więc, co zamierzaliście – oznajmiła solennie Ferenza. – A ty, Dubose, sam widzisz, że naprzykrzałeś się bez potrzeby tym miłym ludziom.

– Przepraszam – wydukał z niejakim oporem Dubose. Odpowiedziały mu cztery głębokie westchnienia ulgi.

– Jak ludziska życzom sobie spłonąć w ogniu piekielnym, to zapamiętaj se, że to jest ich broszka – powiedziała łagodnie Ferenza i lekko trzepnęła Dubose'a po karku.

Cała czwórka ruszyła, by wreszcie obejrzeć jarmark. Ellie dziwnie cicha wlokła się z tyłu.

– Hej, głowa do góry – powiedział Artur, obejmując ją opiekuńczo ramieniem.

– Przypomnij sobie, po co tu jesteśmy: dla Największej Świni Świata.

Ellie zamarkowała półuśmiech.

– No tak; może jej teraz zacznę oddawać cześć... Julia skorzystała z okazji, by przykleić się do boku

Andrew Drugiego.

– Jak wam się jechało z Jeżyną?

– Świetnie – powiedział. – Tak długo, jak długo grało radio i były otwarte okna. – Zachichotał, ale jakoś nienaturalnie. Przechodzili właśnie obok stoiska z rzutkami do kokosów. Andrew nagle złapał z kantoru jedną z małych, gumowych piłeczek i cisnął nią w kokos. Trafił.

– Chcesz se pan porzucać jeszcze raz za piątką? – spytała bardzo pulchna gospodyni stoiska.

– Jasne – odpowiedział nonszalancko Andrew. Po czym po kolei, raz za razem trafił siedem kokosów z rzędu. Wszyscy wybałuszyli oczy z niedowierzaniem. Andrew zapłonął się lekko.

– Mój tato lubił strzelać – powiedział w formie wyjaśnienia. Pulchna dama przechyliła się całym ciałem przez kontuar i podała mu jako nagrodę ogromnego pluszowego tygrysa. Andrew, nadal zakłopotany, przytulił pomarańczowego pluszaka do piersi, nie bardzo wiedząc, co z nim począć.

– Jejku – westchnęły unisono Julia i Ellie. Andrew drgnął, popatrzył na tygrysa, a potem – bardzo spłoszony – na obie dziewczyny.

Stanęli w drzwiach. Uprzejmi, ale stanowczy. Colin nie widział Mięśniaka od czterdziestu ośmiu godzin i nie bardzo wiedział, co ma robić. Wpuścił ich jednak. Po czym przysiadł na sofie, cały w nerwach. Trochę trwało, zanim wydobyli z niego informację, że Ellie Eversholt jest chwilowo nieobecna i nie spodziewa się on jej powrotu zbyt szybko. Wtedy oni popatrzyli na siebie wyraźnie zdenerwowani.

Ellie wlepiła oczy w Andrew i prawie niedostrzegalnie skinęła głową. Odwzajemnił jej spojrzenie, choć z nieco kwaśną miną, po czym podał tygrysa Julii. Julia złapała go skwapliwie.

Ellie złapała Artura za rękę. – Świnia! – zawołała głośno.

– Chodźmy zobaczyć świnię!

– Ja chyba sobie daruję – powiedział Andrew. – Już ją widziałem. Faktycznie jest ogromna.

– Och, ja też! – pisnęła Julia. – Muszę się dotlenić po tylu godzinach za kółkiem. No i mój tygrysek niepotrzebnie by łykał ślinkę... To by podpadało pod paragraf o dręczeniu zwierząt...

Artur i Ellie ruszyli więc we dwójkę w kierunku ogromnego staroświeckiego namiotu, gdzie wielka tablica oznajmiła: „Tu do obejrzenia: Frosty II, Największa Świnia Świata”.

– Ciekawe, jaki los spotkał Frosty I? – parsknęła Ellie, patrząc na obłożone stoisko z hot dogami tuż obok namiotu.

– Zresztą nieważne.

– Witam piękne panie – zawołał stojący przed namiotem naganiacz pod adresem ich obojga. Artur podniósł brew.

– Tylko pięć dolarów za obejrzenie jednego z cudów współczesnego świata.

– Czyli świni – mruknął pod nosem Artur. – Co za czasy...

– Pięć dolarów? – zdumiała się Ellie. – A cóż ona robi? Stepuje?

– Tak – odpowiedział szybciotko naganiacz. Wewnątrz panował półmrok; pachniało sianem. Nagle rozbłysła latarnia i tuż przed nimi objawił się hipopotam. Frosty II była rzeczywiście ogromna. Wręcz przerażająco ogromna. Leżała na boku, a każdy z jej ośmiu cycków wyglądał jak sutki poniektórych gwiazd porno. Frosty parsknęła i wyciągnęła ryj w ich kierunku.

– Cholera jasna! – jęknęła Ellie.

Oboje podziwiali Frosty w skupionym milczeniu.

– No i co teraz, Jeżynko? – spytał Artur, biorąc ją za rękę – W obliczu tego, co widzisz, nie powtórzysz swego „to najwspanialsza podróż mego życia i pożegnanie z młodością”?

– Chyba nie – powiedziała Ellie, jakby posmutniała.

– A co z „czyż dobry ubaw nie jest najważniejszą rzeczą w życiu”?

– Przestań. Wiem. Myślę tylko, że... co będzie, jeśli nie znajdę niczego? Jeśli Andrew McCarty nie okaże się bardziej pomocny niż ten religijny świr?

Artur wzruszył ramionami.

– Zawsze jeszcze pozostają wakacje...

– No, nie wiem. Zaczynam myśleć, że to wszystko nie ma sensu ani celu. I że potem muszę wrócić do domu i zacząć wszystko od nowa, a to naprawdę jest przerażające.

Artur roześmiał się.

– Oczywiście że to jest najbardziej przerażające! Ale to zarazem normalka. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o „niewidzialnych problemach”. To po prostu kryzys zachodniego kapitalizmu. Brak duchowego celu.

Ellie pokiwała głową.

– Chyba że zwrócić się ku Wschodowi – powiedziała z namysłem. – Dobry Boże. Przyjdzie mi upodobnić się do Caroline Lafaeytte i zacząć obracać te himalajskie młynki modlitewne albo nosić te ich modlitewne szarfy...

Artur popatrzył na nią uważnie, po czym szturchnął ją lekko.

– Wydaje mi się – powiedział powoli – że w danej chwili masz poważny problem, który wcale nie jest niewidzialny. Mam rację?

Ellie wzruszyła ramionami, wbiła wzrok w ziemię i nie odpowiedziała.

– Jest bardzo przystojny.

– Tak uważasz?

Artur skinął głową i czekał na jej reakcję.

– To Julia zobaczyła go pierwsza – powiedziała nagle Ellie tonem skargi – to znaczy ona tak twierdzi. I chce przeżyć szalony romans, zanim wyjdzie za mąż. Chyba nie mogę z tym walczyć.

– Wydaje mi się – powiedział Artur – że ten religijny świr miał być może rację co do relatywizmu moralnego.

– Ale ja też chcę... naprawdę. Artur ścisnął ją za ramię.

– Przyjaciele są teraz i na zawsze, skarbie. Wódka gęściej sza niż woda, pamiętasz?

Ellie pokiwała głową jak posłuszne dziecko.

– I Julia zawsze była wobec ciebie w porządku, prawda? Przytaknęła ponownie.

– No i tylko o tym powinnaś pamiętać. W końcu chyba tylko to się liczy w ostatecznym rozrachunku.

– Tak przypuszczałam – bąknęła Ellie.

– Chcecie może ją pogłaskać?

– Skąd ona taka się wzięła? – spytała Ellie. – Czyżby jej mamusia puściła się z jakimś tamtejszym perszeronem?

Facet od świni się roześmiał.

– Tylko odpowiednie i obfite żarcie, i tyle.

– Ale ona jest taka gruba, że nie może stać!

– No, stać nie może. Ale pływa. Bardzo to lubi.

Artur wpatrywał się w olbrzymie różowe cielsko z pewnym dyzgustem. Frosty II łypnęła na niego iście świńskim oczkiem i głośno zachrumkała. Ellie

pochyliła się i podrapała ją za uszami. Frosty zachrumkała, tym razem z rozkoszy.

– No więc, może nam pan powiedzieć, kiedy ona wróci? Colin spojrział na czubki swych najków i wzruszył ramionami.

– A właściciel mieszkania? Może on coś wie? Colin ponownie wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – powiedział bezradnie. – Artur by wiedział. Ale jego też nie ma... Jest z Jeży... – to znaczy z Ellie...

– Gdzie oni teraz są?

– Gdzieś w Ameryce.

Wysoka kobieta i mężczyzna w tanim garniturze wymienili spojrzenia.

– Chyba musimy poszukać jej przez konsulat – powiedział mężczyzna.

Julia z tygrysem pod pachą wolną ręką uczepliła się ramienia Andrew, gdy krążyli po jarmarku, oglądając stoiska. W piersi czuła miłe ciepło. Serce waliło jej jak młotem, gdy popychana przez tłum raz po raz tuliła się do niego.

– Fajnie, że pojechałeś z nami – powiedziała, pocierając nosem o jego cudownie miękką i pachnącą koszulę.

– Ehem? Aa... tak – odpowiedział. – Fajnie było się wyrwać z miasta...

– I wspaniale było... że wyruszyłeś spotkać się z nami. – Tu przerwała i spojrzała na niego. – Wspaniale było, że wyruszyłeś, by spotkać się ze mną – dodała i uśmiechnęła się niepewnie. Po czym zdecydowanie wspięła się na palce i pocałowała w same usta.

Po paru sekundach dotarło do niej, że on nie odwzajemnia pocałunku, dokładnie w chwili, gdy próbowała wsunąć mu język między zęby. Straszliwie zmieszana, cofnęła się gwałtownie.

– Julio – powiedział łagodnie, kładąc jej dłonie na ramionach. – A co z Loxyem?

Na twarzy Julii pojawiła się kolejno gama kolorów: najpierw zbladła (z przykrości), potem zaczerwieniła się (z zakłopotania), wreszcie spurpurowiała (ze złości).

– Cholera jasna, POWIEDZIAŁA ci – syknęła. – Przyjaciółka! Nie mogę uwierzyć, że ta cholerna krowa POWIEDZIAŁA CI o...

– Nikt mi o niczym nie powiedział – odparł spokojnie Andrew – ale wcale nie było trudno zgadnąć samemu.

– O rany. Cholera. Psiakrew. NIECH TO SZLAG.

Odwróciła się i rzuciła za siebie z furią pluszowego tygrysa.

Przeleciał nad głowami kilkorga zawiedzionych dzieciaków i walnął w sam środek tarczy w innym kramie strzelniczym. Właściciel podniósł go i popatrzył lekko oszołomiony.

– Hmm... to chyba wygrywasz gumową piłeczkę, chłopie – powiedział do równie osłupiałego klienta.

Mięśniak buszował po szafkach w kuchni Siobhan, pochrzäkując i pomrukując z dezaprobatą.

– Zara! To nie jest żarcie!

– Owszem jest. To kuskus.

– Kus–srus – zarechotał z całego serca z własnego dowcipu. Dobra. To zamówmy biryani.

– Jest jedenasta rano.

– No to co?

Siobhan zastanowiła się przez sekundę, po czym wzruszyła ramionami.

– Dobra, to ja teraz wyskoczę kupić jakieś piwko – oznajmił Mięśniak, całując ją głośno i smakowicie w usta.

– A jak wrócę, to możemy zrobić to jeszcze raz?

– Jasne – odparła Siobhan, myśląc zarazem, że chyba musiała zostać porwana przez kosmitów, którzy zrobili jej pranie mózgu. – Wszyscy mówili, że w sprawach seksu jesteś do bani – powiedziała prawie niechcący.

– Hrmh – zachrumkał ponownie Mięśniak. – Ale jak poczytałem Nancy Friday...

– Dobrze już, dobrze – machnęła ręką Siobhan – a przy okazji... mógłbyś wpaść do siebie i zobaczyć, co u Colina? W końcu obiecałeś Arturowi, że go przypilnujesz.

– Taa – bąknął Mięśniak, po czym cierpliwie wyjaśnił:

– Mam ochotę na curry i bara–bara, a jak pójdę, żeby go niańczyć, to nici z obu tych rzeczy. Chyba że wezmę ze sobą trochę curry...

Siobhan zdecydowanie sięgnęła do jego rozporka.

– W porządku – powiedziała. – W końcu Colin to już duży chłopczyk i na pewno wie, jak dzwonić pod 999.

Julia kręciła się przy wejściu do świńskiego namiotu. Andrew stał obok, trochę zakłopotany.

– No i jak tam? – spytał, gdy z namiotu wyłonili się Artur i Ellie. Liczył, że nikt nie zauważy, że coś się stało.

– No cóż, nie było tak zabawnie, jak myślałam, że będzie – powiedziała Ellie. – A właściwie sama nie wiem. Nie wiem, czy to zabawne tak leżeć całymi dniami w ciemności i żuć słomę?

– Powinniśmy się zbierać – powiedziała Julia z kamienną twarzą.

– Ojej – zawołała Ellie. – Chciałabym jeszcze wejść na ten wiatrak.

Julia zignorowała ją.

– Artur, jedziemy.

Po czym odwróciła się i ruszyła przed siebie. Artur skrzywił się, po czym pobiegł za nią. Ellie i Andrew zostali sami, mierząc się nawzajem wzrokiem.

– To znaczy ona wyjechała w poszukiwaniu... kogo? – spytał mężczyzna w tanim garniturze.

– Ehem... no... Andrew McCarthy'ego – powiedział Colin, który od pół godziny nie odrywał oczu od swych stóp. – Jeść mi się chce.

– Ojej... kiedyś kochałam się w nim – powiedziała kobieta, po czym szybko położyła dłoń na ustach. – To jest chciałam powiedzieć... ee... rozumiem.

– Może powinniśmy się z nim skontaktować? – powiedział mężczyzna.

– Och, ja się tym zajmę – powiedziała kobieta, trochę zbyt szybko. – Porozumiem się z nim i zobaczymy, czy ona się z nim skontaktowała... – mówiąc to, zarumieniła się.

Loxy był zdołowany. W końcu, pomyślał, to śmieszne. Nie odjeżdża się od kogoś, kogo się naprawdę kocha. A potem prawie wcale się nie dzwoni. Ani nawet nie przysyła pocztówki. To właśnie tak jakby wysłała pocztówkę, myślał posępnie. Pocztówkę mówiącą „Olewam cię”.

Właściwie czy powinien biernie oczekiwać nieuniknionego? Stać na lotnisku i czekać na nią? Ze ściśniętym nagle sercem wyobraził sobie jej twarz, gdy będzie wychodzić z hali przylotów. Miłą, czułą, współczującą, z ogromnym „przepraszam” wypisanym w oczach.

Nie, dłużej już nie będzie tego znosił. W końcu jest mężczyzną. Jest, czy nie jest? Jak długo ma pozwalać wodzić się babie za nos? Choćby tą babą była istota najdroższa na świecie. Nie, nie da jej tej satysfakcji. Niech wreszcie poczuje się tak jak on teraz...

Rozmyślając o tym wszystkim, zupełnie niechcący skierował swe kroki ku domowi Siobhan.

– Dziesięć dolarów na zbożny cel, panienko? – zwróciła się Ferenza do Ellie i Andrew wychodzących z jarmarku. Zapadający zmrok niósł ze sobą tchnienie nadchodzącej jesieni.

– Raczej nie – powiedziała sceptycznie Ellie. Ferenza wyglądała na zdołowaną.

– Tak właściwie to chodzi mi o dziesięć dolców na whoppera dla mnie i dla Dubose'a.

– A, skoro tak – powiedziała Ellie i podała jej banknot. – Ale myślałam, że whoppery to dzieło szatana...

Ferenza uśmiechnęła się, pokazując wszystkie zęby; jak na Amerykankę miała je nieszczerzące.

– Są, ale nikt się tym nie przejmuje... Ellie westchnęła. – Tak przypuszczałam.

Wreszcie sobie poszli. Colin, nieco rozluźniony, wpakował do ust od razu pół paczki Monster Munch i wypluwając okruchy, krążył po mieszkaniu, szukając gorączkowo Arturowego notesu z adresami. Gdy w końcu go znalazł, usiadł, rozłożył plan miasta i z wysuniętym językiem zaczął studiować drogę do domu Siobhan. W końcu złożył plan i wyszedł.

Loxy stał w drzwiach, co nieco zmieszany, dzierżąc kwiaty i butelkę wina. Cholera. Ja jej pokażę. Nie będzie tak, że ona wróci sobie z Ameryki z jakimś kowbojem pod rękę, a on, jak ostatni krety, będzie siedział na lotnisku z pierścieniem w kieszeni. Czując, jak łopocze mu serce, nacisnął dzwonek.

Siobhan otworzyła drzwi, owinięta tylko w japońskie kimono. O siódmej wieczorem? Na dodatek wydawała się mocno zmieszana na jego widok.

– Hej – powiedział Loxy, wyciągając ku niej bukiet. – Pomyślałem, że wpadnę.

Patrzyła na niego przez dobrą chwilę, po czym powiedziała tylko:

– O, cholera.

Z głębi mieszkania wytoczył się Mięśniak, symbolicznie tylko przesłonięty ręcznikiem, który był dla niego stanowczo za mały...

– Wiedziałem! – ryknął i uśmiechnął się szeroko, szczęśliwie i głupawo. – Każdy chłop lubi, jak baba na niego leci i w końcu mu rura mięknie... to znaczy twardnieje... he–he. Ale, przykro mi koleś, spóźniłeś się. Jak kota nie ma, myszy się bzykają, he–he. A może to chodziło o tygrysa, co, złotko?

Siobhan ukryła twarz w dłoniach i z całej siły zapragnęła, by być gdzieś jak najdalej stąd. Właściwie może powinna pojechać do tej całej Ameryki? Napchałaby się tam do wypęku cheeseburgerami, pohandryczyła z Jeżyną... wszystko byłoby lepsze niż to, że stoi tu teraz między tymi dwoma kogutami, w najidiotyczniejszym trójkącie wszechczasów.

– I jak to mogłeś zrobić Julii, koleś – powiedział z wyrzutem Mięśniak. – Taka fajna cizia. I kulturalna. I myślałem, że macie zamiar się chajtać...

Loxy sprawiał wrażenie, jakby chciał się zapaść pod ziemię razem z bukietem.

– Przepraszam – wybąkał wreszcie.

– Nie ma sprawy – powiedziała Siobhan, czując się niczym przysłowiowa ulicznica o złotym serduszk.

– No więc, koleś, przegapiłeś swoją okazję – zarechotał Mięśniak. Siobhan wzdrygnęła się lekko, a zarazem zdumiała, jak w sumie niewiele ja to wszystko obchodzi. Poza powrotem z Mięśniakiem do łóżka.

– To ja już chyba pójdę...

– Może zostawisz nam winko? – zaproponował Mięśniak. Loxy podał mu butelkę bez oporu i odwrócił się, by odejść. I wtedy zobaczył, że do domu pędem zbliża się jakaś drobna postać. Wszyscy troje spojrzeli w tym kierunku.

– Czy to nie Colin? – spytał wreszcie Loxy.

– A co on wyrabia? – zdziwiła się Siobhan – ćwiczysz biegi z jajkiem na łyżce?

Gdy Colin dobiegł wreszcie do nich, nie mógł złapać tchu.

– Mam... Mam... – dyszał.

– Uspokój się – powiedziała Siobhan. – Co się stało?

– No więc... fff... jacyś... fff... ludzie przyszli... i przez nich nic nie mogłem zjeść... i... – jego dolna warga zaczęła się niebezpiecznie trząść.

Siobhan nerwowo rozejrzała się wokół, zastanawiając się, co też pomyśla o niej sąsiedzi.

– Colin. Uspokój się. Wejź do środka i powiedz nam, o co chodzi.

Colin gwałtownie skinął głową i dał się Mięśniakowi i Siobhan wprowadzić do środka. Po chwili wahania Loxy podążył za nim. Wewnątrz Colin, wciąż spocony i zdyszany, patrzył niepewnie na Siobhan otwierającą butelkę z winem.

– Nie masz na sobie ubrania! – zauważył w końcu.

– Owszem mam. To się nazywa szlafrok, mój mały. No, a teraz mów. Co się stało?

Lecz Colin wciąż wpatrywał się w nią tak intensywnie, że westchnąwszy skoczyła do sypialni, by wskoczyć w dżinsy i T-shirt.

– No więc. Co się stało?

W oczach Colina pojawiły się łzy.

– Ci ludzie przyszli...

– No i?

– A na zewnątrz była wielka czarna furgonetka z anteną? – zapytał Mięśniak.

Colin potrząsnął głową, po czym wyjąkał.

– To... chodzi o Jeżynę. O jej tatę. Jej tato... Jej tato umarł. A oni nie wiedzą, gdzie ona jest.

I wybuchnął płaczem. W pokoju zapadła cisza.

– Rany, mały, przestań się mazać, na litość boską – powiedział w końcu Mięśniak. I dodał poważnie – O kurwa. Biedna Jeżyna.

– Wspaniały wieczór – powiedziała Ellie, oglądając się na pola oświetlone zachodzącym słońcem.

– Istotnie – powiedział Andrew, patrząc na nią.

Tuż przed nimi rozległo się przeraźliwe trąbienie. Wsiedli do samochodu i ruszyli za małą, poobijaną Toyotą, wjeżdżając znowu na zapyloną i rozjeżdżoną drogę.

11.

Bułka z masłem

Rozsiadłszy się po turecku na podłodze, Loxy, Siobhan i Mięśniak patrzyli na Colina, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co powiedział.

– Mów spokojnie i po kolei, co powiedziała policja. – rzekła Siobhan.

Przedtem zrobiła wszystkim po hojnej porcji whisky i uprosiła Mięśniaka, by wziął z łazienki ręcznik kąpielowy albo w ogóle się ubrał. Wybrał to pierwsze.

Colin co nieco już przyszedł do siebie i tylko głośno pociągał nosem.

– Coś mówili, że... się ululał...

– Ululał?...

– No, wiem, że popijał sobie, ale żeby... Może zapomniał coś wyłączyć albo... – Siobhan zatrzymała się przerażona wizją.

– No właśnie, tak ten gość z policji powiedział. Że się ululał i muszą się skontaktować... to znaczy powiedział, że w Ameryce...

– Colin – powiedział nagle Loxy. – Czy przypadkiem ten policjant nie użył słowa „konsulat”?

– Możliwe – smarknął Colin.

– Aha. I co jeszcze?

– Chcieli wiedzieć, czy mieliśmy od nich jakieś wiadomości. I gdzie oni są. Ale ja nic nie wiedziałem i tak mi się chciało jeść...

– Dobrze już, dobrze. Loxy, skąd był wtedy ten telefon, co to, ee... pamiętasz?

Loxy wzruszył ramionami.

– Wybacz, ale musiałem jednocześnie rozmawiać i powstrzymywać cię przed zrzucaniem szatek. Byłem zbyt rozkojarzony. Nie pamiętam, czy w ogóle była o tym mowa.

– Jezu Chryste – jęknęła Siobhan. – Colin, a kiedy to się stało?

– Parę dni temu – Coli znów pociągnął nosem. – No, dzwonili, dzwonili, a potem przyszli.

– Rany, ale bardak – jęknął Loxy. – Dobry Boże. Biedna Jeżynka. Przecież to oznacza, że ona teraz nie ma już... że została samiuteńka na tym świecie.

Wszyscy pilnie wpatrywali się w podłogę.

– A... to znaczy... ee... gdzie jest teraz jej tata? – spytała Siobhan.

Colin wysmarkał się i podał jej wizytówkę policjanta.

– Jak im powiedziałem, po co tam pojechała, to ten policjant powiedział, że skontaktuje się z Andrew McCarthym, żeby w razie czego, gdyby on ich wszystkich spotkał, to...

– Jezu Chryste. Bardak i to wielopiętrowy – powtórzył Loxy. – To co robimy?

– JA pojedę tam i przywiozę ich z powrotem – pisnął Colin.

– Co?

– No, ktoś musi ją znaleźć. Myślę, że jeśli to będzie amerykański policjant, to może się źle skończyć.

– Colin, nie bądź idiotą. Nie możesz jechać sam do Ameryki.

– Mogę! Oglądałem *Bezsenność w Seattle*.

– Nawet nie wiesz, gdzie oni teraz są.

– Ale ja ich znajdę – powiedział z uporem. – I to ja powinienem jej to przekazać.

Reszta popatrzyła po sobie z pomieszaniem przerażenia i rozczulenia. Nagle Loxy zerwał się na równe nogi.

– Colin, masz rację – powiedział – ktoś powinien pojechać. Ja pojedę. Masz rację Colin, że Jezyna nie powinna tego usłyszeć od obcych, w obcym kraju. A ja i tak muszę zobaczyć się z Julią. – Tu głos mu się lekko załamał. – Muszę i już. – Siobhan smętnie pokiwała głową.

– Faktycznie musisz.

– O nie – wrzasnął Colin i smarknął. – To mnie o tym powiedzieli. To moja wiadomość i ja powinienem jechać. A poza tym koniecznie muszę zobaczyć się z Arturem.

– Taa, a ja nie chcę jechać – Mięśniak wydał wargi i zmarszczył nos. – Chcę zostać tu i uprawiać seks z Siobhan.

– Tobie tylko to w głowie – warknęła Siobhan. – Musimy koniecznie porozmawiać z tym policjantem. Rany boskie. Tyle spraw trzeba załatwić. – Zerwała się i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju.

– ALE JA CHCĘ JECHAĆ – zawołał Colin, a dolna warga znów zaczęła mu się trząść.

– Słuchaj, lepiej będzie jeśli ja... – zaczął Loxy.

– A nie możesz po prostu wziąć go ze sobą? – spytała Siobhan.

– W żadnym razie!

– Co, nie lubisz gejów? – smarknął Colin.

– Oczywiście, że lubię! Nie wygłupiaj się mały.

– To dlaczego nie mogę jechać? Loxy wznosił oczy do nieba.

– Właściwie czemu nie miałbyś go zabrać – powiedziała Siobhan. – Ja już mam na głowie jednego bachora i to przerośniętego.

Loxy rozpaczliwie szukał jeszcze jakiejś rozsądnej wymówki, ale żadna nie przyszła mu do głowy.

– No, właściwie to mogę... – powiedział wreszcie zrezygnowanym tonem

– Juhuhu! – wrzasnął Colin – zobaczę Disneyland!

Wszyscy wybałuszyli na niego oczy.

– No i powiem Jeżynie, że już nie ma taty...

– No, dobra – powiedział Loxy – wracam do siebie, pakuję manele i jedziemy prosto na lotnisko. Moja komórka ma międzynarodowy zasięg, więc jak tylko oni się do was odezwą, dzwońcie zaraz do mnie i przekażcie, gdzie są. I nic nie mówcie przez telefon o tacie Jeżynki.

– A twoja praca?

– Cholera, wziąłem wolne dużo wcześniej, żeby jechać z Julią... No i... nieważne.

– No, to załatwione. A ty, mały?

– Mama może mnie wytłumaczyć – powiedział Colin.

Wszyscy nagle poderwali się i zaczęli się miotać. Fakt, wiadomość była straszna i smutna, ale konieczność szybkiego działania okazała się przedziwnie podniecająca.

– Colin, a jak stoisz z forszą?

Na chwilę zapanowała cisza.

– Noo – bąknął wreszcie Colin – właściwie to leżę...

Siobhan westchnęła, złapała swój portfel i wyjęła z niego złotą kartę kredytową. Przymknęła na sekundę oczy, po czym podała ją Colinowi wraz ze skrawkiem papieru z nabazgranym numerem PIN.

– On nie wiedział, że wciąż mam jeszcze jedną – wyjaśniła.

– Jezu Chryste – stęknął Mięśniak. – Aleście wszyscy zaaferowani. A mnie, jak słusznie zauważyłaś, kotku, tylko jedno w głowie. Przepraszam całe

towarzycho – powiedział, znikając w sypialni. – I pospiesz się, skarbie – zawołał już za drzwiami.

Siobhan oblała się rumieńcem, ale udała, że go nie słyszy. – I pamiętaj, Colin, jak już ich znajdziesz, daj ją Julii, dobrze? W żadnym razie Jeżynie.

– W żadnym razie Jeżynie – powtórzył posłusznie Colin, gapiąc się na kartę, jakby była z prawdziwego złota. Loxy z wdzięcznością ścisnął Siobhan za rękę.

– Miło mi, że mogłam zrobić coś dobrego – powiedziała z oczami wbitymi w podłogę.

– Czy ktoś tam mówi coś o robieniu dobrze? – zabuczał z sypialni sznapsbaryton Mięśniaka. – Czekam, kotku!

Ellie podziwiała przez okno krajobrazy stanu Ohio, który przemierzali w dzień po świńskim jarmarku. Gdy Andrew chciał ją objąć ramieniem, łagodnie go strząsnęła. Popatrzył na nią zatroskany. Było jej ciężko. Nagle dotarło do niej, że ten jej wspaniały pomysł jest w istocie beznadziejnie głupi. Co dały im w końcu te lata osiemdziesiąte? To prawda, ludzie zaczęli się wtedy naprawdę bogacić i to było fajne. Ale z czasem zmieniło się w męczącą i co gorsza bezsensowną i kosztowną rutynę. Kupować, kupować, wciąż nowe i nowe rzeczy. Komputer po pół roku jest już przestarzały i trzeba go zmieniać. A przez tę pogoń za rzeczami ludzie nie mają czasu przysiąść i pożyć. I zatroszczyć się o swych bliskich. Nagle pomyślała o swoim ojcu i poczuła, że nieposłuszna łza ścieka jej wzdłuż skrzydełka nosa. W innych czasach i innej kulturze nie mogłaby go tak zostawić, żeby mieszkał sam na drugim końcu miasta, odżywiał się zapiekankami i zapijał podłą whisky. Potrzebował troski i starania. Potrzebował jej.

Oto co powinna była zrobić. Jej wyprawa w poszukiwaniu siebie dobiegła końca. To, czego szukała, było w istocie wokół niej niczym słoma

wokół Frosty. Podjęła decyzję. Dobrze, spędzą fajnie czas w Nowym Jorku. Ona spróbuje wytłumaczyć Julii, co się stało – a raczej *nie stało* – i wszyscy wyjdą z tego z twarzą i każdy będzie mógł znów być szczęśliwy. A potem jak wróci do domu, przeprowadzi się do taty, do swojego starego pokoju wytapetowanego wyblakłymi plakatami i pocztówkami, z tą idiotyczną lalką, tym malutkim czerwonym odtwarzaczem hi-fi i kołderką w czarne i różowe paski.

A poza tym tak będzie taniej, zwłaszcza teraz, gdy będzie szukać pracy. I wszystko będzie w porządku, nawet jeśli czasem obudzi się w zimny, deszczowy ranek i przypomni sobie sen o czyichś złotych włosach, lśniących w późnojesiennym słońcu, gdy jechali przez równinę ogromną jak cały świat.

– Wszystko w porządku? – spytał cicho Andrew.

– Tak, w porządku – odpowiedziała spokojnie, choć ze smutkiem.

– Już jest martwa – syczała Julia. – Wiedziała, jaki jest gryplan; ale po prostu kompletnie to olała...

– Uspokój się – powiedział Artur. – Opowiadała mi o nim. Lubi go, ale nie... ee... zamierza... ee, zbliżyć się z nim. Ze względu na ciebie.

– Co? – Julia była blada jak ściana. – To jeszcze GORZEJ! – Jakże szlachetnie z jej strony! Co za poświęcenie! Pieprzyć to.

– Myślę, że to nie z powodu Ellie tak się ciskasz – powiedział Artur.

– Właśnie że z jej – odpaliła Julia.

Andrew spoglądał na Ellie niepewnie; wysyłała takie sprzeczne sygnały. No, jak to kobieta. Chociaż niezwykła kobieta. Wziął głęboki wdech.

– Wiesz, że naprawdę cię lubię – powiedział.

Ellie drgnęła, wyrwana ze swych gorzko-kwaśnych marzeń.

– Naprawdę? – spytała z odrobiną złośliwym uśmieszkiem. – Na tyle by pozwolić mi poprowadzić?

– Tak więc z Arturem...

Loxy i Colin siedzący na lotnisku wyglądali jak bardzo dziwna para.

– Że co? – odezwał się Colin. Chłonał wszystko dookoła błyszczącymi z podniecenia oczami; w całym swym niedługim życiu nie wyjechał dalej niż do High Wycombe.

– Słuchaj mały, czy ty w ogóle myślisz czasami o innych ludziach?

– Raczej nie – przyznał Colin. – Ale Artura bardzo Kocham.

– Hmm – mruknął Loxy, patrząc przez szybę. – Hmm. Musimy ustalić, gdzie zaczynamy ich szukać...

– O ile ich znam – zawołał Colin – to pewnie są w Disneylandzie.

– Czy masz jakieś doświadczenia z prowadzenia samochodu w Ameryce – spytał Andrew, popatrując odrobinę nerwowo na tablicę rozdzielczą Thunderbirda.

– Och, całą masę – powiedziała Ellie – No, przyhamuj.

– Kurczę, co oni tam wyprawiają? – zastanawiała się Julia. – Zatrzymują się. Pewnie żeby się bzykać.

Artur podniósł wzrok znad egzemplarza kultowej powieści drogi *W drodze*, której za żadne skarby świata nie był w stanie doczytać do końca. (Nie wiedział, że w istocie sztuka ta nie udała się jeszcze nikomu na całym świecie i że w większości wydań ostatnie sto stron jest pustych, by oszczędzić na farbie drukarskiej. Zresztą tak samo nikt nie wytrwał do końca na filmie opartym na tym dziele).

– Wiesz Julia, chyba wpadasz w obsesję.

Jednak samochód przed nimi faktycznie zwalniał. Zatrzymali się tuż za nim, akurat na czas, by zobaczyć, jak Ellie wyskakuje i z szybkością nadświatlną obiega wóz, zmierzając do lewych drzwiczek.

– COO?! – ryknęła Julia. Po czym z całej siły nacisnęła klakson.

– Cholera, co oni tak trąbią na nas? – zdziwiła się (całkiem fałszywie) Ellie, studiując tablicę rozdzielczą i sprawdzając, gdzie są które guziki. Słyszała, że prowadzenie samochodu w Ameryce to bułka z masłem.

– No, dobra – powiedziała, wkładając kluczyki do stacyjki. – Zobaczysz zaraz prawdziwego kierowcę.

– Jesteś całkiem pewna, że twoja definicja „prawdziwy” nie oznacza w istocie „szemrany”? – spytał Andrew Drugi. – No wiesz, są „prawdziwi” patrioci, „prawdziwi” chrześcijanie... że już nie wspomnę o „prawdziwej” kawie.

– No, nie marudź. Zobaczmy... lusterko, kierunkowskaz, sprzęgło...

– Jezu Chryste – szepnęła Julia, nadal trąbiąc jak na pożar. – Oczom własnym nie wierzę. Jak on mógł jej na to pozwolić. Przecież ona pozabija ich oboje!

Ellie tymczasem dość gładko wytoczyła wóz na lewy pas.

– Bułka z masłem! – ćwierknęła radośnie.

– Jeżyno... – powiedział Andrew – może uważaj, żeby nie przekroczyć linii...

– Czego?

– Linii pasa. Jesteśmy na autostradzie...

– Spoko – rzuciła dziarsko Ellie, zarzucając Thunderbirdem nieco na prawo. – No i patrz! Trzydzieści mil na godzinę!

– Możesz tu jechać trochę szybciej...

– Nigdy wcześniej nie jeździłam tak szybko. Andrew spojrzał na nią.

– Ale ty... ty masz prawo jazdy, prawda?

– Mmm – powiedziała Ellie. Andrew zamknął oczy.

– Nie zamykaj oczu! Polegam na tobie, że będziesz mi mówił, gdzie mam jechać.

– O, Boże – powiedział.

– Dzieciaki w amerykańskich filmach wożą się na okrągło – powiedziała Ellie. – Znaczą się, że to łatwe. – Samochód podskoczył parę razy i bezustannie zjeżdżał to na lewo, to na prawo.

– Ja to kręcę – jęknął Andrew, kryjąc twarz w dłoniach, po czym słabym głosem instruował.

– Dobrze. Spokojnie. Trzymaj się LINII PROSTEJ. Między tymi dwoma liniami. Słuchaj, takie ciągłe przekładanie rąk na kierownicy dobre jest tylko w kreskówkach. Dobrze. – Ponownie wziął głęboki wdech. – Teraz powoli. POWOLI!

– Dobrze mi idzie! – krzyknęła Ellie.

– WOLNIEJ!

Toyota wcisnęła się jakoś obok nich.

– ONA NIE UMIE PROWADZIĆ! – ryknęła Julia przez otwarte okno.

– WIEM! – odkrzyknął Andrew. – PRÓBUJĘ JĄ JAKOŚ ZATRZYMAĆ!

– Świetnie mi idzie – zawołała Ellie.

Jednak zmasowany histeryczny wrzask ze strony pozostałej trójki przekonał ją, że chyba jednak nie za bardzo. A tu akurat, jak na złość, pojawiło się paskudne wzniesienie; zaczęła gorączkowo macać obok siebie, szukając dźwigni skrzyni biegów.

– Dobra, może się jednak zatrzymam! – zawołała i niechcący nacisnęła pedał gazu.

– O żesz ty! – wrzasnęła, gdy oba samochody zrównały się, niebezpiecznie blisko jeden drugiego.

Funkcjonariuszka Saria Millstone czuła się głupio i nieswojo. Nie była przyzwyczajona do tego, by czuć się głupio i nieswojo, przyzwyczajona była

do bycia sprawną i efektywną, od kiedy nałożyła mundur, ale ta sytuacja naprawdę była idiotyczna. Próbowwała kilka razy skontaktować się telefonicznie z agentem aktora Andrew McCarthy'ego w Los Angeles, co nieodmiennie kończyło się totalnym i beznadziejnym zamętem. Bowiem ilekroć usiłowała wytłumaczyć, dlaczego koniecznie musi skontaktować się z aktorem, agenci robili wrażenie coraz bardziej zirytowanych, a nawet przestraszonych i zbywali ją byle czym, a ona czuła się coraz bardziej głupio i niepewnie.

– Nie reprezentujemy panny Eversholt – to słyszała od nich już nie wiedzieć ile razy.

– Wiem – starała się być cierpliwa i uprzejma. – Ale muszę porozmawiać z Andrew McCarthym...

– Czy to ma jakiś związek?

– Muszę wiedzieć, czy kontaktował się z Ellie Eversholt.

– Nie reprezentujemy panny Eversholt, szanowna pani.

Wiedziała oczywiście, że mogłaby oddać całą sprawę w ręce Interpolu czy choćby konsula, ale jakaś mała część niemądrej nastolatki ciągle w niej tkwiła, kazała jej trwać i ciągnąć te beznadziejne rozmowy. Ta głupiotka niegdysiejsza, nastoletnia Saria, schowana gdzieś głęboko w osobowości funkcjonariuszki Sarii Millstone, liczyła wciąż, wbrew wszelkiej logice, że może wreszcie będzie mogła usłyszeć jego głos, a on zachwyci się jej angielskim akcentem..., tu westchnęła ciężko, litując się nad własną głupotą i z niesmakiem przyjrzała się sobie w lustrze,

– Przestań być idiotką – nakazała sobie surowo.

Postanowiła, że skończy z tym natychmiast. Jak tylko... nagle, ni stąd, ni zowąd pomyślała o czymś i popędziła do biblioteki.

Na szczycie wzgórza pokazał się wierzchołek ogromnej ciężarówki, chyba wyższej niż piętrowy autobus. Julia, z jedną ręką na kierownicy, drugą machała przez otwarte okno, w kierunku Thunderbirda. Andrew zaczął krzyczeć do niej, by się wycofała – samochody zajmowały teraz bowiem całą szerokość drogi – ale jego głos tonął w ogólnym hałasie.

Gdy to się stało, stało się bardzo szybko. Ellie zobaczyła ciężarówkę i straciła zdolność do jakiegokolwiek ruchu.

„Cholera! Co za porąbany dzień” pomyślała, patrząc na potężne cielsko pojazdu toczące się z góry prosto na nich, i prawie instynktownie puściła kierownicę.

Artur przechylił się wciągnął wychyloną przez okno Julię do wnętrza Toyoty dokładnie w momencie, gdy zauważyła wreszcie niebezpieczeństwo i zjechała z pasa, ustawiając się za Thunderbirdem.

Andrew Drugi przechylił się poprzez siedzącą bez ruchu Ellie i usiłował złapać kierownicę. Potem zapadła nagle cisza, a potem jeden wielki chrzęst.

– Witam panów – powiedziała stewardesa. – Życzę sobie panowie zestaw, czy wybiorą coś sami?

– Nie – powiedział bardzo poważnie Colin – zamierzamy odnaleźć kilku naszych bardzo smutnych przyjaciół.

– Wszystko z nim w porządku – uspokoił stewardesę Loxy. – Prosimy tylko o kawę, jeśli można. Dla niego, bez kofeiny, o ile macie.

– Ależ oczywiście – uśmiechnęła się stewardessa. – To pana pierwszy lot?

– Tak! – potwierdził z entuzjazmem Colin. – Uważam, że jest wspaniale.

– Może trochę później zechce pan zajrzeć do kokpitu i poznać kapitana?

Colin odwrócił się do Loxy'ego; jego oczy aż lśniły z ekscytacji. Ze względu na wagę ich misji, Loxy zamierzał powiedzieć „nie”, ale pomyślał, że w sumie sam od dawna o tym marzył.

– Nigdy nie wiadomo, czy będziemy mogli ich jeszcze zobaczyć na ziemi – powiedział Colin.

– Nigdy nie wiadomo – zgodził się Loxy.

– TUTUTUTUUUU!! – Ciężarówka minęła ich o włos z przeraźliwym rykiem klaksonu i pomknęła dalej, nawet się nie zatrzymując.

– Jasna cholera! – wrzasnęła Julia, wyprzedzając Thunderbirda i zatrzymując Toyotę. Była blada jak ściana i trzęsła się jak w febrze.

– O Boże. O Boże. O Boże... – mamrotał Artur, łapiąc ustami powietrze. Oboje instynktownie złapali się za ręce, po czym rozpletli dłonie i bardzo wolno wysiedli z samochodu, by zobaczyć, co czeka na nich tam, z tyłu. Thunderbird wyrznął swym olśniewającym przodem w drzewo rosnące na poboczu, ale był w zasadzie cały. Wewnątrz siedzieli, ciągle jeszcze w pasach, Ellie i Andrew; oboje oszołomieni, ale ewidentnie w jednym kawałku (a raczej w dwóch kawałkach).

– Jezu Chryste! – Julia dopadła drzwiczek i nachyliła się nad nimi. – Oboje cali?

– Uhumum – powiedziała wolniutko Ellie. – Uhumum.

– Znaczy się, wszystko w porządku? – upewniła się Julia, patrząc na nią uważnie.

Artur podszedł i objął Julię ramieniem. – Uhumum, rozumiem, ale niech lepiej wyjdą z tego samochodu, zanim eksploduje.

Ellie i Andrew szarpali się z klamkami i przyciskami drzwiczek przez koszmarnie długie kilka sekund, zanim oboje wytoczyli się z auta, padając na trawę.

– Wybuchnie? – spytała trwożnie Ellie i odturlała się przezornie nieco dalej.

– Nie wiem – powiedział Artur. – Ale w filmach zawsze wybuchają. – Z bezpiecznej w ich mniemaniu odległości jakichś dwudziestu stóp przykucnęli, czekając, aż samochód buchnie płomieniami. Thunderbird jednak najwyraźniej nie zamierzał spełnić ich obaw (oczekiwać?).

Ellie wbiła oczy w ziemię, blada i drżąca. Jej nikt nie objął ramieniem.

– Moje gratulacje – usłyszała głos Julii pełen zimnej furii. – Myślałam, że spieprzysz tę całą wyprawę nieco wcześniej. Ale teraz zrobiłaś to absolutnie perfekcyjnie.

Funkcjonariuszka Millstone tkwiła przy telefonie, wciąż czując się głupio, a na dodatek absolutnie śmiesznie. W szkole policyjnej uczyli, jak łapać takich, co dręczą porządnych obywateli głupimi lub obscenicznymi telefonami. Nie powiedzieli jednak, jak postępować, gdy przyjdzie samemu kogoś dręczyć telefonicznie. Czując się nieswojo w nowej dla siebie roli, zaczęła wystukiwać numer 9... 00... 1... 562...

* * *

– W filmach to wyglądało na takie łatwe – zawodziła Ellie.

– W filmach ZAWSZE WSZYSTKO wygląda na łatwe. Ty idiotko! Ty kretynko! Ty wariatko! Mogłaś nas wszystkich pozabijać!

– PRZEPRASZAM... dobrze? Myślałam, że...

– Właśnie, że nie myślałaś! – wydarła się Julia. – Nigdy zresztą nie myślisz. Między innymi dlatego jesteśmy tu wszyscy, na tej porąbanej, idiotycznej, kretyńskiej, beznadziejnej i bezsensownej wyprawie, nie wiadomo po co, na co i dlaczego!

– Właśnie, że myślałam – powiedziała nieoczekiwanie buntowniczo Ellie – chciałam sprawić, żebyście byli szczęśliwi...

– Rozwalając cudzy samochód? Gratuluję raz jeszcze.

– NIE. Nie rozumiesz. Chodziło mi o to, żeby przez tę wyprawę wszyscy dobrze się bawili i...

Julia spojrzała na nią i stwierdziła sucho.

– No i mamy. Ubaw po pachy. – Po czym mruknęła coś jeszcze pod nosem.

– Co powiedziałaś? – poderwała się Ellie.

– Nic. – Artur pomyślał, że trzeba być przygotowanym na najgorsze. Może trzeba będzie je rozdzielać?

– CO POWIEDZIAŁAŚ?!

– TO, ŻE WSZYSCY MAMY JUŻ POTĄD TEGO MATKOWANIA TOBIE, ROZUMIESZ!?

Zapadła martwa, okropna cisza. Ellie odwróciła się i odbiegła między drzewa. Reszta ruszyła za nią raczej świńskim truchtem.

– Nie chciałam tego powiedzieć – pociągnęła nosem Julia. Artur zmierzył ją surowym spojrzeniem.

– Czy pan jest tym aktorem, Andrew McCarthym? – spytał damski głos. Był miły, choć dało się w nim wyczuć odrobinę niepewności i coś jakby drżenie.

– Njstm – powiedział wojowniczo Hatsie. Ktokolwiek to był, nie był to nikt, kto miałby tyle wiedzy o showbiznesie, że szukałby danej osoby przez jej agentów.

– Czy może wie pan, gdzie mogłabym znaleźć tego aktora?

„Tylko dlatego, że mają to samo imię i nazwisko” – pomyślał Hatsie.

– Bardzo pana przepraszam. Dzwonię z komendy policji w Londynie, próbujemy szukać jakiegokolwiek wskazówki, jak odnaleźć...

– Ellie yyy Julia?

Głos aż się zakrztusił ze zdumienia.

– Czy pan spotkał Ellie Eversholt?

– Sptkłem. Tszy nna jst w kłptch?

– Ależ nie, żadnych kłopotów! Musimy ją tylko odnaleźć, to wszystko.

Musimy skontaktować się z nią w pilnej sprawie rodzinnej.

Z niejakim trudem Hatsiemu udało się przekazać wszystko, co wiedział o planach podróży obu dziewcząt.

Funkcjonariuszka Millstone rozmawiała ze swym przełożonym.

– Mamy wreszcie namiar, Sir.

– Dobrze, powiadomcie FBI. Rany boskie, nie sądziłem, że będzie tyle gwałtu o jedną zaginioną osobę.

– Ona jest jedyną żyjącą krewną nieboszczyka, Sir.

– Pff. No, dobra robota, Millstone.

– Dziękuję, Sir. I myślę, że lepiej uprzedzę tego aktora, Sir. Tak na wszelki wypadek, gdybyśmy ją znowu zgubili.

Ellie przysiadła na jakimś zwalonym pniaku; wciąż dygotała z wściekłości. Ze wszystkiego to, co się stało teraz, było najbardziej niewybaczone. No dobrze, zachowała się jak lekkomyślna idiotka, sądząc, że potrafi prowadzić samochód – aczkolwiek naprawdę i uczciwie wierzyła, że to bułka z masłem. Ale teraz przyjaciele za nic nie uwierzą jej, że po tym świńskim – zainspirowanym bowiem przez Frosty – objawieniu, zamierza całkowicie zmienić postępowanie i zacząć nowy rozdział swego życia. Już prędzej uwierzą, że zbyt mocno uderzyła się w głowę podczas wypadku.

Julia również czuła się fatalnie. Oczywiście musiała być w szoku, by mówić tak okropne rzeczy, ale uczciwie przyznawała się sama przed sobą, że nie miała udziału w tym wybuchu miała zazdrość...

– Przepraszam. Ogrooomnie... – powiedziała, podchodząc do skulonej na pniaku Ellie – Jeżynko, tak mi strasznie, okropecznie przykro. Naprawdę tak nie myślę...

Ellie odwróciła się ku niej, cała we łzach.

– Przecież staram się wreszcie spoważnieć i dorosnąć. Niby z jakiego innego powodu jestem tutaj? Staram się, ale im bardziej się staram, tym bardziej wszystko się pieprzy. Właśnie podjęłam decyzję, że po powrocie zaopiekuję się porządnie tatą i... A potem zaraz jak postanowię coś zmienić w swym życiu, robię jakieś głupstwo i wszystko się kitwasi... a ja ciągle myślę, jak ostatnia idiotka, że jednak będzie dobrze...

– W końcu nikomu nic się nie stało – bąknęła Julia.

– A w sumie, tak z boku to było nawet bardzo zabawne.

– Nie bardzo – siąknęła nosem Ellie.

– No dobrze, nie za bardzo. Ale najważniejsze, że wszystko skończyło się dobrze, wszyscy cali...

– Przepraszam... – zakwiliła Ellie.

– Nie, to ja przepraszam – powiedziała ze skruchą Julia. – Postąpiłam jak ostatnia świnia, bezmyślna krowa, wredna suka, wybierz sobie, co chcesz. Przepraszam, Jeżynko.

Ellie wstała i obie padły sobie w objęcia.

– Tak więc... ty i Andrew... ee...? – spytała ochryłym głosem Julia, gdy wreszcie się rozdzieliły. – To... wspaniale.

Ellie spojrzała na nią jak na pomyloną.

– Przecież... ee... zostawiłam go dla ciebie... to znaczy tobie! Przecież to właśnie próbowałam ci wytłumaczyć! Możesz go brać; ja wydoroślałam już na tyle, że nie pozwolę, by jakiś goguś zniszczył naszą przyjaźń!

Andrew Drugi objawił się całkiem nieoczekiwanie, wychylając się zza drzewa, o które się opierał.

– Słucham? – spytał podejrzenie uprzejmie.

Ellie i Julia spojrzeli na siebie z przerażeniem.

– SŁUCHAM? – powtórzył. – Więc byłem... hnm... przedmiotem... hnm, współzawodnictwa między wami?

Jego błękitne oczy ciskały błyskawice, najwyraźniej był wściekły.

– Nnie – pisnęła cieniutko Ellie.

– Dobry Boże. Myślałem, że jesteście inne... oryginalne... interesujące. A nie jakieś zwyczajne popieprzone fanki.

Zmierzył je obie uważnym okiem.

– Mały mecz, z głupim Amerykańcem jako nagrodą? A może tylko mały sprawdzianik: jak to się bżyka z tubylcem? Przykro mi, ale nie jestem w nastroju do skolonizowania. Jeśli wóz jest na chodzie, wsiadam i spadam, mówiąc wam na odchodnym, piękne panie: „żegnam, cała nieprzyjemność po mojej stronie”. Zdaje się że tak się u was, Brytoli, mówi w takich sytuacjach.

Odwrócił się i odszedł, roztrącając wściekle krzaki i trawy.

Funkcjonariuszka Saria Millstone tym razem czuła się dziwnie; postąpiła bowiem pozornie jak zupełna idiotka, a efekt był jak najbardziej pozytywny. Teraz musiała wrócić do porzuconej wcześniej, jałowej czynności: telefonowania do agencji w Kalifornii.

Po dziesięciu podejściach wreszcie ku swej radości usłyszała głos na drugim końcu przewodu. Odetchnęła z ulgą, choć była to tylko poczta głosowa. Popatrzyła raz jeszcze na swe oblicze w szybie kabiny i uznała z pokorą, że Andrew McCarthy chyba jednak nie zakocha się w niej przez telefon.

– Halo? Tu funkcjonariuszka Millstone z policji miejskiej w Londynie. Mamy powody sądzić, że dwie obywatelki brytyjskie, Ellie Eversholt i Julia Denford będą próbowały skontaktować się z państwa klientem, Andrew McCarthym. Jest rzeczą najwyższej wagi, by wasz klient, jeśli wejdzie z wyżej wymienionymi w kontakt, powiadomił nas o tym niezwłocznie. Mój numer to 01 44 20 75 55 7628... Dziękuję.

Odłożyła słuchawkę i pomyślała ponuro: po pierwsze te palanty z L.A. oczywiście kompletnie to oleją i po drugie – cholera, cholera, cholera. Jasna. Żałowała, że nie jest teraz razem z Ellie i Julią.

Pech poległa na tym, że agent Andrew McCarthy'ego był na wakacjach. I wiadomość funkcjonariuszki Millstone przejęła młoda gońcówna, dla której była to pierwsza praca „w filmie”, od czasu jak przyjechała do L.A. (marząc rzecz jasna o karierze gwiazdy, jak tyle jej poprzedniczek i następczyń).

– ŁO BOZIU – zapiszczała, po czym wysłuchiwała wiadomości jeszcze raz. Po czym rzuciła się do telefonu.

– Marcia? – wydyszała. – Chyba namierzyłam jakieś szalone fanki! Takie, co prześladują, molestują, itede, no wiesz...

– Wspaniale – odpowiedziała Marcia – to mu zrobi superreklamę!

Ellie przycupnięta na tym samym pniaku zalewała się łzami; Thunderbird właśnie przed chwilą odpalił, choć z pewnymi oporami, po czym ruszył w siną dal.

Artur był poważnie zaniepokojony, a nawet wystraszony. Miał teraz na głowie dwie wariatki, do dyspozycji jeden samochód, a w najbliższej perspektywie zapadającą noc. Westchnął ciężko i postanowił twardo: przez resztę podróży skupiają się na gorących kąpielach, koktailach i do jasnej cholery na niczym innym.

– No – powiedział zwięźle, nie kierując tego słowa pod żadnym konkretnym adresem. – Zbierajcie zadki i manatki i ruszamy.

* * *

– Nie ma mowy – powiedział twardo Loxy.

– Ale to jedyne miejsce, na które mnie stać – pisnął Colin.

– Trznięm to. Absolutnie się tu nie zatrzymam.

– Czyli zostawisz mnie samego? – spytał żałośnie Colin.

– Rany boskie... przecież znajdziemy jakiś niedrogi hotel...

– W Nowym Jojku ni ma niedrogich hoteji – cmoknął taksówkarz. – Niech to szlag. Taksówka zatrzymała się.

– Tośmy som na mniejscu, jentelmani... YMCA – zawołał taksówkarz. – Tu dajom nieźle zryć – dodał radośnie.

– Przepraszam. Tak mi przykro – powtórzyła Julia chyba po raz setny.

– Nie, to ja przepraszam – smarknęła Ellie.

– Kocham cię – powiedziała Julia.

– Ja też cię kocham – odpowiedziała Ellie. Artur przyłączył się na trzeciego do ich uścisku.

– Lepiej trzymajmy się razem – powiedział, spoglądając ponad ramieniem Ellie. – Ponieważ jak raz zbliżają się tu gliny.

Policjanci obesзли samochód, pokopali w opony. Gdy zobaczyli trójkę splakanych i dość sponiewieranych ludzi kryjących się za drzwiami, otoczyli ich i zlustrowali podejrzliwie.

– Rany, ale spluwy! – szepnęła Ellie, ściskając Julię za rękę. Julia odwzajemniła jej uścisk.

– To wasz wóz?

Artur mężnie zwalczył pokusę, by powiedzieć „nie” i wyjaśnić, że wędrują pieszo sobie ot tak, tysiące mil przez lasy, w plażowych klapkach. Ugryzł się w język i odpowiedział:

– Nasz.

– Tu nie wolno stawać. Podejdźcie do samochodu...

– Rany, będą nas rewidować! – czknęła przerażona Julia.

– Które z was jest kierowcą?

– Czy mogę jako osoba dorosła i odpowiedzialna wszystko wyjaśnić? – spytała cienkim głosem Ellie, podnosząc ręce do góry i wychodząc spod drzewa.

– NIEE! – wrzasnęli równocześnie i na całe gardło Artur i Julia. – Nie, żebyśmy ci nie ufali – dodała pośpiesznie Julia.

– ...ale nie bardzo mamy ochotę iść do kicia – dokończył Artur i przytrzymał Ellie łagodnie, ale stanowczo.

– Ja jestem kierowcą, proszę pana – oznajmiła Julia, podchodząc do policjantów.

– Aha – powiedział wyższy z nich, który chyba lekko zezował. – Jestem funkcjonariusz Frog. Ten tu to też funkcjonariusz Frog. Jesteśmy braćmi – dodał szybko.

Ellie kaszlnęła i zaraz potem cichutko pisnęła, gdyż Artur na wszelki wypadek uszczypnął ją dość boleśnie, by powstrzymać od wybuchnięcia śmiechem.

– Możemy zobaczyć dokumenty wozu i pani prawo jazdy?

Julia otworzyła samochód i zaczęła grzebać w schowku.

– Czy nie wie pani jak niebezpiecznie jest zatrzymać się tutaj?

– Przepraszamy... to był wypadek. Wydawało się mi, że zobaczyłam na drodze jakieś zwierzątko...

– Łoj, Edgar, popatrz, noo na to... – niższy z gliniarzy złapał paszport – Jakiś śmiszny... mały... różowy...

– Przepraszam panią – powiedział Edgar. – On nigdy przedtem czegoś takiego nie widział...

– Nie widział brytyjskiego paszportu?

– Jakiegokolwiek paszportu.

– No więc, jak mówiłam, nie sądziliśmy, że...

– Piła pani? – spytał surowo młodszy gliniarz.

– Nie!

– Zechce pani dotknąć nosa palcem wskazującym?

– Że co?

– Proszę to zrobić. To sposób, by sprawdzić, czy pani piła.

– Nie mogę zamiast tego dmuchnąć w balonik? Młodszy gliniarz zazezował groźnie.

– Odmawia pani współpracy?

– Ależ skąd – spłoszyła się Julia.

– Nie krzycz na nią, Allen – powiedział ten starszy. – To w końcu cudzoziemcy.

Ellie z Arturem z trudem tłumili nerwowy chichot, gdy Julia dotykała nosa, patrząc jednocześnie płochliwie na obu braci Frogów.

– Wygląda, że jest w porządku – powiedział starszy.

– Doprawdy? Myślałam, że to oznacza właśnie, że piłam... żeby robić takie głupoty...

– A teraz proszę przejść, stawiając stopę za stopą w linii prostej, o, aż dotąd...

– Rany, o niebo większe jaja niż u nas – szepnęła Ellie do Artura. – Po co te kretyńskie sprawdziany? Jak ktoś prowadzi po pijaku to jeszcze nie powód, by zmuszać go do takich cyrków...

Edgar nagle nachylił się i spojrzał Julii w oczy z bardzo, bardzo bliska...

– Mmm – mruknął Artur. – Pora na przeszukanie!

– No więc... zechce pani powiedzieć, co wyskoczyło wam przed maskę?

Julia rzuciła bezradne spojrzenie w kierunku Ellie i Artura.

– To wyglądało jak...

– ...świstak? – jęknęła Ellie.

– Co?

– Nno... coś jak borsuk... trochę jak małpa... – bąknęła Julia.

– Chyba nie mamy ich tu zbyt wiele w okolicy, no nie,

Edgar?

– A miało pasiasty ogon?

– Tak! – pisnęła Julia.

– Faktycznie świstak – powiedział Edgar, zaś Allen dodał ponuro – trzeba będzie zawiadomić Komisję Do Spraw Świstaków.

– Dlaczego??

– Bez powodu – powiedział tajemniczo Allen. – No i musimy wypisać mandat.

– Teraz powinna mu powiedzieć, że zrobi wszystko, byleby tylko nie wypisywał mandatu – syknął Artur do Ellie.

– Ojej – zmartwiła się Julia. – Ale mamy pecha... Na tym jednak skończyła.

– Jaki jest cel waszego tutaj pobytu? – spytał urzędowo Allen.

Cała trójka milczała.

– Szukamy Andrew McCarthy'ego! – wypaliła wreszcie Ellie. – Ale wszystko się popieprzyło...

– Kogo szukacie?

– Andrew McCarthy'ego – wyjąkała, nieco zawstydzona Ellie. – Tego aktora...

– O kurwa! – wrzasnął Edgar. Obaj bracia popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

– Co was tak rozbawiło? – spytała Julia, sztywniejac.

– A, parę lat temu Allen i ja... no, poczuliśmy, że popadamy w rutynę i takie tam... No i pomyśleliśmy sobie: kto może nam pomóc, poradzić, jak z tego wyjść? No to pojechaliśmy do L.A.

– I spotkaliśmy Ally Sheedy – zachichotał Allen.

– Ojej! – zawołała zachwycona Julia.

– No i pomyśleliśmy, że może ona nam poradzić...

– Och! – powiedziała Julia.

– I co? Poradziła? – spytała Ellie.

– Jak bonie dydy! – zawołał Allen. – Zresztą, same wiecie. To naprawdę mądra dziewczyna. Siedliśmy Se i pogadali. Opowiedzieliśmy jej o naszym życiu... no i... ona tak jakoś na to nasze życie spojrziała... no, ze swego punktu widzenia... no i naprawdę pokazała mam drogę...

– Ojej... – Ellie aż opadła szczęką.

– Można powiedzieć, że naprawdę odmieniła nasze życie – powiedział Edgar, a Allen potwierdził skinieniem głowy.

– Ojojku – Ellie próbowała zebrać myśli. Julia pochyliła się nagle ku nim.

– Hmm... zważywszy że my robimy właściwie to samo, co wy wtedy... czy moglibyście odpuścić nam ten mandat?

– A, co to, to nie. Najważniejsza rzecz, jakiej Ally nas nauczyła, to to, że zawsze trzeba być uczciwym!

– Aha.

Julia wzięła od Allena nieszczęsny mandat; Artur i Ellie, zaczęli mościć się w samochodzie.

– A tak przy okazji – spytała Ellie, wystawiając głowę przez okno – czym zajmowaliście się, zanim Ally Sheedy odmieniła wasze życie?

Allen drgnął. Edgar rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Wolelibyśmy o tym nie mówić.

– W porządku, to wasza sprawa – mówiąc to, Julia wsiadła – jak zawsze płynnie i elegancko – do Toyoty i ostrożnie przekreśliła kluczyk w stacyjce. Policjanci stali i machali za nimi, póki Toyota nie znikła. Cała trójka myślała teraz już tylko o najbliższym motelu, gorącej kąpieli, miękkich ręcznikach i, w przypadku jednego z pasażerów Toyoty, o wielkich, silnych, owłosionych gliniarzach. Zaś Edgar i Allen wsiedli z powrotem do swego wozu o tych parę decydujących minut za późno i przepuścili podawany właśnie do wszystkich radiowozów apel o pilne wypatrywanie srebrnej Toyoty.

12.

Sami w wielkim mieście

Loxy, idąc, patrzył przed siebie. Colin zaś z przekrzywioną szyją gapił się na niebo z otwartymi ustami. Gdyby zaczęło padać, ryzykował śmierć przez utonięcie.

– Colin, mógłbyś postarać się nie odstawiać turysty? – powiedział Loxy zirytowany. – Przyjechaliśmy tu pracować.

– Przecież pracuję – odpowiedział Colin, nadal z zadartą głową. – Rozglądam się, nie widzisz?

Nowy Jork i Manhattan przywitały ich słoneczną, ale i lodowatą aurą. Przechodnie poopatulani w szale, czapy i rękawice tłoczyli się na ulicach, pędząc gdzieś przez siebie. Kilku o mało nie stratowało Colina.

– Uważam, że powinniśmy zacząć od hoteli – powiedział Loxy. – Zrobić listę najtańszych, a potem sprawdzić, czy ktoś o nazwisku Eversholt albo Denford zrobił rezerwację.

– Strasznie nudne – powiedział Colin. – Czemu raczej nie poszukamy tego gwiazdora? O! – zawołał z entuzjazmem, jako że zbliżali się do Central Parku. – Możemy poszukiwać go, jeżdżąc takim fajnym powozem...

– To zupełnie beznadziejne – jęknął Loxy, rozglądając się wokół i patrząc na kłębiący się tłum. – Nigdy nie uda się nam ich odnaleźć.

– Ależ oczywiście, że się uda – powiedział dziarsko Colin. – Jeśli się tu zatrzymamy, założę się, że prędzej czy później ich spotkamy.

– Statystycznie rzecz biorąc, jest to możliwe – powiedział Loxy – o ile zostalibyśmy tu na czort wie ile lat. Dość obcyndalania się. Może zacniemy w takim razie od agencji teatralnych?

– Taa, przynajmniej możemy się pocieszać, że nas wyproszone, a nie wyrzucono – powiedział ponury Loxy trzy godziny później, gdy obaj otrzępywali się, poprawiając kołnierzyki. Ochroniarze obdarzyli ich raz jeszcze groźnymi spojrzeniami i odmaszerowali do budynku.

– Zupełnie tego nie rozumiem – powiedział Colin. – Co w tym złego pytać się o domowy adres sławnego aktora. Dziwni ci Amerykanie.

Nowy Jork zadzwonił do L.A.

– Mamy dwóch mężczyzn, dziś dopytywali się o jednego z waszych klientów...

– O Boże – wrzasnęło L.A. – Na pewno to byli mężczyźni? Bo my dostaliśmy meldunek o dwóch kobietach...

– Tu Nowy Jork. Nasze rozpoznanie nie przedstawia wątpliwości. Zdecydowanie mężczyźni.

– Coś tu nie gra... A może to jeszcze jeden element kampanii...

– O Boże. Żeby tylko nie było z tego jakiejś afery... Może byście...

– Dali komunikat do prasy? Nie ma sprawy.

– Świetnie! No, to do dzieła...

– Och, cześć – rzuciła Siobhan, uświadamiając sobie nagle, że jest druga po południu, a ona od trzech dni ani razu nie ubrała się... kompletnie. Mięśniak zachrumkał przez sen i bezwiednie podrapał się po tyłku. Popatrzyła na niego czule.

– Nie. Nie dzwoniły. Żadnych znaków życia... Słuchaj, Lox. Nowy Jork to moloch... Nie wiem, co możesz robić, zanim się nie pojawią. Jestem pewna, że jak tylko dojadą, zadzwonią. Czemu w tym czasie nie weźmiesz Colina i obaj trochę nie pozwiedzacie?

– Oo, tak, bardzo proszę... – dało się słyszeć w tle.

– Sam nie wiem... tutaj wszystko wygląda podejrzanie...

– Nie przesadzaj – powiedziała trzeźwo Siobhan. – W końcu podjąłeś się tej podróży, a przecież nawet nie znałeś jej taty, więc spokojnie możesz się tam trochę rozerwać. Kochany, jeśli nie potrafisz się rozerwać w Nowym Jorku, to znaczy, że już nie żyjesz! To takie cudowne miejsce!

– Wyglądasz na pełną radości – zauważył kwaśno Loxy.

– O, i z całą pewnością czuję się spełniona – zachichotała Siobhan. Po drugiej stronie przewodu zapadło zakłopotane milczenie.

Ellie zajęła z powrotem tylne siedzenie i siedziała cicho jak mysz pod miotłą. Artur z Julią na mocy umowy nie zagadywali do niej i nastavili radio na cały regulator; gładko weszli w rolę rodziców, którzy muszą jakoś ukryć przed dziećmi fakt, że ich ukochany chomik był widziany ostatni raz trzy dni temu, goniony przez kota sąsiadki.

– Spójrzcie! – wrzasnęła nagle Julia, łamiąc zaprogramowaną ciszę.

Przed nimi stał pierwszy drogowskaz pokazujący kierunek na Nowy Jork.

– Huuraa!

– Dobry Boże! – westchnęła Julia. – I co ja teraz będę robić, jak już nie będę musiała cały dzień tkwić za kółkiem? Co ludzie wtedy robią?

– Hmm... jedzą kanapki... – powiedział Artur. – Budują katedry...

– Aha – pokiwała głową Julia. – O Boziu. Myślicie, że uda nam się dojechać jeszcze dzisiaj?

– To wykonalne – mruknął Artur – o ile Sama–Wiesz–Kto nie przyzwoni samochodem w latarnię, w drzewo albo świstaka...

– Psst.

Ellie nie usłyszała. Albo udała, że nie usłyszała.

Julia i Artur sprzeczali się teraz, zbyt głośno i zbyt ostentacyjnie, na jaką grę–zgadywanek się zdecydować, by jakoś zabić czas, który pozostał im do

Nowego Jorku. Po odrzuceniu kilku propozycji, zbyt banalnych lub zbyt dziecinnych (przy czym opinie obojga jakoś nigdy się nie pokrywały), Julia nagle zawołała:

– A co powiecie na „Botticellego”? – Ellie, co ty na to?

– Ee? – spytała Ellie bezbarwnym głosem. – Co to u diabła jest? Czy to jedna z tych zespołowych gier, których nie miałam szans poznać jako jedynaczka? Zawsze chciałam mieć starszego brata – ciągnęła pozornie bez związku – który by zapraszał do domu swoich przystojnych kolegów, a oni by zapraszali mnie. To co to w końcu jest ten cały „Botticelli”?

– No więc, pomyśl o jakiejś sławnej osobie i podaj nam pierwszą literę imienia...

– A – powiedziała natychmiast Ellie.

– Może zaczniemy od sławnych postaci historycznych? – bąknął Artur.

– Tak czy inaczej, wciąż: A – powiedziała Ellie.

– To może jednak zagramy w... Ellie oklapła ponownie.

– Chodziło mi o Arystofanesa – powiedziała obrażonym tonem.

Loxy wracał do telefonu, wciąż wzruszając ramionami.

– Żadnych wieści – oznajmił.

– Hmm – powiedział Colin – A wiesz, zawsze chciałem zobaczyć Space Mountain...

– To jest na Florydzie – jęknął Loxy.

– Aha. To może skoczymy tam na całe popołudnie?

– Boże miłosierny... Czego was uczyli na lekcjach geografii?

– O postmodernistycznym relatywizmie kulturalnym i wzajemnej tkance powiązań – powiedział ponuro Colin. – Mogę jeszcze jednego pączka?

– Nie.

– Uch!

Wędrowali Broadwayem, widząc wokoło dziwnie znajome widoki. Jakiś facet przechodził przez jezdnię, pchając wielki stelaż pełen wieszaków z ubraniami. Z otworów wentylacyjnych w chodniku buchały kłęby pary. Idiotycznie wystrojone kobiety spacerowały z idiotycznie małymi pieskami. Loxy zorientował się nagle, skąd zna te wszystkie widoki. Cholera, z filmów. W końcu nakręcono w tutejszej scenerii więcej filmów niż gdziekolwiek indziej.

Colin nagle przyhamował, uwagę jego bowiem przyciągnęła ulotka, która przyczepiła się do poręczy pożarowych schodów przyklejonych do ceglanej ściany. (Też jak w filmie, pomyślał Loxy).

– NOC W MIEŚCIE PRZYGÓD! – dały się czarne litery.

– Loxy, popatrz! – Colin złapał go za ramię. – Popatrz! Miasto Przygód!

Loxy zerknął na pomietą ulotkę. Poza napisem widniała na niej scena przedstawiająca splecione ze sobą figury różnych postaci; niektóre były odziane wyłącznie w tatuaż, inne w czarne skóry, za to wszystkie były w równym stopniu opalone, muskularne i *męskie*.

– Hmm, wiesz Colin, nie wydaje mi się, żeby to była impreza odpowiednia dla ciebie...

Colin wziął ulotkę i przyjrzał się jej uważniej.

– Chyba właśnie dla mnie...

– Och nie – stanowczo zaprotestował Loxy. – Absolutnie nie.

Colin zwrócił ku niemu swe wypróbowane spojrzenie szczeniaka, który prosi, by pan go pogłaskał.

– Jesteś całkiem pewny, że lubisz gejów, Loxy?

– Co? Cholera, nie bądź śmieszny! Nie mów głupot!

– Loxy aż zabalgotał. – Myślałem tylko, że ja... i ty.... tam... razem.

Absolutnie nie powinniśmy...

– Ale ja mam swojego chłopaka – powiedział Colin.

– A oni tam nic sobie nie pomyślą. Naprawdę. Co, boisz się nas? Myślisz, że wszyscy mamy AIDS?

– Kurde! Nie! – Loxy poczuł, że dostał cios w samo swe Politycznie Poprawne serce. Prawdę mówiąc, istotnie obawiał się nieco pójścia jako hm... partner Colina do gejowskiego klubu. Nie żeby miał wątpliwości co własnych preferencji seksualnych, tylko że... A właściwie, pomyślał nagle, czemu nie? W końcu, tak jak Julia jestem... na wakacjach. Jestem za granicą. Powinienem skorzystać i otworzyć się na nowe doświadczenia. Oczywiście nie w dosłownym sensie. Wciąż czując się niepewnie, podrapał się po karku.

– No, dobrze – powiedział w końcu. – Naprawdę chcesz iść? Możemy pójść.

– Huraa! – wrzasnął Colin.

Już nie mogę się cofnąć – pomyślał ponuro Loxy.

Mięśniak stał na rogu ulicy na wprost wąskiego przejścia, spokojnie pogwizdując i starając się za bardzo nie wyglądać tak, jak się czuł. A czuł się nieszczęśliwie. Trzymał się z dala od ulicznej latarni i liczył, że żaden z jego kumpli nie będzie wtedy przechodził. Było już dobrze po jedenastej wieczór i panowało pieknie zimno, ale ulice wokół Covent Garden wciąż były pełne ludzi. Podniósł kołnierz marynarki i poczuł się trochę lepiej. Teraz przynajmniej wyglądał (we własnym mniemaniu) jak Humphrey Bogart.

W końcu po jakichś dwudziestu minutach zobaczył tego, na którego czekał. Wyszedł z cienia.

– Och, przepraszam najmocniej – powiedział mizerny facecik, obleczony w płaszcz od Prady. Mruknął coś do swej równie mizernej towarzyszki, która wpatrywała się w Mięśniaka szeroko rozwartymi, głodnymi oczami. Jeśli nawet była w ciąży, nic nie było po niej znać.

– Patryk Cousins? – zawarczał głucho Mięśniak.

– Co proszę? – spłoszył się facecik. Próbował iść dalej, lecz Mięśniak uniósł swe ogromne łapsko i dość stanowczo położył je na chudym ramionku tamtego. W oczach unieruchomionego Patryka pojawiło się przerażenie.

– Chodź ze mną, synu – powiedział Mięśniak i popchnął Patryka w głąb przejścia. A następnie przyłożył mu fangę w nos.

Patrykowa baletnica zaczęła dyszeć, jakby miała lada chwila zemdleć i oparła się o ścianę kamienicy. Patryk zaś leżał bezwładnie na ziemi, gapiąc się w górę i przyciskając obie dłonie do nosa. Spomiędzy palców zaczęła się sączyć krew.

– Co jest, KURWA?! – jęknął. – O Boże. Proszę, nie zabijaj mnie. Proszę. Zrobię, co każesz. Dam ci, co zechcesz. Choćby tu. A może chcesz ją? Weź ją sobie. Ma więcej forsy niż ja, przysięgam. Proszę...

Tancerka poderwała się jak sarna i błyskawicznie znikła w ciemnościach.

– To za to, żeś kutasie zdradził moją ptaszynę – zabuczał Mięśniak. Patryk skulił się, zakrywając głowę rękami i zaczął płakać. Mięśniak otworzył swój portfel i wydobyl dwudziestofuntowy banknot, który z uśmiechem podał Patrykowi.

– A to za to, żeś rzucił moją ptaszynę; bo dzięki temu, koleś, ja ją teraz mam i jestem, kurczę, zadowolony. I jeszcze ci powiem, koleś, że stawiam, ile chcesz, że jest jej teraz o niebo lepiej ze mną niż z takim wypierdkiem jak ty. A ona, koleś, to jest prawdziwa fest kobita i to twoje chuchro to się do niej nie umywa. Ona była za dobra dla ciebie. Tobie to w sam raz pasuje ten zmokły kurczak. A teraz wstawaj, przestań się mazać i spadaj, ty żaloszny dupku.

Wygłosiwszy tę tyradę, Mięśniak założył swe potężne jak szynki ramiona na piersi (nie mógł ich skrzyżować), uśmiechnął się szeroko (jak

Vinnie Jones) i patrzył usatysfakcjonowany, jak Patryk podnosi się z ziemi, jak otrzepuje ten swój wspaniały prochowiec od Prady z błota, petów i resztek rozmokłego hamburgera i pośpiesznie znika w ciemnościach. Zatrzymał się tylko raz, na moment, by rzucić za siebie pełne niedowierzania spojrzenie; gdy jednak przekonał się, że Mięśniak oglądany i z poziomu, i z pionu jest jednakowo ogromny, puścił się dalej pędem.

W bezpiecznej kryjówce za pojemnikami na śmieci Siobhan ścisnęła nogi i jęknęła.

„Andrea Dworkin będzie mnie nienawidzić”, pomyślała „a ja zupełnie o to nie dbam”. Ostrożnie wystawiła głowę na zewnątrz.

– Lubisz to robić za śmietnikiem?

– To moje ulubione miejsce, żeby to robić. Przypomina mi moje szczęśliwe dzieciństwo.

Loxy odrzucił kolejną koszulę. Colin przywdział obcisły top, mimo że temperatura gwałtownie spadła i na zewnątrz było najwyżej cztery stopnie. Był straszliwie podekscytowany i cały w skowronkach.

– Wyglądasz zabójczo – mruknął Loxy, wciągając w końcu na grzbiet kraciatą koszulę od Gapa. Nie chciałem ci o to pytać, ale chyba muszę. Uważasz, że wyglądam w tym stroju na geja? Wybacz, ale nie chcę, żeby ktoś niepotrzebnie marnował na mnie czas, jeśli bym wyglądał...

Colin przyjrzał mu się krytycznie.

– Nie. Nie wyglądasz.

– Dzięki Bogu.

– Wyglądasz raczej jak... no wiesz, taki seksowny kierowca wielkiej ciężarówki, drwal albo coś takiego. Mmm.

– O Boże – jęknął Loxy. – Słuchaj, ale obiecasz mi, że jeśli mi się tam naprawdę nie spodoba, będziemy mogli wyjść?

– Na pewno ci się spodoba – powiedział Colin. – Będą tam kolorowe światła, takie co mrugają i muzyka, i w ogóle.

Andrew Drugi jechał z powrotem na zachód, czuł się źle. Jak kompletny dureń. Dawno już – a prawdę mówiąc, jeszcze nigdy – nie uganiał się aż tak za żadną dziewczyną. Zastanawiał się, co w Ellie było takiego, co go tak wzięło: chyba to jej kompletna bezradność wobec własnych uczuć i urocza nieprzewidywalność. No i jej wygląd... Tak różny od tych wszystkich jednakowych jak spod sztancy blondynek, które otaczały go na co dzień. A końcu okazało się, że wcale się od nich nie różni; potraktowała go (ona i ta jej blond przyjaciółka) niczym poleć mięsa, małą rozrywkę po drodze. Wściekły na nią i na siebie, poprawił się nieco na siedzeniu i odrobinę przyspieszył. Nagle rozdzwoniła się jego komórka. Chwilę słuchał sygnału, wreszcie odebrał.

– Och, nie – powiedział po wysłuchaniu wiadomości. – Boże. Biedna Jeżynka. – Hatsie sapał coś jeszcze.

– Aha. Dobrze. Masz jego adres? Spróbuję tam dotrzeć przed policją.

Zatrzymał samochód i siedział w nim przez dłuższy czas, patrząc bezmyślnie przed siebie i nagle dokładnie uświadamiając sobie, jak bardzo tęskni za tą zwariowaną dziewczyną o rozczochranych czarnych lokach i jak bardzo chce być przy niej i chronić ją przed tym, co miało nastąpić.

Zasmucony – ale i bardzo, bardzo głęboko poruszony wizją ujrzenia jej ponownie – zawrócił samochód i ruszył na wschód. Myśląc, że przy okazji dowie się, ile ta bryka naprawdę potrafi wyciągnąć na godzinę.

Za oknem było teraz coraz zimniej i, jak zauważyła zdrętwiała i zeszywniała Ellie, bielej. Próbowwała układać i wyobrażać sobie, ile zabawy i rozrywki oczekuje ich w Nowym Jorku – na początek choćby ta parada transwestytów – lecz jej myśli nieuchronnie wędrowały w dalszą przyszłość.

Co teraz będzie robić? I co powinna robić? Wyprawa, poszukiwanie – to już wszystko poza nią. Ostatecznie i definitywnie. Próbowwała myśleć o tym w kategoriach szyderstwa; bo przecież w końcu był to kompletnie porąbany pomysł. Ale i wtedy nagle zamajaczyły jej przed oczyma twarze braci Frogów. Może, pomyślała, powinnam jednak odwiedzić parę miejsc i mieć oczy otwarte. Może w końcu... Spojrzała na tych dwoje na przednich siedzeniach dyskutujących z zapalem o zbiorach Guggenheima. Nie, pomyślała, żadnych działań. Lepiej płynąć z prądem. Poddać się biegowi wydarzeń. Nie będzie już szukać odpowiedzi na żadne pytania. Dostyc. Czyż dobra zabawa nie jest najlepszą rzeczą, jaka się człowiekowi przytrafia?

– Tak więc wyprawa dobiegła końca? – powiedziała głośno.

– Świetnie – odpowiedzieli chórem tamci dwoje. Wcale nie.

Boże, jak za nim tęskniła.

Ciało wykidajły lśniło od potu i oliwy; to znaczy Loxy przypuszczał, że to była oliwa. Inaczej jakby ten facet mógł wytrzymać na tym zimnie, półgoły? Para z oddechów unosiła się w powietrzu. Wykidajło przepuścił ich bez pytania, przy czym rzucił Loxy'emu tajemnicze spojrzenie.

– Witajcie w dzielnicy pakowaczy mięsa – powiedział.

– Co?

– No, to jest właśnie to miejsce, gdzie teraz jesteśmy – objaśnił z powagą Colin. – Czyż nie tak?

– Jasne, mały.

Weszli do ogromnej, sklepionej ceglanej piwnicy, położonej pod wielkim, starym magazynem. Zappełniał ją tłum mężczyzn wszystkich kształtów i wymiarów, tańczących, obściskujących się lub po prostu kręcących się po sali. Niektórzy wyglądali skrajnie dziwnie, inni zupełnie normalnie; wśród tych ostatnich Loxy zauważył faceta, który wyglądał

dokładnie tak jak jego szkolny nauczyciel francuskiego. Była tam także para dość puszystych i lekko spłoszonych kobiet, desperacko usiłujących wtopić się w tłum, niestety wciąż się z niego wyróżniały. W piwnicy było duszno. Colin obserwował to wszystko podekscytowany i aż podskakiwał.

– Chodź, zatańcz ze mną? – wrzasnął nagle, ciągnąc Loxy'ego za rękę.

– Wybacz – odpowiedział Loxy. – Ale nic na tym świecie nie zmusi mnie, bym tańczył do „I Know Him So Well”.

– Ale popatrz, jak tamci tańczą!

– Te dwie gi... dwaj drągale? Myślałem, że są tu do podtrzymywania sufitu.

– Posuń się złotko – jeden z drągali popchnął łagodnie Colina.

– Rany, tu jest wspaniale – Colin z błyszczącymi oczami rozglądał się dookoła. – To najwspanialszy lokal, w jakim kiedykolwiek byłem.

– Hmm – mruknął Loxy. – Chcesz piwa?

– Nie! Chcę Manhattan!

Loxy zostawił go wyginającego się na tanecznym parkiecie i skierował się do baru. Tęgawy, obcięty na jeża barman wychylił się ku niemu.

– Czym mogę służyć?

– Piwo i...

– Mamy Coors.

– Dobrze, Coors i jeden Manhattan. – Proszę. Z kim jesteś dziś wieczór, drągalu?

Loxy wskazał na Colina, który teraz tańczył już nie solo.

– Och. Ślicznotek. Długo go znasz? Wygląda na małolata?

– Prawdę mówiąc, to chłopak mojego kumpla. A ja dziś wieczór tylko się nim opiekuję...

– Oj, niegrzeczny z ciebie chłopak...

– Ale to nie tak... Ja, że tak powiem, nie jestem gejem.

– Zdziwiłbyś się kochany, jak często słyszę taką gadkę.

– O, jestem pewny. Ale naprawdę nie jestem. Mam tylko... – tu zacukał się na moment, czy wyjaśnić powód ich wizyty, po czym zdecydował, że nie warto. – Przyjechałem do Ameryki spotkać się z moją dziewczyną.

– He, he! Wątpię, czy akurat tu ją odnajdziesz!

Loxy obruszony nieco wziął drinki i uznał, że nie warto pchać się z nimi przez tłum, gdzie wszyscy to wpadali na siebie, to ocierali się o siebie. Zawisł przy barze; zaczął sączyć piwo i nerwowo spoglądać na zegarek.

– Czyżbyś czekał na kogoś? – zachrobotał obok niego zmysłowy, ale mocno schrypnięty głos.

– Ach. Tak. – odpowiedział Loxy.

– No, ale on się chyba nie pogniewa, jak wypijemy po jednym?

Zachrypnięty miał jakiś metr sześćdziesiąt w kapeluszu i cały pokryty był skręconymi siwymi włosami: na plecach, na ramionach, wszędzie. Imponujące owłosienie widoczne było w całej krasie, gdyż facet nosił tylko artystycznie podziurawiony podkoszulek. Z daleka przypominał Nastoletniego Wilkołaka, które to wrażenie zniknęło przy bliższym oglądzie.

– Ehem... wydaje się, że jednak by się pogniewał – powiedział zmieszany Loxy, zagarniając ku sobie, obronnym ruchem, kieliszek z Manhattanem.

– Ojej, jacy jesteśmy nieprzystępni... Jesteś wielkim, strasznym niedźwiedziem?...

– Nnie – powtórzył rozpaczliwie Loxy i wrzasnął – Colin!

Colin spojrział ku niemu, nie przerywając płasów.

– Tu mi dobrze – oznajmił.

– Dobrze, dobrze, cieszę się, ale... – Loxy naprawdę zaczynał panikować.

– Cześć kurczątko – zagaił siwy facet – Colin spojrzał na niego.

– On mnie przeraża – oznajmił Loxy'emu, potem odwrócił się i zniknął w tłumie zapelniającym parkiet.

– No więc – ciągnął niezrażony facet, pochylając się ku Loxy'emu – wygląda na to, że jesteś teraz panem swego czasu. Przyjechaliśmy tu na festiwal? Loxy oparł się o bar, miałyby nim dwa sprzeczne uczucia. Nikogo nie urazić i nie przyciągać uwagi. Cholera, że też przed przyjściem tu nie zdjął kolczyka z ucha.

– Czyżby ten człowiek ci się naprzykrzał?

Bogu na wysokościach niech będą dzięki. To ten tłusty, barman.

– Hmm.

– Spadaj stąd, DeLorean.

– Dobrze, już mnie nie ma. Nic nie zrobiłem...

– Narzucasz się klientom. ZNOWU. No, już cię nie ma.

Kudłacz wzruszył ramionami, odpadł od baru i wmieszał się w tłum.

– Dzięki – powiedział z ulgą Loxy, czując się bezgranicznie głupio.

Barman wzruszył ramionami.

– Pracowałem w zwykłym barze, dla hetero. Tam zaczepiali kobiety na okrągło. Cholera, to musi być kanał i dno być kobietą Wszystkie te babskie sprawy i jeszcze musi dziewczyna sypiać z naprawdę nieatrakcyjnymi facetami.

– No, to właściwie jest w porządku – mruknął Loxy.

– No tak. Nam to jednak jest łatwiej, co?

– Nie jestem... No tak. Jasne. Dużo łatwiej.

Barman uśmiechnął się szeroko. Loxy odwrócił się ku parkietowi, gdzie szalał Colin.

– Chodź tu i POTANĀCZ trochę – wrzasnął do Loxy'ego.

– Idę, już idę – powiedział Loxy i ruszył ku parkietowi.

Wytaszczyli się stamtąd o trzeciej nad ranem, rozbawieni i rozchichotani. Było nadal straszliwie zimno i zapowiadał się śnieg.

– Nie do wiary, teraz już wiem, jak to jest być jak Kylie Minogue – powiedział Loxy, gestykulując gwałtownie, acz niezbornie, co zawdzięczał siedmiu Manhattanom (i jednemu piwku).

– Wszyscy byli zachwyceni – zgodził się Colin.

– Ponieważ jestem najlepszym tancerzem WSZECH CZASÓW – wychrypiał Loxy i zachichotał.

– Ten straszny, owłosiony staruszek wyglądał zupełnie jak ty – powiedział nieoczekiwanie Colin.

– Że co? Col, o czym ty mówisz?

– No, on wyglądał zupełnie ja ty, kiedy rozmawiasz z Julią.

– O co ci chodzi?

– No, łąsił się i te rzeczy. Jak wielki wilk.

– Ja wcale tak nie...

– A jak ona nie chce z tobą rozmawiać, to tak jakbyś chciał ją ugryźć...

– To nie...

– Wrrrr! Wrrr!

– Zamknij się – warknął Loxy. Jego dobry nastrój natychmiast się ulotnił, odfrunął w ciemność, między pierwsze płatki śniegu.

– Jeżyna?

– Snfrgh?

Ellie śniła właśnie słodko o Andrew McCarthym, choć tym razem nie była całkiem pewna o którym. Na pewno jednak miała różową suknię.

– Jeżyna... obudź się – Artur tarmosił ją delikatnie.

Samochód się zatrzymał.

– Och – usiadła prosto i potrząsnęła głową, rozczarowana, że oto budzi się z pięknego snu na tylnym siedzeniu Toyoty, cała ścierpnięta i zziębnięta.

– Gdzie jesteśmy?

– Pstt – powiedział Artur i wyciągnął ją z samochodu.

Julia też już wysiadła i stała na szczycie wzgórza; za ich plecami z wolna wstawało słońce. W dole, w parku gromadka dzieci grała w baseball. Dalej widać było błonia, a jeszcze dalej taflę wody. A za tym wszystkim wznosił się Manhattan.

– O rany – westchnęła Ellie.

– Pomyśleliśmy, że chciałabyś to zobaczyć.

– Och. Tak.

Przez chwilę stała bez ruchu, podziwiając widok przed sobą, po czym podeszła do Julii i wzięła ją za rękę. Julia przyjacielsko poklepała ją po ramieniu. Z nieba zaczęły lecieć pierwsze płatki śniegu.

– Oto cel naszej podróży – westchnęła Julia.

– Spodziewam się, że może to być raczej początek – powiedziała Ellie, trochę zasmucona. Po czym objęła Julię i mocno ją uścisnęła.

Dziwne spotkania czwartego stopnia

Loxy i Colin siedzieli w cukierni All Flavour; Colin pochłaniał karmelowy krem z bananami, Loxy natomiast z trudem zwalczał nudności. Wybierali się obejrzeć Empire State Building. Kac dręczył chyba wyłącznie Loxy'ego, gdyż Colin był rześki i rozćwierkany. Loxy pomyślał smętnie, że to jest chyba najlepsza ilustracja na różnicę między trzydziestolatkiem a kimś, kto wciąż może jeszcze korzystać z kolejowej zniżki dla młodzieży.

– Wiesz, chciałbym zrzucić z góry kartkę papieru i zobaczyć, czy naprawdę kogoś zgilotynuje na dole – powiedział z rozmarzeniem Colin.

– Lepiej tego nie rób – jęknął Loxy, po czym dość sprawnie (co go mile zaskoczyło) nie tylko wyłuskał gazetę z ustawionego na rogu pojemnika na prasę, ale i przeszkodził Colinowi w wywleczeniu wszystkich egzemplarzy. Zaczął machinalnie przeglądać strony i nagle w oczy walnął go jak obuchem tytuł:

Gwiazdor kultowych filmów lat osiemdziesiątych ofiarą nękania

„Gwiazdor Brat Pack, Andrew McCarthy (36) jest – jak nam dziś oznajmiono – od pewnego czasu ofiarą nękania przez niezidentyfikowanych fanów. Aktor ten, który niegdyś celował w rolach nastolatków, obecnie odniósł kilka znaczących sukcesów na Broadwayu; oznajmił, że jest zaniepokojony faktem, że nieomal obsesyjnie śledzony jest przez jakichś fanów, choć my przypuszczamy, że są to raczej fanki”.

– Rany boskie! – jęknął Loxy. – To ten facet, którego one szukają! Wychodzi teraz na to, że jest przez nie nękany!

– Ojej – powiedział Colin. – Biedaczysko.

– „...w swoim eleganckim apartamencie, w tak bardzo trendy nowojorskim Soho...”.

– Wspaniale – wrzasnął uradowany Loxy. – Wiemy, gdzie jest! Jazda! Ruszamy!

Colin, wciąż z pełnymi ustami, wybałuszył oczy.

– Ale... a Empire State Building?

– Co jest, do cholery, ważniejsze!? Empire State Building czy nasi przyjaciele?

Colin wbił wzrok w niedojedzony krem. – A dlaczego Empire State Building i moje pączki mają być... ee... wbrew moim przyjaciołom? – Twarz skurczyła mu się, jakby miał się zaraz rozpłakać.

– Odpowiedź brzmi: „przyjaciele” – warknął Loxy, wywlekając go z za stolika. – A pączki możesz sobie zjeść po drodze.

– No tak, ale nie takie z figami i syropem klonowym... Loxy bezlitośnie wypchnął go z cukierni na chodnik.

– Myślicie, że to, co widzieliśmy, istnieje naprawdę, czy też była to tylko fatamorgana, która zniknie, gdy się zbliżymy? – spytała Ellie. Mieli już za sobą ostatnią, jak się spodziewali, noc w motelu; rano zerwali się wcześnie, rześcy i gotowi do działania. Jednak jak na razie tkwili od blisko dwóch godzin w gigantycznym korku, poruszając się z prędkością paru metrów na parę minut.

– Żałuję, że nie zabrałam łyżew – westchnęła Ellie.

– Z rozkoszą pozbędę się tego grata – parsknęła Julia, studiując mapę. – I raczej nie będę za nim tęsknić.

W końcu sznur samochodów drgnął i ruszył; wjechali teraz w tunel, który Ellie rozpoznała z niejakim dreszczem jako ten, który w paru już filmach wylatywał w powietrze. Lecz u wylotu tej kamiennej pułapki nagle

wyrósł przed nimi Nowy Jork w całej swej okazałości. Cały świat nagle stał się pionowy.

– Jejku! – wrzasnął Artur.

– Kurde! – zawtórowała mu Julia, raczej pod adresem szalonego rowerzysty, który nagle wyrósł przed nimi jak spod ziemi. – A ja myślałam, że ci londyńscy są już najgorsi z najgorszych...

– Nie są tacy źli – sprzeciwił się Artur. – Spotykałem się kiedyś z jednym. Był słodki. I zapieprzał jak mały samochodzik...

– Och, doprawdy?

– Właśnie, był fantastyczny. Mogłem zadzwonić do niego i zamawiać go niczym pizzę...

– Nie sędzę, by ci to wyszło na zdrowie – powiedziała Julia z dezaprobatą.

– No, przecież to nie była prawdziwa pizza...

– Nie myślisz czasem o tym, żeby... ee... pobrać się z Colinem? – zapytała Ellie.

– Proszę cię, nie bądź pospolita – Artur skrzywił się z dyzgustem. – Widziałaś kiedykolwiek ślub, który nie byłby paradą bezguścia? Nie, na Boga żywego, nie.

– Myślę, że jesteś wobec niego trochę nie w porządku...

– Przestań. Jeśli chcesz wiedzieć, to autentycznie tęsknię za tym, by znów być nie w porządku wobec niego...

Przepychali się przez zapchane ludźmi i pojazdami ulice. W nocy spadł śnieg, ale zdążył się już zmienić w szarą breję. Ludzie śpieszyli do pracy, z minami jakby byli wściekli na cały świat.

– Gdybym mieszkała w Nowym Jorku, byłabym tu szczęśliwa na okrągło – oznajmiła Ellie, patrząc na szary, zaspany i wściekły tłum ze zdumieniem. – Z jakimś miłym amerykańskim chłopakiem – dodała.

– Jestem pewien, że tu jest dokładnie tak samo jak w Londynie – powiedział Artur – tylko uzębienie mają bardziej... wyblęszczone.

– Wcale nie – nastroszyła się Ellie. – W najmniejszym stopniu...

– O Boże – powiedziała nagle Julia.

– Co?

– Nic. Zabawne. Chyba już za długo jesteśmy z dala od domu. Ale mogłabym przysiąc, że przed chwilą widziałam...

– Kogo?

– Ach, nic takiego. Dwóch facetów, którzy bardzo przypominali Loxy'ego i Colina. Dziwne, co?

Facet siedzący w okienku z nosem w gazecie nawet nie podniósł na nich oczu, gdy oddawali samochód.

– Jakież problemy? – zachrumkał.

– Najmniejszych – powiedziała Julia.

– Ha. Gdybyż wiedział... – mruknęła Ellie.

– Hrh – zaburczał facet i wrócił do lektury, podczas gdy cała trójka z plecakami i torbami wymaszerowała na zewnątrz, w lodowate powietrze nowojorskiego popołudnia.

Dlatego też dobrych dziesięć minut zajęło mu rozpoznanie ich podobizn, gdy półtorej godziny później przybyli śledzący srebrną Toyotę policjanci.

– Kurde, zabijcie mnie, nie pamiętam – mówił. – Ledwo im się przyjrzałem. Ale zaraz... skoro to są jacyś zbrojeńcy albo seryjni zabójcy, to liczę, że policja pokryje koszty czyszczenia wozu?

– Tak... oczywiście... ugryź się w dupę – mruknął pod nosem policjant, zauważając stosy śmieci zalegające tylne siedzenie Toyoty. Ci poszukiwani raczej nie umkną daleko, zostawiając za sobą tyle śladów. Wyglądali na kompletnych amatorów i nie sądził, by byli uzbrojeni. Chrząknął, uruchomił radio i podał komunikat, że odnaleziono srebrną Toyotę; teraz poszukiwane są dwie kobiety (rasy kaukaskiej) i jeden mężczyzna (także). Dobry Boże. Taka wskazówka może faktycznie zawęzić krąg podejrzanych w dziesięciomilionowym mieście.

Zrzucili bagaże w czymś, co na oko wyglądało jak coś pośredniego między bardzo małym pokojem hotelowym a schowkiem na miotły, lecz cena wystarczałaby na zakup połowy bliźniaka w Hounslow.

– No dobra – powiedział Artur. – Parada właśnie się zaczyna. Więc najpierw ruszamy ją obejrzeć; potem na ślizgawkę w Central Parku (jak w *Splash'u*), potem wizyta w Bloomingdales (jak w *Manekinie*), a kończymy zwiedzanie gdziekolwiek... jak w *Bright Lights, Big City*.

Ellie siedziała na wąskiej pryczy udającej łóżko, oklapnięta i zniechęcona.

– Już to widzę – mruknęła.

– O rany, nie nudź i spręż się – powiedziała Julia, siadając obok niej. – W końcu tak zdecydowaliśmy, czyż nie?

– Myślę, że powinniśmy trzymać się razem – dodał Artur.

– No właśnie – skwapliwie podchwyciła Julia – żadnej samotnej partyzantki. Wszyscy troje wespół-wzespół. W końcu chyba to się liczy najbardziej, nie? Przecież to ustaliliśmy?

– Tak – bąknęła Ellie ze wzrokiem wbitym w podłogę. Ostatnią rzeczą, jaką miała teraz ochotę robić, to zapomnieć o wszystkich Andrew, jacy trafili się jej w życiu i iść na największą w świecie (czy w tym kraju wciąż wszystko

musi być największe?) paradę transwestytów. Potem przypomniała sobie o tych wszystkich postanowieniach i zobowiązaniach podjętych w wyniku tej fatalnej kraksy. Przypomniała też sobie o tym, że dobra zabawa to najlepsze, co nas może w życiu spotkać.

Nagle poderwała się z wyrka.

– Tak! Macie rację! Jestem wam, kurczę, winna superubaw!

– Mam nadzieję, że nie w seksualnym sensie tego słowa – powiedział Artur.

– Ani dudu! – zawołała dziarsko Ellie. – Ruszajmy! Miasto jest nasze!

Nowy Jork kipiał, szumiał i potrzaskiwał, w czym równy udział miały spadające z dachów sople, co ogólne podniecenie tłumu. Cała trójka, mocno trzymając się za ręce, przepychała się wzdłuż Lexington Avenue. Na ulicach panował niesamowity ścisk; czasem ponad tłumem widać było jakieś fantastyczne pierzaste przybrania głów albo też facetów na szczudłach, na których widok Julia piszczała, a Artur aż podskakiwał. Ellie uczepiła się kurczowo ich obojga.

– Szybko, tędy – popędzała ich Julia; po trosze stracili już orientację, gdzie właściwie są.

– Chyba minęliśmy Szóstą Aleję i dochodzimy do 48 Ulicy... – rozglądał się Artur.

– Cholera, zimno – pisnęła Julia.

Doszli właśnie do skrzyżowania i wtedy Ellie stanęła jak wryta względnie przymarznięta, z szeroko otwartymi ustami.

Ulica przed nimi była, można powiedzieć, zapełniona po brzegi. Żółte taksówki stały w samym środku jezdni. Tu i tam porozstawiano ogromne urządzenia nagłaśniające, z których waliła ogłuszająca muzyka pop i wszyscy

wokół tańczyli – tak wszelkiego kształtu i kolorów transwestyci, jak i na oko normalnie wyglądająca młodzież.

– O mój Boże – Ellie powoli wyciągnęła dłoń i wycelowała palec w widniejący za plecami tancerzy piękny (jak na Manhattan) budynek z wielkim napisem „Wyższa Szkoła dla Zawodowych Artystów”.

Dwoje ludzi wskoczyło na dach żółtej taksówki i zaczęło dziko podrygiwać. Taksjarsz roześmiał się i wrzasnął do kogoś, by podkreślił muzykę. Artur i Julia gapili się na to, szeroko uśmiechnięci.

Ellie się nie uśmiechała.

– To znak – powiedziała nagle. – Mówię wam, TO ZNAK!

Po czym rzuciła się w tłum i zniknęła im z oczu.

– HEJ, CHOLERA! – wrzasnęli unisono Artur i Julia, rzucając się w pogoń, lecz zanim zdolali przebyć ledwo kilka metrów, Julia znalazła się w niedźwiedzim uścisku blisko dwumetrowej czarnej Marilyn Monroe.

– ZŁOTKO! – ryknęła Holly Wood. – WIEDZIAŁEM, że się spotkamy. Jak ci się udało zmienić tę twoją rozczochną przyjaciółkę w taką ślicznotkę? – tu rzucił(a) Arturowi zalotne spojrzenie.

Julia rozejrzała się rozpaczliwie wokół. Ani śladu Ellie.

– Hej. Cześć Holly Wood – powiedziała z ciężkim westchnieniem. – Co za spotkanie... Fantastycznie wyglądasz.

– Ręcznie przyszywane – Holly Wood z dumą potrząsnęła przerażającą liczbą cekinów. – Chodźcie, potańczymy.

– Musimy szukać Ellie...

– Och – zawołał Artur, którego biodra zaczęły już falować w rytm ryczącej muzyki. – Jak zgłodnieje, to się znajdzie. – Po czym rzucił się w tłum, pociągając Julię za sobą.

W powietrze wzbiło się pięćdziesiąt pięć czerwonych baloników.

Ellie, gdy tylko wydostała się z tłumu, zwolniła i ruszyła dalej, powoli łapiąc oddech. Teraz już wiedziała. Musi szukać. Po to tu jest.

Znalazła się na jakiejś cichej, bocznej ulicy i nerwowo rozejrzała się wokół, zastanawiając się, od czego zacząć. Znow zaczął prószyć śnieg. Śmiało wystawiła twarz na podmuchy wiatru i ruszyła.

Dobra. Pomyślmy logicznie. Gdzie mogą bywać aktorzy? Gdzie lubią bywać? Księgarnie ze skupowanymi z drugiej ręki książkami? Kina wyświetlające stare czarno-białe filmy? To byłoby w ich stylu. Szła na południe, oddalając się od parady i głównych szlaków turystycznych; w końcu dotarła, cała skostniała z zimna, do Soho i tu zaczęła iść bardzo powoli, przyglądając się każdej mijanej twarzy i wystawie sklepowej.

Andrew Drugi gapił się to na kartkę z adresem, który podał mu Hatsie, to na fasadę eleganckiej kamienicy z piaskowca. Taak. Zakładając, że posiadają jaki taki dar dedukcji –którego szczerze mówiąc nie oceniał jednak zbyt wysoko – powinny wcześniej czy później pojawić się w tej okolicy. Kręcenie się tutaj było może i głupim pomysłem, ale ilekroć przypominał sobie Ellie i tę straszną wieść nad nią wiszącą, tym mocniej utwierdzał się w postanowieniu, by trwać tu i czekać na nią.

– Hmm – Loxy rozejrzał się wokół. – Myślę, że tu potrzebny jest jakiś plan.

– Przepraszam panią – zwrócił się Colin, do starszej, dość niechlujnie wyglądającej kobiety siedzącej na ławce. – Czy może widziała pani naszych przyjaciół: Artura, Ellie i Julię?

Kobieta chrząknęła i wyciągnęła dłoń. Loxy szybko odciągnął Colina, zanim ten zdążył wręczyć jej pięćdziesięciodolarowy banknot. Sam z niejakim zawstydzeniem włożył jej w rękę piątkę.

– No to co robimy? – zapytał Colin. – Jesteśmy na miejscu. Może zawołamy...

– Coo??

– Andrew! – wrzasnął Colin – Andrew! – Po czym szybko wysapał. – Może przechodzi tędy, na przykład do sklepu? Usłyszysz nas i...

– Boże – powiedział tylko Loxy i przyłączył swój baryton do tenorku Colina – Andrew!

– Wzywa się wszystkie jednostki – powiedział przez radio gliniarz czatujący na rogu ulicy.

* * *

Cztery godziny po ucieczce z parady Ellie wciąż wędrowała nieznanymi ulicami. Wszystkie mijane twarze zaczęły wyglądać tak samo. Podobnie jak w londyńskim metrze, większość umykała przed nią wzrokiem, z wyjątkiem – niestety zbyt wielu – dziwacznie wyglądających mężczyzn; z tego akurat powodu czuła się jeszcze bardziej nieswojo. Wchodziła do antykwariatów, kin, delikatesów. „To nawet nie jest szukanie igły w stogu siana” pomyślała. „To szukanie igły we wszystkich stogach w Anglii, Walii, Szkocji, a nawet i północnej Irlandii. I to bardzo małej igły”. Gdzieś bokiem myślała też, jak potem odnajdzie Artura i Julię, i co oni teraz robią.

Potknęła się nagle o malutkiego psa i wyłożyła jak długa.

– Hej ty – ryknął czyjś głos. – Gdzie leziesz, ślepa komendo, hak ci w smak!

– Och, przepraszam – wyjąkała. Poderwała się, zdzierając do reszty rajstopy, i rzuciła się w kierunku metra, gdzie już na schodach zderzyła się z murem nieprzyjaznych twarzy. Grozę sytuacji pogłębiał panujący półmrok.

Gdy ciężko dysząc wy dostała się z powrotem na powierzchnię, było jeszcze zimniej niż poprzednio. Szła tak pod wiatr i szła, teraz już całkowicie bez celu, ulicami, które zdawały się nie mieć końca. W głowie tłukła się jej już tylko jedna myśl: „To głupie, głupie, głupie, głupie”. Łzy szczypały ją w oczy. Mimo że było dopiero wczesne popołudnie, było już prawie ciemno, a ciężkie śniegowe chmury prawie leżały na szczytach drapaczy chmur. Stopy miała zziębnięte i obolałe, tak że prawie już ich nie czuła.

W końcu, czując się ostatecznie przegrana i pokonana, przemoczona od stóp do głów łzami i topniejącym śniegiem, weszła do pierwszej kafeterii, jaką zobaczyła.

– Cześć, witaj! – powiedział dziwnie znajomy głos.

– Gdzie posiałaś swoją psiapsiółkę? Zwiąła, co? Nie mogę powiedzieć, bym była zaskoczona.

Ellie zachwiała się i złapała się za oparcie krzesła.

– Och. Mój Boże!

– Ehem, tego, Boże, nie Boże – powiedziała rześko kelnerka z L.A. – Chcesz księdza czy wolisz naleśniki?

– Naleśniki! – krzyknęła Ellie, gdy tylko odzyskała głos.

– No i fajnie – kelnerka niepytana hojnie naląła jej gorącej kawy.

– Jakie bogi cię tu przyniosły? – zapytała Ellie, ogrzewając dłonie o gorący kubek i z lubością wdychając unoszącą się z niego parę. – Och jak to cudnie pachnie...

– No, wiesz... Dostałam dużą rolę w filmie. Będę grała kelnerkę. Więc właściwie tu nie pracuję. Wczuwam się w rolę...

– Poważnie??

– Boże, ty jak dziecko... Oczywiście, że nie. Wszystko przez takiego jednego palanta – wzruszyła ramionami.

– Duża klatka, mały ptaszek. Starczyło trzy dni i wszystko diabli wzięli.

– Tak?

– No i jestem tu teraz przyblokowana, w tym cholernym mieście, gdzie jest cały czas parszywa pogoda, a tutejsi nie odróżniają pojęć „czynsz” od „wymuszenie”. Dupki ze Wschodniego Wybrzeża...

– Tak?

– No i co, znalazłaś tego faceta, za którym się uganiałaś? Kto to był? Czy nie Rob Lowe?

– Nie – powiedziała zmęczonym głosem Ellie – Andrew McCarthy. – Przy czym wzięwszy głęboki wdech, wyznała – prawdę mówiąc, już go więcej nie szukam.

– Cholera, oczywiście! Andrew McCarthy! – kelnerka usiadła naprzeciwko niej – Oczywiście. Jak mogłam nie dodać dwa do dwóch? No, poza tym, że nie sądziłam, że cię w ogóle jeszcze kiedyś zobaczę. Andrew McCarthy. Taki niewysoki, bardzo sympatyczna buźka, tak?

– Tak? – sapnęła Ellie.

– No, myślę, że on mieszka tu gdzieś niedaleko... często wpada tu na kawę.

Ellie o mało nie połknęła języka.

– Słuchaj... żartujesz, prawda?

– Czyli jednak nadal go szukasz, hm?

– Ee..ta... hmm.

– No, to znalazłaś. Jak pokręcisz się tu dostatecznie długo, to pewnie na niego trafisz.

– Czy... czy... mogę skorzystać z twojego telefonu? – wybełkotała Ellie.

– Jasne.

Ellie przekazała kompletnie poplątaną i dla postronnych niezrozumiałą wiadomość do recepcji ich hotelu, żądając, by przyjaciele natychmiast do niej dołączyli, potem klapnęła na krzesło i zamówiła górę naleśników, widząc, że przed nią być może Najdłuższy Dzień.

* * *

– Pan wybaczy?

Loxy odwrócił się, lekko zakłopotany. Jego zakłopotanie zmniejszyło się nieco, gdy zobaczył, że pytającym jest policjant. Poważnie natomiast wzrosło jego przerażenie.

– Tak, słucham?

– Mogę spytać, czemu krzyczał pan na cały głos „Andrew”?

– Ummm.

Loxy starannie rozważał, jak wytłumaczyć policjantowi swe zachowanie. Jako prawnik był w zasadzie dość otrząskany w kontaktach z policją, poza tym także jako właściciel niezłej bryki, którą dość regularnie „pożyczali” sobie ci, którzy nie mogli sobie na takową pozwolić. Poza tym tata i mama (i dziadkowie) nauczyli go, że nie należy kłamać. Ale wszystkie te okoliczności kiepsko przystawały do obecnej sytuacji.

– Poszukujemy aktora Andrew McCarthy'ego, proszę pana.

Gliniarz zmierzył go wzrokiem od stóp go głów i powoli wydobył kajdanki.

– Aresztuję pana...

– Co?! – Loxy był autentycznie zdumiony.

– ...za przestępstwo Nękania Czwartego Stopnia. Ma pan prawo zachować milczenie. Wszystko, co pan powie, może być użyte przeciwko panu w sądzie. Czy zrozumiał pan, co powiedziałem?

– Ani trochę – powiedział Loxy, na wszelki wypadek wyciągnąwszy przed siebie ręce.

– Ten niepełnoletni jest razem z panem?

Gliniarz wskazał na Colina, który obserwował całą scenę bardziej z zachwytem, niż ze strachem.

– Ehem... tak.... i nie jest niepełnoletni.

– Doprawdy? I on także „poszukuje tego aktora”, co, koleś? – Gliniarz szturchnął go dość jednoznacznie i paskudnie.

– Tak.

– Mam uciekać? – zapiszczał Colin, zwracając się do Loxy'ego.

– Nieee! – jęknął Loxy. – Chociaż, gdy już się z tego wygrzebiemy, dobrze ci radzę uciekać bardzo szybko i jak najdalej. Ode mnie.

Po półgodzinnym seansie wściekłego tańca Artur i Julia rozchichotani zmyli się wreszcie i schronili w błogosławionej ciszy sal Muzeum Guggenheima.

– Holly zdecydowanie leciał na ciebie – powiedziała Julia.

– Taa – bąknął Artur, wpatrując się z obrazy. – Ale wydaje mi się, że nie jest w moim typie.

– A myślałam, że każdy jest w twoim typie – powiedziała kpiąco Julia.

Artur nie odpowiedział. Julia szturchnęła go lekko.

– Daj sobie z tym spokój – powiedziała.

– Z czym?

– No, ze zgrywaniem cynika...

– Przecież jestem cynikiem...

– Ee, tam.

Teraz Artur spojrział na nią spod oka.

– Dobra, daj sobie z tym spokój.

– Z czym?

– Z udawaniem, że nie znasz odpowiedzi na swoje własne pytanie.

Julia zatrzymała się.

– No wiesz... kiedy Ellie rozwaliła samochód i jakby trochę wróciła do rozumu... ja, rozumiesz, właściwie nie straciłam nadziei, że jednak spotkam w końcu Andrew McCarthy'ego. I wciąż jakaś maleńka – maciupenienieczka – cząstka mnie sądzi, że on mi pomoże rozwiązać mój problem. Wiem, że to brzmi głupio. Ale wydaje się, że rezygnując z odnalezienia go, rezygnuję zarazem z możliwości dowiedzenia się, jak postąpić wobec Loxy'ego.

– Uhhh – zamruczał Artur, pilnie studiując jakiś akt.

– Co chciałeś powiedzieć przez to szczególne „uhmm”?

– Jakby to wyjaśnić... no dobrze. Powiem ci. Po Jezynie można się spodziewać, że będzie szukała życiowych rad u jakiegoś aktora. To jest, że tak powiem, jej styl. Ale na pewno nie twój.

Julia szła dalej, kręcąc głową.

– Noo, to właściwie nie chodzi o poradę, tylko o...

– Ilu dotąd porządnych, lojalnych, godnych zaufania, przystojnych i wiernych facetów z pięknymi tyłkami poprosiło cię o rękę?

– Niewielu – westchnęła, przechodząc obok, strażniczka. – Gdyby pan był łaskaw nie dotykać eksponatów...

– Wiem. Wiem, wiem, wiem – powiedziała Julia ze smutkiem pomieszonym z irytacją. – I dlatego nie wiem, jak mam postąpić...

– Mógłbym dostać to na piśmie? – powiedział Loxy swym wytrenowanym prawniczym tonem, gdy wchodził do komisariatu. – I

koniecznie muszę zadzwonić. Potem pan może nam łaskawie objaśnić, na jakiej podstawie opiera się to kretyńskie oskarżenie, potem ja panu wszystko wyjaśnię i każdy pójdzie swoją drogą. Zgoda?

– Podoba mi się twój akcent – powiedział gliniarz.

– ...i on jest obok mnie cały czas, na okrągło, tak jakby nie mógł zostawić mnie ani na chwilę... –

– Colin, mówię ci to po raz pierwszy i ostatni, nie doprowadzaj mnie do ostateczności...

– ...i to jest to najgorsze, co może pani o nim powiedzieć? – spytała łagodnie strażniczka. – Może da mi pani jego numer? Proszę pana, prosiłam, żeby nie dotykać...

Julia od pół godziny tkwiła nieruchoma pośrodku sali.

– Artur – powiedziała nagle, odwracając się do niego z oczami pełnymi łez. – Czy ja mam fioła?

Artur podszedł do niej i łagodnie otoczył ją ramieniem.

– Oczywiście, że masz skarbie.

– Myślisz... myślisz, że już jest za późno?

– Myślę, że skoro facet szaleje za tobą od dwóch lat, parę tygodni nie powinno mu robić różnicy.

– O Boże – co mnie napadło, żeby lecieć na tego odpicowanego gogusia od hasełek?

– Nie masz się co gryźć, ponieważ w istocie na niego leciałaś. To była reakcja odruchowa. Obawiam się, że ciężko znosisz sytuację, gdy facetowi podoba się ktoś inny niż ty.

– Ojej, chyba tak – wyglądała na zakłopotaną. – No, ale zazwyczaj to ja się podobam...

– Wiem. Ale zawsze jest ten pierwszy raz...

– Och, Artur – hałaśliwie wytarła nos – ...oo, przepraszam... to chyba był twój rękaw...

– Jeszcze raz ci powtarzam, żebyś się nie przejmowała... – powiedział bohaterstwo Artur.

– Muszę zadzwonić od niego, zaraz teraz – zaczęła gorączkowo macać się po kieszeniach w poszukiwaniu drobnych. – A właściwie to mogłabym na komórkę, nawet jeśli jest w pracy albo w więzieniu. Tylko kierunkowy do Anglii i... – zatrzymała się nagle i rozejrzała wokół.

– Artur! Wiesz, co to oznacza? Wychodzę za mąż!

– Wiem!

– WYCHODZĘ ZA MAŻ!

Podskoczyła i uwiesiła się Arturowi na szyi. – No, czyż to nie prześliczna para? – zauważyła druga ze strażniczek.

– Jezu Chryste – jęknęła Siobhan – Loxy, dlaczego dzwonisz do mnie?

– Hmm, może nie powinienem... Ale jesteś jedyną osobą, która wie, gdzie jestem i dlaczego tu jestem. Bo, prawdę mówiąc, osobiście już zapomniałem dlaczego.

– Powinieneś zadzwonić do konsula...

– Niby po co? To miałoby sens, gdyby złapali mnie z czterema funtami heroiny pod podszewką walizki, których oczywiście nie mam – tu łypnął w kierunku dyżurnego sierżanta, który ostentacyjnie udawał, że nie słucha. Ale słuchał.

– Ależ Loxy, oni do mnie dotąd nie dzwonili i nie mam pojęcia, gdzie teraz są. Wybacz, ale naprawdę nie mam pojęcia, co robić... ugh...

– Poczekaj chwilkę! Uprawiacie seks?!

– Loxy, ja...

– Mnie wsadzają do pierdła, a wy uprawiacie seks???

– Nie sędę, bym ci była bardziej pomocna, gdyby nie...

Ale Loxy juź się rozłączył.

– No? Proszę pana...

Loxy zaczął powoli zdejmować płaszcz; dając znaki Colinowi, by zrobił to samo. Nagle jego komórka zabręczała gwałtownie.

Sierżant za biurkiem wyciągnął rękę, pogmerał w kieszeni, wyjął komórkę i przycisnął guzik na „odbiór”.

W komisariacie nagle rozległo się głośne i radosne:

– Tak! Tak! Tak!

– Sędę – powiedział sierżant, zwracając komórkę Loxy'emu – że to ta pańska przyjaciółka i że ona znowu uprawia seks.

– Teraz juź wszystko jasne – odezwało się radio policjanta w Soho. – Miej go na oku, ale nie sędę, by te dziewczyny stanowiły jakiś problem. Sędę, że chyba przekazał im jakąś wiadomość.

Andrew Drugi zauważył niezwykle nagromadzenie policji i zdumiał się, co tu się u licha wyrabia. Sytuacja stawała się coraz to dziwniejsza i dziwniejsza. W duchu miał nadzieję, że Ellie i Julia pamiętają o takim drobiazgu, że amerykańscy policjanci noszą broń.

– Jesteś w Nowym Jorku??!! – Julia była tak szczęśliwa i podekscytowana, że nie zapytała, dlaczego w takim razie się z nią nie skontaktował.

– Muszę cię koniecznie zobaczyć!

– Ach – powiedział Loxy. – Tu może być problem. Widzisz... zostaliśmy aresztowani.

– O mój Boże!

Andrew zręcznie podtrzymał Julię, której nagle zmiękły kolana.

– Co to znaczy „zostaliśmy” – syknął gwałtownie.

– Kto jest z tobą? – zapytała Julia. – O mój Boże. Za co was aresztowali? Coście narozrabiali?

Loxy usiłował, jak mógł najlepiej, wytłumaczyć, co się stało, zaś jego relację przerywało ciągle „omójboże” Julii.

– I co, oni myślą, że wy go nękaliście? Ale to przecież my...

– Nie krzycz tak głośno, na litość boską.

Policjanci zaczęli się gromadzić wokół Loxy'ego.

– Nieważne. Zaraz przyjeżdżamy, żeby was wyciągnąć. Możemy im wszystko wyjaśnić. Jestem pewna, że zrozumieją.

Loxy westchnął i podniósł ręce do nieba.

– Nie martw się – zawołał Colin – mogę zapłacić kaucję. Mam przecież złotą kartę Siobhan.

– Mamy ich wszystkich – oznajmiło policyjne radio.

– Już nie musisz go dłużej pilnować.

– Mamy ich wszystkich – zawołały kobiety w agencji.

– Szybko! Fotoreporterzy biegiem do komisariatu! I bądźcie z nim w kontakcie w sprawie oświadczenia. Jakbyście nic nie zdobyli, wracajcie prosto do mnie. Ale JAJA!

Andrew Drugi z wzrastającym poczuciem absurdu czekał, gdy wreszcie policjanci zaczęli się zwijać, zaś drzwi od kamienicy otworzyły się i zamknęły. Niepewny, czy podążać za policjantami, czy za aktorem, zdecydował się na tego ostatniego, pamiętając o policyjnej broni.

Cuda się zdarzają

Szczupły mężczyzna w eleganckim szarym płaszczu zatrzymał się na moment w drodze do swej ulubionej kawiarni, potrząsnął głową, wspominając te raczej dość idiotyczne zdarzenia z paru ostatnich dni, po czym ruszył dalej, walcząc z zimnym i kásającym dotkliwie wiatrem. Ellie siedziała nad swoją piątą już kawą. Kelnerka przezornie już od drugiej filiżanki zaczęła dolewać jej tej bez kofeiny. Niemniej jednak jej żołądek zdecydowanie się buntował. Cały czas myślała o tych wszystkich pytaniach, jakie zadawała jego podobieżnie w swej „panieńskiej” sypialni; teraz wszystkie wydawały się takie małe, płaskie, śmieszne i głupie. „Czy mam trzymać klamerki na zębach całą noc, czy też potajemnie je zdjąć?”. „Czy potrzebuję do tego obu rąk?”. Problemy zaiste epokowe. I co on sobie pomyśli, gdy stanę twarzą w twarz? Baba już po trzydziestce, przemarznięta i przemoczona, i w dodatku kompletnie obca, dopada go w kafeterii, by pytać o sens życia? I żeby on poukładał to jej życie? Na samą myśl o tej sytuacji przeszły ją ciarki. Westchnęła ciężko i wstała, by pójść do łazienki i trochę doprowadzić się do porządku. Jej wiecznie rozczochrane czarne loki z powodu wilgoci skręciły się jeszcze bardziej. Zgarnęła je jakoś do tyłu i przyklepała. Policzki też miała bardzo zaróżowione z powodu nagłej zmiany temperatury i perspektywy tego, co miało nastąpić.

W sumie nie wyglądała jednak najgorzej; właściwie nawet trochę młodziej. Starannie starła rozmazany tusz z rzęs i spod oczu, nałożyła nowy i szybko pociągnęła wargi wiśniową szminką. W tłoku ujdzie, pomyślała. Ale tylko w tłoku, wepchnęła się natychmiast niepożądana myśl.

– Pamiętaj o naszej umowie – powiedziała kelnerka, gdy Ellie wróciła na salę. – Tylko powiesz mu „cześć” i cześć. Pstryknij mu zdjęcie i poproś, żeby je podpisał. Pójdzie jak po maśle.

„Bułka z masłem” pomyślała Ellie i nagle wzdrygnęła się na niemiłe wspomnienie. Nerwowo zaczęła grzebać w torbie w poszukiwaniu aparatu, wreszcie wymacała go na samym dnie, wśród mnóstwa opakowań gumy do żucia.

– Możesz ty zrobić zdjęcie? – spytała.

– Jasne – odpowiedziała kelnerka, wtykając aparat do kieszeni fartuszka.

– Co on zwykle pije?

Kelnerka wzruszyła ramionami.

– Podwójne espresso. I zawsze daje napiwek. Miły facio.

– Humm. Ale nigdy nie zagadałaś do niego?

– Żeby niby co mu powiedzieć: uważaj na postrzelone Angielki?

Oczywiście, że nie. A uważasz, że powinnam?

Ellie pokazała jej język.

– Widzisz! Już się czujesz lepiej!

Detektywi i dyżurny sierżant patrzyli z osłupieniem, jak ładna blondynka rzuca się ku drzwiom celi.

– Lox! – wrzasnęła, z trudem łapiąc oddech.

– Julia! – odwrzasnął zatrzymany, po czym nieoczekiwanie, ku zdumieniu wszystkich i własnemu, wybuchnął płaczem.

– Och, Jula, żebyś wiedziała... co się stało... naprawdę okropna rzecz...

– Co? – krzyknęła Julia z nagłym ściśnieniem serca, pomyślawszy, że na pewno odmienił swe uczucia względem niej, a teraz cierpi, bo musi ją zranić...

– Mów! Co się stało?

– O Boże... to... nie wiem, jak ci to powiedzieć... – popatrzył na nią, a serce Julii fiknęło koziołka. W końcu opanował się i zadał dziwne pytanie:

– Gdzie jest Ellie?

Około wpół do czwartej tłum gości przybyłych tu, by spożyć swój lunch codzienny, mocno się przerzedził, zaś goście wieczorni jeszcze nie zaczęli się schodzić. W końcu w kafeterii pozostała tylko Ellie, siedząca samotnie w kącie jak kupka nieszczęścia. Właściciel lokalu zerkał od czasu do czasu w jej stronę, lecz kelnerka szybko szepnęła mu coś na ucho. Właściciel nie miał ochoty się z nią spierać: była co prawda nowa, dopiero od tygodnia, ale buzię miała jak pierwszy dzień wiosny, a fryzurę jak czwarty lipca *, więc uważała ją za cenny nabytek i zamierzał zatrzymać jak najdłużej.

Za dwadzieścia czwarta drzwi kafejki brzęknęły i otworzyły się.

Policjanci przywołali ich do względnego porządku.

– Wydaje mi się – powiedział jeden z detektywów, przyglądając się całej gromadzie – że nie bylibyście w stanie nękać nawet trójnogiego żółwia...

– Oczywiście że nie – cztery głowy skinęły potwierdzająco. Julia z wciąż łopoczącym sercem przykleiła się do boku Loxy'ego, natomiast Artur i Colin stali nieco oddaleni od siebie.

– Czyli chcieliście tylko zdobyć jego autograf?

– Ehem – powiedziała Julia, krzyżując palce.

– A nie moglibyście napisać z Anglii, żeby go dostać?

– No... przy okazji chcieliśmy zrobić sobie wakacje...

– Aha. A ci dwaj, to co tu robią w takim razie?

– Humm... – zaczął Loxy, masując się po karku i patrząc pod nogi.

– Tata Jeżyny umarł – oznajmił zwięźle Colin.

W pokoju zapadła cisza.

– Och... – jęknęła Julia i ciężko opadła na stojący za nią stół. – Boże mój, biedactwo... Biedna Jeżynka...

– Zaraz, zaraz, co znowu za Jeżyna? – wtrącił się jeden z gliniarzy.

– Nasza przyjaciółka, ta, z którą podróżowaliśmy. Tak naprawdę ma na imię Ellie... – tłumaczyła blada jak ściana Julia.

– Chwileczkę, młoda damo – pani nie jest Ellie?

– Nie, jestem Julia.

Policjanci zerkali w papiery.

– O żesz to. Ellie Eversholt – to jest imię i nazwisko tej dziewczyny poszukiwanej za nękanie Andrew McCarthy'ego. Założyliśmy, że to pani.

Julia potrząsnęła głową.

– Nie wiem, gdzie Jeży... gdzie Ellie teraz jest. Dziś rano odłączyła się od nas i sama ruszyła w miasto.

– Jezu Chryste – sapnął gliniarz w cywilu i podał dokumenty najbliższemu stojącemu mundurowemu. – Trzeba coś powiedzieć pismakom... No i jednak jej poszukać...

Julia spojrzała na Loxy'ego.

– Zrobiłeś taki kawał drogi, żeby jej o tym powiedzieć?

Mój Boże....

Loxy spuścił oczy.

– To był...

– To był mój pomysł – oznajmił Colin. – Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli będziemy tutaj.

– Dobry Boże – powtórzyła Julia. – Znałam go prawie tak długo, jak mojego własnego tatę.

– Dlaczego właściwie jej tata umarł? – spytał Colin.

– Był już stary. I nie dbał o siebie.

– Ojejku. Mój tato ma czterdzieści lat. To już chyba jest stary?

– Nie jest – odpowiedzieli mu chórem.

Kelnerka zaczęła nerwowo i znacząco mrugać, lecz Ellie nie mogła się poruszać. Siedziała nadal jak skamieniała, potrząsając tylko głową.

– Witam, podwójne espresso poproszę.

– Jak dzisiejszy dzień?

– Och, całkiem, całkiem... choć trochę dziwny.

– Tak?

Kelnerka zaczęła nalewać kawę. Ellie ukryła twarz w dłoniach. Stał ledwie kilka metrów od niej, a ona nie mogła się ruszyć. A już na pewno – mówić. Rozpaczliwie próbowała przełknąć gulę, jaka utkwiała jej w gardle i też nie mogła.

– Proszę posłuchać – powiedziała konfidencyjnie kelnerka. – Nie chciałabym się panu narzucać ani nic z tych rzeczy, ale jest tu moja kumpela, która przebyła cholernie długą drogę, by pana spotkać.

Andrew McCarthy odstawił filiżankę z kawą i rozejrzał się po kafeterii. Gdy wzrok jego spoczął na Ellie, ta zaskomlała cichutko. Uśmiechnął się półgębkiem.

– Powiedz, proszę, że ona nie jest Angielką – powiedział do kelnerki.

– No... jest – odpowiedziała. – Ale jest całkiem normalna, słowo honoru.

– Powiedziano mi, że śledzą mnie jakieś szalone Angielki.

Mówił na tyle głośno, że Ellie mogła go usłyszeć.

– Ale mam nadzieję, że teraz mogę urządzić jej scenę, nie sądzisz?

– Jest cała w nerwach.

– Będę bardzo ostrożny.

Podszedł wolno do Ellie, której serce w tej chwili prawie stanęło, wziął krzesło od sąsiedniego stolika i usiadł na wprost niej.

– No więc... przypuszczam, że... witaj w Ameryce.

– Dobra, myślę, że najwyższy czas skończyć z tym cyrkiem – powiedział detektyw. Przykro mi z powodu waszej przyjaciółki... a jeśli chodzi o was dwóch, to chyba też nic na was nie mam. To co?

– Dziękujemy – powiedział Loxy, zerkając spod oka na Julię, która dreptała nerwowo przy drzwiach, patrząc na niego maślanymi oczami.

– Aha, i przy okazji myślę, że to się wam... – powiedział detektyw, otwierając z rozmachem wahadłowe drzwi. Gdy tylko wyszli przez nie, oślepiły ich światła trzech albo i czterech kamer telewizyjnych.

– Będziemy w wiadomościach? – zawołał nieco przestraszony Loxy, instynktownie osłaniając się dłonią.

– Owszem, choć w bardzo, bardzo lokalnych – powiedział policjant. – A paru tych pismaków to przysłała agencja. Oni lubią, jak takie historie przytrafiają się ich klientom. Oczywiście o ile ich klienci na tym nie cierpią. To znaczy przypuszczam, że oni wolą, by ich klienci nie ucierpieli. Choć niekoniecznie.

Julia wodziła wokół szeroko otwartymi oczami.

– O Boże. Nie wierzę. To się nie dzieje naprawdę.

– Odwróciła się ku Loxy'emu. – I wciąż nie mogę uwierzyć, że ty tu jesteś. Nie mogę uwierzyć, że zrobiłeś to dla Jeżyny.

– Humhumm – odpowiedział ostrożnie Loxy.

Colin wobec tylu kamer nie mógł się powstrzymać, by nie pokazać języka, więc Artur dość stanowczo pociągnął go w dół po schodach.

– Dlaczego nękaliście Andrew McCarthy'ego? – spytał jakiś zdecydowany i bardzo nowojorski głos.

– Hm, jakby tu powiedzieć... to dość długa historia – powiedział Loxy, usiłując wypatrzeć taksówkę za plecami reporterów. – Tak naprawdę, to jesteśmy tu, bo...

Julia uszczypnęła go, zmuszając do milczenia i gestem odesłała, by łapał taksówkę, którą zauważyła, po czym nachyliła się do mikrofonu.

– Ponieważ on jest wspaniały – oznajmiła uroczyście. – Ale obiecujemy, że nigdy już nie będziemy tego robić. Następnie, umykając przed powodzią kolejnych pytań, wszyscy, najszybciej jak potrafili, wladowali się do taksówki i odjechali.

– Ehem... witam... też – Ellie przełknęła wreszcie gulę dzięki szklance wody postawionej przez kelnerkę.

– Wyglądasz dokładnie tak samo – wydusiła wreszcie.

– Zapewne tak jak i ty...

Ellie uśmiechnęła się po raz pierwszy od dłuższego czasu.

– Mój agent nie powiedział mi tego wyraźnie, ale... naprawdę przyjechałyście aż z Anglii, by mnie odnaleźć?

Ellie skinęła głową.

– No, to mi się jeszcze nie przytrafiło... choć byłybyście zdumione przywiązaniem kilku Japonek, którego doświadczyłem...

– Uhum – powiedziała Ellie, znów nieco spłoszona, jako że nie uśmiechało się jej, że zapamięta ją w kontekście tych japońskich damulek. Nagle uświadomiła sobie, gdzie jest i z kim rozmawia, i po co to wszystko było i uszczypnęła się mocno w udo.

– Andrew... – wydukała.

– Tak? Może postawić ci jeszcze jedną kawę?

– Co? Ach nie? Dziękuję. Andrew...

– Wciąż tu jestem.

Obdarzył ją swym słynnym uśmiechem.

– Ummm... no więc, chciałam... to jest zamierzam cię tylko zapytać wprost, czy... – wzięła głęboki wdech – czy kiedykolwiek czułeś, że wszystko układa się zupełnie nie tak, jak chciałeś? Że... czy to wszystko... ee... nie idzie według planu? To znaczy... – tu zaplątała się beznadziejnie i umilkła.

Andrew wypił łyk kawy i milczał przez chwilę.

– Rany... a jesteś absolutnie pewna, że nie chciałaś po prostu się dowiedzieć, co się stało z tym stanikiem i majtkami z filmu *Class*?

Ellie potrząsnęła głową.

– No nie, oczywiście. Dobrze więc – ciągnął, lekko wzruszając ramionami – co skłania cię do myślenia, że jest jakiś plan, którego jesteś częścią?

– Wcale nie myślę o jakimś Bożym planie ani niczym takim... Chodzi mi o swój własny plan. No wiesz, swój własny pomysł na życie i na wszystko...

– Hmm. No dobrze, czy cokolwiek w twoim życiu kiedykolwiek nie wyszło tak, jak zaplanowałaś?

Ellie zacisnęła powieki na moment.

– Ummm. No... raz zrobiłam tort czekoladowy.

– Uhuh...

– To było wstrząsające.

– Aha. I wciąż umartwiasz się z tego powodu?

– Tato o mało nie puścił pawia. Dałam do kremu zepsute jajko.

– Czyli wychodzi na moje. Nie rób planów. Po prostu żyj chwilą i przyjmuj życie takim, jakie jest; bo chyba wiesz, że w życiu nic nie jest jak w filmie, prawda?

Ellie skrzywiła się nieco zaskoczona.

– Czy naprawdę nigdy nie jest? To znaczy, to, co jest w filmach, nie jest prawdziwe?

– Nie, oczywiście że jest. Ale to... to jakby inna płaszczyzna, No, rozumiesz, w życiu nie bywa tak, że idziesz sobie ulicą, wpadasz na kogoś, a potem żyjecie długo i szczęśliwie.

Ellie milczała przez chwilę.

– Masz rację – powiedziała – raczej nie bywa.

Julia, Artur, Loxy i Colin wpadli jak burza do hoteliku na skraju Piątej Alei.

– Czy Ellie Eversholt wróciła? – wydyszała Julia.

– Nie – powiedział cież. Na widok ich zdenerwowanych twarzy dodał – Ale zostawiła wiadomość – i podał im powoli skrawek papieru.

– Szybko – zawołał Loxy i wszyscy, tak jak stali, wypadli z hotelu i złapali pierwszą z brzegu taksówkę. Wsiedli i w środku zorientowali się, że wszyscy mocno trzymają się za ręce.

– To co, ja jej powiem? – dopytywał się Colin.

– Nie – powiedziała Julia, przez ułamek sekundy myśląc o małej Ellie, którą tak boleśnie dźgnęła ołówkiem w nogę, gdy były w pierwszej klasie. – Myślę, że lepiej będzie, gdy ja jej powiem.

Pozostali pokiwali głowami.

– Chciałabym, żeby i Siobhan była tutaj.

Artur spojrzał pod oka na Loxy'ego, który rzucił mu wiele mówiące, ostrzegawcze spojrzenie.

– Mamy także wiadomości o Siobhan – rzucił niedbale Loxy. – Ale może teraz nie jest na nie odpowiedni czas i miejsce...

Taksówka przepychała się dzielnie przez korki.

– ...Poza tym robienie planów jest właściwie niemożliwe. W tym sensie, że niemożliwe jest przewidzenie tego, co ma nadejść...

– Uhum – powiedziała Ellie.

– Mam na myśli to, że metafizyka weszła w układy z dziedziną niepoznawalnego, a świat realny wydaje się podążać tą samą drogą...

– Wiedziałam, że wybrałam odpowiedniego człowieka... – powiedziała cichutko Ellie.

– Czyli że przypuszczam, że najlepszą rzeczą, jaką możesz robić, jest próba zaufania swym naturalnym impulsom i... no, powinnaś starać się nie robić rzeczy, które czynią cię nieszczęśliwą... Spójrz choćby na mnie. Nienawidzę L.A. Za to uwielbiam Nowy Jork. I nienawidzę bycia gwiazdą filmową...

– Naprawdę? Ale przecież jesteś...

– No, niby tak. Ale masz pojęcie, jakie to nudne? Czy wiesz, że większość gwiazd uważa, że z całej tej sławy największa jest ta korzyść, że zawsze dostaje się najlepszy stolik w restauracji?

– Ee?

– Ponieważ cała reszta to, jak mówiono za czasów mojej młodości, pic na wodę. Ale lubię grać w filmach, a jeszcze bardziej na scenie; to naprawdę lubię. I tego się trzymam i nie miotam się, by sięgnąć po więcej.

– I nie czujesz się zawiedziony?

– A niby czym? Że nie mam szesnastu goryli wszędzie za mną łąjących? Czy też że mam tylko jeden dom?

– Lepiej sobie z tym radzisz niż ja – westchnęła Ellie.

– Jestem pewien, że to nieprawda. Wyglądasz na kogoś, kto... jest w porządku.

Ellie wzruszyła ramionami.

– Ja tylko... mam chyba skłonność do bycia zawiedzioną.
Rozczarowaną.

– Tak? Dziewczyno! Jesteś w Nowym Jorku i pada śnieg!

– Nowy Jork mnie nie rozczarował. Jest wspaniały.

– I tak trzymać. Iść za naturalnym instynktem... – ujął jej podbródek w obie dłonie i uśmiechnął się.

– Czuję tylko, że... cały mój świat, moje otoczenie jest trochę... no wiesz... błe.

Pokiwał poważnie głową.

– Cały ten *bleeryzm* to w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach nasza... ee... wyobraźnia. Może to złe słowo... to jest coś, czego nasz mózg nie potrafi jeszcze... rozpracować. Wciąż nie wiadomo czemu, jak tylko mamy zapewnione jedzenie, ubranie i dach nad głową, to zaraz nieuchronnie pojawia się... błe. Ten problem czeka jeszcze na swego Kolumba.

Ellie pokiwała głową.

– Myślę, że chyba zaczynam kojarzyć.

– No, a jak ci tu jest? Poznałaś jakichś miłych facetów?

– Jednego – powiedziała Ellie. – Ale go olałam.

– Naprawdę? – wydawał się zatroskany. – Mieć kogoś, kogo się kocha, to chyba coś bardzo ważnego.

Ellie pokiwała głową.

– Ale masz jego telefon, prawda?

– Uhm.

– No, to już coś. A co z resztą twojego życia?

– Hmm. Rzuciłam pracę, żeby tu przyjechać.

Andrew McCarthy wyglądał na lekko wstrząśniętego.

– Powiedz, że nie.

– Rzuciłam. Potrzebowałam forsy i dali odprawę. W końcu.

Przeczesał palcami włosy, wyraźnie zaniepokojony.

– Wybacz, ale proszę, powiedz, że nie rzuciłaś pracy tylko po to, by tu przyjechać i odnaleźć mnie.

– Ach nie. Oczywiście, że nie. Nie myśl o tym w ten sposób.

– Mówiłam – wtrąciła krążąca wokół niestrudzenie kelnerka – że ona jest trochę szurnięta.

– Ale nieuzbrojona – powiedziała szybciotko Ellie. – A właściwie, jak teraz o tym myślę, to faktycznie nie rzuciłam tej pracy dla ciebie. Rzuciłam ją, bo była do bani i do chrzanu, i miałam jej już potąd. Jeden wielki syf.

– Naprawdę?

– Tak. I jak to zrobiłam, to mi cholernie ulżyło.

– Dzięki Bogu. Przez chwilę myślałem, że będę musiał w związku z tym cię adoptować albo coś w tym rodzaju.

– Nic z tych rzeczy. Wtedy faktycznie podążyłam za swoim instynktem.

– I tak trzymać! To jest właśnie plan! No dobrze. A twoi przyjaciele?

– Są fantastyczni – powiedziała z uśmiechem. – Najlepsi.

– Czyli masz szczęście. Trzymaj je mocno. I trzymaj się ich. Oceniam, że chwilowo nie grozi ci żadne blee.

– Też tak uważam. A jak wrócę do domu, to zacznę się wreszcie porządnie opiekować tatą.

Uśmiechnął się do niej.

– Sama widzisz, wcale nie musiałaś wędrować tak daleko i szukać mnie po całych Stanach.

Nagle rozbrzęczał się jego pager.

– Ojej – powiedział, czytając wiadomość – obawiam się, że muszę iść... na konferencję prasową. – Zresztą dotyczącą ciebie i twoich przyjaciół.

– No nie, naprawdę? – spytała Ellie.

– Jak najbardziej. W końcu to ty jesteś tym moim tajemniczym prześladowcą... co, nie wiedziałaś?

– Rany, nic nie wiedziałam.

– Hm, sądzę, że lepiej byś nie szła ze mną na tę konferencję, chyba że chcesz zostać aresztowana.

– Ojejku, nie mogę pójść?

– Hmm, nie wiem... jak twoje naturalne instynkty reagują na perspektywę aresztowania?

Ellie wzruszyła ramionami i zaryzykowała diagnozę:

– Błee...?

– Bardzo słusznie – zaśmiał się i wstał od stolika.

– No cóż, na mnie czas, by iść do pracy, a dla ciebie, jak sądzę, poważna życiowa próba, by w tym przypadkowym i chaotycznym wszechświecie wypatrzeć i zidentyfikować te wszystkie elementy, które być może – a może i nie – uczynią cię szczęśliwą, co zresztą zależy od nieskończonej ilości parametrów, których układu i kolejności nie pojmiemy, choćby dane nam było żyć milion razy – ponownie uśmiechnął się ciepło. Odwzajemniła uśmiech.

– Dziękuję za wszystko.

– Świetnie! Czyli moja rola dobiegła końca... – podszedł do lady, by uregulować rachunek.

– Do zobaczenia wkrótce, Marilu.

– Cześć – rzuciła kelnerka.

– Och – zawołał, gdy już był prawie przy drzwiach, i odwrócił się ku Ellie. – O mało nie zapomniałem. Wiesz, że dziś są moje urodziny?

– Dziś jest 29 listopada? Jasne, że wiem. W oczach zatańczyły mu wesołe ogniki.

- Czy chcesz wobec tego dać mi urodzinowego całusa?
- Ech... uch... z języcz...? – Ellie prawie straciła dech.
- Ależ nie. Takie zarezerwowane są dla okrągłych urodzin.

Powoli podeszła do niego; delikatnie objął ją ramieniem i lekko, króciutko pocałował ją w usta.

– Bywaj – powiedział miękko. – I powodzenia. – Po czym przeszedł przez drzwi i zniknął w zacinającym, mokrym śniegu. Ellie stała bez ruchu i patrzyła, jak odchodzi.

– Kochałam cię – powiedziała cichutko do siebie. Po czym padła na krzesło i pozwoliła sobie na nieduży, ale oczyszczający atak płaczu.

Andrew Drugi dojrzał ze swej kryjówki, że jego dublet (a ściślej mówiąc oryginał) wychodzi z kafeterii. Zauważył, że Ellie jest wewnątrz; ruszył więc szybko w poprzek placyku w kierunku drzwi kafeterii. Zanim jednak dobiegł, przed lokalem ostro przyhamowała taksówka i wyskoczyły z niej cztery osoby, wszystkie strapione i zdenerwowane. Natychmiast rozpoznał wśród nich Julię i już miał krzyknąć jej imię, gdy zobaczył jej bladość i zrozpaczony wyraz oczu. Zatrzymał się więc i patrzył, jak wchodzi do środka i podchodzą do dziewczyny o rozwichrzonych, czarnych lokach, samotnie siedzącej przy stoliku.

Na twarzy Ellie odmalowało się wszystkich dziewięć (opisanych przez psychologów) poziomów zaskoczenia, gdy zobaczyła całą czwórkę wchodzącą do kafeterii.

– O mój...

Gdy żadne z nich się nie uśmiechnęło, twarz jej stężała.

– Co... co... co wy wszyscy tu robicie?

Usiedli przy jej stoliku.

Julia odetchnęła głęboko, przełknęła ślinę, pochyliła się i wzięła Ellie za rękę.

– Widziałam się z nim! Zauważyliście go? Był tutaj i pocałowaliśmy się, i...

– Szsz... – powiedziała Julia.

Ellie popatrzyła na twarze całej czwórki, po czym podniosła się gwałtownie. Usiłując odwlec nieuniknione, zapytała niezbyt uprzejmie:

– No i co?

– Usiądź – szepnęła Julia, nie puszczając jej dłoni. – Po prostu usiądź. – Artur machnął na kelnerkę i poprosił o herbatę.

Ellie czuła, że w jej piersi rozrasta się jakaś potworna bryła lodu, która nagle z hukiem pękła na pół. Nie mogła oddychać.

– Chodzi o tatę, prawda?

Julia powolutku przytaknęła. Colin załkał, pociągnął nosem i ukrył twarz na ramieniu Artura.

– Czy on... on nie... wszystko z nim dobrze? Prawda?

Julia potrząsnęła głową. Ellie złapała przyniesiony właśnie kubek i przełknęła łyk gorącej herbaty, nawet się zakrztusiwszy.

– Tato umarł. Tak. Rozumiem. Dzięki, że mi powiedzieliście...

– Miał atak serca – powiedziała Julia. – Wszystko stało się bardzo szybko.

– Szybko! Wspaniale. Cudownie...

Zapatrzyła się tępo przed siebie. Artur wstał i oparł dłonie na jej ramionach.

– Zabukowaliśmy już twój powrotny bilet i możemy zaraz...

– Tak – powiedziała tępo Ellie. – Tak. Oczywiście.

– Możesz zatrzymać się i pomieszkać u mojej mamy. Nawet przez parę tygodni. Mama będzie szczęśliwa... – powiedziała Julia.

– Tak – powtórzyła Ellie mechanicznie. – Dziękuję, to bardzo miło z twojej strony.

Po czym powiedziała cicho i sztywno:

– Umarł zupełnie sam...

– Myślałem, że każdy umiera zupełnie sam – odezwał się nagle Colin. Artur uciszył go gniewnym gestem.

Ellie odwróciła się twarzą do ściany. Siedzieli wokół niej jakiś czas, nie bardzo wiedząc, co robić. Nagle Ellie odepchnęła gwałtownie krzesło i wstała.

– Chciałam się nim zaopiekować po powrocie...

– Wiemy – powiedział Artur, kładąc jej ponownie dłoń na ramieniu.

– Miałam dopilnować, by się porządnie odżywiał i miałam robić wszystko koło niego, i... – nagle głos się jej załamał. – A on nigdy się o tym nie dowiedział...

– Jestem pewien, że wiedział – szepnął Artur.

– Nie pierdol! Oczywiście, że nie wiedział! – wrzasnęła głosem na granicy hysterii. – Ja... ja... idę sobie... muszę... sama...

– Ellie, nie odpychaj nas znowu – powiedział spokojnie Artur – Proszę. Pozwól, że zostaniemy z tobą.

– Chcę być sama. Choć raz chcę być sama ze sobą. Jasne?

Pokiwali głowami i patrzyli, jak wstaje, podchodzi do kelnerki i obejmuje ją na pożegnanie, po czym wychodzi z kafeterii, nie oglądając się za siebie.

Znów zaczął padać śnieg i było już ciemno. Ellie jakiś czas szła, popychana i potrącana przez śpieszący się, obojętny tłum, w końcu zorientowała się, że na piechotę do hotelu jest zbyt daleko i przywołała

taksówkę. Bolała ją głowa i stopy; otepiała i otumaniona wszystkim, co się tak nagle na nią zważyło, ledwo zdołała wykaszlać, gdzie chce jechać. Muszę, pomyślała.

– Jedziem – zgodził się taksówkarz. – Miałaś miły dzień?

Ellie zapatrzyła się w okno i nie odezwała się już ani słowem.

Lodowisko w Central Parku było wyjątkowo zatłoczone, musiała więc odczekać swoje w długiej kolejce do wypożyczalni łyżew. Wzięła parę butów z łyżwami, oddała swe własne obuwie do szatni, po czym siadła na niskiej ławeczce, by włożyć i zasznurować buty. Wokół słychać było gwar złożony z wrzasków podekscytowanych dzieci i krzyków ich rodziców; bez wątpienia tak matek, jak i ojców. Boże. Tato. Jak mogłeś być taki głupi. I te cholerne kiełbaski i fasolka. I ta cholerna whisky. To wszystko przez whisky. I przez mamę. I przez nią. I przez tatę też. Postanowiła, że nie będzie płakać. Wstała i ruszyła na lód.

Po paru niepewnych krokach przypomniała sobie, jak ślizgali się z tatą i jak mocno trzymał ją za rękę. Nagle poczuła się pewnie i stabilnie. Unikając zderzenia z innymi łyżwiarzami, prawie nie patrząc, zaczęła sunąć przez tafle. Myślała. Cały czas.

No tak, można powiedzieć, że definitywnie i ostatecznie wydorowała. Na dobre i na zawsze. Co teraz? Popatrzyła przez chwilę w górę na mrugające nad Manhattanem gwiazdy.

Co ma, co jej zostało? Leniwie, wykonując na lodzie wielką ósemkę, dokonała krótkiego bilansu.

W domu: nie ma już taty. Praca? Nie ma już pracy. I co jeszcze? Mięśniak? Billy?

A tutaj...

Przyhamowała, łapiąc się za bandę. Jakie „tutaj” do cholery!?! Nie ma żadnego „tutaj”. TO tylko wakacje. Poza tym nic i nikt...

Krążyła po lodowisku z tak nieobecnym wyrazem twarzy, że inni łyżwiarze zaczęli roztrąpnie usuwać się jej z drogi.

Mam teraz trochę pieniędzy, pomyślała. Nie za dużo, no ale jest jeszcze... dom. Mogłabym zamieszkać w nim, zacząć coś nowego... może naukę jazdy. Tym razem porządnie.

W końcu czemu nie mogłabym zostać kelnerką.

Nie mogłaby przebywać z ludźmi współczującymi jej i bez przerwy litującymi się nad nią. Raz już się jej to przytrafiło, gdy miała czternaście lat i chyba nie zniosłaby powtórzenia tej sytuacji.

A tutaj... tu nikt nie wie, kim ona jest. Jest cudzoziemką. Podróżniczką. Obcą. Sobą.

Ponownie zatoczyła ósemkę. Tam, do licha, jak będzie miała dość, zawsze może wrócić do domu. Jakby jej się spodobało... zawsze mogła zostać. Wyjść za męża, tak na niby, za jakiegoś geja albo coś takiego... Takie rzeczy się przecież zdarzają...

Tak, świat jest pełen szans i możliwości. Trzeba tylko iść za swoim instynktem. Andrew tak powiedział. A planów robić nie warto, bo wszystko jest nieprzewidywalne i bez sensu. Właśnie otrzymała tego dowód.

Cały czas czując jak tato mocno trzyma ją za rękę, zaczęła krążyć coraz szybciej i szybciej. Nagle pomyślała o swej matce i tym razem bez złości. Może ona do tego się urodziła. By uciekać. Może jest to jej przeznaczenie. Zakreśliła się dookoła osi, czując, że brak jej tchu, a muzyka, dotąd tak słodka i łagodna, zaczyna stawać się hałaśliwa i męcząca. Kręciła się jednak nadal, póki nagle ktoś na nią nie wpadł.

– Ej!

– Przepraszam! – zawołała i wystraszona, i zmieszana, i zdyszana.

– To ja przepraszam – powiedział Andrew Drugi. Na głowie jego tkwił przekrzywiony idiotyczny kapelusik w kratkę, spod którego sterczały mocno sponiewierane przez wilgoć i kurz blond włosy. – Dawno nie jeździłem.

Ellie stała jak wryta, dysząc ciężko i gapiąc się na niego. Reszta łyżwiarzy zmuszona była robić pętle i zakola, by jakoś ominąć ich oboje; ewolucjom tym towarzyszył wielobarwny bukiet nowojorskich przekleństw.

Ellie wreszcie odzyskała głos.

– Och. Och. Och. Skąd się wzięłeś, do licha ciężkiego?

– Noo, urodziłem się w Północnej Kalifornii... dobra, dobra, już wyjaśniam. Nie wiem, od czego zacząć, żeby w miarę łagodnie i rozsądnie dojść do miejsca, gdy „a potem poszedłem za tobą z tej kafeterii i trafiłem tutaj”.

– Teraz już wiem, czemu piszesz te swoje haselka, a nie scenariusze. Umiesz ułożyć zdanie, ale nie historię.

– Zdaję sobie z tego sprawę, niestety – pochylił się i wziął ją za rękę. – Ellie, Jeżynko, kochana. Zadzwonili do mnie do domu, szukając ciebie. Kochanie, tak mi przykro...

Ellie spojrzała na niego i załamującym się głosem powiedziała:

– ...mnie też.

Podprowadził ją do drewnianych ławek przy bandzie lodowiska; usiedli oboje. Po krótkiej chwili Ellie ukryła twarz na jego ramieniu i płakała, płakała, płakała pod rozgwieżdżonym niebem Manhattanu.

Otoczył ją ramieniem, kołysząc lekko, gładząc i całując na przemian jej (jak zawsze rozczochrane) loki, nie zwracając uwagi na zaciekawione lub zdziwione spojrzenia innych łyżwiarzy. Siedzieli tak, póki lodowisko nie opustoszało.

W końcu Ellie wstała.

– Lepiej... Lepiej już pójdę...

– Oczywiście. Odwiozę cię do hotelu...

– Nie, nie musisz. Wszyscy tam będą. I zaraz zaczną skakać koło mnie i się troszczyć. A mnie nic nie jest, naprawdę.

– No, skoro tak....

– Raczej nie jedź ze mną. Nie mam ochoty się im tłumaczyć...

– W porządku. Jeśli na pewno tego chcesz...

Stali naprzeciw siebie i patrzyli na siebie niepewnie. Ellie przetarła oczy.

– Tak czy inaczej, zamierzam wrócić do Stanów. Jak tam już wszystko uporządkuję. Tak sędzę. Może na trochę dłużej... – Starła się mówić swobodnie i niedbale, choć średnio jej to wychodziło.

– Naprawdę? Jejku! – Andrew Drugi uśmiechnął się do niej całym sobą.

– No, Tak żeby się rozejrzeć i pokręcić, i tak dalej. I zacząć coś od nowa. Może.

– Aha. Tak. Ojej. Wiesz, to cudownie.

Trzymając ją mocno pod ramię, poprowadził ją – w poprzek tafli – do wypożyczalni.

– Zobaczymy się jeszcze?

Ellie zdobyła się na krzywy uśmiech.

– W tej chwili cała jestem skupiona na stawianiu jednej stopy tuż za drugą. Czy raczej jednej łyżwy. Co właściwie jest dużo łatwiejsze.

Andrew zwolnił.

– To twój tato uczył cię jazdy na łyżwach?

– Tato nauczył mnie wielu rzeczy – siąknęła nosem Ellie.

– Wygląda na to, że zrobił kawał dobrej roboty.

– Tak uważasz? – siąknęła ponownie.

– Tak – odpowiedział poważnie.

Ellie odprężyła się odrobinę. Wzięli się za ręce i zrobili ostatnie okrążenie wokół taflí; nie chciało się im wychodzić.

– Byłoby... byłoby wspaniale, gdybyś dała mi znak życia, jeśli kiedykolwiek zajrzysz znowu do L.A. – powiedział. Ellie odpowiedziała uśmiechem.

– W końcu wiem, gdzie cię szukać...

– W L.A.

– Mam na myśli książkę telefoniczną, głuptasie.

Andrew Drugi pochylił w przód swe metr osiemdziesiąt z hakiem i ujął twarz Ellie w obie dłonie.

– Będzie tak, prawda? Naprawdę chcę, aby tak było. Ellie przełknęła ślinę.

– Wygląda to na kwestię z *Pretty in Pink*.

– Jesteś niepoprawna... Ale faktycznie, jest. Ale chcę dodać i coś od siebie.

Pochylił się jeszcze bardziej i mocno pocałował jej nadaśane, ukochane usta.

– Chcę cię jeszcze kiedyś całować, Ellie Eversholt. A nawet więcej.

– Wystarczy chcieć. Nie należy planować – powiedziała. Łagodnie wysunęła się z jego objęć.

– No, chyba już pójdę.

– Mm... ja też. Czas wracać, doglądać Hatsiego.

– Fakt. Ciekawe, cóż on jeszcze może zmalować?

– Bo ja wiem... ukraść Ferrari swego papy... i może przerobić je na wehikuł czasu.

– To do niego podobne.

Ponieważ ich wypożyczalnie były po przeciwnych stronach lodowiska, Andrew Drugi ruszył w swoją stronę. Ellie pomachała za nim. Już przy bandzie odwrócił się i zwołał:

– Będzie dobrze, Ellie Eversholt! Obiecuję!

– Będzie – powiedziała do siebie, znów czując gulę w gardle. – Będzie.

Andrew i Colin wrócili do hotelu spakować rzeczy Ellie, by wszyscy razem mogli zdążyć na wieczorny lot; tak więc Julia i Loxy nagle znaleźli się – po raz pierwszy od dawna – sam na sam. Oboje czuli się w związku z tym nieco dziwnie.

– Rany – bąknęła Julia. – Co za dzień.

– Uhm – odpowiedział błyskotliwie Loxy ze wzrokiem wbitym w ziemię, kopiąc jakiś złachany plakat płaczący się po chodniku.

– Myślisz, że Jeżyna naprawdę spotkała Andrew McCarthy'ego? Rany. To dopiero musiało być dziwne. I trochę niesprawiedliwe. W końcu to ja cały czas tkwiłam za kółkiem.

Loxy wzruszył ramionami i coś wymamrotał.

– Ale, swoją drogą, to było niesamowite, że przyjechałeś i w ogóle...

– No, trzeba było... w końcu ona była jego jedyną krewną, jaką mogli odnaleźć.

– Cholera, ta jej mamuśka to wredna, samolubna suka...

Loxy znowu wzruszył ramionami i zachrumkał. Prawie jak Mięśniak.

– Ojej, Lox... – Julia łagodnie dotknęła jego ramienia. – Naprawdę nie wiem, co by się stało, gdyby nie usłyszała tego od nas...

– Uhumhm...

– I... – nagle zatrzymała się i spojrzała mu prosto w oczy. – I jeszcze jedno. Tęskniłam za tobą, Loxy. Bardzo mi ciebie brakowało. Naprawdę. Cały ten czas. No, powiedzmy, prawie cały czas. Myślałam o nas i o tym, że być

może źle postąpiłam, a potem pomyślałam, że... nieważne... a potem zobaczyłam cię na ulicy i pomyślałam, że to nie ma znaczenia, jeśli nawet oboje zrobiliśmy coś niewłaściwego... i nie chciałam, żeby...

– Jula! – rozkazujący ton Loxy'ego sprawił, że natychmiast umilkła. Nigdy nie przemawiał do niej tym tonem.

– Bądź cicho choć przez chwilę. Chciałem tylko powiedzieć, że żałuję, to znaczy przepraszam...

– Co? Przepraszasz? ZA CO? – zawołała ogarnięta nagłym przerażeniem. Na pewno zamierza jej powiedzieć, że to koniec. Odrzuciła go już raz – no, właściwie dwa, licząc incydent na lotnisku. A on jest taki dumny. I nie zamierza tego znosić. Ojejku. Nie. Niee.

– Słuchaj – powiedział z poważną twarzą. Nie spodobało się jej to „słuchaj”.

– Zdałem sobie sprawę i... och, Jula, wybacz mi. Naprawdę przepraszam. Rozumiem, że ograniczałem cię i że dlatego chciałaś się wyrwać i wyruszyłaś na tę wariacką wyprawę i teraz to widzę. Od teraz, obiecuję ci to uroczyście, będę naprawdę niekrepującym boyfriendem i nigdy już nie będę cię naciskał...to jest... jeśli nadal mnie chcesz i... cholera jasna!

Tę ostatnią uwagę uczynił w momencie, gdy Julia z rozpędem rzuciła mu się na szyję, omal nie wywracając go w pobliską kałużę. Oplotła go ramionami (i nogami) wisząc na nim, tak że szybko oparł się o znajdującą się na szczęście w zasięgu jego pleców ścianę.

– Dzięki Bogu – sapnęła, patrząc mu głęboko w oczy. – Kocham cię bardzo, bardzo, bardzo.

Loxy wyszczerzył się w najszerszym od Pacyfiku po Atlantyk uśmiechu i przycisnął Julię do siebie. Po dobrej chwili Julia uwolniła się z jego uścisku i spojrzała na niego uważnie.

– Aha... i... czy jest coś, o co chciałbyś mnie spytać?

Andrew objął ramieniem Colina, gdy tuż przed nimi, po drugiej stronie ulicy, zobaczyli tamtych dwoje. Loxy właśnie tryumfalnym gestem wyciągnął coś z wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– Co oni robią? – spytał Colin. Andrew przycisnął go mocniej do siebie.

– Właściwie nic – powiedział. – No. To znaczy... Takie rzeczy, które robią inni ludzie. My nie. My się tylko bawimy.

– A czy zabawa to nie jest najlepsza rzecz, jaka się trafia? – spytał retorycznie Colin.

– Najlepsza – potwierdził Artur i cmoknął go w czoło. – Najlepsza.

Epilog

– Jezu Chryste!

Postanowili wziąć ślub w urzędzie stanu cywilnego zamiast w kościele, ku jawnemu niezadowoleniu obu rodzin, mimo że urząd mieścił się w wielkim, okazałym budynku, pięknie położonym w pobliżu Box Hill. Na dodatek postanowili, że nie będzie rozdziału na rodzinę panny młodej i pana młodego, gdyż wyglądałoby to śmiesznie i co gorsza niepoprawnie politycznie, tracąc segregacją rasową.

Jednak ciotkom Loxy'ego udało się przynajmniej tyle, że sprowadziły na uroczystość swój chór kościelny, który w oczach bardziej zachowawczych krewnych miał rozproszyć nieco panującą na uroczystości świecką atmosferę. Był cudowny czerwcowy dzień; tłum gości kłębił się w wielkim przedsionku. Loxy nerwowo przestępował z nogi na nogę, przez co sprawiał wrażenie, że stepuje w przedziwnie zwolnionym tempie. Colin – dość niespodziewanie wyróżniony zaszczytem bycia drużbą („lepiej by wypadł, robiąc za dziewczynkę sypiącą kwiatki przed młodą parą” zareagowała kąśliwie i zdecydowanie niepoprawnie politycznie Julia) – stał teraz wyprostowany u jego boku i mamrotał pod nosem wyuczony na pamięć tekst toastu ślubnego. Na górze, w apartamencie nowożeńców, dużym, trochę zbyt przeładowanym ozdóbkami, ale posiadającym dwa piękne, rozsuwane okna skierowane na park, Julia w skromnie wytwornej sukni z kremowego jedwabiu krążyła właśnie tam i z powrotem po puszystym dywanie, kipiąc ze wściekłości. Zamiast majestatycznie i z wdziękiem zstępować w dół po schodach, smakując każdą minutę tego, cholera, w końcu najpiękniejszego dnia w życiu, musiała tkwić tutaj, jako że nie mogła dokończyć makijażu, bowiem drzwi do

łazienki były zamknięte na klucz i Julia miała bardzo mocne podstawy, by podejrzewać, kto się w łazience zamknął i po co.

– Jezu Chryste! Mięśniak – zabębniła w drzwi – naprawdę nie chcę, żeby to była ostatnia rzecz, jaką oglądam jako panna!

– Ehehe – dobiegł zza drzwi radosny rechot Mięśniaka, zmieszany ze zduszonym chichotem Siobhan.

– To jest mój dzień, cholera jasna – westchnęła Julia – kur... cholera nie powinnam przeklinać w tej sukni. A niech tam. WYPIERDALAJCIE stamtąd! Loxy czeka na mnie!

– Jesteś pewna, że nie chcesz się bzyknąć ze mną, choćby na szczęście? To twoja ostatnia szansa.

– Twoja też, bo skoro by doszło co do czego, to odgryzłabym ci klejnoty i cały reprodukcyjny osprzęt – zbulgotała Siobhan.

– Rany boskie, SPADAJCIE WRESZCIE. OBOJE. Mięśniak... bo jak nie, to każę zabrać z bufetu wszystek brązowy sos...

Kilka sekund później szczęśliwa para wyłoniła się z łazienki; oboje czerwoni i głupawo uśmiechnięci. Julia z ulgą wypchnęła ich z apartamentu, po czym po raz ostatni rozejrzała się wokoło. Nagle wszystko wydało się takie spokojne. Wszystko na swoim miejscu. Wyszła na korytarz i spojrzała w dół przez balustradę schodów. Zauważyła czekającego na nią na dole ojca; stąd też mogła dostrzec coraz bardziej popielatego na twarzy Loxy'ego. Artur stał tuż za nim, gotów już do odczytania wiersza, który oboje wybrali na ceremonię. Na pewno pójdzie mu świetnie. Jest taki opanowany. Żeby tylko nie był taki cyniczny. Ofiarował się już zostać honorowym wujkiem ich pierwszego dziecka, podkreślając, że w opiekowaniu się dziećmi ma wielką praktykę. Pośpiesznie wróciła do apartamentu i jeszcze raz obejrzała się w

trzydziestym lustrze; oględziny potwierdziły to, co już wiedziała. Jest piękna i wygląda przepięknie.

Na moim ślubie nie będzie Jeżyny, pomyślała nagle i posmutniała na chwilę. Właściwie od pogrzebu już się nie widziały. Julia wzdrygnęła się, przypominając sobie sprzątaną dom, puste zimne pokoje i kuchnię pełną resztek, zeschniętych, nadgniętych, skamieniałych. Matka Ellie, co nikogo nie zdziwiło, nie pojawiła się ani przed, ani na, ani po pogrzebie. Potem były wymuszone dosyć święta Bożego Narodzenia z rodziną Julii, a potem ni stąd, ni zowąd, drugiego stycznia Ellie spakowała swój wysłużony plecak i znikła, pozostawiając dość zagmatwaną wiadomość, z której wynikało, że wyjeżdża szukać dinozaurów. Od tej pory wieści od niej były, jeśli tak można powiedzieć, sporadyczne. Julia podniosła ze stolika album ze zdjęciami; odkryła je w aparacie Ellie jakiś miesiąc temu. Długo czekała, zanim zdecydowała się dać je do wywołania.

Machinalnie zaczęła przewracać strony, oglądając kolejno: dwa rozmazane ujęcia dywanu w hotelu Ritz; potem ona – bardzo blada i Ellie – cała szkarłatna oparte o tę ich pierwszą malutką Toyotę ze słynnym „Hollywood” widniejącym w tle, choć znów dość rozmazanym; ogromny karaluch, a obok butelka tequili; Julia, oklapnięta i wyczerpana siedząca w słońcu, na krawężniku, Bóg jeden wie, gdzie; Andrew Drugi i Hatsie; Andrew najwyraźniej zaśmiewający się z tego, co Hatsie powiedział (POWIEDZIAŁ?); wielki, srebrzysty Thunderbird; coś, co wyglądało na tył głowy Artura, wylaniające się z bramki z napisem „Przyloty”; niedoświetlone zdjęcie ogromnej świni; Julia przy drogowskazie, na którym widnieje napis: „Julia, 25 mil”; jakieś rozmazane drzewa sfotografowane z okna samochodu; odbicie twarzy Ellie w łazienkowym lustrze w motelu; widok Nowego Jorku z dużej

odległości; kolana Artura; drugi widok Nowego Jorku z nieco mniejszej odległości. Natomiast ostatnie zdjęcie... nie mogła sobie przypomnieć, aby je robiła. Znów było trochę zamazane; zdjęcie zrobiono we wnętrzu jakiejś kafeterii, w bardzo chmurnawy dzień, więc widać było niewiele. Jednak gdy przyjrzała mu się bliżej, stało się jasne, że przedstawia ono Ellie całującą kogoś, kto na oko wygląda jak Andrew McCarthy.

Westchnęła i zatrzasnęła album. Po czym zdecydowanym krokiem przeszła przez pokój, wzięła swój bukiet i pewnym gestem zagarnęła drugą ręką tren sukni, sprawdzając, czy nie przyczepił się do niego choćby jeden kolec z ogromnego, wysokiego na co najmniej półtora metra kaktusa w doniczce, którego dostarczono rankiem, owiązanego kokardą, przy którym wszystkie pozostałe zalegające pokój prezenty wydawały się nagle absurdalnie małe. Adres zwrotny kaktusa opiewał na poste restante w jakiejś maciupeńskiej miejscinie w Arizonie. Wiadomość przypięta do kokardy była krótka: „Pozdrawiam, ściskam, całuję, życzę szczęścia. Jeżyna. A. się przyłącza”. Julia zastanawiała się wtedy, kim u diabła jest „A”. Czy może to... Nie, oczywiście, że nie. Oczywiście.

Słońce zajrzało przez okna; w jego promieniach zatańczyły drobinki kurzu. Na dole chór zaczął śpiewać nieco uspiritualizowaną wersję „Together in Electric Dream”. Julia wzięła bukiet, po czym, ostrożnie odłamała z kaktusa dwa kolce. Przyczepiwszy je (na szczęście!) do bukietu, zgarnęła tren, pchnęła drzwi i zdecydowanym krokiem ruszyła naprzód, ku schodom.